

*Jane Green*

# CZYSTY PRZYPADEK

*Komu zaufać, jeśli nie najbliższym?*



  
WYDAWNICTWO  
SONIA DRAGA

*Jane Green*

# CZYSTY PRZYPADEK

Z języka angielskiego przełożyła  
Ewa Borówka



WYDAWNICTWO  
SONIA DRAGA

**Widzisz to, co chcesz widzieć, słyszysz to, co chcesz słyszeć, kapujesz?**

Harry Nilsson, *The Point*



# Podziękowania

Jak to zwykle bywa, na ostateczny kształt książki wpływ miała, świadomie lub nie, ogromna liczba osób, które służyły mi pomocą, wsparciem i wskazówkami.

Przede wszystkim dziękuję mojej redaktorce Jen Enderlin. Dopiero ta książka uzmysłowiła mi w pełni, jak cenna jest współpraca z naprawdę wybitnym redaktorem. Jen skrupulatnie pracowała ze mną nad powieścią, żeby ją udoskonalić i umiejętnie wydobyć z niej to, co chciałam przekazać. Jestem nieskończenie wdzięczna za to, że do mojej drużyny dołączyła tak utalentowana i cudowna kobieta.

Wspaniały okazał się zresztą cały zespół St. Martin's Press: Sally Richardson, Matthew Shear, John Murphy, Lisa Senz, Dori Weintraub, Laura Wilson, Stephanie Hargadon i Paul Hochman.

Moi niezwykli agenci, Jennifer Rudolph Walsh i Anthony Goff, są na równi moimi mentorami i przyjaciółmi; serdeczne pozdrowienia i podziękowania przekazuję też, jak zawsze, mojemu zespołowi z Penguin UK: Tomowi Weldonowi, Louise Moore, Ruth Spencer, Viviane Basset i fantastycznej Katii Shipster, która w przerwach między spotkaniami autorskimi pozwalała mi się ciągać po całym Yorkshire w poszukiwaniu idealnego szczenięcia.

Gorąco dziękuję Davidowi i Linnei Rufo z Bee&Thistle Inn w Old Lyme, którzy pozwolili mi przekształcić swój wspaniały zajazd w moje własne, osobiste pisarskie ustronie, gdzie zajmowali się mną troskliwie Debbie Capone, Tosh Perkins i Brenda Michaud.

Serdecznie dziękuję Connie Beale, Gail Bradshaw, Diane Briskin, Maureen i Johnowi Duffy, Mathew i Louise Evins, Laurze i Harry'emu Slatkin, Cheryl Sugel z Millie Rae's oraz Wayne'owi i Audrey Weiss.

I przyjaciółom, którzy w minionym burzliwym roku zapewnili mi wiele bezpiecznych przystani: Jennifer Brockman, Zoe i Chrisowi Craymer, Anne i Albertowi Hamonet, Jodi i Russowi Hardin, Sharon Gitelle i Johnowi Frenchowi, Stacy i Michaelowi Greenberg, Marcii Lippman, Catowi O'Nealowi, Dani Shapiro i Michaelowi Marenowi oraz Nicole i Kirkowi Straight.

Wreszcie gdyby nie mój mąż, Ian Warburg, nie byłabym tą osobą, którą dziś jestem, ani nie pisałabym takich książek, jakie piszę. Twoja cierpliwość, mądrość, pomoc i miłość sprawiają, że to dla mnie niewyobrażalne szczęście budzić się co dzień u twojego boku.

# CZEŚĆ PIERWSZA

KWIECIEŃ 2009

# 1

## Sylvie

Nawet dawniej, gdy życie wydawało się takie proste i gdy Sylvie nie wiedziała jeszcze, co potrafi jej zesłać los, lubiła się zamartwiać. Niepokój płynął za nią krok w krok jak mała wilgotna chmurka i kazał jej przeczuwać, że lada chwila zdarzy się coś okropnego. Jako dziecko przejmowała się matczynymi atakami złości, ale to ich nie zahamowało. Jako młoda kobieta zamartwiała się, czy jako projektantka tkanin zarobi dostatecznie dużo pieniędzy, a to oznaczało, że musiała dorabiać, malując domy. Jako młoda matka niepokoiła się, że Eve przeturla się na brzuszki i już nigdy nie obudzi, a kiedy Jonathan nie wracał na czas z pracy, denerwowała się, że coś mu się stało.

Nie martwiła się jednak wcale tego ranka, gdy przysiadł na brzegu łóżka i pochyłony zawiązywał buty kolarskie, a potem delikatnie się na nią wturlał i całując, drobił palcami w górę po wewnętrznej stronie jej ud, aż darowała sobie pozorowanie snu i zachichotała, odpychając jego dłoń.

– Niezły tyłek – zawołała, otworzywszy jedno oko, gdy Jonathan znalazł się już w progu. Obrócił się, przybrał pozę modela, po czym posłał jej całusa i z łomotem zbiegł po schodach.

Pół godziny później kroila na kawałki grzankę dla Eve, która lubiła pieczołowicie wyskubywać mięsz, żeby następnie nadać każdej skórcie imię i cechy charakteru, i urządzić im potańcówkę wokół talerzyka z fioletowej melaminy.

Gdy pod oknem zatrzymał się radiowóz, Sylvie zamarła. Evie, jakby coś przeczuwając, wgramoliła się matce na kolana, zwinęła w kłębek i zaczęła ssać kciuk. Nie mogły wiedzieć, bo i skąd, ale wiedziały – jedna i druga.

Kilka chwil później odezwał się dzwonek. Nie miała wątpliwości, że po drugiej stronie stoją policjanci. Nie zdążyła jeszcze otworzyć drzwi, a już widziała ich pełne współczucia miny i była pewna, że spytają łagodnym głosem, czy zna Jonathana Haydna. Gdy oznajmiła, że jest jego żoną, po ich twarzach przemknął smutek i spuścili na moment wzrok. Żalowali, że muszą powiedzieć tej młodej żonie i matce, że jej mąż nie wróci do domu, i życzyli sobie, żeby w tej chwili znaleźć się gdziekolwiek, byle nie tu.

Przez całe lata nie potrafiła bez dławienia w gardle i pieczenia pod powiekami wymówić tych słów, które teraz wypowiada tak gładko. *Mój pierwszy mąż zmarł. Tętniak mózgu. Tak. Wielka tragedia.*

Czternaście lat później może już wypowiedzieć te słowa bez poczucia dojmującej pustki. Może – i tak też czyni – zatrzymać się zniecacka na ulicy albo w sklepie, gdy spotyka kogoś, kto porusza się jak on. Albo pachnie jak on. Albo ma jego włosy. Ale teraz może zastygnąć, wspomnieć i ruszyć dalej, zamiast dać się ponieść fali żalu, tęsknoty i bólu.

Przeniosła się do La Jolli, nawiązała przyjaźnię w przedszkolu Eve, budowała dla siebie

nowe życie, w którym była, jeśli nie szczęśliwa, to przynajmniej zadowolona.

Pracowała na pół etatu w galerii sztuki, a od czasu do czasu wystawiała i sprzedawała swoje obrazy w pewnej kawiarni w centrum. Przestała się zamartwiać i spodziewać najgorszego, bo najgorsze już przyszło i jakoś przeżyła.

Przez pierwsze trzy samotne lata po śmierci Jonathana stała się samowystarczalna, tworząc nierozdzielalną całość z Eve. Nie interesowały ją randki, choć życzliwi próbowali je dla niej aranżować, nie pociągała ją też perspektywa związania swojego życia z kimś innym.

A gdy w końcu tak zrobiła, nie miała poczucia, że to zdrada. Zdawało jej się to słuszne, jakby Jonathan udzielił jej błogosławieństwa. Jedenaście lat po spotkaniu Marka, Sylvie nieczęsto zatapia się we wspomnieniach o Jonathanie. Z biegiem lat pozwoliła im wyblaknąć, przede wszystkim z szacunku dla Marka. Była taka młoda, kiedy żyła z Jonathanem, tak nieświadoma istoty długotrwałego małżeństwa, jego upadków i wzlotów, klęsk i sukcesów, całego wkładu pracy potrzebnej do utrzymania się w związku.

Z Jonathanem spędziła zaledwie cztery lata. W chwili jego śmierci pozostawali wciąż w fazie poślubnego zauroczenia. Nie mieli szansy dojść do etapu, w którym ludzie drażnią się nawzajem, kłócą z byle powodu i po prostu mijają się w domu, ledwie zamieniając słowo.

Zanim Sylvie poznała Marka i jeszcze trochę później, nie opuszczało ją wrażenie, że Jonathan nad nią czuwa. Rozmawiała z nim w samochodzie; zadawała mu pytanie, włączała radio i okazywało się, że odpowiedź tkwi w tekście nadawanej piosenki; sięgała po książkę i otwierała ją na chybił trafił, żeby odkryć właśnie te słowa, które potrzebowała usłyszeć.

Nie wierzę w przypadki, myślała, śląc do nieba całusy wdzięczności. To Jonathan, który zaznacza swoją obecność tak dobitnie i wyraźnie, jak tylko może.

Gdy jedenaście lat temu w jej życiu pojawił się Mark, wiedziała, że zesłał go jej Jonathan, że nie bez powodu zderzyły się ich światy, że w pewnym sensie właśnie tak miało być.

Nawet to, że Mark od zawsze wiele podróżuje, okazało się korzystne – pozwala Sylvie podtrzymywać bliską więź z Eve, poświęcać jej znacznie więcej uwagi niż wówczas, gdy Mark jest w domu.

To małżeństwo całkowicie różni się od pierwszego. Od samego początku wydawało jej się mniej baśniowe, bardziej *rzeczywiste*. Z Markiem nigdy przed zaślubieniami nie fantazjowali szepem o wspólnym życiu, nie przeżywali razem cudu porodu; nie mogli spędzać czasu bez dzieci, wylegując się w łóżku, uprawiając seks przez cały weekend i opuszczając dom tylko po to, żeby popędzić do delikatesów na rogu po panini i czekoladę.

Mają za to coś, co Sylvie uznaje teraz za dojrzałą, *właściwą* miłość. Nadal czuje do męża nieokiełznany pociąg, ogromnie go szanuje, uwielbia go za jego dobroć i za to, jak się o nie troszczy.

Od kilku lat obserwuje, jak wokół rozpadają się małżeństwa. „Kryzys wieku średniego” –

niosą się znaczące szepty, w miarę jak wychodzi na jaw, że mężowie sypiają ze swoimi sekretarkami, żony romansują z sąsiadami albo zwyczajnie odchodzą, aby „odnaleźć siebie”.

Sylvie wie, że jest bezpieczna. Cokolwiek by ich poróżniło, Mark nie zdecydowałby się na romans. Był zbulwersowany i zaniepokojony, ilekroć kolejna para rozpadała się z powodu osoby trzeciej.

– Bogu dzięki, że chociaż ty traktujesz poważnie przysięgę małżeńską – powiedziała Angie, przyjaciółka Sylvie, i zerknąwszy z ukosa na swojego męża, zmrużyła powieki. – A on? Nie jestem taka pewna. Ale wie, co się z nim stanie, jeśli mu to kiedyś przyjdzie do głowy.

Zaśmiały się zgodnie, Sylvie z bezpieczną świadomością, że jej małżeństwo jest święte. Nigdy nic złego się nie wydarzy.

Jednak od kilku miesięcy bardzo często ma wrażenie, że może i nie wydarzyło się nic złego, ale też nie dzieje się całkiem dobrze. We wrześniu Eve wyjedzie z domu na studia, a Sylvie nie jest na to gotowa, zaczyna się czuć porzucona, chociaż rozsądek oczywiście podpowiadał jej, że w końcu nadejdzie ten dzień i że córka musi odejść.

Pół roku temu Sylvie straciła posadę w księgarni i od sześciu miesięcy stara się opiekować matką, od czasu do czasu maluje – choć nie sprawia jej to już takiej radości jak kiedyś – i zamartwia się, co, u licha, pocznie po wyjeździe Eve.

Wie, że to po części sprawka hormonów, bo nieregularnie miesiączkuje, a Mark zamiast o zespole napięcia przedmiesiączkowego zaczął wspominać o „permanentnym napięciu miesiączkowym”, co Sylvie w zależności od dnia albo bawi, albo doprowadza do szału.

Przechodzi teraz etap zmian; *razem* przechodzą etap zmian, zmian znaczących, wymagających od nich, by wspierali się wzajemnie. Tymczasem Mark wydaje się całkowicie nieobecny. Nie chodzi częściej na siłownię, nie sprawił sobie nowego ferrari ani nie zmienił fryzury, ale jest nieczuły i obojętny.

I to spowodowało, że zaczęli się sprzeczać jak nigdy wcześniej.

Przez lata Sylvie dokładnie wiedziała, na czym stoi, a teraz odkrywa, że ma coraz większe poczucie zagubienia. Kim ma być, jeśli nie matką? Gdyby Mark tyle nie podróżował, dałaby sobie radę, bo odgrywałaby rolę żony. Wcześniej nie miało to takiego znaczenia, bo jej obowiązki sprowadzały się do opieki nad dzieckiem. Jak ma określić swoją tożsamość bez Eve, bez pracy?

Sylvie potrzebuje teraz męża, lecz on się oddalił jak nigdy dotąd. Zaczyna się zastanawiać, czy jej matka przypadkiem nie ma racji, twierdząc, że Mark ma romans.



## 2

# Sylvie

Jeszcze całkiem niedawno Sylvie zwykła żartować, że Mark nie umie nawet flirtować, a co dopiero nawiązać romans z prawdziwego zdarzenia.

Mimo swojej prezencji, widocznej charyzmy i tłumnie lgnących do niego kobiet Mark zdawał się nie zwracać na to uwagi, i przede wszystkim dlatego Sylvie w ogóle się nim zainteresowała.

Na parkingu przed sklepem spożywczym odjechał jej wózek. Ten wysoki, przystojny, dobrze zbudowany mężczyzna zdążył go złapać, zanim wózek wytoczył się na ulicę. Śmiech, podziękowania; nie sposób było nie zerkać na jego swojską urodę, lśniące zęby, urocze dołeczki, dzięki którym sprawiał wrażenie raczej przystępnego niż wyniosłego.

I byłaby o nim zapomniała, gdyby nie to, że dwa dni później stanęła za nim w Starbucksie. Obrócił się i roześmiał na jej widok. Rozmawiali przez chwilę o niczym szczególnym. *Jaki ten świat mały! Czy przypadkiem nie uciekł pani jeszcze jakiś pojazd? Polecam się.*

Zamówili i odebrali kawę, a potem postali chwilę w niezręcznym milczeniu, aż w końcu życzyli sobie nawzajem miłego dnia i rozeszli się w różnych kierunkach. Tym razem pozostawił po sobie ślad. Znów na niego wpadła – czy to może coś znaczyć? Gdyby tak było, z pewnością wypiliby razem kawę albo może poprosiłby ją o numer telefonu.

Wydawało jej się, że z wyglądu nie jest w jej typie, choć obiektywnie musiała przyznać, że do takich mężczyzn wdycha większość kobiet. Sama nigdy nie przepadała za wysokimi, atletycznymi blondynami. Pociągali ją ciemnowłosi mężczyźni o szczupłej sylwetce i oliwkowej karnacji. Impulsywni i dowcipni. Jak Jonathan.

Klasyczna uroda zawsze ją onieśmiała. Choć wszyscy zapewniali Sylvie, że jest piękna, nigdy się taka nie czuła i uważała, że nie zasługuje na powszechnie pożądanym mężczyźni. Pociągalo ją to, co ciekawe, a nie urodziwe – skaza, a nie doskonałość. W szkole średniej umawiała się z artystami, poetami i muzykami. Mężczyzna ze Starbucks, którego obraz ciągle ją nawiedzał, przypominał zaś typowego futbolistę.

Uderzył ją u niego brak arogancji i to, jak swobodnie się czuje w swojej skórze. Sprawiał wrażenie otwartego i naturalnego, poza tym nie zaczął od flirtu, za co była mu wdzięczna.

Po spotkaniu w Starbucksie wracała do niego myślami kilka razy dziennie i za każdym razem na twarz wypływał jej uśmiech. Nigdy wcześniej go nie widziała i najpewniej już nie zobaczy. Nic o nim nie wiedziała, znała tylko jego imię.

*Mark.*

Było, minęło.

W tym samym tygodniu jadła lunch z Angie w Nine-Ten. Rozprawały z ożywieniem, gdy kątem oka dostrzegła siedzących przy sąsiednim stoliku trzech mężczyzn w garniturach, czekających najwidoczniej na czwartego towarzysza.

Nie zauważyła jego nadejścia, ale usłyszała go i rozpoznała znajomy głos. Zawahała się; nie chciała mu przeszkadzać w lunchu, lecz podniósł wzrok i przechwycił jej spojrzenie, po czym przerwał w pół zdania, przeprosił znajomych i wyjaśnił, że musi się z kimś przywitać.

Tym razem nie odszedł bez jej numeru.

Na pierwszą randkę – Sylvie nie ma pewności, czy można to nazwać randką – wybrali się na spacer brzegiem zatoki. Rozmawiali nieprzerwanie, a gdy ich dłonie spotykały się przypadkowo podczas marszu, w powietrzu czuć było napięcie. Tym dziwniejsza wydawała się więc powściągliwa postawa Marka.

Nie skontaktował się z nią przez kilka najbliższych dni. Gdy Sylvie uznała, że już się do niej nie odezwie, nieoczekiwanie zadzwonił. Umówili się na kawę i tym razem opowiedział jej o sobie.

Był rozwiedziony. Bezdzienny. Od rozstania z żoną żadnych poważniejszych związków. Początkowo rzucił się w wir pracy, żeby zapomnieć, a to przerodziło się w nawyk i zawładnęło jego życiem. Jeśli chodzi o relacje z kobietami, nie doszedł jeszcze do siebie i miał duże wątpliwości, czy jest już gotów na randki, a tym bardziej na związek.

Nie spodziewał się po sobie takiej reakcji.

To by tłumaczyło, skąd jego rezerwa. Sylvie, która też niczego nie oczekiwała i nikogo nie szukała, zaproponowała, żeby zostali przyjaciółmi.

I pozostali nimi przez pięć miesięcy, a każde starało się lekceważyć kielkujące uczucia i ich nie ujawniać, aż pewnego dnia w porze lunchu Mark zjawił się w jej domu z kartonem bulionu z kurczaka, ponieważ właśnie walczyła z przeziębieniem.

Przysiadł na łóżku, a gdy cisza zaczynała się przedłużać, przechylił głowę i pocałował ją, z czułością i wdziękiem, które przypominały jej Jonathana.

Tylko to przypominało Sylvie Jonathana.

Ciało Marka było gładkie, złociste i silne. Jakby znalazła się w łóżku z bogiem greckim. Wszystko wydawało się w nim pewne i niezawodne, złote i dobre. Tak bardzo różne od tego, czego dotąd zaznała, i tych, z którymi się zetknęła.

Kiedy zaproponował, żeby w sobotę Eve nocowała poza domem, Sylvie to zaaranżowała i z rozkoszą spędziła całą noc w objęciach Marka. Nazajutrz ulotnił się na krótko tylko po to, żeby wrócić ze skrzynką z narzędziami i zawiesić obrazy, które od przeprowadzki podpierały

ściany.

To było zbyt piękne, żeby okazało się prawdziwe. A jednak. Wszyscy za nim przepadali. Kobiety łaknęły jego towarzystwa – ach, jakże łaknęły jego towarzystwa – a mężczyźni chcieli być tacy jak on. Sylvie, niezbyt zazdrosna z natury, pokpiwała z jego powodzenia u kobiet, które rzeczywiście zaczynały się mizdrzyć, gdy tylko znajdował się w pobliżu.

Przez wszystkie te lata Sylvie zdawało się, że czuje się dobrze sama ze sobą. Niezależna kobieta i samotnie wychowująca dziecko matka, która nie tylko *mogła* sobie ze wszystkim poradzić, ale rzeczywiście to robiła. Zawierała przelotne znajomości, lecz nigdy nie pozwalała sobie na zakochanie. Mężczyźni, z którymi się wiązała, byli jedynie marnymi kopiami Jonathana. Żaden nie był *odpowiedni*. Żaden nie był *na stałe*.

A oto, zniecka, pojawia się całkowite przeciwieństwo Jonathana – osoba, która jest podobna do niego tylko w tym, że budzi podobne reakcje otoczenia, choć z zupełnie innych powodów. Przy Jonathanie wszyscy czuli się wyjątkowo, ponieważ umiał słuchać i docierać do ludzi. Nieznajomi dziwili się, jak swobodnie czują się w jego towarzystwie, i wyjawiali mu najskrytsze tajemnice.

Mark poprawiał ludziom samopoczucie samą swoją obecnością. Ludzie do niego lgnęli, zabiegali o jego uwagę, podczas gdy on sam stał skromnie na drugim planie i czekał, aż zgromadzą się wokół tłupy, co też zawsze się zdarzało.

Banałem byłoby stwierdzenie, że zawdzięczał to wyłącznie urodzie, ale rzeczywiście nie sposób było jej nie dostrzec, a wielbiciele i wielbicielki lecieli do niego jak ćmy do światła z nadzieją, że ogrzeją się nieco w cieple jego czaru osobistego.

W roku dwutysięcznym, niemal po roku od pierwszego spotkania, Sylvie i Mark, w asyście Eve, matki Sylvie oraz Angie i Simona w roli świadków, stanęli przed urzędnikiem i wzięli ślub, a następnie wrócili do domu na zorganizowany przez Angie uroczysty obiad w białym pawilonie ogrodowym z ustawionymi w rogach gardeniami i oplatającymi słupki kwiatami jaśminowca.

Eve, wówczas siedmioletnia, płaśała wokół stołu pośród fal organzy i tiulu, a dorośli spoglądali na nią z uwielbieniem. Podbiegała to do Sylvie, to do Marka i zasypywała ich pocałunkami, wdrapywała im się na kolana, a gdy siedziała u jednego, drugie ujmowała za rękę. Simon wygłosił improwizowaną przemowę i zauważył, że tego dnia najszcześniejszą osobą w ogrodzie jest zapewne Eve, co wywołało salwy śmiechu.

To prawda. Stali się rodziną. Tak miało być. Eve od początku go uwielbiała, nazywała Tatą Markiem na długo przed tym, jak zaczęli rozmawiać o małżeństwie, i za nic miała napomnienia zakłopotanej Sylvie, która proponowała jej, by zwracała się do niego inaczej.

Może i najszcześniejsza była Eve, ale Sylvie też nic nie brakowało do szczęścia. Kochała Marka, czuła się dobrze w jego towarzystwie. Dopiero wtedy, gdy znów się z kimś związała, dotarło do niej, jak bardzo brakowało jej kogoś u boku.

Nie takie życie zaplanowała w wyobraźni, ale i tak było cudowne. Z Jonathanem zamierzali podróżować, zobaczyć świat, pomieszkać w Tajlandii, Australii, Indiach, zabrać tam Eve i zaczerpnąć z życia, co tylko się da.

W życiu z Markiem nie ma za dużo miejsca na podróże i nie ma za dużo miejsca na poszukiwania, jakkolwiek by je rozumieć. W Jonathanie uwielbiała jego naturę odkrywcy, ale w Marku uwielbia jej brak: może i podróżuje w interesach po całym kraju, lecz nie szuka przygód i przez to jawi jej się jako osoba twardo stąpająca po ziemi, solidna, pewna. Z nim wie, na czym stoi, i na obecnym etapie życia docenia to poczucie bezpieczeństwa, wręcz jednostajność.

Ich związek jest pod wieloma względami idealny. Jeszcze do niedawna liczne podróże Marka jej nie przeszkadzały. Miała co robić. Pracowała na pół etatu, zanim schorowana i wymagająca stałej opieki matka zmusiła ją do rezygnacji z życia zawodowego.

Wszystkim zdawało się, że życie stanie się łatwiejsze, gdy Clothilde, jej wybredna matka, Francuzka, po skończonej rehabilitacji zamieszka w ośrodku dla seniorów, ale matka nigdy nie miała łatwego charakteru, a przeżyty wypadek bynajmniej tego nie zmienił.

Jej ciągle telefony do miejsca pracy Sylvie, żądania, by rzuciła wszystko i przywiozła jej plastry lub zapasowy klucz, lub cokolwiek, współpracownicy Sylvie uznali za pewną przesadę. Choć uwielbiała pracę w księgarni, musiała odejść.

Odtąd zastanawiała się, czy to przypadkiem nie nuda wywołuje u niej taki niepokój. Nuda oraz rychła perspektywa życia w pustym gnieździe i ze zbyt dużą ilością wolnego czasu. Czy to możliwe, że odziedziczyła po matce nieznośną, nerwową skłonność do robienia ze wszystkiego dramatu?

Gdy zapytała Angie, czy według niej Mark ma romans, ta wypluła – *dosłownie* wypluła – kawę. To nieco uspokoiło Sylvie. Do czasu.

Rzadko rozmawia z Markiem wieczorami, ponieważ w jego wynajętym mieszkaniu w Nowym Jorku nie ma telefonu, a jeśli mąż nie bierze udziału w żadnych służbowych spotkaniach, najczęściej idzie wcześniej spać ze względu na różnicę czasu.

Dziś chce z nim porozmawiać, pragnie choć częściowo uwolnić się od samotności, która zaczęła ją dopadać w te wieczory, kiedy Eve wychodzi z przyjaciółmi. Sylvie zawsze odmawiała, gdy inne pary zapraszały ją samą na kolację, bo nie chciała się czuć jak piąte koło u wozu, a jednak bez Eve dom wydaje się nieznośnie pusty.

Sylvie wie, że gdy Eve wyruszy we wrześniu na studia, a ona właściwie zostanie sama, coś musi się zmienić.

### 3

## *Sylvie*

– Kocham cię, mammo!

Eve obejmuje matkę, a Sylvie ściska ją mocno, wdzięczna, że ma córkę, która nadal się do niej przytula, nie wstydzi się jej ani nie zaczyna nagle nienawidzić w ramach przygotowania do rychłej rozłąki.

Eve cofa się o krok i robi obrót.

– Jak wyglądam?

– Wyglądasz pięknie – mówi Sylvie, całkiem szczerze. Siedemnastoletnia Eve ma drobne rysy i ciemne włosy matki, oliwkową karnację ojca oraz – o dziwo – jego żywe zielone oczy.

Sylvie przypuszcza, że wszystkie matki uważają swoje córki za piękne, ale Sylvie, wyszkolona przez Clothilde w sztuce obiektywnego osądu, wie, że gdyby nie знаła Eve i przyszłoby jej minąć ją przypadkiem na ulicy, uroda dziewczyny i tak przyciągnęłaby jej wzrok.

Eve ustawia się bokiem i spuściwszy wzrok, pociera dłońmi brzuch.

– Czy ja wyglądam grubo? – pyta i się krzywi. – Ale mam brzuszysko. Myślę, że ta bluzka naprawdę mnie pogrubia.

– Eve! – napomina ją Sylvie, patrząc na drobną sylwetkę córki. – Jesteś szczuplutka. Nawet gdybyś się starała, nie mogłabyś wyglądać grubo.

– Wprost przeciwnie.

Żeby pokazać, ile ma do zrzucenia, Eve łapie się za boczek, czyli właściwie za samą skórę.

– Ale się spałam. Nażałam się wczoraj czekolady.

Sylvie marszczy brwi.

– Evie, uwierz mi, jesteś drobniutka. Niepokoję się o ciebie. Martwi mnie, że powtarzasz, jaka jesteś gruba, chociaż taka z ciebie chudzina.

– Niepotrzebnie się zamartwiasz – mówi Eve. – Chcę tylko zrzucić pięć kilo.

Teraz Sylvie niepokoi się nie na żarty.

– Jeśli schudniesz jeszcze pięć kilogramów, zostaną z ciebie skóra i kości. Nie chudnij

już, proszę cię. Tak dużo zrzuciłaś.

Eve rzuca matce rozdrażnione spojrzenie.

– Mamo, nie miałam wyjścia. Przecież byłam potężna jak słonica.

– Eve, nigdy nie byłaś potężna. Miałaś trochę dziecięcego sadelka.

– Jeszcze pięć kilo dziecięcego sadelka i będę wyglądać idealnie – mówi Eve, sięgając po kurtkę. – Przestań się zamartwiać bez powodu.

I już jej nie ma.

Sylvie się niepokoi.

Z Eve, tego ślicznego, pulchnego niemowlaka, wyrósł szczupły maluch, który w wieku mniej więcej dziesięciu lat, podobnie jak wielu innych rówieśników, nabrał trochę ciała, ale potem wyrósł i wysmukłał.

Wyglądała normalnie do mniej więcej szesnastego roku życia, kiedy to oznajmiła, że przechodzi na wegetarianizm. Nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie to, że Eve nigdy nie przepadała za warzywami, a jej dieta wegetariańska składała się z potężnych ilości makaronu w sosie serowym, białego pieczywa i ciastek.

Waga jej skoczyła, ale Sylvie tego nie komentowała. Próbowala ją tylko nakierować na zdrowszy sposób odżywiania bez nawiązywania do jej wagi, lecz już Clothilde, ku jej oburzeniu, nie potrafiła się ugryźć w język na widok wnuczki.

– A to co znowu? – przechylała się na krześle, żeby złapać nadmiar ciała wylewającego się z nadgarstków Eve. – Tyle tłuszczu? Eve! Za dużo jesz. Ech, to amerykańskie jedzenie. Żaden chłopak cię nie zechce... z czymś takim.

Sylvie wiedziała, jak córka to przeżywa, więc błagała Clothilde, żeby przestała się odzywać, ale ta tylko zacisnęła wargi.

– Jeśli chce być gruba, to proszę bardzo, ale ja nie chcę tłustej wnuczki, a skoro ty nie chcesz z nią rozmawiać, muszę to robić ja.

– Zdajesz sobie sprawę, jak ona to przeżywa?

Clothilde wzruszyła ramionami.

– I dobrze. Może przestanie się obżerać.

Eve przestała jeść dopiero wtedy, gdy po raz pierwszy naprawdę się zakochała. Chłopak powiedział koleżdze, że Eve ma „ładną buźkę”, ale jest dla niego „za gruba”.

To zmieniło wszystko.

Najpierw oznajmiła, że odstawia węglowodany. Potem nabiła. Wydawało się, że żywi się tylko zupą miso i owocami, i Sylvie, poważnie zaniepokojona, odwiedziła psycholog szkolną.

Ta zapewniła ją, że w tym wieku to normalne, że dziewczynki eksperymentują ze swoją seksualnością i tym, jak działają na chłopaków, a wybrzydzenie przy jedzeniu jest teraz na topie, ale to etap przejściowy.

Sylvie bynajmniej to nie uspokoiło. Gdy zasugerowała, że może doszło do zaburzeń odżywiania, psycholog odrzuciła tę możliwość i stwierdziła, że w dzisiejszych czasach wszystko podpada pod „zaburzenia”, lecz zaproponowała, że spotka się z Eve i porozmawia z nią o tym.

Beznadzieja. Sylvie nie wiedziała, co jeszcze może zrobić bez przyzwolenia córki, i w końcu nie zrobiła nic, wierząc, że Eve sama się zreflektuje i jeśli nie zacznie przybierać na wadze, to może chociaż przestanie chudnąć.

Ostatnio pod wieloma względami sprawia wrażenie szczęśliwszej, pewniejszej siebie. Wiedzie ożywione życie towarzyskie i może Sylvie rzeczywiście niepotrzebnie się zamartwia. Clothilde jest zachwycona nową szczupłą sylwetką wnuczki. Podarowała jej stertę markowych sukienek z lat sześćdziesiątych, których nigdy się nie pozbyła, a Eve rzuciła się na nie z radością i oznajmiła, że są „całkiem jak z serialu *Mad Men*”!

W domu panuje cisza przerywana jedynie odgłosami cykad z zewnątrz, a Sylvie wygląda smutno przez okno i rozpaczliwie tęskni za wieczorami, kiedy Eve chciała tylko wtulić się w matkę na sofie i obejrzeć z nią film, pogryzając popcorn ze wspólnej miski.

Teraz została sama. Z westchnieniem przechodzi do pokoju dziennego i popycha biodrem sofę, przesuwa fotele, aż brakuje jej tchu z wysiłku, i stanąwszy z boku, podziwia efekt.

Przechodzi do drugiego pokoju i bierze poduszki, narzutę oraz kilka świeczników, wraca, rozkłada dekoracje i żałuje, że Mark nie może tego zobaczyć. Albo Eve. Albo... ktokolwiek.

Wypiła już kieliszek wina i z powodu braku towarzystwa zrezygnowała z kolejnego – nigdy nie robi wyjątku od tej narzuconej sobie reguły – i snując się bez celu po domu, zastanawia się, do kogo by tu zadzwonić, ale niemal natychmiast odrzuca wszystkie nasuwające się propozycje.

Siada na sofie i włącza telewizor z nadzieją na obejrzenie filmu, lecz skacze tylko po kanałach, zatrzymując się po kilka sekund, wciąż przekonana, że trafi na coś lepszego, ale nie znajduje niczego, co by ją szczególnie zainteresowało.

Przez dwie czy trzy minuty patrzy, jak znudzone gospodynie domowe wymyślają sobie nawzajem; wie, że te błahe kobiece pyskówki prawie zawsze prowokuje chytry reżyser.

Sylvie jest znudzona. Nie dość, żeby wdać się w sprzeczkę z którąś z sąsiadek – to jeszcze nie ten etap – ale rozumie, że gdy sprawy nie układają się jak należy, człowiek zaczyna

skupiać myśli nie na tym, co trzeba.

Już najwyższy czas *coś* zrobić. Nie może przesiedzieć beczynnie reszty życia, nie może skończyć jak jedna z tych kobiet. Ma pewien pomysł, taki, którym nie dzieliła się jeszcze z Markiem. U niej jest dziewiętnasta czterdzieści pięć. U niego dwudziesta druga czterdzieści pięć. Jeśli mąż nie bierze udziału w jakimś wieczornym spotkaniu służbowym, prawie na pewno śpi, ale Sylvie chce usłyszeć jego głos, chce, żeby jej ulżył w samotności, chce z nim porozmawiać o przedsięwzięciu, które jej chodzi po głowie.

Przesuwa ekran w iPhone na „Ulubione” i usadowiwszy się wygodnie w oczekiwaniu na dłuższą pogawędkę, wybiera jego numer.

Bez odpowiedzi. Wysła SMS. Cisza. Stara się o tym zapomnieć, bo to nic niespotykanego, ale dziś wieczorem naprawdę chce z nim porozmawiać. Siada na werandzie i czyta, lecz nie może się skupić – zastanawia się ciągle, gdzie on się podziewa, postanawia jednak już więcej nie dzwonić.

Gdy leży na górze w łóżku, dzwoni ponownie. I jeszcze raz. I jeszcze.

Zasypia, ale budzi się wcześniej rano.

Znów dzwoni. To zaczyna wyglądać na wewnętrzny przymus i choć Sylvie próbuje sobie tłumaczyć, że na pewno zostawił telefon w biurze, co mu się często zdarza, nie ma mowy, żeby udało jej się jeszcze zasnąć.



## 4

# Sylvie

– Gdzieś ty się podziewał? – głos Sylvie przypomina jęk. Kobieta zaraz zmienia ton i czuje do siebie odrazę za to, że brzmi tak, jakby żebrała o uwagę. Za to, że rzeczywiście tak jest. Za to, że nie spała przez pół nocy, wyobrażając sobie najgorsze.

– Kochanie! – Śmiech Marka działa jak balsam. – Zapomniałem podłączyć telefon i się rozładował. Dopiero dziś rano, gdy wychodziłem do pracy, zobaczyłem, że dzwoniłaś. Wszystko w porządku?

– Nie. To znaczy... tak – mówi Sylvie. – A gdyby nie było? A gdyby coś się stało?

– Ale się nie stało. Przepraszam, skarbie. Miałaś ciężką noc?

Sylvie, zwinięta w kłębek na łóżku jak mała dziewczynka, potwierdza cichym głosem.

– Moje najdroższe biedactwo. Czulaś się samotna? – głos Marka brzmi tak spokojnie i kojąco, że Sylvie wie, że się ośmiesza, wie, że obrazy, które podsuwała jej nocą wyobraźnia – Mark w ramionach innej kobiety – zrodziły się z ciemności i nie znajdują żadnego potwierdzenia w rzeczywistości.

– Tak mi przykro – mówi Mark, a Sylvie słyszy, że nie kłamie. – Bardzo żałuję, że nie mogę teraz z tobą być.

– Ja też – mówi cicho Sylvie. – Nie znoszę samotnych weekendów, a teraz jeszcze wypada przyjęcie u Angie i nie chcę iść bez ciebie.

– Przecież nie musisz – stwierdza Mark.

– Właśnie muszę – wzdycha Sylvie. – To moja najbliższa przyjaciółka i chociaż wie, że nie cierpię nigdzie bywać sama, powiedziała, że jeśli nie przyjdę, to nigdy mi nie wybaczy.

– No to pójdę z tobą – słychać wyraźnie, że Mark się uśmiecha.

– Co?! – Sylvie aż siada. – Wracasz do domu?

– Właśnie zarezerwowałem bilet. Do kolacji zdążę wrócić.

– Mark! Poważnie?

– Za bardzo za tobą tęsknię.

– Och, Mark! Nie wiesz nawet, jak się cieszę!

– Dobrze. Uwielbiam, jak tak mówisz. Czuję się wtedy kochany.

– Bo jesteś kochany! Jeszcze jak! Dziękuję!

– Skarbie, wspominałem ci, że postaram się coś zmienić. Wszystko rozumiem. Eve, nasze jedyne dziecko, wkrótce wyjeżdża i wiem, jakie to dla ciebie trudne.

– Łatwiej jest, kiedy mam cię przy sobie.

– Wiesz, ostatnio o tym nie rozmawialiśmy, ale wydaje mi się, że może już czas, żebyś zaczęła się rozglądać za jakimś zajęciem. Z tą robotą na pół etatu było ciężko ze względu na matkę, ale musisz...

– ...czymś zająć myśli – kończy za niego Sylvie. – Zgadzam się w zupełności. Na cały etat nie da rady, ale mam pewien pomysł i chciałam go z tobą omówić.

– Jakieś twórcze zajęcie?

Sylvie uśmiecha się na wspomnienie młodości, gdy jako absolwentka szkoły wzornictwa Parsons marzyła tylko o tym, żeby zostać projektantką tkanin. Pracowała przez pewien czas dla znanego projektanta, ale narodziny Eve stały się pretekstem do odejścia, ponieważ miała dosyć tego, że projektuje wszystkie wzory, a laury zbiera jej pracodawca.

Odtąd tworzy tylko amatorsko. Jeśli podoba jej się jakieś naczynie, kupuje glinę i próbuje sama odtworzyć ten kształt lub wykonać jego wariację.

Ręcznie drukowane tkaniny przerabia na piękne panele okienne i pomaga znajomym projektować znaki firmowe, papeterie, a nawet ogrody.

Jeśli chodzi o rękodzieło, umie zrobić prawie wszystko, ale nigdy nie żądała wynagrodzenia za swoją pracę i uważała ją za tymczasowe hobby.

– To musi być coś twórczego – ciągnie Mark. – Nie znam bardziej uzdolnionej kobiety niż ty.

– Wszystko ci opowiem, kiedy się spotkamy – mówi Sylvie. Po jej niepokoju nie został już nawet ślad. – Kocham cię.

– Ja też cię kocham.

Sylvie wchodzi do łazienki z uśmiechem na twarzy, otacza się ramionami i mocno obejmuje. Tak się nie zachowuje mężczyzna, który ma romans. Tak się zachowuje mężczyzna, który, jak zawsze sądziła, jest zwyczajnie przeciążony pracą, ale – co do tego nie ma wątpliwości – jest też na zabój zakochany w swojej żonie.

## 5

### *Eve*

Jeszcze całkiem niedawno Eve znajdowała się w samym środku grupy dziewczyn, które chichotały i szeptały między sobą na widok chłopaków popisujących się co wymyślniejszymi figurami, akrobacjami i skokami do basenu, i oceniały ich wyczyny w skali od jednego do dziesięciu.

Dziewczyny nadal zbijają się w stadko na leżance, oparte o nogi i ręce sąsiadek, z głowami na ich ramionach, i zerkają od czasu do czasu na chłopaków; wianuszek głów otacza Claudię, która z trudem utrzymuje na kolanach MacBooka, podczas gdy dziewczęta gawędzą z rówieśnikami rozproszonymi po innych domach w La Jolli i pozują do zdjęć, robiąc dzióbki i wystawiając nastoletnie języki.

Oprócz Eve. Eve, kiedyś w centrum grupy, siedzi na uboczu, ubrana w kurtkę, z jednym rękawnikiem owiniętym wokół ramion, a drugim rozłożonym na nogach, i szczęka zębami z zimna.

Wciągnięta do rozmowy patrzy na ekran komputera i się śmieje, ale coś się zmieniło i Eve nie jest pewna, po co i jak miałyby wrócić do stanu sprzed tej zmiany. Ma poczucie, że odkąd stosuje tę zwariowaną dietę, stała się inną osobą. Wcześniej przynależała do grupy. Teraz jednak nie opuszcza jej wrażenie, że jest stale na zewnątrz – obserwuje, jak wszyscy zachowują się zwyczajnie i dobrze się bawią, a ona chce im towarzyszyć, ale zdaje się, że zapomniała jak.

Taka była kiedyś beztroska, a teraz dźwiga cały świat na swoich barkach. Napięcie związane z tym, że kończy szkołę, wyprowadza się z domu, musi się dostać na dobrą uczelnię, a nawet z tym, że może samodzielnie tę uczelnię wybrać.

Za dużo tego wszystkiego. Zawsze marzyła, żeby dorosnąć, ale w tej chwili, u progu dorosłości, jest przerażona. Decyzja o zaprzestaniu jedzenia, o panowaniu nad dietą, daje jej poczucie bezpieczeństwa, wręcz wyższości. To rzecz, nad którą ona i tylko ona ma pełną kontrolę.

Zaczęło się niewinnie. Naprawdę próbowała tylko schudnąć, aby zdobyć chłopaka, o którym zawsze marzyła.

AJ był, jak jej się zawsze zdawało, całkowicie nieosiągalny, zbyt przystojny, za bardzo rozrywany, mimo to fantazjowała o nim przez całą szkołę średnią.

Uwaga poczyniona mimochodem w obecności Claudii – stwierdził, że Eve byłaby naprawdę niezłą laską, gdyby się odchudziła – dała dziewczynie impuls do zmiany. AJ miał to zauważyć, ale ledwie zrzuciła cztery kilo, przeprowadził się z rodziną do Anglii. Od tego momentu jednak Eve zaczęła się zmieniać.

Przez krótką chwilę uważała, że ma niezłe ciało, obnaszała je dumnie w bikini Urban Outfitters i nie zawracała sobie głowy poszukiwaniem okrycia tylko po to, żeby wejść do domu

po coś do picia albo przejść na drugą stronę basenu.

Gdy była młodszą nastolatką, nie czuła się swobodnie, bo zanadto skupiała się na tym, że jest gruba, a teraz, jako siedemnastolatka, zanadto koncentruje się na tym, że jest... nie taka jak trzeba.

Wszyscy jej mówią, że jest zbyt chuda: jej matka, przyjaciółki, rodzice przyjaciółek, i jakimś ułamkiem świadomości Eve może to potwierdzić. Przez kilka sekund. To wrażenie jest ulotne i szybko zastępuje je myśl, że trzeba jeszcze zrzucić pięć kilogramów. Że nie jest szczęśliwa, ale jeśli zrzuci pięć kilo więcej, stanie się doskonała, a doskonałość pociąga za sobą szczęście.

Na niskim drewnianym stoliku przy leżance stoją miseczki z chipsami, guacamole, salsą. Z przewróconej paczki sypie się na posadzkę popcorn, dalej leży do połowy opróżnione plastikowe opakowanie z ciasteczkami i walają się puszki gazowanych napojów.

Eve wpatruje się w ciasteczka z kawałkami czekolady. Kiedyś je uwielbiała. To te miękkie, do zucia. Maślane, wilgotne – to właśnie je mama przechowywała zawsze w spiżarni, to właśnie je podkradała ukradkiem mała Eve. Teraz nie może od nich oderwać wzroku, wyobraża sobie, jak się w nie wgryza, i czuje na języku znajomą słodycz, słodycz dzieciństwa. Świat wokół się rozmywa, a ona wpatruje się w ciastka i chce jej się płakać.

Burczy jej w brzuchu. Ależ jest głodna. Zjadła dziś białka z dwóch jajek. To jej najnowsze postanowienie. Wyczytała gdzieś, że pewna wokalistka, znana ze spektakularnych wahań wagi, schudła na diecie składającej się z samych białek. Jadła ich dwadzieścia dziennie, ale Eve czuje, że radzi sobie lepiej, gdy wystawia się na próbę i zjada jak najmniej. Dwa białka to chyba za dużo. Jutro zje jedno.

Ale widok tych ciastek jest nieznośny. Eve nie może się powstrzymać. Wstaje i podchodzi do stolika z jedzeniem.

– Ogarnę tu trochę – mówi i wie, że ją wykpią, bo zawsze musi się rządzić.

– Co ty! – pokrzykuje Claudia. – Chyba ci odbiło! Zostaw to. Posprzątam później razem.

– Przecież mnie znasz – uśmiecha się Eve. – Sprzątanie to dla mnie czysta przyjemność.

Claudia się śmieje i kręci z niedowierzaniem głową, a Eve zbiera rozsypany popcorn i podnosi ciastka.

Nikt nie patrzy, nikt nie zwraca uwagi, gdy Eve wchodzi do domu. Serce tłucze jej się w piersi. Staje przy blacie kuchennym, żeby mieć pewność, że nikt nie wejdzie, nikt jej nie podejrzy.

Zjada pierwsze ciastko, delektuje się nim, przymyka oczy i nie może uwierzyć, że już tak długo odmawia sobie cukru, czegoś tak pysznego. Drugie i trzecie ciastko znika jej w gardle prawie niepogryzione. Eve zajada, jakby umierała z głodu – bo tak rzeczywiście jest.

Mijają sekundy, a ona wpatruje się w puste opakowanie i pospiesznie zakopuje je w koszu na śmieci, przykrywając z wierzchu gazetami. Bez zastanowienia, cichaczem przenosi się do spiżarni, ściąga paczki ciastek i batoniki, i pochłania je bez namysłu i bez apetytu, przelżyka łapczywie, aż zaczyna ją boleć brzuch.

Cofa się przerażona. Przepełniona wstydem i nienawiścią do siebie pędzi do kuchni w poszukiwaniu worków na śmieci, żeby ukryć ślady tego nagłego ataku obżarstwa.

Nie ma cienia wątpliwości, co należy teraz zrobić. Czuje wprost nieznośne obrzydzenie. Pozbyć się go można tylko na jeden sposób, a pozbyć się go niechybnie trzeba.

Wypełniwszy worek, Eve wynosi go na dwór, wpycha na dno pojemnika, a potem zamyka się w łazience i klęka nad muszlą. Nigdy dotąd tego nie robiła, ale wie co i jak.

Wtyka palec do ust, wkłada go głęboko do gardła i tylko lekko się krztusi. Próbuje znów, w popłochu, bo przecież to jedzenie musi wyjść. Nie ma pojęcia, co robi, jeśli nie uda jej się oczyścić ciała z tego jedzenia.

Próbuje jeszcze raz, głębiej, drapie tylną ścianę gardła, a drugą ręką masuje żołądek i uparcie myśli o cukrze i tłuszczu pokrywającym jej wnętrzności, i wtem skurcz żołądka wyrzuca falę czekolady i cukru, i znów, i jeszcze raz.

Palec wędruje do gardła dwukrotnie, aż Eve jest absolutnie pewna, że nic nie zostało; wtedy wyczerpana układa z ulgą głowę na desce sedesu. Proszę cię, Boże, myśli, więcej mi na to nie pozwól. To, co dziś zjadła, było ohydne, ale przynajmniej opuściło jej ciało. Już nigdy tego nie robi, nigdy nie zje tak dużo, żeby musieć powodować wymioty. Jutro za karę przez cały dzień będzie pić wodę z cytryną. Żadnych białek. Nic a nic.

Jutro wszystko wróci , po prostu do normy.

## 6

# Sylvie

Sylvie przez całe popołudnie piekła bezy z daktylami i orzechami, ulubiony deser zarówno Marka, jak i Eve. Bierze się do pieczenia, gdy jest szczęśliwa. Ma nadzieję, że nakłoni Eve do jedzenia, bo któż mógłby się oprzeć uderzającej od samych drzwi woni cynamonu, wanilii i cukru.

Tuż przed wpół do trzeciej przychodzi SMS: „Jadę do Jenny. Może zostanę na noc”.

„Tata wraca wieczorem”, odpisuje natychmiast rozczarowana Sylvie. „Musisz być w domu”.

„Po co? Cały weekend przed nami”.

To prawda. Sylvie ciągle wyobraża sobie, że to mała dziewczynka i że czeka ich cudowny wieczór razem, a potem Mark i Eve będą godzinami grać w swojego ukochanego ping-ponga, ale te czasy minęły bezpowrotnie. Teraz Eve siedziałyby z nimi i skubała jedzenie, udając, że już jadła. Byłaby nadąsana i nieznośna, bo wiedziałyby, że jej znajomi robią coś innego. Mark wyzwiałby ją na pingpongowy pojedynek, a Eve albo by odmówiła, albo grałaby od niechcienia i nie chciała się zaangażować w rozgrywkę, i wieczór zakończyłby się niewątpliwie zażartą kłótnią.

Może powinni z mężem umówić się dzisiaj na randkę; od dawna tego nie robili. Gdy Mark jest na miejscu, tak często zaprasza się ich na różne wydarzenia – sąsiedzkie grillowanie, nieformalne spędy – a gdy go nie ma, Sylvie ma skłonność do zaszywania się w domu.

„Dobrze”, odpisuje córce. „Podrzucić ci coś?”.

„Tak! Poproszę ten biały koronkowy top i niebieskie legginsy. I kosmetyczkę z przyborami do makijażu. I prostownicę. Dzięki!”.

„Kocham cię”, pisze Sylvie.

„Ja też”, odpowiedź przychodzi w chwili, gdy Sylvie sięga po bezę. I jeszcze jedną. I jeszcze.

Wie, rzecz jasna, że przejawiany przez Eve brak zainteresowania matką, rzecz tak dla niej nowa i bolesna, jest częścią procesu separacji. Wie, że to najzupełniej normalne. Zdaje się, że to temat wszystkich rozmów, które matki toczą ostatnio w szkole.

Co nie znaczy, że dzięki temu mniej boli.

Sylvie może odgrywać wiele ról: żony, kucharki, pani dla psa, pracownicy księgarni, przyjaciółki, powiernicy, artystki, społeczniczki, ale na czele tej listy znajduje się rola dla niej

najważniejsza: rola matki.

Eve wyjeżdża... wyjeżdża... jeszcze nie, ale już za chwilę, a odosobnienie nie jest dla Sylvie czymś, czego by niecierpliwie wypatrywała. Jest zła rozmowy. Zła jakiegoś ujścia. Nie tyle towarzystwa, ile... *czegoś*. Ujścia.

I możliwe, że znalazła doskonale rozwiązanie.

Sylvie wyleguje się w wannie pełnej piany, gdy słyszy odgłos samochodu Marka na podjeździe.

Wychodzi szybko, zdiera z głowy czepek, narzuca szlafrok frotté i idzie korytarzem, żeby przywitać męża.

Nawet po wszystkich tych latach jego widok nadal ją podnieca. Może na tym polega urok weekendowego małżeństwa: spędzając tyle czasu osobno, mają kiedy za sobą zatęsknić, docenić drugą osobę, co jest niemożliwe, gdy żyje się całkiem konwencjonalnie.

Mark wchodzi po schodach, gdy ona staje u szczytu, i oboje się uśmiechają, a on podrywa ją do góry i składa na jej ustach długi, delikatny pocałunek.

– *Naprawdę* za tobą tęskniłem – szepcze, otwierając powoli drzwi do ich sypialni i układając ją ostrożnie na łóżku. Jej ręce splatają się na jego karku.

– *Lubię*, gdy tęsknisz za mną tak bardzo, że wcześniej wracasz do domu – mruczy Sylvie.  
– To najcudowniejsza niespodzianka.

Drży, czując, jak jego język krąży w jej uchu. Dłonie nie próżnują i już rozsuwają szlafrok, i suną powoli po jej brzuchu.

– *Ale pięknie* pachniesz – szepcze Mark i oddycha głęboko, gdy jego palce dochodzą wreszcie do celu. Uśmiecha się i patrzy jej głęboko w oczy. – *Kocham cię* – mówi cicho, nie spuszczać z niej wzroku.

– *To ja kocham cię*. – Sylvie przymyka raptownie powieki, bo czuje, jak doznania zaczynają się potęgować, z ust wyrwa jej się krótki jęk, otwiera oczy i śmieje się na widok płomiennego spojrzenia Marka, widocznych w jego oczach miłości i oddania.

Przetacza się, siada na nim okrakiem, wsuwa mu do ust język, porusza biodrami, ocierając się o jego twardą męskość i sięgając ręką do guzika spodni. Zstępuje pocałunkami po jego piersiach i brzuchu, odpina zębami zamek, śmieje się cicho na dźwięk jego pełnego wyczekiwania jęku, bierze go w usta i upaja się jego dotykiem, smakiem, zapachem, zdyszany z rozkoszy oddechem.

Po wszystkim zwija się w kłębek u boku męża i nie może uwierzyć, jak mogła kwestionować jego lojalność, jego wierność. Ich ciała doskonale się w siebie wtapiają, a jego silne dłonie przesuwają się tam i z powrotem po jej plecach. Od czasu do czasu Mark nachyla się,

żeby ją pocałować.

– Nie wiem, czym sobie na ciebie zasłużyłem – mówi, jak ma to często w zwyczaju, i odwraca się, żeby na nią spojrzeć. – Jesteś moim najdroższym skarbem i nie ma na świecie większego szczęściarza ode mnie.

– Nie, to ja jestem największą szczęściarą – odpowiada jak zawsze Sylvie, chociaż wie, że jeśli to prawda, co powtarza Angie: że w każdym związku można znaleźć tego Kochającego i tego Kochanego, to w relacji z Markiem ona jest stroną obdarzaną uczuciem.

– No więc co to za świetny pomysł chciałaś ze mną omówić? Chyba nie chodzi o... prezentacje Tupperware?

Sylvie parska śmiechem.

– Nie. Ani o sprzedaż kosmetyków.

Przez ostatni rok co najmniej raz w tygodniu musi odpowiadać na zaproszenia na domowe przyjęcia organizowane przez znane ze szkoły matki, które przerodziły się w akwizytorki zachwalające dobroczynne efekty zakupu serii kosmetyków, zestawu biżuterii lub kompletu odzieży dziecięcej z katalogu.

Sylvie czuje się winna, gdy nic nie kupuje – w szufladzie jej szafki łazienkowej zalegają suplementy diety, które pewnego dnia z pewnością zacznie zażywać, i biżuteria, która nigdy jej się nie podobała, więc ostatnio uczy się odrzucać zaproszenia.

Nie chce się stać jedną z tych kobiet. Przez lata zgromadziła stosy rękodzieł, ale myśl o zaoferowaniu ich na sprzedaż wprawia ją w niemałe zakłopotanie. Gdy słyszy komplementy i zbiera zamówienia na własnoręcznie toczony naczyń albo samodzielnie wykonaną biżuterię, ku oburzeniu Angie sięga po wychwalany przedmiot i nalega, by rozmówca go zatrzymał.

Angie zaproponowała, że sama zajmie się dystrybucją wyrobów Sylvie, ale Sylvie odmawia. Sama nie wie, skąd w niej ten opór; może tylko z absurdalnej zasady, której przez całe życie hołdowała jej matka, głoszącej, że rolą kobiety jest wspieranie męża poprzez opiekę nad nim, a nie poprzez własną pracę zawodową. Praca na pół etatu w księgarni może być, oceniła Clothilde. To nie jest *prawdziwa* praca, to tylko fanaberia, *żadna tam praca*.

Zanim, wskutek wypadku, uszkodzeniu – nieznacznemu, ale jednak – uległa lewa część jej mózgu, przez co stała się zagubiona, chaotyczna i przygnębiona jak nigdy wcześniej, matka Sylvie była typową Francuzką. Elegancję, kokieterię, urok i udawaną skromność miała we krwi i wiedziała, jak owinąć sobie mężczyznę wokół małego palca.

Ale miała też drugie oblicze, znane tylko najbliższym. W otoczeniu rodziny potrafiła być w jednej chwili kochana i czuła, a zaraz potem wściekła i krytyczna. Sylvie nigdy nie wiedziała, na czym stoi, mijała ją na paluszkach, przerażona, że ostatni uścisk i deszcz pocałunków zmienia się nagle we wściekłą diatrybę.



Gniew i nieprzewidywalność Clothilde rozpełzały się po kątach, przesączały pod zamkniętymi drzwiami, szukały Sylvie z piskiem, aż nerwowo, na paluszkach schodziła na dół i podparła ścianę, słuchając, jak matka awanturuje się i piekli z jakiegoś powodu, z którym ona sama nie ma nic wspólnego.

Jeśli dopisało jej szczęście i tata akurat był w domu, zabierał ją na lody. Gdy wracali, Clothilde była zawsze już pogodna i przemiła. Przepelniona poczuciem winy, obsypywała córkę pocałunkami i wpajała przeświadczenie, że na świecie nie ma nic pewnego.

Nawet dziś, mimo wszystkich dowodów, Sylvie żywi irracjonalną nadzieję, że matka się zmieni. Nawet dziś, choć sama ma dziecko, męża, własne dorosłe życie, nadal obawia się wybuchowych reakcji Clothilde. Matka ma na nią większy wpływ niż Sylvie jest gotowa przyznać.

Naukę na uczelni artystycznej podjęła wbrew Clothilde. Pierwszą posadę projektantki tkanin objęła wbrew Clothilde i nauczyła się unikać matki, żeby uniknąć jej krytyki, ponieważ wówczas jeszcze uwielbiała swoją pracę.

Obecnie Sylvie chce nie tylko złagodzić swoje rosnące niezadowolenie, lecz także podjąć jakieś wyzwanie zawodowe, mieć własne pieniądze. Nie dlatego, że Mark jej czegoś żałuje – mają wspólne konto – ale ilekroć sięga po kartę kredytową, żeby kupić coś innego niż artykuł pierwszej potrzeby – czapkę, złoty drucik na kolczyki, skórzane botki w kolorze czekolady, których właściwie nie potrzebuje, ale ach, jakże są piękne – przyłapuje się na myśli, co na to powie Mark, i ostatecznie najczęściej rezygnuje.

Mark zapewnia ją, że pod względem finansowym nie musi się o nic martwić, ale za pięć lat zamierza przejść na emeryturę, więc powinni się liczyć z każdym pensem. Jeśli czegoś absolutnie nie potrzebujemy, nie kupuj tego, mówi. Nauczyła się oszczędności i marzy, żeby znów mieć swoje pieniądze, móc sobie bez zastanowienia kupić botki, koraliki czy bluzkę.

Pięć lat i Mark zostanie w domu. Z nią. Nie tylko jako jej mąż, lecz także jako partner. Trudno nie mieć go teraz przy sobie, ale świadomość, że dążą do wspólnego celu, to coś, z czym może próbować żyć.

Sylvie podparła się na łokciu i spogląda na Marka, owijając sobie wokół palców kosmyki porastające jego klatkę piersiową.

– Myślałam o świecach.

– O świecach?

– To dość długa historia, ale owszem. Wydaje mi się, że chciałabym się zająć wyrobem świec.

Mark gwałtownie cofa się na łóżku, układa wygodnie na poduszkach i rozchyła ramię, żeby Sylvie mogła się umościć w zagłębieniu.

– Czasu mamy w bród. Opowiadaj.

Sylvie robi, co może, żeby unikać odwiedzin u matki, poza środowymi popołudniami, gdy personel ośrodka dla seniorów zaprasza instruktora rzemiosła artystycznego na zajęcia dla lokatorów i ich bliskich.

Clothilde zawsze przychodzi, zawsze bierze udział, zawsze krytykuje prowadzącego i jego metody, a także podważa sens całego przedsięwzięcia. Swoje niepoehlebne opinie wyraża głośno, tak żeby wszyscy ją słyszeli, a Sylvie skręca się z zakłopotania i postanawia, że już więcej nie przyjdzie, ale nie mija tydzień i znów tam jest.

Zatraca się w działaniach twórczych, to dla niej prawie jak medytacja. Czy to lepienie na kole garncarskim naczyń z gliny w kolorze terakoty, nawlekanie paciorków na drucik i tworzenie prostych naszyjników, czy wykorzystywanie gazet i balonów do wyrobu wazonów z papier mâché – wszystkie te zajęcia nie tylko uspokajają Sylvie, ale służą jej też za inspirację.

Nawet najprostsze projekty dają jej zapał twórczy i po powrocie do domu Sylvie wyrabia różne przedmioty, które potem rozdaje znajomym.

W ubiegłym tygodniu zajmowali się świecami. Nie wyrobem świec, bo to byłoby zbyt niebezpieczne dla starszych lokatorów, ale ich owijaniem: bierze się świecę w kształcie stożka, przykładą się do niej arkusz wosku pszczelego, odpowiednio przycina, owija i zabezpiecza kawałkiem rafii.

To nie wymagało myślenia i zapewne rozczaowałoby Sylvie, gdyby nie wciągnęła instruktora w fascynującą rozmowę o odlewaniu świec. Dowiedziała się o zaletach ekologicznego wosku sojowego, który zatrzymuje aromat olejków, o tym, jak ważne jest stosowanie knotów z naturalnych włókien, co zapobiega uwalnianiu ołowiu do powietrza; poznała temperaturę topnienia i temperaturę odpowiednią do rozlewania wosku, nauczyła się też, co należy dodać, żeby wosk szybciej zastygał.

Odkryła, że niektóre gatunki wosku utrzymują aromat znacznie lepiej niż inne, że wosk należy najczęściej nalewać dwukrotnie, ponieważ za pierwszym razem na powierzchni powstają pęcherzyki i nierówności. Dowiedziała się, że powodem, dla którego świece jej matki, choć bardzo kosztowne, zawsze wypalają się w ten sposób, że wokół knota tworzy się zagłębienie, a reszta świecy pozostaje nietknięta, jest to, że przy pierwszym zapaleniu palą się za krótko i nie roztapiają do samych krawędzi.

Po powrocie do domu natychmiast zasiadła przed komputerem, przepełniona pragnieniem samodzielnego odlewania świec. Co kilka tygodni jej matka domaga się nowych świeczek Diptyque, które kosztują krocie – a gdyby tak udało się odtworzyć tę woń albo wręcz wykonać coś całkiem nowego, co zachwyciłoby matkę i było jednocześnie wielokrotnie tańsze?

Matka uwielbia figi. Wiadomo. Ale sama figa? Na pewno przydałby się jakiś dodatek. Sylvie zaczęła się przyglądać innym świecom figowym i notować w pamięci różne zapachy. Ambra. Jaśmin. Gardenia. Szypr. Czym, u licha, jest szypr? *Kompozycja zmysłowych, ziemnych nut podstawowych*. Nuty podstawowe. Aha. Perfumy. To na nie trzeba zwrócić uwagę.

Im więcej czytała, tym wyraźniej to sobie wyobrażała. Wczuwała się coraz mocniej i stawała się coraz spokojniejsza i bardziej skupiona. Jakby odnalazła siebie. A gdyby tak wyprodukować w domu serię ekologicznych świec? A gdyby się okazało, że właśnie tego jej potrzeba?

Mark, równie pragmatyczny i praktyczny co kochający, zadaje jej masę pytań, na które Sylvie nie umie odpowiedzieć.

Informacje na temat ceny, marży, metod sprzedaży i wreszcie: czy próbowała już to kiedyś robić?

– Oczywiście, że nie – śmieje się Sylvie. – Halo! Tu twoja żona! Czy ty mnie w ogóle znasz? Ale jednego możesz być pewien: będą piękne.

– To fakt. Tylko nie wydawaj majątku bez przeliczania wszystkich kosztów. Pomogę ci. Mam arkusze kalkulacyjne przeznaczone do takich celów. A powiedz mi... – jego dłoń znów sunie po jej ciele – jaki mamy plan na dzisiejszy wieczór?

– Zarezerwowałam stolik w George's. Pomyślałam sobie, że może pora wybrać się na randkę.

– Na tarasie czy w środku?

– Na tarasie! – Uśmiecha się. – Mówiłam ci, że znajomości wśród wysoko postawionych ludzi się oplacają.

– Gdybyś powiedziała, że w środku, być może próbowałbym cię przekonać do pozostania w łóżku, ale skoro tak... – Wzrusza ramionami. – Nie oprę się widokowi. Jednak... najpierw jeszcze mam coś do załatwienia – dodaje, wtaczając się na nią.

– Nie teraz. – Sylvie go odsuwa i znów się uśmiecha. – Muszę się wyszykować. Ale przyrzekam, że wynagrodzę ci to później.

Wstaje z łóżka i idzie nago do łazienki, celowo kręcąc biodrami. Uśmiecha się do niego przez ramię i przed zamknięciem drzwi łazienkowych posyła mu całusa.

# 7

## Sylvie

Minęło jedenaście lat, a między Markiem i Sylvie iskrzy równie mocno jak wcześniej, jeśli nie mocniej. Tu prawdopodobnie można się doszukiwać źródła siły, która trzyma ich razem. Angie i inne znajome, gdy podczas babskich wieczorów mają już dobrze w czubie, przyznają się do spadku libido i dzielą się sztuczkami na unikanie seksu z mężami; opowiadają o przewracaniu oczami i wzdychaniu w łóżku, co budzi powszechną wesołość, jakby wszystkie obecne kobiety to rozumiały i czuły dokładnie to samo.

Sylvie nie jest do śmiechu. Nie wie, czy te kobiety pożały kiedyś swoich mężów, ale dzieci, praca, podwożenie do szkoły, sprzątanie, gotowanie, wychodzenie z psem, prowadzenie samochodu, słowem – *życie*, rujnują to pożądanie, aż budzą się pewnego ranka i odkrywają, że nie został po nim nawet ślad.

A może nigdy ich nie pragnęły. Niektóre z jej znajomych niewątpliwie potraktowały małżeństwo jak fuzję. Ich mężowie przebywają stale poza domem, a one dostają w nagrodę wszystkie dobra materialne, które im się marzą. O mężach opowiadają z pogardą i rozczarowaniem. Seks raz na dwa tygodnie jest ich zapłatą w naturze: zapłatą, którą traktują jak konieczny, ale męczący obowiązek.

Sylvie takie przeżycia są obce. Jej mąż też jest stale nieobecny, ale na tym podobieństwa się kończą. Nie żeby nie czuła się rozczarowana Markiem – w końcu jest tylko człowiekiem – ale nigdy by jej nie przyszło do głowy się tym dzielić.

Seks był zawsze cudowny. Gdy inne kobiety żartowały, że Groupon powinien oferować dożywotnie zniżki na viagrę, Sylvie milczała, bo wystarczyło jej jedno spojrzenie, by Mark, dobiegający pięćdziesiątki, dostawał natychmiastowej erekcji.

Jej zaś wystarczało, że pogłaskał ją po rękę w restauracji – od razu zapierało jej dech, krzyżowała nogi i czuła przyływ gorąca, kiedy wyobrażała sobie, jak na niej leży i porusza się w jej wnętrzu.

Nigdy wcześniej czegoś takiego nie przeżyła. Takiego erotycznego wrzenia. Nawet z Jonathanem. Jonathan był jak stare, wygodne, znajome łóżko. Uwielbiała się kochać z Jonathanem, ale seks z nim nie był taki ostry jak z Markiem. Nie był... lepki, wulgarny, nieskrępowany, zwierzęcy. Nie inspirował jej do próbowania rzeczy, o które nigdy by się nie podejrzewała, do wypowiedzania słów, które, jak wcześniej sądziła, nie przeszłyby jej przez usta.

Po szczególnie namiętnych numerkach Sylvie zawsze zaśmiewała się z tej dychotomii. Oboje, tak kochający i czuli, potrafili świntuszyć, eksperymentować ze sobą nawzajem, ukazywać takie swoje oblicza, o których istnieniu Sylvie nie miała pojęcia.

A jeśli zdarzało jej się powątpiewać w... jego zaangażowanie, podważać sens ich małżeństwa, do czego dochodziło najczęściej pod jego nieobecność, wystarczało, że po powrocie

muskał językiem krawędź jej ucha albo wsuwał jej dłoń pod spódnicę, gdy przecierała blat, a natychmiast zapominała o wszystkim.

Siedzą teraz w George's – ciepły wiatr igra na skórze ich rąk, słońce zachodzi złoto nad Pacyfikiem – i żadne z nich się nie odzywa, oboje rozkoszują się nadzwyczajnym widokiem i nie mogą się oprzeć wrażeniu, że oto znajdują się we właściwym miejscu, we właściwym czasie.

Lepiej już być nie może, myśli Sylvie, sącząc wódkę z sokiem z limetki, zadowolona jak kocica. Jej cienka lniana tunika grozi zsunięciem z jednego ramienia, gdy Mark nachyla się i całuje ją u nasady szyi.

Sylvie drży i cofa się w myślach o pół godziny, myśli o potencji męża i rozmiarze jego męskości, jego zaczarowanych palcach, zaczarowanych ustach, i dopiero śmiech męża wyrywa ją z tej lubieżnej śpiączki.

– Nie spotkałem jeszcze takiej kobiety jak ty – szepcze Mark. Poświata na niebie przygasła na różowofioletowo, a słońce prawie już znikło. – Wszyscy moi znajomi narzekają, że ich żony nigdy nie chcą się z nimi kochać, a mnie się trafiła kobieta, która z radością spędziłaby ze mną cały dzień w łóżku.

– To prawda. I nie tylko po to, żeby spać – mówi Sylvie, sięgając po chipsa bananowego.  
– Nic na to nie poradzę. To przez ciebie. Wcześniej taka nie byłam.

– To nie przeze mnie – kręci głową Mark. – To *przez nas*. Ten żar między nami. Tyle lat minęło, a on nie gaśnie.

– A z Maggie zgasł?

Sylvie nieczęsto pyta o pierwszą żonę Marka. Mężczyzna nadal niezbyt lubi o niej mówić. Nie dlatego, że coś do niej czuje. Nie dlatego, że Maggie była wielką miłością jego życia, ale dlatego, że Mark widzi świat w czerni i bieli; rozwiódł się z Maggie i tyle. Rozdział zamknięty. Nie mają dzieci, nie muszą się już spotykać. Koniec i kropka.

Mark jest bardzo zamknięty w sobie. Mimo kariery w handlu i uroku, jaki roztacza w towarzystwie, żywi niemal patologiczny lęk przed plotką i nie znosi serwisów społecznościowych. Twierdzi, że w czasie rozwodu znalazł się na językach całego miasta i nie mógł tego znieść. To jego żona pierwsza odeszła, ale odmalowała sytuację tak, jakby to on zawinił. Mark bardzo szybko się przekonał, że ogromna większość ludzi, których uważał za przyjaciół, nie zasługuje na to miano.

Ludzie, z którymi grywał w golfa, których gromił w rozgrywkach pokera, których raz po raz zapraszał na kolację, nagle się ulotnili.

W efekcie Mark nie ufał już prawie nikomu. Chociaż nawiązali trochę przyjaźni w La Jolli, trwało to dość długo, zajęło sporo czasu. Gdy Eve poszła do szkoły, w przeddzień spotkania integracyjnego z rodzicami Mark ku rozbawieniu Sylvie wygooglował nazwiska całej szkolnej kadry.

– Jacyś potencjalni klienci? – podpytywała. – Zaprzysięgli wrogowie z dzieciństwa?

– Ha, ha. Możesz się śmiać, ale w moim świecie tak się robi interesy. Nigdy nie wiadomo, kto jest kim, i zawsze lepiej się przygotować.

W końcu w ostatniej chwili wypadła mu delegacja i w ogóle nie poszedł na spotkanie. Jego nieufność wobec nieznanym i niechęć do internetowych serwisów społecznościowych pozostały. To, że wszyscy ich znajomi prowadzą, jak mówi, „osobiste fankluby” na Facebooku i zamiast listów od fanów zbierają komentarze oraz reakcje na zmiany statusu, to dla niego istne przekleństwo.

Zanim się poznali, Mark padł ofiarą kradzieży danych osobowych. Namieszało mu to w życiu, prawie kosztowało go utratę pracy i doprowadziło do późniejszej paranoi, która przejawiała się między innymi tym, że zabronił Eve zamieszczać osobiste informacje na jej profilu.

– Ależ tatau – jęczała. – To informacje poufne. Widzą je tylko moi znajomi.

– I ich znajomi, i znajomi znajomych – odpowiadał. – Wiem, co się może stać, i to coś okropnego. Żadnych zdjęć, adresów ani numerów telefonu. Uwierz mi.

Sylvie i tak jest kimś w rodzaju cyfrowej analfabetki i ogólnie ma to raczej w nosie. Eve bardzo skutecznie przekonała ojca, że założyła tylko najzwyklejszy profil, a tymczasem w sekrecie używa drugiego, także na Twitterze, Instagramie i Pinterście.

Gdyby Mark się o tym dowiedział, wyszedłby z siebie. To dlatego komputer Eve chroni hasło, a jej znajomi i Sylvie przysięgli na wszystkie świętości, że nie puszczą pary z ust.

– Nadal mi się nie chce wierzyć, że wróciłaś wcześniej do domu. – Sylvie nie może przestać się uśmiechać, głaszcze Marka po ręce, po policzku, ujmuje jego dłoń. Jej wszystkie wcześniejsze troski wyparowały. Dziś wieczorem ogarnia ją taka euforia, jakby to była ich pierwsza randka.

– A gdzie jest Eve? Co tam u naszej dziewczynki?

– Nocuje u Jenny. Wszystko gra. Chociaż trochę się o nią martwię. Chce zrzucić kolejne pięć kilo.

Mark marszczy brwi.

– Nie podoba mi się to. Myślisz, że trzeba porozmawiać z lekarzem? Albo jakimś specjalistą od zaburzeń odżywiania?

– Już to zrobiłam. Wszyscy mówią, że prawdopodobnie jej to minie, ale jeśli nie, możemy ją przyprowadzić wbrew jej woli. Eve nie chce przyjąć do wiadomości, że to się stało jej obsesją.

– Boże – Mark oddycha ciężko. – Mam nadzieję, że to rzeczywiście chwilowe. Nie mogę znieść myśli, że pójdzie na studia i nie będziemy mogli mieć jej na oku.

– Otóż to. Mnie też to przeraża.

– Dlatego chciałbym, żeby poszła na Uniwersytet Południowokalifornijski. Ten jej pomysł, by studiować na wschodnim wybrzeżu, to jakiś obłąd. To za daleko, szczególnie ze względu na wszystko, co się z nią dzieje.

– Może powinniśmy jej to powiedzieć? Jeśli jeszcze schudnie, będzie musiała studiować tutaj. Może wtedy zacznie jeść.

– Ale ona chce iść na Uniwersytet Nowojorski, a zapewniam cię, że to nie jest uczelnia dla niej, i trudno mi się pogodzić z myślą, że będzie sama w Nowym Jorku.

– Aż taka sama nie będzie.

– Chciałem powiedzieć: bez matki. Bez sieci wsparcia.

– Ale czy znajomi ze studiów nie tworzą takiej sieci? Tak było w moim przypadku.

– Może, ale zważywszy na nasze obawy, nie puściłbym jej tak daleko.

– Tylko jak jej to powiedzieć?

– Zwyczajnie – śmieje się Mark. – Wszystko sprowadza się do kwestii finansowych. Nie możemy sobie na to pozwolić i już.

– Chyba że mój woskowy interes wypali i stanę się Marthą Stewart od świec.

– Racja. Wtedy zabraknie mi argumentów. Ale może powinnaś spróbować odlać jakąś świecę, zanim zamarzysz o podbiciu świata – ostrzega czule.

– Tym się nie martw. Wosk i knoty już jadą.

Mark aż się prostuje i kręci z niedowierzaniem głową.

– No co? – uśmiecha się Sylvie.

– Zdziwiasz mnie. Jesteś taka twórcza i nie boisz się żadnej pracy. To między innymi w tobie uwielbiam. Że jesteś... *kobietą czynu*. Masz jakiś pomysł i zamiast robić to, co większość ludzi, czyli rozprawiać o nim, ale nic nie robić, ty nie rozprawiasz. Po prostu to robisz.

– A co jeszcze we mnie uwielbiasz? – droczy się Sylvie.

Mark parska śmiechem.

– To, że tyle w tobie luzu i że tak rzadko się czepiasz. Jesteś wolnym duchem, ubóstwiam to. Uwielbiam to, że czujesz się tak swobodnie w swojej skórze, że nigdy nie próbujesz nikomu zaimponować ani nie martwisz się, co o tobie pomyślą inni, ani nie zmieniasz stylu ubierania tylko po to, żeby się wpasować.

Sylvie wybałusza oczy.

– Coś nie tak z moim stylem ubierania?

– Skądże znowu! Jest taki artystyczny i zarazem szykowny. To właśnie jest to! Wydajesz się taka nieświadoma swojej niezwykłości, ale nie w sensie braku pewności siebie, tylko w taki aprobujący sposób, po prostu żyjesz po swojemu. Naprawdę żyjesz po swojemu. Radośnie.

Sylvie milknie na parę sekund.

– Już się tak nie czuję – mówi cicho. – Kiedyś czułam tę radość, ale najwyraźniej przysła.

Markowi rzednie mina.

– Przysła? Co ty opowiadasz? Czy coś nie tak z *nami*?

– Ależ skąd! Tylko czuję się taka... niedookreślona.

Marszczy brwi.

– Zawsze wiedziałam, jaki mam cel, a teraz już nie wiem. Nie wiem, co mam ze sobą zrobić, i to mnie niepokoi. Nawet nie potrafię tego ująć, ale chodzi mniej więcej o to, że zaczynam drugą połowę życia i nie umiem określić, kim mam być.

– To dlatego chcesz się zająć świecami?

– Niekoniecznie świecami. Czymś. Sama nie wiem czym. Rzecz w tym, że... zanim urodziłam Eve, wiedziałam, kim jestem, ale w pewnym sensie zatraciłam się w małżeństwie i macierzyństwie, a teraz, gdy Eve wyjeżdża, nie mam pojęcia, kim jestem.

Mark bierze ją za rękę.

– Nadal jesteś czyjąś żoną i matką. Zawsze będziesz. Rozumiem, że wychowując Eve, utraciłaś część siebie, ale nawet to całkiem nie przepadło. Jest tylko... sam nie wiem... uśpione. To dla ciebie najbardziej fascynujący czas. Możesz odkryć się na nowo, robić, co tylko ci się zamarzy. Wróć do projektowania tkanin, jeśli chcesz.

Sylvie się krzywi.

– Nie twierdzę, że masz pracować dla jakiegoś stukniętego projektanta, który podkradnie ci wszystkie pomysły i zbierze za to pochwały. Chodzi mi tylko o to, że masz czas wyrazić się twórczo w dowolny sposób. Może teraz nie wiesz, kim jesteś, ale się dowiesz.



Sylvie wzdycha.

– Pewnie tak. Tylko trochę tego nie ogarniam. Byłoby łatwiej, gdybyś częściej bywał w domu.

– Nigdy wcześniej mnie o to nie prosiłaś – mówi Mark. – Zawsze twierdziłaś, że nie przeszkadza ci to, że spędzamy tak dużo czasu osobno. Wiesz, że się staram, ale dla mnie to też nowa sytuacja.

– Rozumiem – przyznaje Sylvie. – Tylko że wcześniej było inaczej. Miałam Eve. Nie chcę zostać sama w pustym gnieździe, z mężem, którego nigdy nie ma.

– Pracuję nad tym. – Mark głaszcze jej kciuk. – Słowo daję. Nie spierajmy się. Szkoda by było zepsuć taki piękny wieczór.

Sylvie kiwa głową. Ma rację. Ona też tego nie chce.

## 8

### *Sylvie*

Ciało Eve otula ciasno sweter, chociaż na dworze jest ciepło.

– Nie jest ci za gorąco? – Sylvie, której ciemne włosy opadają luźno na pomarańczową, wyszywaną paciorkami tunikę, wchodzi do salonu, staje przed szafą, po chwili wahania otwiera ją i wyjmuje ozdobny turkusowy papier do opakowania prezentu dla Angie.

– Zaraz zamarznię – trzęsie się Eve. – Czy można wyłączyć klimatyzację?

– *Jest* wyłączona – odpowiada Sylvie. – Ewie, naprawdę zaczynam się o ciebie martwić. Według mnie marzniesz, bo nie ma co cię grzać.

– O czym ty mówisz? – Głos Eve brzmi prawie szyderczo i Sylvie w duchu daje za wygraną.

– Uważam po prostu, że poczułabyś się lepiej, gdybyś coś zjadła. Gdzie tata?

Eve wzrusza ramionami, nalewa wody do czajnika, stawia go na kuchence, a potem wyjmuje z lodówki cytrynę i ostrożnie odkrawa cząstkę. Od dwóch dni to jej cały pokarm. Pierwszego dnia poszło jak z płatka. Skoro tak, czemu nie spróbować drugiego, pomyślała.

– Mówił, że musi skoczyć do miasta.

– Umówiłaś się gdzieś na kolację?

– Boże święty, mamó! A ty ciągle o tym jedzeniu! – Teraz Eve już krzyczy.

– Nieprawda – Sylvie celowo mówi spokojnym tonem. – Martwiłam się tylko, że lodówka świeci pustkami.

– No to wezmę sobie pizzę w Sammy's.

Błagam, zrób to, myśli Sylvie. Błagam, *blagam*, oby tak było.

– Masz jakieś plany na wieczór?

Eve znów wzrusza ramionami.

– Może pójde na plażę. Trochę znajomych się wybiera. Może przypieczemy sobie pianki nad ogniskiem. – Uśmiecha się sarkastycznie.

– Kapitalnie – Sylvie nie daje się sprowokować, zajęta pakowaniem własnoręcznie pomalowanej apaszki dla Angie, nieróżniącej się zbyt od apaszki od Alexandra McQueena, na

której punkcie przyjaciółka oszalała kilka miesięcy temu, uszytej z popielatego szyfonu w pozornie kwiatowe wzory, które oglądane z bliska okazują się splecionymi czaszkami. Sylvie zmieniła nieco wzór, dodając kwiaty, i efekt zachwyił nawet ją samą.

Trzaskają boczne drzwi i do kuchni wchodzi Mark.

– Cześć, dziewczyno! Pięknie wyglądasz – szepcze Sylvie do ucha i cmoka Eve w czubek głowy. – Jak leci, młoda?

Eve kartkuje czasopismo i ledwie podnosi wzrok.

– Poleciałem do miasta kupić wino na kolację – mówi Mark. – Simon ma takie snobistyczne upodobania, więc pomyślałem, że lepiej kupię coś specjalnego. I wiecie co? – Mark obraca się do Eve. – Girard akurat zamykał, ale przekonałem go, żeby mnie wpuścił po to. – Uśmiecha się, wymachując zza pleców papierową torebką.

– Croissant migdałowy? – pyta Eve i po jej oczach widać, że ze sobą walczy.

– Croissant migdałowy *od Girarda*. Trzymaj. – Rzuca go od niechcenia na blat, jakby nigdy nic, i udaje, że nie widzi, jak Eve powoli otwiera torebkę i zanurza w niej nos.

Sylvie sięga po papier pakowy i stara się nie patrzeć, jak Eve zdejmuje z rogalika płatek migdałowy i kładzie go sobie na języku. Potem tłumy uśmiech, widząc, jak Eve szybkim ruchem wyjmuje croissanta z torebki i odgryza wielki kawał.

– A nie mówiłem! – szepcze Mark, odnosząc się do wcześniejszych wątpliwości Sylvie co do tego planu.

Sylvie pochyla się i całuje Eve w głowę.

– Wolniej! – Śmieje się. – Zaraz się zakrztusisz!

W atmosferze beztroski wsiadają do samochodu i zjeżdżają serpentynami w stronę domu Angie.

– Aż się nie chce wierzyć – Sylvie odwraca się do Marka z uśmiechem. – To pierwsza rzecz, jaką od wielu dni zjadła na moich oczach.

– Mam jeszcze coś w zanadru – Mark odwzajemnia uśmiech. – Na początek naleśniki z drobinkami czekolady na śniadanie.

Sylvie się śmieje.

– Pamiętasz, jak je uwielbiała, gdy była malutka? Uśmiechnięte buźki?

– Do licha! – Mark plaska się po udzie. – Myślałem, że taki jestem sprytny, bo pamiętałem o truskawkach, ale zapomniałem o bitej śmietanie. Przypomnij mi o niej, jak

będziemy wracać.

Dalej uśmiechają się do siebie, błogo nieświadomi, że właśnie w tej chwili Eve klęczy nad sedesem, wkłada do gardła trzy palce, charczy i dyszy, aż w końcu, w *końcu*, rogalik, ledwie przeżuty, całkowicie opuszcza jej ciało.

Panie siedzą na sofie i trajkoczą, a panowie stoją po drugiej stronie pokoju i napawają się widokiem; co rusz rozlega się wybuch śmiechu.

Dom Angie diametralnie różni się od domu Sylvie. Mimo dużej ilości betonu i szkła, czystych, prostych linii, Sylvie, popijając szampana i słuchając szumu rozmów, czuje się w nim tak swobodnie jak u siebie.

Co prawda nie chciałyby tu mieszkać na stałe, nie rozumie, jak córka Angie może żyć w takim ładzie i porządku, nie pojmuje też, jak można być tak nonszalanckim, żeby przeszklić całe ściany domu i pozwalać sąsiadom stale podglądać swoje życie ze wszystkich stron, ale ilekroć wchodzi po szklanych schodach do olbrzymiego pomieszczenia służącego jednocześnie za kuchnię, salon, pokój dzienny i gabinet, czuje, jak z miejsca ogarnia ją spokój.

Angie powtarza naokoło, że nie ma bladego pojęcia o urządzaniu domu, że za Chiny niczego nie ugotuje i nie umiałaby dobrać tkaniny, nawet gdyby miała nóż na gardle, ale rozglądając się po tym pomieszczeniu, Sylvie wie, że to nieprawda.

Może i Angie zapłaciła za umeblowanie domu Larsowi Bernalowi, popularnemu wśród gwiazd dekoratorowi wnętrz, ale wręczyła mu przy tym stertę wycinków z magazynów, zdjęć domów, które miały służyć za wzór, oraz wnętrz, które podziwiała, żeby dokładnie wiedział, jaki wystrój jej odpowiada.

Lars zdobył niskie indonezyjskie kozetki, pokryte miękkimi białymi poduchami i dość obszerne, by pomieścić z tuzin ludzi, lecz to Angie wysłała mu e-mailem zdjęcia z wakacji w Parrot Cay z dopiskiem, że właśnie o takich kozetkach marzy.

Lars wygrzebał wielki kamienny posąg Buddy, który ze swego miejsca przy oknie spogląda teraz łaskawym okiem na pokój, ale dopiero wtedy, gdy Angie posłała mu zdjęcie podobnej rzeźby. To przyjaciółka wynalazła ręcznie retuszowane czarno-białe fotografie, które zawisły nad nowoczesnym kominkiem, zwykłym prostokątem na ścianie, i poinstruowała Larsa, żeby imitację paliwa w gazowym kominku zastąpił polerowanymi kamieniami rzeczynymi.

Angie, która ma bzika na punkcie świec, zafascynowała się ostatnio serią Bamboo marki NEST, której kojąca woń rozchodzi się ze wszystkich kątów i tworzy nastrój niebiańskiego spokoju i harmonii, nieznacznie równoważący wybuchowy temperament gospodyni.

– No dobra! – Kobieta podnosi rękę, rzucając okiem na niski stolik, na którym piętrzą się podarki. – Wiem, że wypada poczekać z odpakowywaniem prezentów, ale zacie mnie, pazerna ze mnie suka. Mogę je już otworzyć? Proszę.

– Serio? – pyta Kirsty z udawanym rozdrażnieniem. – Nie chciałam nic mówić, ale

zamierzałam zabrać swój z powrotem.

– Mogę piszczeć, jak mi się coś spodoba? – Angie z szerokim uśmiechem sięga po prezent, tymczasem nadchodzi Simon, żeby napełnić kieliszki.

– Oho, kobiece sprawy – mówi. – Chyba znajdziemy sobie jakieś męskie zajęcie na dole.

– *Męskie* zajęcie? – prychna Sylvie. – Co, będziecie polować? Strzelać? Wędkować?

– Tak byśmy zrobili, gdybyśmy byli w Montanie – odpowiada Simon. – A skoro o tym mowa, myślałem, że wybieramy się we czwórkę na tę agroturystykę na rancho. Zapomnieliście już o tym?

– Marzę o wyjeździe na rancho – ożywia się Kirsty. – Zawsze chciałam tam pojechać! Możemy się przyłączyć?

– Pojedźmy wszyscy – proponuje Angie. – Żeby tylko udało się znaleźć jakieś przyzwoite miejsce.

– Przyzwoite miejsce? – Simon kręci głową ze złością. – To rancho, słoneczko. Nie Four Seasons. Właśnie chodzi o sielski klimat.

– To wy sobie zróbcie sielski klimat, a my zrobimy to na luksusowo – oznajmia Angie. – Na pewno znajdzie się jakieś miejsce, w którym dogodzą wszystkim.

– My pojedziemy na rancho, a was puścimy do spa – odpowiada Simon. – Nie znajdziemy ranca pod szyldem Four Seasons. Hej, Mark! – woła. – Agroturystyka na rancho. Z czym ci się to kojarzy?

Podchodzi Mark.

– Konie. Kowboje. Długie dni. Nocne imprezy. Picie. Spanie do woli. Porządna, uczciwa praca.

Uśmiecha się i nachyla, żeby pocałować Sylvie.

– Fasola z puszki! – krzyczy Donald z drugiej strony pokoju.

– Kielbaski! – dodaje Jon i obaj wybuchają śmiechem.

– No dobra – Angie prostuje się na siedzeniu. – Niech będzie. Konie. Kowboje. Kowboje. Kowboje. Ej, a mówiłam już „kowboje”? I te skórzane ochraniacze na spodnie... mmm, mój Boże, takie rzeczy mnie kręcą...

– Serio? – rozpromienił się Simon. – Nie miałem pojęcia.

Angie rzuca mu miażdżące spojrzenie.

– Nie na tobie, kotku. Bez urazy. Ale do czego zmierzam: konie i tak dalej, do tego masażu, zabiegi kosmetyczne, gorące kąpiele i – przykro mi bardzo – zero fasoli i kiełbasek. Jedzenie ma być świetne, prawda, Sylvie?

– Przykro mi – krzywi się Sylvie. – Chętnie bym się z tobą zgodziła, ale coś mi się zdaje, że na ranczu powinno być prymitywnie. Myślę, że powrót do natury i spędzenie całego dnia w siodle dobrze nam wszystkim zrobi. Niezły pomysł, sprawdzić się w takich warunkach.

– Wiedziałem, że nie poślubiłem cię bez powodu! – Mark kiwa z aprobatą głową. – Niskie koszty utrzymania – baka półgębkiem do Simona. – Niskie koszty utrzymania to podstawa.

– Skarbie – Angie kładzie Simonowi na ramieniu swoją pięknie wypielęgnowaną dłoń. – Potrafię być niedroga w utrzymaniu. Mogę wskoczyć w hipisowskie kieciki i japonki ortopedyczne. Mogę nawet olać makijaż i zmierzwić sobie włosy. Co ty na to, kochanie? Wiesz, jak wyglądam z samego rana? Mogę tak wyglądać cały czas, jeśli cię to uszczęśliwi.

– Tylko nie to! – krzyczy Simon z przerażeniem i wszyscy wybuchają śmiechem.

– Nie mów, że nie próbowałam. – Angie obraca się do Marka i wzrusza ramionami. – Simon, wy już lepiej przejdźcie do tych swoich męskich zajęć. My tu mamy ważniejsze sprawy na głowie.

Mężczyźni znikają, a Angie sięga po najbliższy pakunek.

– Zawsze możesz go zwrócić – krzywi się Ginny Meyer, niewidziana od lat dawna znajoma Angie, podczas gdy ta obraca w rękach pudełko i próbuje odgadnąć, co w nim jest. – A właściwie – wyciąga rękę i próbuje je odebrać – to zupełnie nietrafiony prezent. Wezmę go i wymienię na coś, co ci się naprawdę spodoba.

– Spokojnie – śmieje się Angie. – Cokolwiek kupiłaś, na pewno mi się spodoba. To, że zamieszkałicie tu z Haroldem, jest już darem samym w sobie.

Sylvie prychnęła.

– Na dole e-maila napisałaś „wszelkie prezenty mile widziane”. Mam rozumieć, że ukradkiem dopisał to Simon?

– Coś okropnego! Widocznie tak. – Ręka Angie wznosi się do ust w geście oburzenia. – Przecież ja bym *nigdy* nie była taka niegrzeczna.

Puszczą oko, odwija papier i uniosłszy pudełko, potrząsa nim lekko.

– Uważaj – ostrzega Ginny. – To delikatna rzecz.

– Ooo! Uwielbiam zgadywać. Buty?

Ginny się uśmiecha.

– Nie, wiem, że obie je uwielbiamy, ale nie. To inna rzecz, którą kiedyś lubiłaś i mogę tylko podpowiedzieć, że nie możesz jej na siebie włożyć.

Angie otwiera pudełko, odsuwa bibułkę i wyjmuje wielki biały grzyb z porcelany.

Zalega cisza. Wszyscy wpatrują się w grzyb.

– To grzyb! – wybucha Angie.

– Grzyb? – dopytuje Laura.

– Nie, nie rozumiecie! – Angie aż wybałuszyła oczy z emocji. – Ja mam obsesję! Serio, mam totalną obsesję na punkcie grzybów! Coś takiego! Pamiętałaś!

– Jakże bym mogła zapomnieć! – śmieje się Ginny. – Kiedyś wypłynęła z nami w morze...

– Szkoda, że nie widziałyście ich motorówki – wtrąca Angie. – Z silnikiem Sole. Coś pięknego.

– Dziękuję, w każdym razie Angie przez cały czas siedziała zatopiona w jakiejś książce o grzybach.

Angie wzrusza ramionami.

– To mój wstydlivy sekret. Fascynuje mnie spód grzyba, czyli te blaszki, ale Ginny! Nie chce mi się wierzyć, że pamiętałaś!

Wstaje i zamaszystym gestem obejmuje Ginny, która zaraz czerwieni się z radości.

– Dołożę to do swojej kolekcji.

– Chyba żartujesz! – Sylvie aż rozdziawia usta. – Jak to możliwe, że nic nie wiem o twojej kolekcji grzybów?

– Mówiłam ci. To mój wstydlivy sekret. Właśnie wyszedł na jaw. Chodźcie za mną.

Kiwa na koleżanki, żeby poszły za nią przeszklonymi schodami do głównej sypialni, gdzie na półce rzeczywiście pyszni się kolekcja grzybów. Rozlega się zbiorowy śmiech, gdy Angie czule ustawia grzyb na samym środku, a potem się cofa, żeby ocenić efekt.

– Nie wariujecie przez te wszystkie szyby? – dopytuje Laura.

Angie wzrusza ramionami.

– A niech sobie patrzą. Jestem czterdziestokilkuletnią matką z popękanymi naczynkami i obwisłymi cyckami. Miłego seansu!

– Ja bym tak nie mogła – kręci głową Kirsty. – Caroline miała takie okna, ale pozawieszała wszędzie żaluzje. Też bym tak zrobiła, przysięgam. Szczególnie, że ostatnio... – urywa.

Kobiety obracają się w jej stronę.

– Co? Jeszcze coś? Nie! Co się stało?

Kirsty wydaje z siebie jęk.

– Miałam nie puszczać pary z ust.

– Och, proszę. – Angie ją chwyta i sadza na łóżku. – Nam możesz zaufać.

– Wiem, ale przecież zgodziłyśmy się wszystkie, że już nie będziemy plotkować.

– Mnie przy tym nie było, ale jestem za tym – odzywa się Sylvie. – To zła karma.

– Tylko wtedy, kiedy plotkuje się na prawo i lewo – upiera się Angie. – Plotkowanie na chybił trafił i plotkowanie z najbliższymi przyjaciółkami to dwie różne rzeczy. No dobra, wiem, że nie wszystkie jesteście dla siebie najbliższymi przyjaciółkami, ale wy trzy jesteście *moimi* najbliższymi przyjaciółkami, więc jeśli przysięgniemy, że się nie wygadamy, to uznamy to za święte, prawda?

Kirsty nachyla się poufale, a na jej policzki wypływa rumieniec podniecenia; wreszcie może powtórzyć sensacyjkę, którą tak bardzo chciała się podzielić.

– Wiecie, że Caroline i Bill się rozeszli w ubiegłym tygodniu?

– Co? – Sylvie nie wierzy własnym uszom. – Nic nie wiedziałam!

Odwraca się do Angie.

– Wiedziałaś?

Angie ma skruszoną minę.

– Dlaczego mi nie powiedziałaś o czymś takim?

Angie podpira się pod boki.

– Dlatego że starałam się robić to, co mi kazałaś, i nie rozpuszczać plotek. Poza tym, zważywszy na to, jak bardzo jej nie znoszę, próbowałam się za nią modlić i obmywać ją



w myślach kojącym białym światłem, zamiast trąkotać z satysfakcją, że karma to piękna rzecz.

– Jasna sprawa. To co się stało? Myślałam, że to idealne małżeństwo.

– Nie ty jedna. Bill został przyłapany nie tylko na romansie, ale... – Kirsty zawiesza teatralnie głos – ...na sekstingu!

– Co? – Kobietom zapiera dech z emocji. – A co to w ogóle znaczy?

– Od czego by tu zacząć? – wzdycha Kirsty. – Przespał się z chmarą kobiet i... – toczy wzrokiem po twarzach koleżanek – ...większość z nich okazała się dość... jak by to powiedzieć... *zdzirowata*.

– Czyli nikt, kogo byśmy znały – stwierdza Angie. Z powagą składa dłoń na piersi i patrząc kolejno na wszystkie kobiety, dodaje: – Przysięgam na życie Simona, że nie byłam jedną z tych puszczalskich wywłok.

– Nie zrozum mnie źle, ale my to jesteśmy o wiele za stare. Dobierał sobie dwudziestoparoletnie „tancerki”, i tak, cudzysłów przy tym słowie jest w pełni uzasadniony.

– Striptizerki? – dopytuje Sylvie, a Kirsty kiwa głową. – Cóż może być bardziej eleganckiego niż męski kryzys wieku średniego – wzdycha Sylvie.

– Szczególnie gdy zamożny, żonaty przyjaciel, rekin finansjery, porzuca wspomniane dziewczyny do towarzystwa vel striptizerki, które myślały, że zostawi dla nich żonę i dzieci.

– Wzgardzona kobieta jest gorsza od diabła...

– Właśnie. No więc obecna dziewczyna do towarzystwa, która dla mnie, nawiasem mówiąc, wygląda raczej jak kurewka, no błagam was, co to za facet z tego Billa, że pociąga go tleniony blond i dorobione cyce...?!

– Facet jak każdy inny – stwierdza ponuro Angie.

– Też prawda. W każdym razie ta dziewczyna do towarzystwa, niejaka Tara-Jo, wylewa na Twitterze całą swoją wściekłość, opisuje szczegóły ich schadzek erotycznych i załącza zdjęcia oraz wiadomości, które przesyłał jej Bill. W necie aż huczy.

Sylvie wybałusza oczy.

– Co ty! Coś straszego.

– Żebyś wiedziała! Ale te fotki są niebywałe.

– Widziałaś je?

– No wiem, okropna ze mnie osoba – krzywi się Kirsty. – Ale na korcie wszyscy o tym

gadali i nie mogłam nie zajrzeć. To jak z kraksą na drodze. Człowiek wie, że to straszne, ale w pewnym sensie nie może oderwać wzroku.

– A co jest na zdjęciach?

– Billa... no, wiecie. Ogromny.

– Na baczność?

Kirsty potakuje.

Sylvie parska i kręci głową.

– Wiecie co? Nie wierzę, że to on. Nie ma szans, żeby Bill zrobił coś takiego. To najbardziej ułożony facet ze wszystkich naszych znajomych.

Oczami wyobraźni widzi Billa – rosnącego, rubasznego i serdecznego. Kiedyś gwiazda baseballu, teraz wzorowy mąż i ojciec. Prowadzi dziecięcą drużynę baseballu. Ma trzech małych synków i nadętą blond żonę, cierpiącą na kompleks wyższości.

– Nie ma szans. To jakaś pomyłka.

– *To nazywasz pomyłką?* – Kirsty podsuwa Sylvie swojego iPhone'a, a ta znów wybałusza oczy na widok zdjęcia, na którym niewątpliwie znajduje się Bill i niewątpliwie w okolicznościach, w których nie chciałby się zaprezentować swojej rodzinie.

Ani nikomu innemu, skoro już o tym mowa.

– Coś okropnego! – Sylvie odkłada telefon na stół, ekranem do dołu, ale najpierw rzuca okiem. – Co za durny, *durny* chłop. Jak on mógł wysłać komukolwiek takie zdjęcie? Czy ludzie powariowali? Wydawałoby się, że tylko smarkacze nie zdają sobie sprawy z konsekwencji rozsyłania niedwuznacznych fotek. Jak dorosły facet może być taki głupi? Co on sobie myślał?

Angie unosi brew.

– Widocznie zamiast głowy myślała główka.

– Sądząc po zdjęciu, zdrobnienie jest nie na miejscu – dodaje Kirsty. – Nie do wiary, że to się rozeszło po Twitterze. Gdyby to mnie spotkało coś takiego, już nigdy nie wychyliłabym nosa z domu. Caroline jest taka upokorzona; wspomina o przeprowadzce. Wyobrażacie sobie? Dowiedziała się dopiero z anonimowego e-maila, w którym ktoś napisał, że na Twitterze znajdzie coś na temat swojego męża, o czym być może nie wie.

– Kto, u licha, mógł coś takiego zrobić?

– Pewnie ta dziewczyna. Ostro, co?

Sylvie znów kręci głową.

– Ostro to za mało. To tragiczne. Nigdy nie przepadałam za Caroline, ale nikt nie zasługuje na coś takiego.

Zalega cisza.

– Wiem, o co ci chodzi – szepcze Kirsty. – Zadziera nosa jak cholera, ale nikomu bym tego nie życzyła.

– Racja – wzdycha Angie. – Nigdy bym nie pomyślała, że powiem o niej coś takiego, ale jestem z nią całym sercem.

– A gdzie jest teraz Bill?

– Wyniósł się do hotelu. Spotkał się z paroma kumplami, ale z Jonem nie – mówi Kirsty i patrzy na Sylvie. – Założę się, że zadzwoni do Marka. Oni się kumplują, prawda?

– O tyle, o ile – odpowiada Sylvie. – Mark tak dużo podróżuje, niełatwo go złapać. Zapytam go, ale wątpię, żeby coś wiedział, na pewno by się wygadał.

– Wiecie, co mnie w tym wszystkim naprawdę dziwi? – zadumała się Kirsty. – Wydaje nam się, że znamy się na ludziach, że wiemy, na czym stoi dane małżeństwo, ale żadna z nas nie ma pojęcia, co się dzieje za zamkniętymi drzwiami.

Z dołu dochodzi je okrzyk:

– Angie? Co wy, do cholery, robicie razem w naszej sypialni?

– Nie podniecaj się tak! – odkrzykuje Angie. – Już schodzimy.

Osiem osób to idealna liczba, myśli Sylvie, słuchając w milczeniu ożywionych rozmów toczących się wokół stołu.

Gdy przychodzi więcej gości, proszone kolacje zmieniają się w serię indywidualnych rozmów, towarzyskich pogaduszek, i właśnie z tego powodu Sylvie niezmiennie odrzuca zaproszenia pod nieobecność Marka. Towarzyskie pogaduszki nigdy nie należały do jej mocnych stron.

Dziś wieczorem grupa się zgrała i Sylvie nie może sobie przypomnieć, kiedy ostatnio tak dobrze się bawiła. Mark jest w domu, są parą, robią to, co pary zwykły robić. Zamiast ukradkiem sprawdzać godzinę i zastanawiać się, jak tu zorganizować odwrót, Sylvie ani razu nie spojrzała na zegarek i mogłaby tak siedzieć godzinami.

– Mówię wam – Kirsty, lekko zawiana winem, pochyla się, żeby coś oznajmić. – Trzeba sprawdzać ich konto na Facebooku i SMS-y. Ja stale kontroluję Abigail.

Jon wzrusza bezradnie ramionami w reakcji na wyznanie żony, które wyraźnie go speszyło.

– Powtarzam jej, że nie powinna tego robić. Abigail szlag by trafił, gdyby się dowiedziała.

Kirsty odwraca się w jego stronę, gotowa do obrony.

– Jeśli nasza córka wpakuje się w tarapaty, to skąd się o tym dowiemy?

– Eee... powie nam? – sylabizuje powoli Jon.

– Jasne – parska Kirsty. – Bo wszystkie siedemnastolatki w razie kłopotów lecą w te pędy do rodziców. A tak to się dowiemy.

– Ależ *wcale* się nie dowiesz – przekonuje Jon. – Będzie ci się *zdawało*, że wiesz, a nawet jeśli coś odkryjesz, jak się z tego wytłumaczysz? „Przypadkowo przeczytałam twoje SMS-y”? To dopiero sukces.

– Nasi rodzice o niczym nie wiedzieli – stwierdza Angie. – Jako siedemnastolatka balowałam na całego i moi rodzice nie mieli o tym pojęcia. A wyszłam na ludzi, co?

Spogląda na Simona siedzącego naprzeciwko, u szczytu stołu, szukając potwierdzenia, a on się uśmiecha i posyła jej całusa.

– Muszą sami dostać nauczkę. Nie możesz ich uchronić przed całym złem tego świata, a wręcz nie powinnaś.

– Ja też tak uważam – odzywa się Mark. – Jako rodzice mamy za zadanie wychować ich dla świata na dobrych ludzi, którzy podejmują trafne decyzje. Od złego nie ma ucieczki, ale możemy pozostawić im swobodę, żeby nauczyli się określać, jakie decyzje okażą się dla nich najwłaściwsze.

– Mark! – ruga go Angie. – Przecież to ty jako tata nie pozwalasz Eve zamieszczać niczego na Facebooku! Jak to się ma do pozostawiania swobody?

– Pozwalam jej! – peszy się Mark. – Chodzi tylko o to, żeby nie zamieszczała niczego osobistego.

Podnosi się wrzawa.

– Bez względu na ustawienia zawsze znajdzie się sposób na uzyskanie dostępu do konta – upiera się Mark. – Nie uwierzylibyście, jak dużo można się dowiedzieć o człowieku na podstawie zdjęcia lub adresu. Eve jest odpowiedzialna pod wieloma względami, ale nie rozumie tego ryzyka.

– Ryzyko nie jest aż tak wielkie – wzrusza ramionami Harold, wyraźnie sceptyczny. –

Wszyscy o tym czytaliśmy i widzieliśmy to w kinie, ale naprawdę nie sędę, żeby porywacze najpierw namierzali dzieci na Facebooku, a potem zjawiali się w progu domu.

– Poważnie? – mówi Mark. – Ale widziałeś *Pożegnanie z niewinnością*, prawda?

– O Boże! – Kobiety aż tracą oddech. – Co za przerażający film!

– Mark ma rację – twierdzi Ginny. – To było tak prawdziwie pokazane.

Objaśniają Haroldowi fabułę – dorosły mężczyzna podszywa się pod nastolatka, żeby poderwać niewinną młodą dziewczynę – ale Harold ani myśli ustąpić.

– To tylko film – twierdzi. – W *ty* cała rzecz. W filmie można zrobić dramat ze wszystkiego. Facebook odmienił świat i nie da się już funkcjonować tak jak kiedyś. Trzeba się z tym pogodzić i zaakceptować zmiany.

– W pewnym sensie się z nim zgadzam – Sylvie patrzy na Marka.

– Ja też – odpowiada Mark. – Ale ja akurat wiem, że to się może źle skończyć.

Toczy spojrzeniem wokół stołu.

– Przed laty ukradziono mi tożsamość. Straciłem nie tylko pieniądze, straciłem prawie całe swoje życie.

Wszyscy wychylają się w jego stronę, jak urzeczeni.

– Musisz nam opowiedzieć, co się stało – mówi Laura.

– Siedziałem w banku i rozmawiałem o kredycie, a tu urzędnik pyta, co sędę o cadillacu escalade. Nie miałem pojęcia, o co mu chodzi. Spojrzał na mnie jak na kretyna i „przypomniał” mi, że właśnie kupiłem najnowszy model.

– Pamiętałbyś coś takiego, prawda? – śmieje się Angie.

– A jak ci się wydaje? Okazuje się, że wyrzuciłem nieważną kartę kredytową i jakiś śmieciarz wykradł mi tożsamość. Ta osoba założyła masę kart kredytowych na moje nazwisko i na wszystkich przekroczyła limit. To był jakiś koszmar.

– Złapali go?

Mark kiwa głową.

– Ale potrzebowałem dwóch lat, żeby odbudować swoje życie. Nie miałem zdolności kredytowej. Tragedia. Nie mówiąc już o tym, że jakiś koleś się pode mnie podszywał.

– Ale dorwali go? – dopytuje Jon.

– Tak. Trafił prosto za kratki.

– A był przynajmniej przystojny? – pyta Kirsty.

– To jakiś szczeniak – odpowiada Mark. – Dwudziestotrzyletni. Zmarnował sobie życie. Ale wiecie co, niewiele brakowało, a zmarnowałby i moje. Przez dwa lata miałem związane ręce. Dlatego jestem przeczulony. Mam swoje powody. Wiem, że ludzie niekoniecznie są tymi, za których się podają.

– Och, to akurat wiemy – mówi Angie. – Biedny Bill – dodaje, a jej dłonie zaraz wędrują do ust. – Ojejku! – krzywi się. – Czy to się liczy, jeśli powiemy mężom?

– Już wiemy – oznajmia Simon. – Rozmawialiśmy o tym w piwniczce z winem.

Odczekawszy parę minut, Sylvie zwraca się do Marka, ścisząc głos, żeby inni jej nie dosłyszeli:

– Wiedziałeś i nic mi nie powiedziałeś?

Czuje się oburzona i urażona. Nawet jeśli obiecuje się dyskrecję, wiadomo, że mężowie się nie liczą, i nie trzeba o tym wspominać. Bezgranicznie ufa Markowi, nie ma przed nim żadnych tajemnic i liczyła, że to działa w obie strony.

– Bill kazał mi przysiąc, że się nie wygadał – mówi Mark. – To było jeszcze zanim wszyscy się dowiedzieli, a już po tym, jak Caroline dostała cynk. Starał się uniknąć najgorszego i był w rozpaczliwej sytuacji. Sylvie, poprosił mnie, żebym w szczególności nie mówił tobie. Nie mam przed tobą tajemnic, ale tego nie mogłem zdradzić.

– Ale jestem twoją żoną. Nawet jeśli przyrzekałeś, wiesz, że małżonkowie się nie liczą. I wiesz, że nigdy bym tego nikomu nie powtórzyła.

– Wiem, ale nie mogłem cofnąć obietnicy. Skoro już wymówiłem te słowa w jego obecności, czułbym się jak przestępca, gdybym się wygadał. Nawet przed tobą. Przykro mi.

Sylvie kiwa głową.

– Już dobrze. Nie podoba mi się to, ale rozumiem. Czuję się tylko trochę głupio, że dowiedziałam się ostatnia. Jak on się miewa?

– Jest zrozpaczony. A Caroline szykuje się do przeprowadzki. W tym mieście już nigdy nie spojrzy nikomu w oczy.

Sylvie przymyka na moment powieki i kręci głową; nie może wyrzucić z myśli feralnego zdjęcia Billa, nagiego i ze wzniesionym masztem.

– Biedaczka – mówi. – Gorzej już nie mogła trafić.

## 9

# *Sylvie*

Telefon brzęczy i brzęczy, a Mark i Sylvie pozostają głusi na jego uporczywą wibrację, dopóki oboje nie wynurzą się z głębokiego snu, przy czym Mark pierwszy rejestruje dzwonek telefonu.

Łapie aparat, wygrzebując się z łóżka, szepcze „halo” i rusza do łazienki, żeby nie przeszkadzać Sylvie, ale już za późno.

Sylvie nie śpi i z bijącym sercem popatruje przez zmrużone powieki na zegarek. Kto, u licha, dzwoni o drugiej trzydzieści sześć nad ranem i dlaczego jej mąż odbiera telefon w innym pomieszczeniu?

Sylvie podkrada się pod drzwi łazienki i nasłuchuje, a na dźwięk ściszonego, łagodnego głosu Marka czuje przypływ mdłości. Nie rozróżnia słów, ale słyszy jego śmiech. Jednym pchnięciem otwiera drzwi i przerywa mu w pół zdania.

– Skarbie – mówi Mark, wyciągając rękę z telefonem. – Nie chciałem cię budzić. To twoja matka.

Sylvie z westchnieniem odbiera aparat, a Mark całuje ją w ramię i wraca do łóżka. Sylvie zajmuje jego miejsce na krawędzi wanny.

– Mamo? Wszystko gra? Co się dzieje?

– Nic się nie dzieje. Nie mogę znaleźć rzeczy, których właśnie potrzebuję. Gdzie moja niebiesko-pomarańczowa apaszka od Hermès’a? Moja ulubiona. Wieki jej nie widziałam.

– Nie wiem, mamo. Pewnie leży na strychu. Sprawdzę. Ale jest druga trzydzieści... siedem nad ranem. Myślałam, że to coś pilnego. Sprawa apaszki będzie musiała poczekać.

– Która jest?

– Druga trzydzieści siedem. Mamo, nie dzwoni się do kogoś w środku nocy.

– Nie jesteś jakimś kimś. Jesteś moją córką.

– Ale mówiłam ci, żebyś nie dzwoniła późno, chyba że to coś pilnego.

– Potrzebuję też plastrów. To akurat pilne. Aha, i jeszcze jedną świecę Diptyque, wiesz, z tych, które lubię.

Sylvie zamyka oczy i jęczy w głębi duszy.

– Dobrze, mam. Do zobaczenia jutro. Muszę kończyć.

– Zaraz! Jutro? A dzisiaj? Myślałam, że przyjedziesz dzisiaj.

– Dzisiaj nie mogę. Przykro mi.

– Dlaczego? Cóż może być ważniejszego niż odwiedziny u matki, która poświęciła dla ciebie swoje całe życie?

Z Sylvie schodzi powietrze.

– Mam, mam wizytę u lekarza, pamiętasz?

To nieprawda, ale Clothilde, która ma luki w pamięci, wyraźnie się uspokaja, gdy jej się o tym przypomni.

– W San Diego – kłamie Sylvie. – Ale wpadnę jutro.

– San Diego – mruczy pod nosem Clothilde. – Szkoda, że nigdy nie przyjdzie ci do głowy wziąć mnie do miasta.

Sylvie nic nie odpowiada, przeczuwając już, że tej nocy dobry sen diabli wzięli. Minutowe zakłócenie by nie zaszkodziło, może wtedy udałoby jej się z powrotem zasnąć, ale po całej rozmowie? Może i jej ciało jest wyczerpane, może i powieki same się zamykają, ale Sylvie już dość przeżyła, żeby wiedzieć, że umysł rozbudził się na dobre; na dziś koniec ze spaniem.

To udręka wieku średniego. Angie od lat zażywa ambien; Laura, która zawsze bała się leków, nie spotyka się z nikim przed dziesiątą rano, bo chodzi zamulona tylenolem PM, który bierze co noc, odkąd urodziło jej się pierwsze dziecko.

W bezsenne noce Sylvie wstaje i bierze się do roboty. Zbyt wiele czasu już zmarnowała, leżąc w łóżku i przymuszając się do zaśnięcia; mimo gonitwy myśli powstrzymywała się przed odrzuceniem kołdry, nie chciała postawić stóp na podłodze, na wypadek gdyby jakimś cudem jednak udało jej się z powrotem zasnąć.

Ale to się nie zdarzało.

Ostatnio już wstaje.

Zanim nadejdzie pora, w której Eve musi się budzić do szkoły, Sylvie zdąży przygotować śniadanie, popłacić rachunki, uporządkować dokumenty, upiec ciasto i spędzić kilka godzin w sieci na zgłębianiu tematu, którym się aktualnie fascynuje.

Mogło być gorzej, myśli Sylvie i przełącza się z powrotem na odbiór Clothilde.



– ...a gdzie są moje perły, Sylvie? Te czarne. Wiem, że je tu miałam, leżały w łazience, a teraz gdzieś wyparowały.

– Nie przypominam sobie, żebyś miała tam perły. Coś mi się zdaje, że mogą być w sejfie z resztą twojej biżuterii. Ja ich nie przynosiłam.

– Ty nie. Mark. Albo Eve. Nie wiem, ktoś na pewno! Ale teraz ich tu nie ma.

Sylvie znów czuje się jak przekłuty balon, bo to się zdarza regularnie: Clothilde uznaje, że brakuje jej jakiejś części biżuterii, i rzuca oskarżenia, zanim ktokolwiek ma szansę poszukać zguby.

– To ta nowa pielęgniarka. Któregoś dnia zachwycała się moją bransoletką i widziałam to jej chytre spojrzenie.

– Która nowa pielęgniarka? Nancy? – Sylvie prawie parska śmiechem. – Ta urocza, spokojna?

– Nie ma w niej nic uroczego ani spokojnego. To złodziejka. Porozmawiam rano z kierownikiem.

– Mamo, nie rób tego. Poczekaj. Ja poszukam. Może gdzieś są.

– Uważasz, że zmyślam?

– Ależ nie – uspokaja Sylvie. – Ale jeśli przywiózł ci je Mark, to może wziął je do domu. Pozwól, że sprawdzę.

Zalega cisza, a potem słycać chrząknięcie.

– *Ça va*. O której przyjedziesz?

– Około trzeciej.

– Może tym razem zostaniesz? Zawsze wpadasz jak po ogień.

– Przepraszam, mamo – wydusza z siebie Sylvie. – Tym razem postaram się zostać dłużej. Ale Eve ma po południu mecz softballa. Obiecałam jej, że się pokażę, bo opuściłam dwa poprzednie.

– Możesz jej przekazać, że wypadałoby odwiedzić *grand-mère*. Nie było jej tu od tygodni.

– Nie, mamo. Przyjechała ze mną dwa dni temu, pamiętasz? Chciałaś krem i czasopisma. Eve pomalowała ci paznokcie. Pamiętasz?

– To było dwa dni temu? – w głosie Clothilde słycać zaskoczenie, chociaż te wyłomy

w poczuciu czasu i przestrzeni zdarzają jej się regularnie.

– Tak.

– Niech ci będzie. I tak za rzadko mnie odwiedza. Mam okropne życie, siedzę tu w tym strasznym *taudis* i nikt do mnie nie przyjeżdża. Przez cały dzień jestem skazana na siebie, bez rodziny, bez przyjaciół. Nie mam z kim porozmawiać i nikogo nie obchodzi, jak bardzo samotna się czuję. Gdybyś nie była taka samolubna, siedziałabyś tu, opiekowała się mną i dbała o to, żeby nie doskwierała mi samotność.

Sylvie bierze głęboki oddech. Przemilczę to, mówi sobie. Nie dam się podpuścić.

– A co z zajęciami, mamó? Przez cały dzień dzieje się coś naprawdę ciekawego. W ubiegłym tygodniu uczyliśmy się *découpage*'u, pamiętasz? Poszliśmy razem, ale nie chciałaś tego robić.

– Nie?

– Do zobaczenia jutro po południu. Około drugiej.

– Tylko się nie spóźnij – słyszy trzask odkładanej słuchawki.

Gdy Sylvie zerka do sypialni zza łazienkowych drzwi, okazuje się, że Mark dawno śpi. Nie ma sensu wchodzić do niego do łóżka i przez trzy najbliższe godziny rozmyślać o wszystkim i niczym. Sylvie całuje go delikatnie w policzek, a potem opuszcza na paluszkach sypialnię i schodzi po schodach.

Na dole, przy tylnych drzwiach, stoi wielki karton pełen wosku, a obok pudło z olejkami eterycznymi. Równie dobrze może się przekonać, czy w ogóle się nadaje do wyrabiania tych świec.

Nalewa sobie świeżo zaparzonej kawy z kafetierey – matka upiera się, że świeżą kawę parzy się *tylko w cafetière*, i nie uznaje nawet słowa „zaparzac” – i przysiadłszy na stolku, wdycha przez parę minut zapach pary unoszącej się nad dużą filiżanką, po czym bierze pierwszy ostrożny łyżeczek.

Kuchnia, tak brzydka, gdy pierwszy raz ją zobaczyli, stała się urocza. Sylvie, wystrzegając się ostatnio modnej wszechobecnej i zimnej bieli, zastąpiła pokryte melaminą szafki kuchenne otwartymi półkami spoczywającymi na pięknych rzeźbionych wspornikach – całość w spokojnym popielatym kolorze – a na nich spiętrzyła po sam sufit białe talerze i inne naczynia.

Blaty wykonano ze szlifowanego marmuru, porysowanego, niedoskonałego i przez to piękniejszego. Patyna, którą tak szybko się pokryły, przypominała Sylvie stare paryskie cukiernie, tym przytulniejsze i bardziej urokliwe, im bardziej wiekowy i plamisty marmur wykorzystano we wnętrzu.

Sylvie zamówiła posadzkę z wapiennych płyt w stonowanym kolorze, a belki pod sufitem pomalowała na bladopopielato.

Wnękę naprzeciwko blatów od podłogi do sufitu wypełniły książki kucharskie, porozstawiane chaotycznie w różnych kierunkach i poprzeplatane marmurowymi tłuczkami i moździerzami, które Sylvie od lat kolekcjonowała.

Owalny stół do jadalni stoi naprzeciw drzwi tarasowych, malowaną ławę w stylu szwedzkim, pokrytą poduszkami w spłowiałą kremowo-niebieską kratę, dostawiono do ściany z oknami, a pozostałą część stołu otaczają łukiem cztery rzeźbione francuskie krzesła.

I tak oto powstała kuchnia, której zazdroszczą jej wszyscy znajomi. Nie dlatego, że jest doskonała czy nieskazitelna ani bynajmniej nie tak obszerna, jak wiele spośród ich własnych kuchni, ale dlatego, że można się w niej poczuć jak *w domu*.

Nic nie jest idealnie dopasowane, a jednak wszystko świetnie do siebie pasuje. Sylvie, urodzona i wychowana w Ameryce, odziedziczyła wrażliwość po matce; przedkłada to, co stare i ciekawe, nad to, co nowe i doskonałe, i potrafi bez namysłu mieszać rozmaite style tak, by wydobyć z nich wyjątkowe piękno.

Z kubkiem kawy w ręce przenosi się do stołu zastawionego małymi kokilkami pełnymi olejków eterycznych. Nachyla głowę i bierze głęboki wdech, na jej wargach igra lekki uśmieszek, przymyka oczy i węża jeszcze raz.

Zanotowała starannie, ile kropli olejku zmieszała i w jakiej kolejności. Węcha znów figę śródziemnomorską. Pachnie słodko i pikantnie, ale w porównaniu z jej świeżo przyrządzoną mieszanką figową brak jej głębi, brak ciepła.

Czego jeszcze potrzeba tej woni? Węcha znów, przekonana, że jest już blisko, lecz czegoś wciąż brakuje. Przegląda flakoniki, których na razie nie użyła, i zatrzymuje się przy czarnej porzecze. To bogaty, owocowy zapach; może właśnie tego jej trzeba.

Przelewa połowę mikstury do nowej miseczki, zapisuje miarę w notesie i dodaje trzy krople olejku porzeczkowego.

Już prawie. Już prawie. Jeszcze trzy krople i już. Czuje nozdrzami słodycz figi i pomarańczę, intensywność ambry, ciepło drzewa sandałowego, mocną nutę tuberozy i gardenii, i zapach porzeczeki, który spaja te wszystkie wonie.

Czwarta piętnaście rano. Ma jeszcze masę czasu, żeby odlać świece. Wsypuje do metalowego rondelka płatki woskowe, czeka, aż się roztopią. Sprawdza temperaturę, dolewa olejków, czeka, aż temperatura spadnie do stu sześćdziesięciu stopni, a potem powoli przelewa miksturę do przygotowanych szklanych naczyń.

Marszczy brwi na widok opadających na bok knotów. Porywa z kuchennej szuflady kilka noży, układa je ostrożnie na naczyniach tak, że podtrzymują knot dokładnie pośrodku świecy, i się uśmiecha. Może zawodowcy robią to inaczej, ale jej sposób działa.

Podnosi blachę, na której stoją naczynia, płynnie, powoli podchodzi do tylnych drzwi i starając się nie poruszyć stygnącego wosku, ustawia blachę na stopniu.

Wróciwszy do domu, Sylvie bada zawartość szafki z materiałami do rękodzieła. Szary papier pakowy, rafia, rolka celofanu. Uśmiecha się, zadowolona, że nie zrobiła porządków w tej szafce i niczego nie wyrzuciła.

Teraz potrzeba jej jeszcze etykiety. Nalewa sobie świeżej kawy, zasiada przed komputerem i eksperymentuje z czcionkami, rozmiarami i barwami, aż osiąga upragniony efekt.

## ŚWIECE SYLVIE

### FIGA ŚRÓDZIEMNOMORSKA I AMBRA

Nie jest doskonale, ale pasuje. Zwłaszcza gdy Sylvie szkicuje listek figowy, skanuje go, dokłada do etykiety i zmienia kolor na ciepły szary.

– Idealnie – szepcze do siebie z uśmiechem. Prosto i elegancko. Matce się spodoba.

# 10

## Sylvie

Angie wpada do Harry's z dwiema torbami z butik Sigi's na ramieniu, nieświadoma, że na widok rudowłosej piękności odwraca się kilka głów. Gna wprost przed siebie i ani myśli rozejrzeć się wokół w poszukiwaniu znajomych, uśmiecha się tylko do siedzącej w tyle sali przyjaciółki.

– O Boziu! – Rzuca torby na podłogę obok Sylvie i siadając, cmoka ją w policzek. – Simon mnie zakatrupi. Wydałam majątek.

– Powiedz mu, że to twój prezent urodzinowy.

Sylvie się uśmiecha, bo Angie ciągle przyrzeka, że przestanie szastać pieniędzmi, ale ilekroć mija Sigi's albo salon jubilerski Bowersa i ma akurat wolną chwilę, nie może się pohamować i wchodzi. Wychodzenie z pustymi rękami jest nie do pomyślenia, tłumaczy. To by było „po prostu niegrzeczne”.

– *To* jest mój prezent urodzinowy. – Pokazuje piękne błyszczące kolczyki. – Dał mi je tego wieczoru, gdy wszyscy już wyszli. Czy nie są *cudne*?

– Są. Prześliczne. A skoro mowa o tamtym wieczorze, pysznie się bawiliśmy. Bardzo wam dziękuję. Było doskonale pod każdym względem. Serio, mam wrażenie, że od lat się tak dobrze nie bawiłam.

– Prawda? – Angie łapie przechodzącą kelnerkę i zamawia cappuccino z odtłuszczonym mlekiem i podwójną dawką kofeiny. – Świetnie było, co? Ale następnego dnia ledwo się ruszałam. Boże, całkiem zapomniałam, co ze mną robi szampan.

– No tak, bo przecież prawie nigdy go nie pijasz – zaśmiewa się Sylvie, dolewając sobie herbaty.

– Ale nie całymi butelkami. Mówię ci, miałam taki ubaw, że nie przeszkadzała mi nawet ta czterdziestka na karku.

Sylvie marszczy brwi.

– Myślałam, że skończyłaś czterdzieści trzy?

– Ciii! – syczy Angie. – Wiecie o tym tylko ty i Simon, a jeśli się komuś wygadasz, uważaj, bo może będę musiała cię udusić.

Uśmiecha się szeroko i obniża głos:

– A skoro mowa o plotkowaniu, wiem, że nie wypada, ale te fotki Billa są *niebywale*,

prawda?

Sylvie wzdycha.

– Ciągle o tym myślę. Strasznie im współczuję. Ale czy ktoś ma pewność, że te zdjęcia zdecydowanie świadczą o jego romansie? Ten kongresmen, któremu przydarzyło się to samo? Zdaje się, że tylko wysyłał zdjęcia i nic poza tym. Może tak też było w przypadku Billa? – pyta z wahaniem.

Angie parska.

– Nie ma dymu... W każdym razie w tym przypadku Bill, niestety, z pewnością nie ograniczył się do wysyłania fotek. Caroline odkryła różne okropne rzeczy. E-maile, paragony z Victoria's Secret na bieliznę, której nigdy nie widziała, i...

– Victoria's Secret? – Sylvie mimo woli uśmiecha się półgębkiem. – No jasne, że nigdy jej nie widziała. Caroline i Victoria's Secret? Bez wątplenia woli bardziej luksusową bieliznę.

– Otóż to. Tak jest. Rzeczy z Victoria's Secret są przeznaczone dla kochanek – dodaje Angie i kręci głową. – Prawdę mówiąc, Simon byłby zachwycony, gdybym wystąpiła w bieliźnie z Victoria's Secret. Kiedyś zobaczył mnie w cielistym sportowym biustonoszu i zagroził, że jeśli go natychmiast nie spalę, złoży pozew rozwodowy.

– Pewnie Simonowi wydaje się, że Victoria's Secret równa się czarne koronki?

– A najlepiej czerwone. – Angie przewraca oczami. – Ale czasami się staram. Trzeba podgrzewać atmosferę, żeby nie zrobili skoku w bok, choć szczerze mówiąc, czuję się o wiele wygodniej w sportowych stanikach.

– O! – Sylvie aż rozpiera się na krześle. – Naprawdę sądzisz, że musimy podgrzewać atmosferę, żeby powstrzymać ich przed niewiernością?

– Zdecydowanie – Angie kiwa energicznie głową. – Myślisz, że wszyscy ci mężczyźni przypadkiem porzucają żony dla młodych kobiet? Robią to nie dlatego, że są zainteresowani ich intelektem ani nawet seksownymi ciałami, ale dlatego, że te kobiety nie są przytłoczone porodami, szkolnymi radami rodziców i dbaniem o rodzinę. Te kobiety nie wczolgują się co wieczór do łóżka z nadzieją, że ich mężowie zostawią je w spokoju, będą mogły sobie bez zakłóceń poczytać gazetkę i porządnie się wyspać, żeby następnego dnia móc na nowo wejść w ten kołowrót. To czysta biologia. – Wzrusza ramionami, popijając kawę. – Mężczyznom potrzeba seksu. Nie chodzi o to, że go *pragną*, oni go *potrzebują*, i jeśli im go nie dostarczymy, poszukają szczęścia gdzie indziej.

Sylvie ociera z czoła urojony pot.

– Dzięki Bogu Mark i ja pod tym względem radzimy sobie świetnie. Nawet lepiej niż świetnie. Dałam się poznać jako osoba, która wyciąga go z przyjęć, bo nie może utrzymać rączek przy sobie.

– Któż by się dziwił. Gdyby Simon wyglądał tak jak Mark, robiłabym to samo – mówi tęsknie Angie i obie się uśmiechają na wspomnienie Simona: korpulentnego, z zakolami, o błyskotliwej inteligencji i największym sercu na świecie.

– O Simonie można powiedzieć wiele, ale ogier z niego żaden. A Mark to bodaj najprzystojniejszy facet w mieście. A może nawet w całym stanie – dodaje w zamyśleniu Angie.  
– Ale Simon jest tylko mój... cóż ze mnie za szczęściara... i dobre z niego chłopisko, chociaż czasem trzeba go na nowo ustawić do pionu. Prawdę mówiąc, nie wiem, co bym bez niego zrobiła, i jeśli zapragnie czerwonych koronek i czarnych frędzli na sutki, to, do jasnej ciasnej, dam mu te czerwone koronki i czarne frędzle.

Sylvie prychnęła śmiechem.

– Simon nigdy by cię nie zdradził. Po pierwsze, jesteś superlaską i już nigdy by nie znalazł nikogo takiego jak ty, a po drugie, odrębałabyś mu interes.

– To fakt – potakuje poważnie Angie. – Odrębałabym. Po czymś takim nie zaznałby przebaczenia.

Sylvie marszczy brwi.

– Sama nie wiem, czy ktokolwiek z nas może przewidzieć, jak zareaguje w danej sytuacji.

– Co ty! – Angie wbija w nią wzrok. – Cóż za... wielkoduszość. Potrafiłabyś wybaczyć?

– Tego nie powiedziałam. Po prostu wydaje mi się, że tego się nie wie. Każde małżeństwo jest inne i łatwo teoretyzować, jak się zareaguje. Poza tym niektórzy są wyrozumiali.

– Czy ja wiem? Uważam, że ludzie wmawiają sobie takie rzeczy, gdy boją się nowego. Jak można pozwolić ukochanemu mężczyźnie sypiać z kimś innym? Simon to żadne ciacho, ale jak sobie wyobrażę, że całuje kogoś innego... – Wzdryga się. – Brrr. Aż mi się niedobrze robi. Może i ze mnie niezła kokietka, ale przysięgę małżeńską traktuję poważnie. W głębi duszy jestem porządną dziewczyną z Południa i niewierności nie daruję. *Za nic*. To godzi w samą instytucję małżeństwa.

– Nie byłabym taka pewna – mówi wolno Sylvie. – Chcesz wiedzieć, co naprawdę myślę? Nie jestem pewna, czy to najgorsze, co może się wydarzyć w małżeństwie.

– Co? – warczy Angie. – Kpisz czy o drogę pytasz?! Co może być gorszego od zburzonego zaufania i publicznego upokorzenia żony?

Sylvie kiwa głową.

– Zgoda, w przypadku Billa i Caroline publiczne upokorzenie to coś okropnego. Ale jesteśmy ludźmi, mamy swoje słabości, nikt z nas nie jest nieomylny. Popelniamy błędy. Każdy zakłada, że jeśli ktoś zdradza, to znaczy, że z małżeństwem dzieje się coś nie tak, ale nie jestem

taka pewna, czy rzeczywiście w to wierzę. Czasem seks to tylko seks; można mocno kogoś kochać i uprawiać seks z kimś innym. Zdrada może mieć wiele przyczyn, ale niekoniecznie oznacza, że się nie kocha żony czy męża.

– Zdziwiasz mnie. – Angie rozsiada się na krześle. – Nigdy bym się tego po tobie nie spodziewała. Czyżby przemawiały przez ciebie francuskie korzenie? Wszyscy mężczyźni mają romanse czy coś w ten deseń?

– Nic mi o tym nie wiadomo – uśmiecha się Sylvie. – Ale mój ojciec w chwili śmierci miał za sobą czterdzieści lat małżeństwa. I... – bierze głęboki oddech, bo w zasadzie nigdy o tym nie opowiada, wie bowiem, że jej amerykańscy znajomi niekoniecznie muszą to zrozumieć – ...od początku towarzyszyła mu niewierność.

Angie kiwa głową.

– A! Wszystko jasne. Wiadomo, że uważasz tak a nie inaczej, skoro twój tata romansował. To by przynajmniej wyjaśniało, dlaczego Clothilde jest taką suką. Pewnie zbierało jej się od lat.

Sylvie nie może powstrzymać się od śmiechu.

– To nie mój ojciec zdradzał. To matka.

Angie zasłania dłońmi usta.

– Bardzo cię przepraszam. Szkoda, że nie ugryzłam się w język.

– Nie szkodzi. Clothilde to suka jakich mało. Nawet ja o tym wiem. Nigdy jednak nie pojęłam, dlaczego ojciec jej nie zostawił – wyznaje smutno Sylvie. – Tak podle go traktowała i każdego lata wyprowadzała się do kochanka. Wyobrażasz to sobie?

– A wiedział?

– Uhm. Ale nie chciał poruszać ze mną tego tematu. Nie mam pojęcia, czy znosił to dlatego, że nie chciał zrywać małżeństwa po to, żeby mnie chronić, czy dlatego, że ją kochał. Pewnie trochę tego i tego.

– Ciężka sprawa – mówi Angie. – A jak się dowiedziałas?

– Zapomniałam o tym na całe lata. – Sylvie bierze łyk herbaty i wraca pamięcią do dawnych czasów. – Moja matka spędzała lato we Francji. Miałam szesnaście lat i siedziałam sama w domu, a ojciec pracował. Uwielbiałam przebywać sama w domu; fascynowało mnie wszystko, co miało związek z moją matką, bo było tak niepowtarzalne, i zdarzało mi się myszkować w jej rzeczach, szczególnie w garderobie, która była taka piękna. I, rzecz jasna, w szufladzie z bielizną, gdzie... banał nad banały... leżał stos ręcznie adresowanych kopert.

Angie wybałusza oczy.



– Czyżby pachniały perfumami?

– Nie, Angie. Felipe nie jest kobietą.

– A, tak. Racja.

Sylvie wybuchła śmiechem.

– Listy najwyraźniej pochodziły z Francji, pobiegłam więc na dół po wielki stary słownik i przez pięć kolejnych godzin przetłumaczyłam cały zbiór.

– Znałaś francuski? Co tam było napisane?

– Tak, znałam francuski, ale nie dość dobrze, żeby poprawnie odczytać listy. Napisał jej jej kochanek. Miał mieszkanie w Neuilly-sur-Seine i na wakacje wysyłał żonę i dzieci do ich domu na wzgórzach nieopodal Grasse, gdzie odwiedzał ich w weekendy, by w ciągu tygodnia dotrzymać towarzystwa swojej eleganckiej kochance Clothilde w różnych modnych miejscach w Paryżu. Sprawiał wrażenie zamożnego. I dowcipnego. I fascynującego. Wydawał się całkowitym zaprzeczeniem mojego ojca i po prostu... zrobiło mi się niedobrze. Rozumiałam, dlaczego moja matka wyjechała, ale żałowałam swojego czynu. Pamiętam, jak myślałam, że trzeba było sobie dać spokój. Nie chciałam tego wiedzieć.

– Rozmawiałaś o tym z którymś z nich?

– Jakżebym mogła? Ojca chciałam chronić, a matka znów wpadłaby w szal. Bałam się jej jak zarazy. Nigdy bym się nie ośmieliła poruszyć tej sprawy.

– Znienawidziłaś ją?

– Tak, ale nienawidziłam ją już wcześniej. I kochałam – dodaje smutno. – Byłam taka rozdarta między tymi sprzecznymi uczuciami. Nie jestem pewna, czy moja matka w ogóle była zdolna do prawdziwej miłości. Potrafi kochać powierzchownie, jeśli ktoś jest piękny, zdolny i stanowi jej idealne odbicie, ale wystarczy wykazać się choć odrobiną niezależności, jakkolwiek jej się sprzeciwić, a miłość prędko przeradza się w nienawiść.

– Chyba nie aż w nienawiść – obrusza się Angie.

– O, tak. Powtarzała, że mnie nienawidzi, równie często, jak zapewniała o swojej miłości. A nawet częściej. Przez całe dzieciństwo pragnęłam, żeby mnie kochała, starałam się, jak mogłam, byle zasłużyć na jej miłość.

– Boże, Sylvie. To okropne.

– Brzmi okropnie, ale było jak było. Nie znałam niczego innego.

– A... co się stało z Felipe?

– To się powtarzało co roku przez dwadzieścia kolejnych lat. Gdy Felipe zmarł, moja matka poleciała do Paryża złożyć kondolencje jego żonie i dzieciom. Wyobrażasz sobie? Oni wiedzieli! Najwyraźniej stało się to tajemnicą poliszynela. Jego żona, Odile, dała mu jasno do zrozumienia, że w jej rodzinie ludzie się *nie rozwodzą*; może robić, co mu się podoba pod warunkiem, że nie przyniesie jej wstydu.

Angie kręci głową.

– *Wiedziałam*, że ci Francuzi to dziwacy.

– To jeszcze nie wszystko. Po śmierci Felipe, Odile i moja matka zostały najlepszymi przyjaciółkami! Matka nadal każdego lata jeździła do Francji, ale zatrzymywała się u Odile w Grasse. Na pewno miała jeszcze później romanse, ale żaden nie przetrwał. Czy słyszałaś kiedyś o czymś równie dziwacznym?

– A co z twoim tatą?

– Co za straszna ironia. Mój ojciec w końcu umiera i daje Clothilde wolność, której zawsze pragnęła, a kilka miesięcy później przydarza jej się wypadek samochodowy. Matka traci sprawność i ląduje w ośrodku. Jeśli chodzi o mężczyzn, to nie bardzo ma w czym wybierać.

– Nic dziwnego, że uwielbia Marka – parska Angie. – Aż dziw bierze, że jeszcze się do niego nie przystawiała.

– Żartujesz? Właśnie że tak! Wyparła się tego, ale kto otwiera zięciowi drzwi w jedwabnym peniuarze i nalewając kawę, celowo nachyla się o wiele niżej niż potrzeba?

– Fuj. Starcze cycki. Wielkie dzięki.

– Moja matka nie zaliczała się do staruszków. Przed laty zoperowała sobie cycki i wyglądały wtedy fantastycznie. Ale mimo wszystko, co to w ogóle ma znaczyć? Zresztą nie ma o czym gadać. Mark się przeraził i dał dyla.

Śmieją się obie.

– Matka nadal łąsi się do niego jak kotka. Stale mi powtarza, że muszę się bardziej starać, bo inaczej zostawi mnie dla atrakcyjniejszej sąsiadki.

– Dla której atrakcyjniejszej sąsiadki? – ożywia się Angie. – Czyżby dla mnie? Biorę!

– Łapy przy sobie. – Sylvie żartobliwie klepie ją po ręce. – Zdaje mi się, że to ten francuski styl bycia. Do matki nie dociera, że po to, żeby zatrzymać przy sobie mężczyznę, nie wystarczy wskoczyć w jedwabną bieliznę i zrobić sobie nienaganną fryzurę oraz pełny makijaż. Mark nigdy by mnie nie zaakceptował w takim wydaniu. Znasz mojego męża: nie znosi sztuczek. Matka nie może uwierzyć, że mogę się podobać Markowi bez makijażu i w tych, jak to ujmuję, „bezsztalnych hipisowskich łaskach”.

– Uwielbiam twój styl! – protestuje Angie. – I zawsze wyglądasz ślicznie.

– Dziękuję. Moja matka sądzi najwyraźniej, że nie dość ślicznie i że Mark pójdzie w ślady Billa albo przynajmniej zostawi mnie dla jakiejś młodej laski w mini i szpilkach.

– Chyba w to nie wierzysz! – Angie już ma parsknąć śmiechem, ale dostrzega coś w oczach przyjaciółki. Nachyla się i marszczy brwi. – Prawda?

Sylvie wzrusza ramionami.

– Chyba nie. Ale... czasem mnie ciekawi, co kombinuje, gdy go tu nie ma. Spójrzmy prawdzie w oczy, okazji mu nie brak. A może ma po dziewczynie w każdym porcie? Zastanawiam się wtedy, czy moja matka nie ma racji, czy nie powinnam się bardziej starać. Może to ja powinnam kupować bieliznę z czerwonej koronki.

– Wtedy pomyślałby, że to *ty* masz romans – żartuje Angie. – Mark cię kocha i nigdy by ci tego nie zrobił, to się rozumie samo przez się. Zresztą, gdyby stało się inaczej, odcięłabym mu jaja i zjadła je na śniadanie. Żebyś wiedziała. Ale tak nie jest. Za cholere.

Sylvie wreszcie się uśmiecha.

– Ubóstwiam cię – mówi i wyciąga ręce, żeby objąć Angie. – Wiesz, jak poprawić mi humor.

– Nie powiedziałam tak po to, żeby ci poprawić humor – szepcze jej do ucha Angie. – Powiedziałam tak, bo to była prawda.

# 11

## *Sylvie*

Powietrze jest całkiem nieruchome, grzeje słońce, a Sylvie klęczy w warzywniku z rękawicami na dłoniach i wrywa chwasty. Nasłuchując z radością śpiewu ptaków, przysiadła po chwili w kucki, zdejmując rękawice i z niekłamaną satysfakcją ocenia efekty swojej pracy.

Przed laty mieszkała w pobliżu centrum La Jolli, prawie przy ulicy, w ścisłej miejskiej zabudowie. W tamtym czasie uwielbiała to, że otaczają ją ludzie, cieszyła się z ciągłego ruchu, z tego, że może bez trudu wyskoczyć do miasta po zakupy i pchając wózek z Eve, wpadać na licznych znajomych.

Teraz, im jest starsza, tym bardziej przypomina ojca – pokochała ciszę i zaczęła doceniać spokojne życie. Zawsze jej się zdawało, że zamięłowanie ojca do spokoju wynikało z potrzeby zrównoważenia zamętu, który siała matka, ale teraz wie już, że to dziedziczne, że leżało w jego naturze, tak samo jak leży w jej.

Patrzy na zegarek i marszczy brwi. Jest znacznie później niż sądziła, a Mark jeszcze się nie spakował. Gdzie on się podziewa? Już ma iść do domu po telefon, gdy słyszy z oddali szum silnika.

Mark wjeżdża na podjazd i wysiada z samochodu.

– Późno już! – woła do niej i machając, zmierza ku tylnemu wejściu. – Muszę wskoczyć pod prysznic.

– Co się stało? – odkrzykuje Sylvie. – Gdzie byłeś?

– Przedłużyła mi się telekonferencja. Nie patrzyłem na zegarek – odpowiada i znika we wnętrzu domu.

Mark bierze prysznic, a Sylvie zbiera jego ubrania z suszarni i niosąc je na górę, mija pokój Eve.

Puka, otwiera drzwi, nasłuchuje przez moment dobiegających z łazienki dźwięków i marszczy brwi, gdy rozpoznaje odgłosy przypominające te towarzyszące torsjom.

– Eve? – Sylvie odstawia kosz. – Eve? Wszystko w porządku?

Popycha drzwi łazienki i zastaje Eve na klęczkach, wymiotującą do muszli klozetowej.

– Och, skarbie. – Sylvie odsuwa z jej twarzy włosy, pociera plecy, aż ustają skurcze żołądka, i przykłada dłoń do jej lepkiego czoła.

– Coś ci dolega – mówi. Trudno jej ocenić temperaturę. Skóra Eve nie wydaje się

rozpalona, jest raczej chłodna i lepka. – Przynieść ci może herbaty? Albo parę krakersów?

– Nic mi nie jest – odpowiada Eve. – Tata przyniósł mi lody i trochę przeholowałam. Za szybko zjadłam całą porcję i zrobiło mi się okropnie niedobrze. Nie mam gorączki – uśmiecha się słabo. – Nic się nie martw.

– Kocham cię. – Sylvie nachyla się i całuje córkę w głowę. – Umyj zęby.

Wymyka się z pokoju córki i wchodzi do małżeńskiej sypialni, a uczucie niepokoju na dobre zalega w jej piersi.

Drzwi na balkon są otwarte i do pokoju wlewa się słońce. Sylvie nie może się powstrzymać i wychodzi na chwilę, żeby spojrzeć na wysypane żwirkiem podwórko i małe drzewko figowe, które zastąpiło poprzednie, ogromne, ścięte – o zgrozo! – kilka tygodni przed ich przeprowadzką.

Z boku domu stoi pergola, jej belki oplata wiekowa winorośl, a po niej pnie się klematis, okrywając ją wielkimi fioletowymi kwiatami.

W wielkich terakotowych donicach, starych i omszałych, rosną dorodne kamelie o lśniących ciemnozielonych liściach podkreślających urodę białych kwiatów. Następne donice o różnych rozmiarach otaczające podjazd, co do jednej pokryte zielonkawym nalotem, który zawdzięczają pracowitym zabiegom Sylvie polegającym na wcieraniu jogurtu dla ułatwienia rozrostu grzybni, wypełnione są większymi i mniejszymi krzakami lawendy i santoliny oraz kulami bukszpanu.

Na balkonie stoi postarzana drewniana ławka pokryta wypłowiałymi zielonymi poduszkami. Sylvie przysiada na chwilę w ciepłe słońca i przymyka oczy, aż słyszy, jak Mark zakręca wodę i wchodzi do sypialni.

– Cześć, kochanie. – Otacza go ramionami, a on nurza twarz w jej szyi i wdycha jej zapach; wdzięczny, ach, jakże jest wdzięczny, że nigdy nie dopuścił, by chwila potencjalnej słabości przerodziła się w coś, czego by już zawsze żałował.

– Naprawdę musisz jechać? – Sylvie cofa się nadąsana i gani się w myślach za to, że sprawia wrażenie zakompleksionej żony, którą, przyrzekała sobie, nigdy się nie stanie, żony pełnej pretensji o to, że musi żyć w takim rozdarciu. Nie będę taką kobietą, obiecuje sobie. Ani teraz, ani nigdy. Zmusza się do starcia kwaśnej miny.

– Ejże – Mark przygarnia ją do siebie, całuje w czubek głowy i mocno przytula. – Wiesz przecież, że nie zawsze tak będzie.

Sylvie opiera mu głowę na piersi, wdycha jego niepowtarzalny zapach – woń Toma Forda i Marka – i wyczuwa przez koszulę ciepło jego skóry; jakże bezpiecznie się czuje w jego ramionach, skąd więc się bierze ten smutek?

– Wiem – szepcze. – Ale tak bardzo się ucieszyłam, że przyjechałeś bez zapowiedzi. Nie

jestem jeszcze gotowa tak prędko się pożegnać.

– Koteczku... – Odsuwa ją na długość ramienia, żeby zajrzeć jej w oczy. – To tylko siedem dni. Możliwe, że uda mi się wrócić w środę po prezentacji. Co ty na to? Ja też nie lubię wyjeżdżać. Wierz mi, niczego więcej nie pragnę niż tu z tobą zostać, ale mam tylu klientów do odwiedzenia.

– Wiem. To na pewno... nie wiem, coś z napięciem przedmiesiączkowym albo z hormonami...

– Pewnie tak – wtrąca Mark. – Przecież to ty zawsze podkreślasz, że mamy taki idealny związek i że ten, kto zdecydował, że pary małżeńskie muszą mieszkać ze sobą na okrągło, chyba postradał zmysły.

– Naprawdę tak uważam. Albo przynajmniej *uważałam*. Wydaje mi się, że moja aprobata dla naszego niezależnego modelu małżeństwa wynikała w dużej mierze z potrzeby ochrony. Pozwalała mi zachować część siebie na wypadek, gdyby coś ci się stało.

– Nic mi się nie stanie – zapewnił ją łagodnie.

Zbyła go niecierpliwym gestem.

– Wiem, wiem. Nie o tym mówię. Chodzi o to, że początkowo tego chciałam, a potem do tego przywykłam, ale teraz znajduję się na innym etapie i pragnę, żebyś częściej bywał w domu.

Nie pierwszy raz toczą taką rozmowę i Sylvie wie, że dopóki nic się nie zmieni, nie wyrwą się z tego błędnego koła.

Zalega cisza, a potem Mark wzdycha.

– Też bym chciał bywać częściej w domu – mówi.

– No to zrób coś z tym.

– To nie takie proste. Sylvie, *dlaczego* rozmawiamy o tym teraz, gdy muszę jechać? – W jego głosie wyraźnie pobrzmiwa irytacja. – *Dlaczego* w ogóle *znów* o tym rozmawiamy?

– Bo problem nie zniknie, jeśli przestaniemy o nim rozmawiać – warczy Sylvie. – To ty masz wpływ na to, czy coś się zmieni, i zupełnie nie mogę pojąć, dlaczego tych wszystkich podróży nie możesz zlecić dyrektorowi handlowemu. Zaczynam podejrzewać, że nie chcesz częściej bywać w domu.

– To już absurd. – Cierpliwość Marka zaczyna się wyczerpywać. – Wiesz, jak jest. Wiesz, że klienci chcą się spotykać tylko ze mną wyłącznie dlatego, że nawiązałem z nimi takie długoletnie i trwałe relacje. Już tyle razy poruszaliśmy ten temat, to są rzeczy, na które nie mam wpływu. Przynajmniej na razie. Rozumiem, o co ci chodzi, i chcę tego samego. Muszę tylko wymyślić, jak się przenieść. Sylvie, kocham cię najmocniej na świecie. Coś z tym zrobię.

– Mówisz to tylko po to, żeby mnie udobruchać czy naprawdę coś zrobisz? – gdera, ale pozwala mu się przytulić.

Mark wzdycha.

– Sylvie, zrobię coś, ale możliwe, że nie tak szybko, jak byś tego chciała.

– Co to znaczy? Jak długo to potrwa? Rok? Sześć miesięcy?

– Rok – szepcze jej do ucha. – Załatwię to w ciągu roku. A teraz przestań się już boczyć i daj mi porządnego całusa na pożegnanie. Obiecuję, że wrócę wcześniej, jeśli będę mógł.

# 12

## *Sylvie*

Zaspana Eve człapie w dół po schodach, spodnie welurowej piżamy spływają jej na pluszowe kapcie, gdy półprzytomna siada na stołku i ziewa.

– Dobry! – uśmiecha się Sylvie. – Pospałaś?

– Tak, ale jeszcze za wcześnie. Ładnie tu pachnie. Co to?

Eve nachyla się, opiera głowę na rękach, po czym otwiera jedno oko i widzi świecę stojącą pośrodku blatu, jedyną odlaną bez niedoskonałości na powierzchni, jedyną, która nie wymaga poprawek.

Jedyną świecę, którą obiektywnie można nazwać idealną.

Eve siada prosto.

– Świece! Mamo? Przez całą noc odlewałaś świece? Jeśli powiesz, że tak, to naprawdę masz problem.

– No to nie powiem tak – oznajmia beztrąsko Sylvie. – Herbaty?

– Mamo! Martwię się o ciebie. Już w ogóle nie śpisz.

Sylvie się śmieje.

– Ty martwisz się o mnie? Ty, która nikt nie widzi w oczach?

Strofuje się w duchu, bo twarz Eve pochmurnieje. Do licha. Po co się w ogóle odzywała?

– Przepraszam. Nie chciałam tego powiedzieć. Ale nie musisz się o mnie martwić. To najwyraźniej przekleństwo wieku średniego. Nikt już nie sypia.

– Zgadza się. Ale nikt nie siedzi do rana nad świecami albo biżuterią.

Eve wyciąga rękę po świecę i wytrzeszcza oczy ze zdumienia.

– Mamo! Ty ją zrobiłaś? Jest doskonała!

Sylvie napawa się prostolinijną pochwałą córki. Ona i Eve – wymarzone dziecko – były zawsze tak blisko, ale przez kilka ostatnich miesięcy, w miarę jak córce ubywało kolejnych kilogramów, ku wielkiemu niedowierzaniu Sylvie dziewczyna zmieniała się stopniowo w opryskliwą nastolatkę.



Sylvie nigdy nie potrafi przewidzieć nastroju Eve i przyznaje z niechęcią, że pozwala, by wpływało to na jej własne życie. Gdy Eve jest szczęśliwa i zadowolona, Sylvie czuje się tak, jakby płała się w ciepłe słońca, ale nawet najmniejsza oznaka gniewu wtrąca ją w otchłań niepokoju.

Dobrze zna tę prawidłowość. Zna ją od lat, tyle że wcześniej nad jej samopoczuciem panowała Clothilde. Kocham i stawiam granice – te słowa powtarza sobie jak mantrę, bo wie, że dla zachowania higieny psychicznej nie może dopuścić, by nastroje innych decydowały o jej własnym.

Kocham i stawiam granice. Kocham i stawiam granice. Kocham i stawiam granice.

Eve jeszcze raz wdycha woń świecy.

– Co to za zapach? Cudowny – mówi i wacha jeszcze raz. – Przypomina trochę twoje perfumy.

– To tuberoza. Ale przede wszystkim figa. Mam nadzieję, że twojej babci spodoba się bardziej niż te świece, które zawsze każe mi kupować. Zaoszczędzę krocie.

Eve patrzy na matkę z niedowierzaniem.

– Przecież nawet jeśli się zachwyci, to ci o tym nie powie. Albo poczeka, aż ktoś inny pochwali zapach, i niechętnie przyzna, że to ty ją odlałaś, ale nie omieszka dorzucić informacji, że ten nos do perfum odziedziczyłaś najwyraźniej po niej.

Sylvie wybucha śmiechem.

– Córkę droga, to cała ona. Skąd ty tak dużo wiesz?

Eve wzrusza ramionami.

– Słyszałam, jak czasem mówisz, że cierpi na narcyzm. Nie miałam pojęcia, co to znaczy, więc sprawdziłam.

Sylvie przekrzywia z uśmiechem głowę.

– I odkryłaś, że ma obsesję na własnym punkcie?

– Hmm... można tak powiedzieć – uśmiecha się Eve.

– Ale to jednak twoja babcia. Kocha cię. Cóż, kocha cię tylko tak, jak potrafi... Naprawdę powinnaś ją częściej odwiedzać.

Eve jęczy, odsuwa krzesło i siada przy stole. Długie włosy spływają jej nad jednym ramieniem, kolana przyciąga do piersi, palcami stóp obejmuje krawędź siedziska i opierając się o stół, przysuwa do siebie czasopismo. Zaczyna je bezmyślnie kartkować.

Sylvie wbija do miski dwa jajka, dolewa odrobinę wody i wzorem matki mocno przyprawia miksturę.

Wrzuca na patelnię dużą grudkę masła, czeka, aż zaskwierczy i prawie się przyrumieni, wlewa jajka, roztrzepuje je szybko grzbietem widelca, zdejmuje patelnię z palnika i po minucie zsuwa na talerz idealnie złożony omlet. Stawia naczynie przed Eve.

Dziewczyna się waha. Sylvie patrzy uważnie i spodziewa się, że córka wymówi się brakiem apetytu, ale ta sięga po widelec i zjadłszy kawałek omletu, wydaje pomruk zadowolenia. Sylvie może się w końcu odprężyć. Nie potrafi oderwać wzroku od tej prawie kobiety, a jeszcze niedawno małej dziewczynki.

Spójrzcie tylko na jej nogi, smukłe i gibkie. Te stopy o długich, szczupłych palcach. Łydka spoczywa teraz na kolanie drugiej nogi, a kostka zatacza leniwe koła, w miarę jak Eve, przewracając kartki, dalej zajada posiłek.

– Wiem, że się gapisz – wzdycha w końcu Eve. – I tak, wiem. Rosłam kiedyś w tobie. W twoim brzuchu. Ja też w to nie mogę uwierzyć.

Tym razem spogląda przez ramię, przechwytuje spojrzenie matki i obie się uśmiechają, bo właśnie o tym Sylvie myślała, o tym myśli zawsze, ilekroć ogarnia ją fala miłości do córki.

Sylvie nieustannie się nią zachwyca. Jak to możliwe, że ona, która nigdy nie wiedziała, jak to jest czuć się dobrze w swojej skórze, stworzyła to piękne, pewne siebie, mądre dziecko? Skąd ona się wzięła? Jak to możliwe, że mają te same geny? Chociaż obecnie Eve przechodzi etap, w którym nie wydaje się już tak pewna siebie ani tak promienna, Sylvie dochodzi do wniosku, że to nie jest prawdziwa natura jej córki; Eve od dnia urodzin zawsze przepełniała radość.

Dziewczyna zamyka czasopismo, wstaje i się przeciąga, gotowa ubierać się do szkoły, ale w ostatniej chwili rzuca okiem na matkę.

– Oho!

Eve cofa się powoli, kręci głową i wyciąga przed siebie ręce, jakby chciała odeprzeć postępujący atak.

– Nadciąga, co? Już się dałaś porwać. Widzę, że to nie przelewki. Czy powinnam się stąd...?

– Tak! – wykrzykuje Sylvie, rzuca się do przodu, łapie Eve, ściska ją mocno i obsypuje jej głowę i policzki pocałunkami, a Eve wije się i chichocze. – To *fala miłości*! Przykro mi. Nie mogę się oprzeć. Tak baaardzo cię kocham.

Eve próbuje odepchnąć matkę, ale obie wiedzą, że to uwielbia.

Mark zaczął tak robić Eve, gdy była jeszcze mała; upadała ze śmiechu, Mark ją podnosił i zasypywał pocałunkami, a dziewczynka rozpływała się na myśl o tym, że jest naprawdę kochana przez jedyne go ojca, którego miała okazję poznać.

Gdy Sylvie w końcu puszcza córkę, Eve cofa się i marszczy brwi.

– Mamo? Co się stało? Dlaczego płaczesz?

– Nie płaczę. – Sylvie ociera łzy i nie przestaje się uśmiechać. – Myślałam właśnie o tym, jak bardzo jesteś podobna do swojego ojca. Taki dobry z ciebie człowiek. Jestem szczęśliwa, żałuję tylko, że nie może cię zobaczyć. Szkoda, że nie miał okazji cię poznać.

– Zna mnie – mówi rzeczowo Eve. – Ciągłe z nim rozmawiam.

– Naprawdę? Jeszcze?

– Oczywiście! – Eve wzrusza ramionami, jakby była to najnormalniejsza rzecz na świecie. – Szczególnie wieczorami. Prowadzimy długie rozmowy.

Sylvie patrzy na nią w milczeniu, aż dziewczyna zaczyna się śmiać.

– Zanim zapytasz... nie, nie odpowiada. Nie jestem stuknięta, mamo. On nie żyje.

Sylvie próbuje się uśmiechnąć.

– Przepraszam, mamo. Chciałam cię rozśmieszyć. A czy ty... jeszcze o nim myślisz?

Sylvie bierze głęboki oddech.

– Tak, ale to już nie boli tak jak kiedyś. Myślę o nim bardzo często i to przyjemne chwile. Czuję się taką szczęściarą, że choć przez krótki czas był częścią mojego życia, no i, rzecz jasna, że dał mi ciebie.

– Byłaś w nim zakochana mocniej niż w tacie?

Eve spogląda na matkę z zaciekawieniem, a Sylvie trzepocze powiekami. Nie jest gotowa na te pytania. Córka rzuciła piłeczkę, a ona nie przygotowała odpowiedzi. Nie wie, jak powinna zareagować.

– Tylko nie mów, że inaczej – ostrzega Eve. – Bo to żadna odpowiedź.

– *Było* inaczej – upiera się Sylvie. – Byliśmy tacy młodzi, tacy zakochani. Miłość młodych ma w sobie coś magicznego. Człowiekowi wydaje się jeszcze, że świat stoi przed nim otworem, że ma przed sobą całe życie.

– Czyli *rzeczywiście* kochałaś go mocniej?

– Mocniej niż co?

– Mocniej niż tatę?

– Kochałam go inaczej – mówi Sylvie. – Nie umiem tego lepiej wyjaśnić.

Patrzy na zegarek i piszczy:

– Eve! Musisz się ubierać! Aha, a jutro jedziesz do swojej *Grand-mère*, czy ci się to podoba, czy nie.

– Nie – jęczy Eve, podczas gdy Sylvie siłą wyprowadza ją z kuchni. – Proszę. Tylko nie to.

– A nuż ci się poszczęści, nigdy nie wiadomo. Może czeka tam na ciebie następny zakiet retro od Chanel.

Eve odpowiada radośnie, że pojedzie, a Sylvie kręci z uśmiechem głową.

# 13

## *Eve*

Eve, nie patrząc nikomu w oczy, czeka w kolejce do kasy, przepełniona wstydem z powodu zawartości koszyka i przekonana, że wszyscy wiedzą, co zamierza.

Tak mocno starała się oprzeć. Przetrwiała trzy dni na wodzie z cytryną, ale nie myślała o niczym poza jedzeniem, słodkim, chrupiącym jedzeniem, i dziś, wychodząc ze szkoły, wiedziała, że już dłużej nie wytrzyma.

Była wprawdzie umówiona z Claudią i grupką młodzieży, ale powiedziała, że wybiera się w odwiedziny do babci. W zamian poszła do 7-Eleven, sklepu, w którym miała najmniejsze szanse spotkać kogoś znajomego, i bezwiednie wypełniła koszyk niezdrowym jedzeniem, w tym pączkami. Ciekła jej już ślinka, z trudem powstrzymywała się przed rozerwaniem opakowań, myślała tylko o tym, żeby jak najszybciej wprowadzić jedzenie do żołądka.

Ostatnio stale się to powtarza. Albo pości, albo się obżera, a potem wymusza torsje. Przez cały czas myśli wyłącznie o jedzeniu. Co zjadła, czego nie zjadła, co zaraz zje, czy zachowuje się jak należy, czy nie, czy to sprawia, że jest dobrą osobą, czy nie.

Nie ma czasu być szczęśliwa, poczuć jedność z grupą, poczuć, że naprawdę żyje. Niegdysiejszy pęd do sukcesu, do zdobywania najlepszych ocen, do poprawiania szkolnych wyników, przerodził się w przymus zrzućcia jak największej liczby kilogramów, bycia tak szczupłą, jak tylko to możliwe.

Wytycza sobie w duchu cele, wiedząc, że nigdy nie będą wystarczające. Żaden z tych, które osiągnęła, nie przyniósł jej satysfakcji.

Eve nie może jeść w miejscu publicznym. Jedzie do parku krajobrazowego Marian Bear, znajduje zaciszny zakątek na parkingu, gdzie nikt jej nie zobaczy, zapada się w siedzeniu i porwawszy pierwszą z toreb, wyjmuje worek z pączkami i wpycha je sobie do ust.

Wycisza się wewnątrz. Chociaż jej ruchy są gorączkowe – rozdziera opakowania, chwyta jedzenie, łyka nie smakując – w miarę jedzenia ogarnia ją spokój. Kiedy je, nie czuje nic. Napychanie się jedzeniem wprowadza ją w stan szczególnego odrętwienia, który Eve błędnie utożsamia ze spokojem.

Szybko, szybko, wolniej, wolno, stop, zbiera jej się na wymioty. Eve prostuje się z odrazą i zawstydzona pedantycznie zbiera puste opakowania, wrzuca je do plastikowej torebki, zawiązuje ją, wychodzi z samochodu i wrzuca pakunek do kosza w drodze do szaletu, gdzie oczyści się całkowicie ze wszelkich śladów ostatnich trzydziestu minut.

Dziś nie wraca prosto do samochodu. Rusza jedną z pylistych ścieżek, wspina się na niewielkie trawiaste wzniesienie i sadowi się na szczycie, obejmując rękami kolana.

– Cześć, tato – szepcze, spoglądając w niebo, po którym przesuwały się wyblakłe kłęby chmur. – Chyba jestem w kiepskiej formie. Nie wiem do końca, co tu w ogóle robię, ale nie mogę przestać i nie mogę o tym z nikim pogadać. Ciągle mi się wydaje, że w pewnym momencie wszystko się ułoży, w pewnym momencie dojdę do etapu, w którym będę szczęśliwa, bo jaka jest inna możliwość? – szepcze, a po policzkach płyną jej łzy.

– Nie mogę o tym z nikim porozmawiać – ciągnie. – Tylko z tobą. Ale potrzebuję, żebyś się mną zaopiekował. Potrzebuję, żebyś mi pokazał, co robić.

Eve przez kilka sekund obserwuje chmury, potem podnosi głowę, rozgląda się i czeka, czy coś się stanie, czy spadnie gałązka, czy pokaże się jakiś znak, że ojciec ją usłyszał, ale jak zwykle nie dzieje się nic.

Co wcale nie znaczy, że nie słuchał. Wzdycha i jęcząc, podnosi się powoli – ostatnio przez wystające kości boli ją nawet siedzenie na ziemi – po czym wraca do tego, co bezpieczne: do żucia gumy i do samochodowego fotela.

# 14

## *Sylvie*

Hol – z wykładziną dywanową w zawijasy, brzydką, ale za to praktyczną, wielkimi plastikowymi fikusami w ceramicznych donicach i pastelowymi akwarelami przedstawiającymi nadmorskie krajobrazy, niby wnoszącymi do wnętrza nieco słońca – jest co najmniej przygnębiający.

Ilekcio Sylvie tędy przechodzi, czuje, jak opada na nią chmura smutku, która unosi się dopiero po wejściu do atrium, jedyne pomieszczenia w budynku, które jest przeszklone i wypełnione światłem; pomieszczenia, które wydaje się naprawdę urocze.

Bez względu na to, gdzie zastaje Clothilde, zawsze próbuje ją zwabić do atrium na herbatę, choć nigdy nie potrafi przewidzieć nastroju matki: czy zechce spędzać czas wśród znajomych i roztaczać swój rozbijający urok, czy usiadzie zagniewana w ciemnym kącie przygnębiającego holu i zacznie ostentacyjnie wygłaszać niegrzeczne uwagi na temat każdej przechodzącej osoby.

Clothilde, od zawsze skupiona na sobie, przed wypadkiem miała tak wiele zajęć, była tak rozrywana towarzysko, że co okrutniejsze zachowania mogła zarezerwować dla swojej rodziny.

Teraz już nikt nie jest bezpieczny. Przyjaciele odpłynęli, odwiedzają ją tylko z rzadka, powodowani poczuciem winy, i dają Clothilde sposobność do wypowiedzenia niezbyt subtelnych aluzji do tego, że została porzucona i jakie to potworne, że jej tak zwani przyjaciele są tak pochłonięci sobą, że nie mogą jej odwiedzić nawet raz w tygodniu.

W miarę jak jej zgorzknienie narasta, jedyną poza pielęgniarkami osobą, na której się wyżywa, jest Sylvie.

Sylvie kieruje się w stronę wind i nagle staje. W rogu, zwrócona do niej plecami, siedzi jakaś para. Mężczyzna z cienkimi kosmykami białych włosów i laską opartą o stół, a obok niego Clothilde, zabawiająca go swoimi historyjkami, których jej towarzysz wysłuchuje jak urzeczony.

– Mamo? – Sylvie pochyla się i całuje matkę w obydwie policzki, a ta podnosi wzrok, prawie oszołomiona. – Pięknie wyglądasz. Tak się cieszę, że zjechałaś na dół.

– Wyobraź sobie, że od czasu do czasu podnoszę się z łóżka – mówi Clothilde. – Przecież muszę się kiedyś spotykać ze znajomymi i zajmować swoimi sprawami. Jeszcze nie jestem takim warzywem, za jakie mnie uważasz – śmieje się i ostentacyjnie przewraca oczami.

– To nieprawda. Ogromnie się cieszę.

Mężczyzna podnosi się niezdarnie i lekko chwieje na nogach.

– Zostawię was same, miłe panie – mówi, a gdy Sylvie instynktownie wyciąga rękę, żeby

pomóc mu złapać równowagę, jej matka parska szyderczo.

– Nic mu nie jest, Sylvie. Nie róbże z niego niedołągi.

– Nie robię.

– Nie robi – zapewnia Clothilde mężczyzna, a ta tylko cmoka i odwraca głowę.

– Napijemy się jeszcze dziś razem herbaty?

Clothilde uśmiecha się swym najbardziej uwodzicielskim z uśmiechów.

– Byłoby cudownie – mruczy.

– Charles Fielding. – Mężczyzna wyciąga rękę do Sylvie. – Miło mi panią poznać. Pani matka opowiadała o pani same wspaniałe rzeczy.

Sylvie wie, że to mało prawdopodobne, kiwa tylko głową, a mężczyzna zostawia je same.

– Widzę, że masz adoratora! – droczy się przyjaźnie, zasiadając na krześle zwolnionym właśnie przez Charlesa Fieldinga, a matka robi naburmuszoną minę.

– Owszem. I jest bardzo miły, więc nie wyobrażaj sobie za dużo. Widziałam, jak się do niego uśmiechałaś.

W ustach innej osoby Sylvie wzięłaby to za żart, ale nie w ustach Clothilde.

– Mamo! On jest taki stary, że mógłby być moim dziadkiem. Nie mówiąc o tym, że jestem szczęśliwą mężatką.

– Co tam. Szczęśliwe małżeństwo to żadna przeszkoda.

Patrzy na Sylvie oczami jak szparki.

– Trzymaj się z daleka od Charlesa.

Sylvie wzdycha.

– Jasne, mamo. Jest twój. A! Coś ci przyniosłam.

Sylvie grzebie w torebce i wyjmuje świecę, zawiniętą w celofan i szary papier oraz przewiązaną wstążką z rafii. Wręcza ją z dumą Clothilde, a ta obraca prezent w dłoniach i marszczy brwi.

– Co to takiego? *La confiture*? Dżem?

– Nie. To świeca. Pomyślałam, że może zechcesz wypróbować coś innego niż Diptyque.



Sylvie obserwuje, jak matka próbuje rozsypać rafię. Wszelkie propozycje pomocy zostałyby pominięte milczeniem, chociaż Clothilde wyraźnie sobie nie radzi. Wreszcie wyjmując świecę i wgrzyzając się w celofan, rozrywa go zębami, a potem, wciąż ze sporym kawałkiem celofanu w ustach, przechwytuje spojrzenie Sylvie i, rozcapierzając nagle zdrowe palce jak pazury, warczy niczym tygrys, po czym wypuszcza celofan z ust i zaśmiewa się na widok zdumionej miny Sylvie.

– Starej wariatce też się należy trochę zabawy – mówi, puszcza perskie oko i przystawiwszy świecę do nozdrzy, przymyka powieki, bierze głęboki wdech i wydaje cichy pomruk rozkoszy. – *La figue*. – Kiwa z aprobatą głową. – *Et Tubéreuse*. I ambra! Ładne. Podoba mi się.

Sylvie ogarnia przyjemne uczucie zadowolenia. Nawet po upływie tak wielu lat, po przejściu terapii, która pomogła jej oderwać się od matki, radość z tego, że zrobiła coś jak należy, że jej dogodziła, przenosi ją prosto do czasów dzieciństwa. Tej pępownicy nie da się odciąć.

Matka czyta teraz etykietę, a Sylvie siedzi jak na szpilkach i aż się rwie do odsłonięcia kart, ale chce, żeby matka sama się domyśliła, czeka na jej zachwyt, gdy to się stanie.

– Świece Sylvie? – pyta matka. – Zabawne. Cóż za zbieg okoliczności. Gdzie ją kupiłaś?

– Nie kupiłam! – odpowiada ostro Sylvie. – Zrobiłam.

– Zrobiłaś? Jak to?

– Zrobiłam świecę. Stopiłam wosk, skomponowałam zapach i odlałam. Pamiętasz tutejsze zajęcia z owijania świec? Wypytałam o wszystko instruktora. Chciałam odlać dla ciebie perfumowaną świecę, która naprawdę ci się spodoba. Wiem, że przepadasz za figami, a twoje ulubione perfumy to te z tuberozą, więc sama ułożyłam kompozycję.

Gryzie się w język, bo jej głos aż kipi od entuzjazmu w oczekiwaniu na zachwyt matki.

Clothilde wpatruje się w Sylvie, a jej początkowa niepewność przechodzi w konsternację. Znowu opuszcza wzrok na świecę. Milczy.

Uśmiech spływa z twarzy Sylvie, a ona sama obraca lekko głowę i umyślnie patrzy w okno, karcąc się w duchu za ten miły gest, za to, że była dość naiwna, by sądzić, że może w jakiś sposób uszczęśliwić matkę.

Clothilde podnosi świecę i znowu ją wacha.

– Naprawdę bardzo ładna – mamrocze. – Pięknie pachnie i wygląda. Dobra robota.

Sylvie zamiera. Czy przypadkiem nie myli jej słuch?

– Nazwa za to okropna. – Clothilde wpatruje się w etykietę. – Słabo się postarałaś. Ja

byłam zawsze bardzo pomysłowa. Na pewno wymyślę coś sprytnego. Pamiętasz tę kampanię reklamową mydła? Wiedziałaś, że to moja sprawka? Poszliśmy na to przyjęcie wydawane na cześć prezesa firmy...

Matka gada, a Sylvie się wyłącza. W głowie rozbrzmiewają jej usłyszane komplementy i czuje się jak Sally Field na ceremonii rozdania Oscarów: matce się podoba. To jej się naprawdę, naprawdę podoba.

Po chwili wraca na ziemię, i to z hukiem.

– A gdzie twój mężulek? – pyta Clothilde. – Całe wieki mnie nie odwiedzał. Zadzwoń do niego i zażądam, żeby przyjechał.

Sylvie, której ulżyło, że matka sama to załatwi, milczy jak zaklęta.

– Znów jest w delegacji?

– Tak. Wiesz, jak to jest. Wiecznie w drodze.

– O, tak, wiem, jak to jest. Inne miasto, bez żony, bez dzieci, na pewno pysznie się bawi. Musisz go zwabić z powrotem do domu.

– Mamo! – prychna Sylvie. – Czyżbyś sugerowała, że Mark baluje? Z innymi kobietami? To już absurd.

– Absurd? Taki przystojny, młody, jurny facet jak Mark? Mężczyźni nie przeżyją bez seksu, a jeśli nie dostaje go od ciebie, to od kogoś innego.

– Nasze życie erotyczne jest wprost idealne, bardzo dziękuję – próbuje się zaśmiać Sylvie.

– W to nie wątpię. Ale od ciebie dostaje za mało, bo nigdy go przy tobie nie ma. Jak często go widzisz? Tydzień na miesiąc? Nie wygłupiaj się, Sylvie. Musisz zacząć go zachęcać do dłuższych pobytów w domu.

– Żaden tydzień na miesiąc – odpowiada wściekła Sylvie i rachuje w głowie. Na pewno nie tydzień na miesiąc. Mniej więcej dwa tygodnie, połowa tu, a połowa w biurze w Kalifornii lub w drodze. Ale poza tą niespodziewaną wizytą w ubiegły weekend ostatnio bywał tu rzadziej.

Serce znów kołacze jak szalone. Czyżby matka miała rację? Czyżby matka miała rację?

# 15

## *Sylvie*

Sylvie nigdy nie przyszło do głowy sprawdzanie skrzynki pocztowej Marka. Jest – lub dotąd była – dostatecznie pewna siebie, by nie musieć się zagłębiać w życie męża. Zdarzało się, rzecz jasna, że dzwoniła i słyszała w tle kobiecy głos, ale wie dobrze, że połowa jego współpracowników to kobiety. Polityka firmy Marka polega między innymi na budowaniu zgranego zespołu poprzez ciągle organizowanie pracownikom przyjemnych zajęć dodatkowych.

Czy jest wobec tego naiwna, jak zdaje się sądzić jej matka? Czy powinna posunąć się do czegoś tak nieprawdopodobnego jak szpiegowanie? Choć przerażona, ma na to coraz większą ochotę.

W głowie jej się kotłuje. Górę bierze lęk, że ta możliwość się potwierdzi, ale zagłusza go zaraz spokojniejszy głos rozsądku, który podpowiada, że to mało prawdopodobne. Przecież to *Mark*. Nie Bill. To nie typowy flirciarz, trochę zbyt bezpośredni w kontaktach z kobietami z sąsiedztwa, nazbyt poufały, gdy przesadzi z alkoholem na przyjęciu.

Mark nie jest taki. Sylvie widzi, że nawet gdy tak zwane znajome usiłują z nim flirtować, bombardować go zalotnymi spojrzeniami, przysuwać zbyt blisko podczas wieczorów z degustacją wina, Mark się uśmiecha, przeprasza i gorączkowo wypatruje żony ponad głowami zebranych, żeby przyszła mu na ratunek.

Później zawsze się z tego śmieją i okazuje się, że Mark nawet nie zauważył, że ktoś z nim flirtował, i upiera się, że kobiety po prostu zachowywały się przyjaźnie, a Sylvie robi aluzje do jego nowej „dziewczyny” i wie, że może sobie pozwolić na takie żarty, ponieważ nigdy nic nie wskazywało na to, by Mark był zainteresowany kimś poza nią.

Jej myśli przerywa nagle ostry dźwięk telefonu. Zerka na wyświetlacz, widzi, że to Angie, i zjeżdża na pobocze, żeby odebrać.

– Właśnie wyszłam z jogi i najnowsze wieści na temat Caroline i Billa są takie, że Caroline na sto procent wyprowadza się z miasta. Jutro wystawiają dom na sprzedaż. Bill oznajmił Donowi, że romansował, bo Caroline nie znosi seksu. Czyli żadna niespodzianka.

– Co racja, to racja – mówi cicho Sylvie. – Nie wyobrażam sobie Caroline, jak robi z kimś sprośne rzeczy. A już na pewno nie z Billem. Mimo że jest dość... hojnie obdarzony przez naturę.

Angie parska śmiechem.

– Co porabiasz? Wpadnij. Mam chyba tonę babeczek, które zostały po spotkaniu klubu książki. Jeśli nie przyjedziesz mnie powstrzymać, do końca dnia przybiorę ze sto pięćdziesiąt kilo.

Sylvie zerka na zegarek.

– Za pięć minut muszę być w domu. Przychodzi fachowiec od zmywarki i muszę dopilnować, żeby Eve odwiedziła dzisiaj babcię. To może wpadnij do mnie. I nie zapomnij wziąć babeczek.

Sylvie jednym pchnięciem otwiera tylne drzwi, wchodzi do cichej kuchni. Jediną oznaką obecności Eve w domu są nastoletkowe rzeczy osobiste, które niczym okruchy z baśni o Jasiu i Małgosi niechybnie doprowadzą ją do córki.

Za progiem kuchni ciśnięto na środku podłogi plecak, w przejściu leży segregator, a na stole kuchennym – pilśniowy kapelus. Na blacie stoi karton mleka, a na półce brakuje obecnego tam zwykle słoja z ciastkami.

– Eve? – Sylvie odkłada torebkę i zatrzymuje się tylko po to, żeby sięgnąć po jedną ze świec i ją powąchać. Że też udało jej się stworzyć taki cudowny zapach! – Jesteś?

Przechodzi przez dom, zbierając po drodze rzeczy córki, i w końcu zastaje ją w gabinecie. Siedzi ze słojem na kolanach, ze wzrokiem utkwionym nieruchomo w ekranie i nagle wybucha śmiechem.

– Ty debilko! – Eve szczyrzy się do ekranu i dopiero po chwili zdaje sobie sprawę, że do pokoju weszła Sylvie. – O, cześć, mamó! – dodaje i zażenowana spycha słoje na dół, próbując to ukryć.

– Mam cię! – mówi Sylvie, a Eve pąsowieje.

– Przyznaję się do winy – Eve próbuje się śmiać, chociaż wygląda na zawstydzoną. – Przywitaj się z moją mamą – zwraca się do ekranu i go obraca. – Mamó? To Olivia. Mieszka w Nowym Jorku.

Sylvie macha do maleńkiego wizerunku ślicznej nastolatki i myśli sobie, że córka mogłaby już porzucić tę popularną ostatnio manierę intonowania zdań twierdzących tak, jakby były pytaniami.

– Cześć, mamó Eve! – Macha do niej Olivia. – O! Ale jesteś piękna! I taka młoda!

Sylvie kręci głową i się śmieje.

– Chyba masz źle ustawioną ostrość albo brałaś lekcje w szkole czarowania.

– Brała, na bank. – Eve uwiesza się matce na szyi tak, że obie są widoczne na ekranie. – Czyż ona nie jest urocza?

Patrzy czule na matkę, a ta robi do niej śmieszny minę.

– Jestem twoją matką, a nie kociakiem.

– Wiem – wydyma wargi Eve. – Ale jesteś taka urocza. Prawda?

Patrzy na widoczną na ekranie Olivie, a ta kiwa głową i pokazuje uniesione kciuki.

– Już dobrze – Sylvie uwalnia się i odwraca do Eve. – Chcesz czegoś ode mnie. Czego?

– No... – zaczyna Eve, a Sylvie przypomina sobie, co miała zrobić.

– Wiesz co? Muszę tu skorzystać z komputera. Dasz mi pięć minut? Pasuje?

– A ty zgodzisz się na wszystko, o co cię poproszę?

– Odpowiem, że być może, i z pewnością to przemyślę. Co ty na to?

– Niech będzie. – Eve wypada z pokoju.

Sylvie bierze głęboki oddech i otwiera Outlooka. Łamie zasady; szperając, można znaleźć coś, o czym nie chce się wiedzieć. Nie da się poprosić o wyjaśnienie, nie ujawniając, że się szperało, a jak powszechnie wiadomo, niżej już upaść nie można.

Najpierw skrzynka odbiorcza. Sylvie przewija w dół w poszukiwaniu imion kobiet, w poszukiwaniu niespotykanych adresów, które mogłyby skrywać sekretny romans. Znajduje dwa adresy, które wydają się nie wróżyć niczego dobrego, ale okazuje się, że należą do asystentek dyrektorów innych firm i korespondencja jest całkiem niewinna.

Mark ma kilka skrzynek. Sylvie przegląda pozycję za pozycją, otwierając kolejne wiadomości, aż w końcu zaczyna ją nudzić lektura wyników sprzedaży, prognoz, wypisów.

Nie ma absolutnie żadnego dowodu, pozostaje tylko lekki niepokój, obawa, że matka może mieć słuszość. Sylvie musi ją jednak zignorować, ponieważ matka nie jest już sobą, a jej intuicja, choć niegdyś bezbłędna, też nie jest już taka jak dawniej.

W drzwiach pojawia się Eve.

– Skończyłaś?

Sylvie kiwa głową.

– A kim w ogóle jest Olivia? Wydaje się fajna.

– Bo jest. Serio. To koleżanka Claudii z obozu. Poznałyśmy się na Facebooku.

Sylvie patrzy na nią bacznie.

– Dopilnuj, żeby to nie dotarło do ojca. Gdyby wiedział, że zaprzyjaźniasz się z nieznajomymi na Facebooku, wpadłby w szal.

– To żadna nieznajoma, mamó. To koleżanka Claudii. Zresztą właśnie ją poznałaś. Przecież jest taka fajna, prawda?

– Prawda. Wydaje się cudowna. Pamiętaj tylko, żeby...

– Tak, tak. Wiem. Ale mogę ci coś powiedzieć? Ona ma taką zajefajną chatę w Nowym Jorku i jest naprawdę dojrzała i rozsądna. No i... idzie na Uniwersytet Columbia – kończy i wpatruje się w matkę.

– No i?

– Ja też tam powinnam pójść. Albo na Nowojorski. Szkoły na wschodzie przyciągają naprawdę świetnych ludzi. Bardzo chciałabym jeszcze raz rozpatrzeć Nowojorski. Proszę, porozmawiasz z tatą? Proszę!

– Będę jeszcze próbować, ale nie mogę niczego obiecać – wzdycha Sylvie. – Wiesz, jaki potrafi być uparty.

– Jak skończę osiemnaście lat, to będę mogła sama podejmować decyzje. – Eve łąsa się na dobre.

– Nie przeczę, ale kto za nie zapłaci?

– Pójdę do pracy.

– Będziesz potrzebować chyba z dziesięć etatów, żeby wszystko opłacić. Pozwól, że z nim jeszcze porozmawiam. Wiem, że zostało już bardzo mało czasu.

Obie odwracają się, słysząc chrzęst żwiru na zewnątrz. Na podjazd wjeżdża zabytkowy niebieski garbus, z którego wysiadają Angie i jej córka Claudia.

Wychodzą im na spotkanie i Sylvie próbuje wymazać z pamięci wcześniejsze niespokojne, zagmatwane myśli.

# 16

## *Sylvie*

Angie oblizuje palce i pojękuje, delektując się każdą znaną kroplą lukru.

– Czasem kobiecie do szczęścia wystarczy tylko ciacho – oznajmia i rozpiera się zadowolona na siedzeniu.

– Bądź trzy – uśmiecha się Sylvie. – Wtedy kobieta nie posiada się już z radości.

– Tylko trzy? – pyta Angie. – Jestem pewna, że zjadłam trzy i pół. Pyszne były, nie ma co, ale mam okropne przecucie, że jeszcze tego pożałuję.

Sylvie już się nie uśmiecha.

– Właśnie o tym chciałam z tobą porozmawiać. Wydaje mi się, że któregoś wieczoru słyszałam, jak Eve wymiotuje.

Angie siada prosto.

– Chodzi ci o to, że się oczyszczała? Po jedzeniu?

Sylvie potakuje.

– Kiedyś wieczorem zjadła tonę ciastek i niedługo potem przechodziłam koło jej pokoju. Po dobiegających ze środka dźwiękach domyślałam się, że postanowiła je zwrócić.

– Tylko raz to słyszałaś?

Sylvie kręci głową i opowiada o lodach, które Eve, jak sama wyznała, za szybko zjadła.

– A czy natychmiast po posiłku wstaje od stołu i idzie do łazienki? – dopytuje Angie.

Sylvie, która nie zauważyła niczego podobnego, znów kręci głową.

Angie wzdycha.

– Trzeba przyznać, że jest chudziutka i zawsze w coś okutana. Sama się obzerałam i wymiotowałam, kiedy jeszcze byłam modelką, ale nie aż tak poważnie jak niektórzy. To, co powiem, zabrzmi okropnie, ale robiłam to nie dlatego, że cierpiałam na ostre zaburzenia odżywiania, lecz w celach zawodowych... żeby nie przytyć.

– Ale na pewno miałaś zaburzenia odżywiania. To nie jest normalne... wymuszać torsje po jedzeniu.

Angie marszczy brwi.

– Wiem, tak jest, ale gdy tylko skończyłam karierę modelki, przestałam. Nigdy nie sprawiało mi to kłopotu. Nie trzęsłam się z zimna ani... nie porosłam meszkiem. Nie poczerniały ani nie wypadły mi zęby. Może robiłam to za krótko. Albo niezbyt skutecznie. Przykro mi, kochana. Wiem, że oczekujesz ode mnie gotowych odpowiedzi, ale naprawdę myślę, że powinnaś ją wziąć do specjalisty.

– A czy Claudia o czymś wie?

– Twierdzi, że Eve zawsze ma jakąś wymówkę, żeby nie jeść: właśnie jadła, planujecie solidną kolację. Nie przyzna się, że ma problem, a Claudia nie chce jej naciskać.

Sylvie kiwa głową.

– Wkurzyła się, gdy wspomniałam, że warto by było się z kimś spotkać. Ostatnio ma takie humory, że boję się odzywać, żeby nie zakłócić spokoju, chociaż wiem, że chyba niedługo nadejdzie moment, w którym nie będziemy już miały wyboru.

– Nie czekaj do tego momentu – nalega Angie. – Będzie znacznie lepiej, jeśli zainterweniujesz teraz, zanim sprawa zrobi się naprawdę poważna, zanim wyjedzie na studia. Zgodziła się już na Uniwersytet Południowokalifornijski?

Sylvie kręci głową.

– Jeszcze nie wybiła sobie z głowy Nowojorskiego. Z jakiegoś powodu ma hopla na punkcie Nowego Jorku. Coś mi się zdaje, że według niej czeka ją tam życie rodem z serialu *Plotkara*.

– Obawiam się, że to wpływ mojej córki. Wybiera się tam w najbliższy weekend i tylko trzymam kciuki, żeby dzieciaki nie popadły w jakieś tarapaty. Rozmawiałam z jedną z matek i okazało się, że młodzież urządzi sobie imprezę w ich mieszkaniu, pod nadzorem. – Wzrusza ramionami. – Pozostaje tylko mieć nadzieję, że nie będą za bardzo hulać. Hasła „impreza” i „Nowy Jork” kojarzą mi się z klubem Studio 54 i kreskami białego proszku.

– Ach, stare dobre czasy – śmieje się Sylvie.

– Żebyś wiedziała. A ja naprawdę byłam dziewczyną z pipidówki. Całkiem zieloną. Ona jest innym dzieckiem. Poradzi sobie.

– Kto sobie poradzi? – Na werandzie pojawiają się dziewczyny, bezszelestnie, bo w samych skarpetkach.

– No właśnie. – Angie kiwa przemądrzale głową, a dziewczyny przewracają oczami i bez namysłu, jak pszczoły do miodu, podchodzą do stojącego w rogu wielkiego kartonu z wypiekami.



– Chcemy cię o coś zapytać – Eve odciąga uwagę przyjaciółki od pudła. – W weekend Claudia leci do Nowego Jorku na imprezę u swojej koleżanki Olivii i obie uważają, że też powinnam tam być. Zanim odmówisz... – dodaje pospiesznie – ...wiem, co powiedziała by na to tata, ale przecież w najbliższy weekend go nie będzie, więc nie musi nawet wiedzieć. Dla Claudii byłoby znacznie bezpieczniej, gdybyśmy pojechały razem, a przy okazji mogłabym zajrzeć na Uniwersytet Nowojorski. Powiedz, że mogę jechać, proszę. Prooooooszę.

Dziewczyny prawie podskakują z przejęcia, gdy Sylvie, przyparta do muru, patrzy na Angie, jakby szukała pomocy.

Angie się krzywi.

– Pytasz mnie o zdanie?

Sylvie potakuje, a przyjaciółka wzrusza przepraszająco ramionami.

– Uważam, że to dobry pomysł. Eve *powinna* zobaczyć Uniwersytet Nowojorski. Claudia już tam była, więc może ją oprowadzić. Z egoistycznego punktu widzenia byłabym o wiele spokojniejsza, gdyby Claudia leciała w towarzystwie, chociaż wiem, że w zasadzie nie ma to większego znaczenia.

– Tak! – piszczą dziewczyny.

– Zaraz, zaraz – mówi ostrzegawczym tonem Sylvie. – Jeszcze się nie zgodziłam. To przemiło, że cię zaprosiła, ale sama nie wiem, co sądzić o tym, że masz przebywać w Nowym Jorku bez opieki, z ludźmi, których nie znam.

– To proszę zadzwonić do mamy Olivii i pogadać z nią – podsuwa szybko Claudia. – Jest naprawdę miła i zaplanowała różne atrakcje dla przyjezdnych.

Angie marszczy brwi i patrzy na córkę.

– A ilu ma być przyjezdnych? Myślałam, że to kameralna imprezka w mieszkaniu.

– Bo tak jest! – wyjaśnia Claudia. – Ale przyjeżdżają cztery dziewczyny z obozu i niektóre z nas nie mieszkają w Nowym Jorku, więc jej mama w niedzielę ma nas wziąć na musical *Wicked*.

Sylvie spogląda na Eve.

– Nie będziesz się czuć nieswojo w gronie nieznajomych?

– To nie są nieznajomi, mamó – odpowiada Eve. – Znamy się doskonale z czatu i Facebooka. To moje naprawdę dobre znajome.

– Muszę się zastanowić. – Sylvie gra na zwłokę. – Dopytam Angie o szczegóły i przemyślę sprawę. Będę też musiała to omówić z twoim ojcem.

– Nie, mammo! – protestuje ostrożnie Eve. – Nie możesz tego zrobić. Wiesz przecież, że odmówi, uzna, że Nowy Jork jest zbyt niebezpieczny. Nie mów mu, proszę. Nie możesz.

Angie jest zaskoczona.

– Mark uważa, że Nowy Jork jest niebezpieczny? Myślałam, że to tam najczęściej pracuje.

– W tym właśnie szkopał – tłumaczy Sylvie. – Twierdzi, że wie, jak tam naprawdę jest. Właśnie dlatego nie pozwala Eve nawet myśleć o Uniwersytecie Nowojorskim albo Columbii.

– To przecież śmieszne – mówi Angie. – Mark taki nie jest.

– Wiem. Ale ma taki odchył. – Sylvie wzrusza ramionami. – To zupełnie irracjonalne, ale nie byłby uszczęśliwiony, gdyby się dowiedział, że Eve leci do Nowego Jorku.

– Przede wszystkim on nie jest moim tatą – wtrąca się Eve z argumentem, który wytacza rzadko i rzadko o nim myśli, właściwie tylko wtedy, gdy Mark odmawia jej czegoś, na co naprawdę ma ochotę. Mark to jedyny ojciec, jakiego zna, i oczywiście zawsze nazywa go tatusiem, chyba że Mark jej się postawi. – To mój ojczym. Kocham go, mammo, ale nawet ty wiesz, że czasami potrafi zachowywać się całkowicie irracjonalnie.

– Weźmy chociażby ten lęk przed Facebookiem – wytyka Angie.

– To nie do niego należy podjęcie decyzji – ciągnie Eve, pokrzepiona uwagą Angie. – Jestem twoją córką, więc tylko ty możesz decydować, co mi wolno, a czego nie.

Sylvie wzdycha.

– A co z sytuacją, kiedy mówię nie, nie możesz kupić tej skórzanej kurtki, a potem nakłaniasz Marka, żeby ci ją kupił? Kto ma wtedy coś do powiedzenia? Wtedy Mark może wkroczyć i uchylić moją decyzję. Albo wte, albo wewte.

– To co innego – odpowiada Eve. – To tylko nastoletnia córeczka tatusia korzystająca ze swoich praw.

– Aha, to jednak jest twoim tatusiem?

– To zależy. Mammo, sama musisz przyznać, że potrafi zachowywać się nieracjonalnie.

– Eve, nie mogę tego przed nim ukryć, a jeśli się nie zgodzi, nie mogę się nie liczyć z jego zdaniem. Tworzymy zespół, duet. Nie mogę działać za jego plecami.

– Nie zgadzam się – wtrąca Angie i zaraz przeprosza na widok spojrzenia Sylvie. – Przepraszam, ale naprawdę się nie zgadzam. To *twoja* decyzja. Gdyby Mark zaproponował jakieś logiczne wytłumaczenie, sprawa wyglądałaby całkiem inaczej, ale tak nie jest, więc w tym

przypadku naprawdę masz prawo go przegłosować.

– No właśnie! – uśmiecha się Eve. – Wcale nie musisz go pytać. Nawet go tu nie ma. Czy nie mówiłaś, że wróci dopiero w następną środę? Nie musi o niczym wiedzieć.

Sylvie jest w kropce. Ponieważ wychowywała się na tak grząskim gruncie, w otoczeniu tak wielu sekretów, uważała zawsze, że jeśli chodzi o związek, jego podstawę stanowi szczerość.

Nigdy nie kłamała, niczego nie zatajała, nie miała tajemnic. Zanim matka zasiała w jej umyśle ziarno niepewności, zawsze bezgranicznie ufała Markowi. A jednak nie może odmówić racji Eve. Mark ma swoje irracjonalne przekonania i nie chce dyskutować o sprawach, co do których nie ma cienia wątpliwości, choć nie potrafi tego udowodnić.

Rozumie więc frustrację Eve, bo sama też ją często odczuwa. Nierzadko mówi o tym, że szczerość to fundament zaufania, ale nawet jeśli jest bezwzględnie prawdomówna, to czy czasem nie unika ujawniania całej prawdy?

Sylvie od lat wie o tajnym koncercie Eve na Facebooku, lecz nie rozmawiała z nią bezpośrednio na ten temat.

Córka często zostawia otwarty laptop z dumnie wyświetloną stroną główną Facebooka. Sylvie musiałyby być ślepa, żeby tego nie zauważyć, a Eve – głupia, żeby nie zdawać sobie z tego sprawy, ale obie są współwinne, odkąd zawarły niepisaną umowę, że nie poruszają tej sprawy.

Dopóki udawana nieświadomość Sylvie pozostaje niewypowiedziana, Mark nie musi wiedzieć. Deprymują ją te na pozór przypadkowe zakazy; uważa je za męczące i absurdalne. Zdaje sobie sprawę, że jej córka, powszechnie lubiana, będzie cierpieć, jeśli zabronią jej korzystać z tej strony internetowej, która stała się nieodłączną częścią życia współczesnych nastolatków.

Ale Nowy Jork? Jak mogłyby ukryć przed Markiem coś tak poważnego? Jak by to świadczyło o ich związku? I, co ważniejsze, jak by to *wpłynęło* na ich związek? Czy jest gotowa się o tym przekonać?

# 17

## *Eve*

Eve wchodzi po schodach z mieszaniną obawy i nadziei, modląc się, żeby jej matka się zgodziła, żeby pozwoliła jej pojechać do tego szczególnego miejsca, które zawsze chciała odwiedzić, do tego szczególnego miejsca, do którego nigdy nie wolno jej było jechać.

Jeszcze ma nadzieję, że pozwolą jej studiować na Uniwersytecie Nowojorskim. Wie, że to miejsce dla niej. Oczami wyobraźni widzi, jak kroczy ulicami Manhattanu i obraca się wśród nowojorskich intelektualistów, których – o czym dobrze wie – nie spotka na USC.

Leży w łóżku i rozmyśla o przyszłości, ale nie dopuszcza do siebie lęku towarzyszącego tym fantazjom: lęku przed życiem z dala od domu, od wszystkiego, co zna, od wszystkiego, co pewne.

Matka zawsze była dla niej bezpieczną przystanią. Studia w Nowym Jorku to coś, co Eve musi zrealizować, coś, co musi osiągnąć, to tam jest jej miejsce, a jednak myśl o opuszczeniu matki sprawia, że dziewczyna czuje się wykorzeniona, samotna, bezbronna.

Zamiast na niepokoju może się skupić na jedzeniu – cóż za miła odmiana. Im więcej rozmyśla o jedzeniu – co zjadła, co zje, czego nie zje, ile przyswoiła kalorii – tym mniej czasu jej zostaje na rozmyślanie o swoich uczuciach, o swoim bólu, i tym lepiej się czuje.

Prawie... jak na haju. Albo pod znieczuleniem. Nie jest pewna, który to stan, ale jest nieskończenie lepszy niż poczucie, że jest się małą, wystraszoną dziewczynką; poczucie, że świat się zmienia, a ona nad tym nie panuje. Wie, że już coś takiego przeżywała, chociaż nie pamięta szczegółów związanych ze śmiercią ojca.

– Dobrze się czujesz? – odwraca się do niej Claudia.

Leżą już na łóżku przed otwartym laptopem, a Claudia stuka w klawisze.

– Tak, wszystko gra – kiwa głową Eve. – Trochę się tylko denerwuję. Trzymam kciuki. A właściwie trzymam, co się tylko da.

Na ekranie pojawia się śliczna blondynka i macha do nich z szerokim uśmiechem – to Grace, znajoma Claudii.

– Wiem, kim jesteś – mówi do Eve. – Widziałam miliony twoich fotek na Facebooku u Claudii.

– Próbuję ściągnąć Eve na weekend – wyjaśnia Claudia. – Właśnie pracujemy nad jej mamą.

– A czemu mama nie chce cię puścić? Co to za wielkie halo? – pyta Grace.

– Nie chodzi o moją mamę, tylko o tatę – tłumaczy Eve. – Wydaje mu się, że w Nowym Jorku roi się od morderców i gwałcicieli, i nikt nie uchodzi stamtąd z życiem. I to mimo że spędza tam połowę swojego życia zawodowego.

– Niezły odpał – odpowiada Grace. – Ale coś o tym wiem. Mój tata ma schizę na punkcie Kalifornii. Jest przekonany, że cały stan wpadnie w rów tektoniczny i zniknie w wyniku jakiegoś megatrzęsienia ziemi albo tsunami czy czegoś takiego. Był tam raz w czasie trzęsienia. Powiedział, że to przerażające i nie będzie narażał swojej rodziny, chociaż na co dzień też spędza tam masę czasu. Ale jeśli twoi rodzice dygają na myśl o Nowym Jorku, zawsze możesz zatrzymać się u mnie w Connecticut. Z Nowego Jorku jedzie się do mnie jakieś trzy kwadransy. Może twój ojciec łyknie Connecticut.

Eve wzrusza ramionami.

– Myślę, że najlepiej, żeby o niczym nie wiedział.

– Naprawdę mam nadzieję, że przyjedziesz. Nawiasem mówiąc, mój brat Chris widział twoje foty na Facebooku i uważa, że super z ciebie laska.

Claudia wymierza Eve kuksańca.

– Nienawidzę cię! – mówi żartobliwie. – Jej brat to niezłe ciacho!

Eve oblewa się rumieńcem.

– Serio?

– Serio. Na pewno bardzo by się ucieszył, gdybyś przyjechała i zatrzymała się w Connecticut. Pokaże się później w sieci, gdybyś chciała się z nim spotkać na czacie... – Puszczą oko.

Eve śmieje się, ale zaraz wydaje z siebie jęk.

– Jeśli mama nie klepnie tego weekendu, to chyba się pochlastam.

– Nie może nie klepnąć – mówi stanowczo Claudia. – *Moja* mama do tego nie dopuści.

Tymczasem na dole Angie spogląda na Sylvie i pyta:

– No i? Co ty na to?

Sylvie ciężko wzdycha.

– Nie mogę nie powiedzieć Markowi. Nie mogłabym być aż tak nieuczciwa.

– A gdybyś tak poprosiła go o wybaczenie, a nie o pozwolenie? – pyta Angie. – Zebraliśmy tyle punktów od linii lotniczych, że nie mam zielonego pojęcia, co z nimi robić, więc mogę je wykorzystać do zarezerwowania biletu.

– Nie mogę brać od ciebie pieniędzy – Sylvie kręci przerażona głową.

– Po pierwsze, nie bierzesz pieniędzy, tylko punkty. Po drugie, jesteś moją najlepszą przyjaciółką, więc owszem, możesz. Sylvie, nie ma powodu, żeby Eve nie poleciała. Ona i Claudia to najrozsądniejsze dziewczyny w klasie, i do tego najbliższe przyjaciółki. Już całkiem niedługo obie wyjadą i tyle. Przecież chcesz, żeby wracała i żeby zachowała jak najlepsze wspomnienia o domu. Wiadomo wszem i wobec, że to jedno z wariactw Marka, i jeśli powiesz mu dopiero wtedy, gdy Eve będzie już w drodze, nic na to nie poradzi. Najwyżej się trochę powścieka. I co? Przejdzie mu.

– Wiem, że masz rację – wzdycha znów Sylvie. – Tylko to mi pachnie... oszukaństwem.

– Sylvie! – grzmi Angie, coraz bardziej zirytowana. – To żadne oszukaństwo. Nic się nie stanie. Na litość boską, dziewczyny muszą się gdzieś wypuścić i nauczyć, co znaczy odrobina niezależności. Nasze córki nie mają pojęcia, jak naprawdę dać czadu. Możemy przynajmniej wysłać je w podróż i modlić się, żeby ktoś im wcisnął drągi.

– Angie! – upomina ją Sylvie, ale się śmieje.

– Wiesz, że mam rację, prawda?

– Nie. Ale myślę, że przekonałaś mnie, żeby trochę poudawać – uśmiecha się Sylvie i od razu czuje się lepiej. – Zadzwońię do Marka i go zapytam. Jeśli go złapię, to dobrze. Jeśli nie, sama podejmę decyzję.

– Brawo – mówi Angie, a Sylvie się rozpromienia.

Angie to kobieta, którą inne kobiety powinny nienawidzić. Przy pierwszym kontakcie zawsze czują się zagrożone jej urodą, sylwetką i posturą, ale gdy tylko lepiej ją poznają, dają się otulić jej wylewnemu ciepłu, żywiołowemu poczuciu humoru, lojalności i dobroci.

Angie to przykład licznych kontrastów, co, jak twierdzi Simon, decyduje o powodzeniu ich związku.

– Jest jak Sybilla – wzdycha, przewracając oczami, ale i rzucając żonie czułe spojrzenie. – Nigdy nie wiadomo, która Angie wychynie.

Sylvie fascynuje pewność siebie przyjaciółki, to, jak swobodnie czuje się w swojej skórze i jak stanowczo stawia granice. Na przyjęciach robi za duszę towarzystwa, ale jeśli ktoś posunie się za daleko albo zechce nieco zbyt otwarcie poflirtować z tą wysoką rudowłosą pięknoscią, Angie uprzejmie i zdecydowanie gasi jego zapal.

Nie musi poddawać się próbie podrywu, żeby czuć się piękną. Nie musi wysłuchiwać

zachwyków nieznajomych nad swoją urodą, żeby czuć się ważną. Takie słowa słyszy przez całe życie. Nic dla niej nie znaczą.

Dla Angie liczy się rodzina. I przyjaciele. Lojalność. Zaufanie. Dobra zabawa i wiedza, kiedy powiedzieć dość. I właśnie dlatego Sylvie tak ją uwielbia.

# 18

## *Eve*

Eve i Claudia wloką się przez halę lotniska JFK, chichocząc z podniecenia na myśl o czekającym ich weekendzie, i tracą rezon dopiero na hali przylotów po przejściu kontroli celnej.

Przedstawiciele wielobarwnego tygla – ustawione w kilku rzędach hordy ludzi rozmawiających chyba we wszystkich językach świata – wychylają się przez barierki, machają i wrzeszczą na widok dawno niewidzianych krewnych. Posępni szoferzy stoją zniechęceni z tabliczkami albo kartkami papieru, na których nagryzmołono nazwiska, i niezbyt usilnie próbują przyciągnąć uwagę każdego nowo przybyłego pasażera.

– O, w mordę! – Claudia staje jak wryta i z twarzy znika jej uśmiech. – Jak mamy ją odnaleźć w tym tłumie? Nie odpowiada na SMS-y. Wyjdźmy stąd i poszukajmy jej.

Eve czuje, jak w miejsce podniecenia wkrada się znajomy niepokój. Nie tak miało być. Ostatnio niezbyt dobrze radzi sobie ze zmianami, szczególnie tymi całkiem nieoczekiwanymi. Lubi mieć wszystko zaplanowane, lubi wiedzieć, czego się spodziewać, i wszelkie zaskakujące okoliczności wywołują u niej uczucie paniki, czasem trudne do opanowania.

– Wszystko w porządku? – Claudia patrzy na przyjaciółkę i zauważa, że najwyraźniej coś jest nie tak. – Co się dzieje?

– Nic, wszystko gra – mówi Eve, choć to nieprawda.

– Eve? Będzie dobrze.

Eve słyszy te uspokajające słowa, ale nie sposób ją uspokoić, nie w chwili, gdy wkroczy już na tę ścieżkę.

Ubóstwia Claudię; to najlepsza przyjaciółka na świecie, ale już nie rozumie, jak to jest być Eve. Jak może zrozumieć, skoro nie straciła nigdy nikogo bliskiego, skoro nie musi się martwić o swoją wagę, chociaż twierdzi, że jest inaczej, skoro jej życie toczy się tak gładko, nawet jeśli ma inne zdanie na ten temat?

Eve czuje, że oddalają się od siebie, i pragnie, żeby było tak jak kiedyś, ale tak być nie może, bo Claudia nie wie o tylu tajemnicach: o kłamstwach związanych z jedzeniem, o podjadaniu w samotności, a teraz o tych upokarzających wymiotach, mieszaninie wstydu i ulgi, uczuciu odrętwienia, które na nią spływa, gdy wszystko z siebie wyrzuci.

– Muszę lecieć do toalety – mówi Eve, a Claudia marszczy brwi. – Coś mi jeszcze siedzi na żołądku. Zaraz wracam. Zadzwoń i dowiedz się, co jest grane.

Odwraca się, odchodzi i gdy ma już pewność, że Claudia jej nie widzi, szeleści czymś



w torebce i do pierwszego mijanego kosza wyrzuca opakowanie po środkach przeczyszczających.

– O jejciu! – W słuchawce rozbrzmiewa głos Olivii. – Nie wierzę, że już jesteście! Kiedy przyleciałyście?

– Z godzinę temu – mówi Claudia. – Nie możemy znaleźć twojej mamy. Możesz do niej napisać, że tu jesteśmy? Naprawdę się martwię, że już pojechała.

Olivia gwałtownie wciąga powietrze.

– Tak mi przykro. Mamie w ostatniej chwili wypadło spotkanie. Myślałam, że przekazała twojej mamie, żebyście wzięły taksówkę.

– Yyy... nie. – Claudia zmusza się do śmiechu. – O ile mi wiadomo, powiedziała tylko mojej mamie, że odbierze nas z lotniska. Co mamy teraz zrobić?

– Wskakujcie do taksówki i przyjeżdżajcie. Znasz adres, prawda? Mieszkamy przy Park Avenue, ale właśnie remontują hol, więc musicie wejść od Sześćdziesiątej Dziewiątej. Ale się cieszę! No nie wierzę, że już jesteście! Będziemy się świetnie bawić i wiesz co?

– Co?

– Pamiętasz Jacksona? Tego, który wpadł ci w oko, kiedy tu był kilka tygodni temu? Na czacie? Wpadnie później i nie może się doczekać, żeby cię poznać. Powiedział, że jesteś cudowna!

– O ja cię! Pamiętam, ale ciasteczko! – piszczy Claudia, a Eve się śmieje. – A co z Eve? I innymi fajnymi chłopakami?

– Wystarczy poczekać – śmieje się Olivia. – Obiecuję wam konkretny ubaw. Przyjeżdżajcie jak najszybciej!

Rozłącza się, a Claudia i Eve patrzą na siebie osłupiałe.

– Taksówki? – pyta Claudia.

Eve rozgląda się, w końcu zdecydowanie łapie Claudię za rękę i ciągnie ją w stronę znaku z napisem TAXI.

# 19

## *Eve*

Eve, w niektórych sytuacjach tak towarzyska i pewna siebie, czuje się onieśmielona przepychem tego świata. Nigdy wcześniej nie uważała się za zakompleksioną, nigdy nie czuła się zawstydzona, ale świat, z którego się wywodzi, jest mały, znajomy i bezpieczny.

To wszystko – cicha elegancja, portier w uniformie podtrzymujący drzwi szczupłutkim kobietom w futrach, z twarzami o lśniącej, naprężonej skórze i wielkich, błyszczących ustach, kobietom, o których zaawansowanym wieku świadczą wyłącznie przygarbione plecy i powolny, niepewny chód – jest dla niej tak obce, jak życie na innej planecie.

Wyłożony mahoniem hol z połyskującymi kryształowymi żyrandolami, wazami z odorzająco pachnącym bzem, tulipanami o marszczonych płatkach i naręczami sprężystych, poskręcanych gałązek wierzby na każdym wypolerowanym blacie – czegoś takiego Eve jeszcze nigdy nie widziała.

Portier dzwoni do Olivii, a dziewczyny stoją przed nim z szeroko otwartymi oczami.

– John! – warczy za nimi czyjś stłumiony głos. – John! Drzwi!

Następna plastikowa staruszka, o kwaśnej minie przysłoniętej prawie w całości przez olbrzymie, czarne okulary przeciwsłoneczne, choć słońce zaszło kilka godzin temu, łomocze kopertówką w szybę, a poniżej drapią trzy miniaturowe jamniki.

Portier porzuca telefon, biegnie do wyjścia, odbiera od kobiety torby z zakupami i podtrzymuje drzwi, gdy lokatorka mija go bez słowa podziękowania.

– Zabierz psy na górę – warczy, wyciągając w jego stronę smycz i odpinając płaszcz.

Claudia się pochyla i wysuwa dłoń, żeby psy mogły ją obwąchać.

– Ooo! Jakie urocze – grucha słodko, patrząc na kobietę. – Ile mają lat?

Kobieta nie odpowiada, zajęta rozpinaniem płaszcza, a Claudia przechwytuje spojrzenie Eve. Czyżby nie dosłyszała?

– Hm? Pytałam, ile lat mają psy? – Claudia próbuje znów, a kobieta przerywa, taksuje ją wzrokiem, prawie otwiera usta, jakby chciała coś powiedzieć, a potem ciągnie smycz, woła: „Do nogi!” i znika powoli za rogiem.

– Czy ja mam zwidy? – Claudia, czerwona jak burak, odwraca się do Eve. – Czy powiedziałam coś niestosownego?

Portier robi grymas, a potem nachyla się i zniża głos do szeptu:

– To jedna z najbardziej złośliwych lokatorek. Nie bierz tego do siebie. Wszystkich tak okropnie traktuje. Przykro mi. Spróbuję jeszcze raz zadzwonić do panny Forsyth.

Kilka sekund później portier kieruje je do windy, na odchodnym wyciąga z kieszeni dwie paczuski m&m'sów i mrugając wciska im je do rąk, po czym drzwi windy zamykają się bezszelestnie.

Claudia z rozdziawionymi ustami patrzy na Eve.

– Czy to się dzieje naprawdę?

– Nie – Eve stanowczo kręci głową. – Na pewno nie. Żartowałyśmy o scenach rodem z *Plotkary*, a tu masz! Tylko że tu jest dość strasznie. Nie mam pojęcia, co my tu robimy, ale wiem na pewno, że chcę się stąd ulotnić. Claudia? Nie zdawałaś sobie sprawy, że Olivia jest tak obrzydliwie bogata?

Claudia ma niewyraźną minę, a potem wyjaśnia, że na obozie nie dało się niczego o nikim orzec. Wszyscy mieli na sobie mundurki, noszenie biżuterii było zakazane i przez większość czasu pływali kajakami albo wystawiali sztuki.

– Ale chyba coś zauważyłaś? – dopytuje Eve.

– Eve, byliśmy smarkaczami. I to nie był obóz dla dzieci z bogatych domów, w tym rzecz. Organizuje się różne obozy w ekskluzywnych ośrodkach, ale widziałas przecież moje zdjęcia. Warunki były całkiem prymitywne. Nie mieliśmy nawet elektryczności!

– Chyba po prostu się nie spodziewałam, że będziesz taka zaskoczona.

– A ja chyba się nie spodziewałam, że ona jest taka bogata.

– Może mieszkanie jest zwyczajne? Może władowali całą kasę w lobby?

– Jasne – potakuje sarkastycznie Claudia, bo winda właśnie zatrzymała się z cichym szumem, drzwi się rozsunęły i Eve wypchnęła ją nie na klatkę schodową czy korytarz, ale wprost do prywatnego holu.

– Całkiem zwyczajne – szepcze Eve, ogarniając wzrokiem spłowiały perski dywan rozłożony na parkiecie ze szlachetnego drewna, książki i orchidee ustawione na okrągłym stole z orzecha pośrodku pomieszczenia, podłużne mosiężne lampy podświetlające ogromne abstrakcje, w tym najwyraźniej dzieła mistrzów.

Choć zdecydowała, że nie da nic po sobie poznać, Eve nie może się powstrzymać i podchodzi do wspaniałego studium grupy kobiet. Przysunawszy się bliżej, bez większego zaskoczenia dostrzega w prawym rogu sygnaturę Picassa, ale z nabożnego podziwu wyrывa ją naraz okrzyk radości – do holu z furkotem wpada coś białego.

– Clauds! – Olivia, z rozwianymi blond włosami, otulona w biały kaszmir, zarzuca Claudii ręce na szyję i obie zaczynają kręcić się w koło i podskakiwać.

Pojawiają się kolejne dziewczyny. Dwie idą w ślady Olivii, a pozostałe, w tym Eve, stoją zakłopotane, podczas gdy cztery dziewczyny piszczą z emocji, przerywając tylko po to, żeby mówić jedna przez drugą. Wreszcie przestają, jeszcze chwilę się śmieją, w końcu Olivia mruga i ociera łzę z oka.

– Doprowadziłaś mnie do łez! Aż płaczę ze szczęścia. Dziewczyny? – Obraca się do stojących na uboczu koleżanek. – To jest Clauds! Nie wierzę, że znów jesteśmy razem! Boże święty! Ale ze mnie chamka! Eve! Na żywo jesteś jeszcze ładniejsza! A jaka szczupła! Ale ci zazdroszczę!

I Olivia bez śladu skrępowania bierze Eve w objęcia, rozpraszając wszystkie jej obawy.

Dziewczyny przedstawiają się sobie nawzajem. I wtedy Eve uznaje, że doskonale sobie poradzi.

– A gdzie twoja mama? – Eve zatrzymuje się w progu, a pozostałe dziewczyny przepychają się koło niej i opadają z powrotem na ogromną narożną sofę. Na gigantycznym ekranie zawieszonym nad kominkiem leci film *Pamiętnik*, a antyczny indyjski stolik zastawiony jest miskami z popcornem i zasypany papierkami po słodyczach. – Może powinniśmy się z nią przywitać?

– Pewnie później się z nią spotkamy – mówi Olivia. – Coś mi się zdaje, że jej nie ma. Miała jakieś spotkanie, ale nie wiem, czy już dotarła do domu. Nie przejmujcie się. Jest wyluzowana.

– Eve, tak? – W drzwiach pojawia się wysoka blondynka. To Grace, z którą Eve rozmawiała kiedyś na czacie. Na żywo jest jeszcze piękniejsza – nos ma równo usiany piegami, idealnie chropawy, seksowny głos, umięśnione opalone nogi do samego nieba – ale biją od niej otwartość i życzliwość, które natychmiast zjednują otoczenie.

Eve pąsowieje i się uśmiecha; wie już, że jest gotowa się z nią zaprzyjaźnić.

– Tak się cieszę, że ci się udało – odzywa się znów Grace.

– Nic się nie stanie, jeśli tylko mój tata się nie dowie. Moja mama jest spoko i nigdy nie robi problemów.

– A moja wprost przeciwnie – jęczy Grace. – W ubiegłym tygodniu musiała zadzwonić do mamy Olivii i przedstawić swoje oczekiwania. Ale obciach.

Olivia zaczyna rechotać.

– Moja mama potrafi być przekonująca, co? Czy wcieliła się przez telefon w perfekcyjną panią domu?

Grace kiwa głową, a Olivia wzdycha.

– Jedno jej trzeba przyznać: umie doskonale udawać. Przez całe lata żyłam w przekonaniu, że się nami interesuje, ale nie! Ona tylko udawała!

Dziewczyny się śmieją, ale Eve dostrzega w oczach Olivii cień smutku i nie wtóruje koleżankom.

Kilka godzin później dziewczyny piją, palą ziele i wysyłają SMS-y, a na ogromnym telewizorze wyświetlają się filmy z internetowego kanału z horrorami. Tylko Eve i Grace zrezygnowały z uciech i w pewnym momencie cichaczem wymknęły się do kuchni, żeby upiec brownie dla pozostałych dziewczyn, a tak naprawdę po to, żeby wyjść z zadymionego pokoju.

Gdy wracają z tacą świeżych wypieków, koleżanki zrywają się, wiwatują głośno, rzucają im się na szyję, po czym zagłębiają palce w gorącym cieście.

– A skąd wy w ogóle wiecie, jak to się robi? – chichocze Olivia. – Będę was za to wielbić do grobu. Nie wierzę, że znalazła się u nas mieszkanka do brownie. Moja mama jest wiecznie na diecie. U nas w domu takie żarcie jest zabronione.

– Nie znalazła się – odpowiada ze śmiechem Eve. – Zrobiłam je od zera.

– O Boziu! – piszczą zgodnie dziewczyny. – Jak?

Eve i Grace patrzą na siebie i kręcą pogardliwie głowami.

– Panienki z Niu Jorku. Zawsze to samo – mówią ze śmiechem.

– No to co nas ominęło? – Grace siada na sofie i zauważa z ulgą, że dym nieco się rozproszył.

– Właśnie rozmawialiśmy z Allegrą o jej technice robienia lodu – wyjaśnia z uśmiechem jedna z dziewczyn. – Doszliśmy do wniosku, że pójdziemy do niej na korepetycje.

– Nie ma szans! – krzyczy Allegra z udawanym zażenowaniem.

– No, błagam cię – mówi Olivia. – Nie możesz zrobić sześciu lodów w ciągu jednego wieczoru, zdobyć tytuł mistrzyni i nie podzielić się techniką. Tak się nie robi.

– Zrobiłaś sześć lodów? – Tylko Grace jest w stanie wyrazić swoje zdumienie słowami. – Różnym kolesiom? W jeden wieczór?

– To były zawody – uśmiecha się z wyższością Allegra. – Nie miałam wyjścia. Dajcie spokój. Pobiłam wszystkie na głowę.

Do Eve dotarły pogłoski, że dziewczyny robią coś takiego, ale sądziła dotąd, że to

miejska legenda.

– Okej. – Grace kręci głową, żeby zatuszować niesmak, któremu przez chwilę dała wyraz.  
– Ja chyba tego nie kumam.

Odwraca się do Claudii i Eve.

– Od prawie dwóch lat mam chłopaka. Zupełnie nie czuję, po co robić lody na prawo i lewo. Nie twierdzę, że to coś złego – dodaje szybko. – Ale co to daje *tobie*? Dobra, rozumiem, że dostajesz kopa, ale nie masz żadnej przyjemności, no nie? I czy nie obawiasz się, że to pójdzie w świat?

Allegra zamaszystym ruchem przerzuca długie czarne włosy i wzrusza niefrasobliwie ramionami.

– To tylko lodzik. Nic nie znaczy. Przecież to nic osobistego.

– To. Seks. Oralny – cedzi nieustępliwie Grace. – To jest osobiste. *Powinno* coś znaczyć.

– Grace, dla ciebie to inna bajka – wtrąca szybko Olivia. – Bo jesteś w stałym związku. Reszta z nas lubi się zabawić, a to był konkurs. Allegra nie jest żadną zdzirą ani niczym takim.

– Właśnie – dodaje jedna z dziewczyn. – Chłopaki oceniali, która najlepiej ciągnie druta. Allegra nie była jedyna.

– Ty też brałaś w tym udział? – Claudia odwraca się do niej i z zażenowaniem kręci głową.

– Żadna z nas – odpowiada szybko Olivia. – Tylko Allegra i jeszcze dwie inne dziewczyny.

– A jak to w ogóle wygląda? – pyta Claudia, która jest pod wrażeniem nie tyle konkurencji, co tego, jak obyte wydają się te dziewczyny, jakie dorosłe i wyluzowane na tle przyjezdnych. – Każda po minucie, tak?

Allegra kiwa głową; albo nie wie, że jej zachowanie jest w pewnym sensie szokujące, albo ma to w nosie.

– To nic wielkiego. Kucnęłyśmy w rzędzie i pod koniec chłopaki podały punktację. I wygrałam – dodaje beztrąsko.

– Lodowa Królowa? – W głosie Grace pobrzmiwa nuta sarkazmu. Na ułamek sekundy krzyżuje spojrzenia z Eve i widać, że żadna z nich nie może uwierzyć w to, co słyszy.

– Niezła była, mówię wam. To się działo na naszych oczach! I teraz udziela nam lekcji – śmieje się Olivia. – Okropnie się boję, że moja technika jest do bani, a to rzecz, która na stówę skazuje dziewczynę na towarzyską banicję. To naprawdę nic nie znaczy. Wiem, że dla was może

to brzmi dziwnie, ale u nas to nic niezwykłego.

– Zresztą w naszej szkole nikt nie ma oporów – przytakuje Allegra. – Wszyscy eksperymentujemy.

– Nie wszyscy – odzywa się Olivia i uśmiecha się złośliwie. – Tylko ty i Miła.

– O Jezu! – krzyczy Allegra. – Przecież miałaś o tym nie wiedzieć!

Ale śmieje się, bo jedna z dziewczyn, najwidoczniej właśnie Miła, pomrukuje i gładzi ją po tyłku.

– Ożeż ty! Łapy przy sobie. Nie wierzę, że im powiedziałaś! – Allegra odpycha dłoń Mili i siada z powrotem, ale z uśmiechem.

– A czemu by nie? To moje najlepsze koleżanki. Oczywiście, że bym im powiedziała. Spokojnie. Mówiłam im, że było fajnie.

– To fakt – potwierdza Olivia. – Powiedziała, że dziwnie, ale naprawdę fajnie.

Duma połączona z ulgą. Eve, która z mieszaniną fascynacji i odrazy obserwuje całą scenę z innej części pokoju, widzi teraz, że Allegra wyraźnie się rozluźnia. Ogląda to jak urzeczona. Albo tak by było, gdyby tylko znajdowała się za ścianą, a nie tu, pośrodku tego wszystkiego.

Eve w głębi duszy nie ma wątpliwości, że z antropologicznego punktu widzenia dzisiejszy wieczór jest bezcenny. Życzyłaby sobie tylko, żeby ograniczyło się to do jednego wieczoru i nie rozciągnęło na cały weekend. Bez pieczy dorosłych, którzy powiedzieliby stop i narzucili, co wolno a czego nie, te dziewczyny gotowe są na wszystko, byle coś poczuć.

Eve, zarazem starsza i młodsza od siedzących w tym pokoju dziewcząt, nie szafuje lodami jak wylewnymi powitaniem i właściwie nie ma za sobą żadnych doświadczeń poza tym, że obściskowała się z chłopakami i kilku pozwoliła się pomacać, co nie dało jej nic poza obawą, że może być lesbijką.

Czuje się dziwnie niewyrobiona w tym pokoju pełnym doświadczonych seksualnie nowojorskich nastolatek, które rozmawiają o seksie, jakby to była bułka z masłem, które mają wszystko, ale wydają się wyjątkowo znudzone.

Jest zdumiona, zafascynowana, przejęta. Jak te dziewczyny mogą się tak traktować? Jak nisko trzeba upaść, żeby uprawiać publicznie seks oralny?

A może to ona jest kosmitką? Może z *nią* jest coś nie tak? Zawsze chwalono ją za dojrzałość i mądrość, ale może jednak coś z nią nie halo? Zupełnie nie ma ochoty robić tego, co inne dziewczyny, i woli, mówiąc szczerze, wybrać się do kogoś w odwiedzin albo, jeszcze lepiej, ściągnąć kilkoro dobrych znajomych do siebie na pogaduchy. Lubi spędzać czas z rodzicami i wprawdzie od czasu do czasu uznaje, że są obciachowi, denerwujący i nierozsądni, ale w zasadzie jeszcze do niedawna wydawało się, że w miarę sprawnie omija pułapki wieku

dojrzewania.

Aż przestała normalnie jeść i zaczęła się obżerać, a potem wymiotować. Chwilami udaje jej się grać dawną Eve, ale najczęściej czuje się jak własny cień. Ma poczucie, jakby pływała pod powierzchnią wody. Widzi ludzi, których kocha, ale niezupełnie może do nich dotrzeć. Chyba już nie pamięta, co to znaczy być szczęśliwą, i sama nie wie, jak do tego doszło i jak może to cofnąć.

Co dzień budzi się i powtarza sobie, że od dziś wszystko znów będzie normalnie. Dziś nie zwymiotuje. Będzie się odżywiać jak każdy normalny człowiek. Nie dopuści, by znów zżerały ją wstyd i nienawiść do samej siebie, ale nie potrafi, przynajmniej dotąd nie potrafiła, wytrwać w tym postanowieniu dłużej niż przez jakąś godzinę.

Ten weekend miał jej posłużyć. Miał jej pomóc fizycznie rozładować napięcie, zabawić się, pozwolić zapomnieć o rychłej wyprowadzce z domu, o rozpoczęciu studiów. Tymczasem znalazła się w grupie dziewczyn, w której czuje się coraz bardziej nieswojo, i w tej chwili marzy tylko o tym, żeby wyjść i znaleźć sklep, w którym sprzedają lody. Bardzo, bardzo dużo lodów.

– O matko! Pewnie myślicie, że tu są same zdzirzy! – Olivia marszczy brwi, zaciągając się głęboko, wytrzymuje przez chwilę, a potem wolno wypuszcza powietrze i podaje dalej waporyzer. – Dziwne rzeczy się dzieją w tej naszej szkole. Prawie wszyscy to robią i podoba mi się, że jesteśmy tacy otwarci. Mnie o wiele bardziej schizuje bliskość – mówi i patrzy na Eve, która się uśmiecha, ale myśli tylko o słodyczach. Nadal.

– Mnie też! – przytakuje z entuzjazmem Allegra. – Ja na przykład mogę robić wszystko z każdym, byle się nie całować. To *stanowczo* zbyt zażyłe. Całuję tylko swojego chłopaka.

– Albo dziewczynę – dogaduje Olivia. – Ale racja. Ja mam tak samo. Łodzik to nie zażyłość. Pocałunek to zażyłość.

Pozostałe dziewczyny kiwają mądrze głowami.

– O Boziu! – piszczy Charlotte. – A wyobrażacie sobie, co by było, gdyby to był konkurs całowania? Fuj!

– Fuj! – wtórują dziewczyny i aż marszczą nosy z obrzydzenia. – Pocałować Mikeya Hadleya? Co za ohyda!

Zaczynają chichotać i wkrótce wszystkie oprócz Eve i Grace bez tchu tarzają się po sofie w ataku histerycznego śmiechu, trzymając się kurczowo za brzuchy i pojękują, a po policzkach spływają im łzy.

Grace siedzi w milczeniu, spogląda na Eve i wskazuje waporyzer.

– Nie jarałaś, prawda?

Eve kręci głową.



– Chcesz się przejść?

Ledwie zamykają się drzwi windy, dziewczyny spoglądają na siebie z otwartymi ustami.

– Czy ja jestem na planecie Bizarro, czy co? – odzywa się Grace. – Co to, kurwa, jest? Czy to ja zwariowałam, czy te dziewczyny mają poważnie nasrane w głowach?

– Myślałam, że to może *ze mną* jest coś nie tak. Nigdy nie słyszałam bardziej pojechanej rozmowy.

– Moja mama mawia: za dużo pieniędzy, za mało uwagi. To znaczy, nie o Olivii, bo nie zna jej dobrze, i gdy przyjechała do nas na ferie zimowe, moja mama naprawdę ją polubiła, ale... szok. To się zdarza nawet w mojej okolicy. Dzieci z bogatych rodzin też się bawią w takie rzeczy, bo się nudzą.

– To właśnie jest straszne – mówi Eve. – Ta okropna podskórna nuda. Na przykład taka Allegra. Jest megaladna, ale całkiem wyzuta z energii. Wiem, że jest zjarana, i wiem, że dopiero ją poznałam, ale mam wrażenie, że tylko czeka, żeby ktoś jej dostarczył rozrywki, bo samej jej się nie chce niczego wymyślić.

Grace się śmieje.

– Trafiłaś w samo sedno. A Charlotte wydaje się zwyczajnie nieszczęśliwa.

– Szkoda mi Olivii. Wygląda na to, że wie, jakie one są, i wie, że sama jest inna, ale próbuje się wpasować.

– Racja. Nie mogę się nadziwić, że ktoś, kto ma tak dużo, czuje, że stale musi coś udowodniać. Wiesz, kim jest jej tata, prawda?

Dziewczyna kręci głową, a Grace wymienia nazwisko, które nie Eve nie mówi.

– Kieruje jednym z największych funduszy hedgingowych w kraju. Leży na kasie i nigdy nie ma go w domu. Olivia twierdzi, że od zawsze romansuje ze swoją sekretarką, a jej mama o tym nie wie. Ojciec stale prosi Olivię, żeby go kryła. Wyobrażasz sobie? – patrzy na Eve i kręci pogardliwie głową. – Jak można zrobić coś takiego własnej córce, nie mówiąc już o żonie?

– Okropność – zgadza się Eve. – Dlaczego Olivia czegoś nie powie?

– Nie znosi swojego taty, ale też boi się go zdradzić i nie chce zranić mamy. No i boi się, że mógłby je zostawić. Już teraz czuje, że ma go za mało. Jej tata stale pracuje, a gdy wraca do domu, zamyka się w gabinecie albo siedzi przyklejony do iPada. Oboje praktycznie nie mieszają się w sprawy dzieci. Brat Olivii studiuje w Deerfield i Olivia też tam miała pójść, ale odmówiła.

– A przecież Olivia twierdziła, że jej mama zaplanowała dla nas zajęcia na weekend, i miałyśmy pójść na *Wicked*?

– Jestem pewna, że jej mama coś zaplanowała, tyle tylko, że te plany nie obejmują rodziców. Rzeczywiście kupiła bilety na *Wicked*, ale idziemy same. Bez dorosłych.

Grace wzrusza ramionami, a potem uśmiecha się zniechęta.

– Olivia ma przechłapanie, chociaż w pewnym sensie zazdroścę jej takiej swobody. Moja mama to totalna despotka, więc tyle wolności nie mieści mi się w głowie. Mojego taty też nigdy nie ma w domu, więc kiedy już przyjeżdża, mamy rzucać wszystko i rodzinnie spędzać czas. Aż mi się nie chce wierzyć, że puścił mnie na ten weekend.

– A gdzie mieszkasz? Przypomnij mi.

– Jakies czterdzieści minut autem stąd. W Connecticut. New Salem?

Eve kiwa głową. Zapomniała, że Grace wspominała o tym na czacie.

– Nie narzekam. Wiesz, typowe przedmieścia, ale z większymi domami. W mojej szkole jest masa dziewczyn podobnych do Allegry i Charlotte. Ślicznych, ale zagubionych. I znudzonych.

– Sama też jesteś śliczna. I całkiem inna niż one.

Eve zupełnie nie rozumie, dlaczego Grace reaguje grymasem. Jest naprawdę śliczna: ma długie nogi, dołeczki na policzkach i szeroki, idealny uśmiech. Jeśli dodać do tego zmierzwiowane włosy ciemnoblonde, Grace jest uosobieniem amerykańskiej urody.

– O Boziu! – śmieje się. – Moja rodzina bywa odjechana, ale inaczej. Życie na przedmieściach też jest przechłapanie, tylko z innych powodów. Ale za to mam fajnego chłopaka i superbraci, a to na pewno dużo daje. O wilku mowa... a wilk tu! – Uśmiecha się, słysząc buczenie telefonu. Zatrzymuje się, odczytuje wiadomość i na twarz wypływa jej szeroki uśmiech. – Landonowi odwołano mecz. Dzięki ci, Panie! – Wznosi oczy do nieba i uśmiecha się jeszcze szerzej.

– Co to znaczy?

Eve rzędnie mina. Czy to oznacza, że Grace jedzie do domu, do swojego chłopaka? Czy Eve zostanie rzucona na pastwę tych dziewczyn, z którymi nie łączy ją nic poza znajomością z Claudią? Na wspomnienie pokoju, dziewczyn rozłożonych na sofie, rozmów, które usłyszała, na barki spada jej ciężar lęku, a jej twarz wszystko zdradza.

– Mam pomysł! – zapala się Grace. – Może pojedziesz ze mną do mojego domu? Wsiądziemy w pociąg i zatrzymasz się u mnie! Rodzice dziś wieczorem mają wychodne, ale nie będą mieli nic przeciwko. Wiem, że tak samo jak ja nie chcesz wracać do tego pokoju. W domu są moi bracia, więc może być trochę zamieszania, ale zgódź się, proszę!

– Zamieszania? – pyta oszołomiona Eve, ale wie, że o niebo wolałaby zostać z Grace niż znów przekroczyć próg mieszkania Olivii.

– Psy, dzieci, hałas – śmieje się Grace. – Kiedy rodzice wychodzą, chłopaki czasem dostają korby. Pojedź ze mną, proszę! Wiem, że nie znamy się za dobrze, ale nie mogę cię tu zostawić z tymi ludźmi. Przyjechałam tylko dlatego, że miała dołączyć Naomi, inna znajoma z obozu, ale wymiksowała się w ostatniej chwili, a ja czułam się już zobowiązana. Jutro możesz wrócić pociągiem, jeśli zechcesz się pobujać z dziewczynami. Proszę – błaga. – To tylko jedna noc, a we dwie będziemy się bawić o wiele lepiej.

Eve czuje się rozdarta. Marzy o tym, żeby pojechać z Grace. Może i jej nie zna, ale wie, że ją lubi. Nie może być nic gorszego niż ten zadymiony pokój i te zblazowane dziane dziewczyny. W domu Grace pewnie jest wesoło. Z jej opowieści wynika, że ma taką rodzinę, o jakiej zawsze marzyła Eve. Dzieci, zwierzęta, harmider. Cóż za kontrast w porównaniu ze spokojnym życiem jej rodziny, bez rodzeństwa, bez hałasu, z matką, która nawet nie chce angażować się w życie szkoły.

Ale czy to wypada? Czy Olivia się nie obrazi? A nawet jeśli nie, to jak może zostawić Claudię? Co ona zrobi pod nieobecność Eve? Czy nie powinna jej pilnować?

Zmienia zdanie. Przecież początkowo w ogóle miało jej tu nie być. Może i wszyscy żartują, że Eve to anioł stróż Claudii, ale to nieprawda. To za duża odpowiedzialność. Claudia jest dostatecznie dorosła, żeby się o siebie zatroszczyć, zresztą to tylko jedna noc. Jutro wróci, pójdzie do teatru, pozwiedza Nowy Jork, zrobi to, co zaplanowały.

Grace nie spuszcza z niej oka.

– I co ty na to? Głupio będzie tak wyjechać?

Jest piękny wiosenny wieczór. W ciepłym powietrzu, w świetle kuszących witryn sklepowych chodzą nowojorczyki z przytkniętymi do uszu telefonami i ze smyczkami, na których prowadzą obwąchujące chodniki psy, i nikt nie zwraca uwagi na dwie stojące na rogu dziewczyny, jedną pełną wyczekiwania, a drugą pogrążoną w głębokim namyśle.

Eve czuje przyływ podniecenia. Choć nie jest pewna, czy słusznie postępuje, powoli kiwa głową, a Grace piszczy i zarzuca jej ręce na szyję.

– Ale się cieszę! Będziemy się super bawić.

– Ale chyba mnie nie zostawisz i nie znikniesz na górze ze swoim chłopakiem, czy coś w tym stylu?

– Nie! Żartujesz? Landonowi nawet nie wolno wchodzić na górę. Będę uziemiona na amen. Czekaj, tylko im napiszę, że zabieram cię do siebie – mówi i zaczyna stukać w ekran.

– A co im powiemy?

– Prawdę. Żadna z nas nie pije ani nie pali, więc nie czujemy klimatu i spotkamy się jutro. Proste.

Eve się uśmiecha. Oczywiście. Po co się motać i próbować ukrywać, że nie jest taka jak one? Dlaczego nie postawić sprawy jasno? Czego się obawiała? Że jej nie polubią? Nie zaakceptują?

A nawet jeśli, to co z tego?

Wracają do windy i do wielkiego holu. Tym razem przez obszerne korytarze niesie się z pokoju mieszanina męskich głosów i piskliwego dziewczęcego śmiechu. Eve, tak przejęta tym, co mają do przekazania, czuje teraz tylko ulgę, że nie musi zostawać tu na noc.

– Wprawdzie mówiłaś, że jej rodziców nie ma, ale nawet tu czuć zielem – szepcze Eve, gdy sięgają po torby. – Naprawdę to olewają?

– Wygląda na to, że tak – mówi Grace i zatrzymuje się przy lśniącej półokrągłej konsoli zastawionej zdjęciami w srebrzystych ramach. Z każdej fotografii uśmiecha się szeroko szczupła blondynka z idealnie ufrizowanymi włosami, skórą spieczoną na karmel i wielkimi diamentowymi kolczykami w uszach. Inne zdjęcia pochodzą najwyraźniej z wakacji: kobieta siedzi na pokładzie jachtu, śmieje się, odrzucając w tył głowę, a spod jej zwiewnej tuniki wystają sznureczki wzorzystego bikini; jeszcze inne przedstawiają otwarcie sezonu New York City Ballet, gdzie matka Olivii występuje w pomarańczowej, szyfonowej, sięgającej podłogi sukni z odkrytymi ramionami, otoczona identycznymi kobietami prezentującymi identyczne uśmiechy.

– Czy ona ci wygląda na kobietę, która poświęca dużo uwagi dzieciom? Wyobrażasz ją sobie w ogóle, jak huśta dzieci na placu zabaw? Albo wchodzi z nimi do łóżka, żeby się poprzytulać? Wiem, że to nie w porządku, bo pozory mogą mylić, ale te zdjęcia naprawdę dużo mówią.

– Jezu! – odpowiada Eve. – Już nie bądźmy takie wredne. Zgadzą się co do tego, że lubimy Oliwię. Nie lubimy tylko jej kumpeli. Przestańmy już.

– Masz rację. Zepsute dziewczuchy. Zajrzyjmy do nich szybko i się pożegnajmy. Musimy lecieć na pociąg.

– Myślisz, że musimy tam wchodzić i się żegnać? – Eve krzywi się na samą myśl.

– A co kombinujesz?

– Czy wysłanie SMS-a będzie ostrym przegięciem pały?

Grace wybucha śmiechem.

– Tak! – mówi. – To naprawdę ostre przegięcie. Tak zrobmy – dodaje i chwyciwszy Eve za rękę, wciąga ją z powrotem do windy i zamyka drzwi, zanim któraś z nich postanowi zmienić zdanie.

## 20

### *Eve*

Podróż pociągiem mija w mgnieniu oka. Dziewczyny non stop gadają, podają sobie słuchawki i dzielą się swoimi playlistami, kartkują zakupione na Grand Central czasopisma plotkarskie, studiują stroje i fantazjują o idealnej sukience na czerwony dywan.

Eve zastanawiała się, czy nie powiadomić matki, że jedzie do Grace, ale to przecież tylko jedna noc. Jutro wróci do Olivii; ma numer jej komórki. W dzisiejszym nowoczesnym świecie ludzie są stale w kontakcie.

Dziewczyny wyskakują z pociągu, a na peronie rusza w ich stronę wysoki, sztywny chłopak, który uśmiecha się na widok Grace i podrywa ją z ziemi w silnym uścisku.

Potem odwraca się do Eve, wyciąga rękę, przedstawia się i dodaje, że miło mu ją poznać, a dziewczyna tylko stoi jak zaczarowana, aż wreszcie się opamiętuje i mówi, że jej też miło go poznać.

Tak niewielu znanych jej chłopaków postąpiłoby podobnie. *Co najwyżej* mogłaby się spodziewać krótkiego „Hej!” czy „Co tam?”, przy czym normą jest milczące skinienie głowy w charakterze ukłonu.

Chłopcy w jej wieku nie podają ręki i nie mówią zdecydowanym, pewnym tonem, że miło im ją poznać. Chłopcy w jej wieku nie sięgają po obie torby i nie niosą ich do samochodu, a zanim zasiądą za kierownicą, nie uchylają przed dziewczynami drzwiczek.

– Czy on nie jest cudowny? – Grace obraca się do siedzącej na tylnym siedzeniu Eve i głaszcze prowadzącego samochód Landoną po karku.

– Jest – przyznaje Eve. – A jak tu pięknie! Czy to główna ulica?

Mijają zadbane sklepy, stare kino i lodziarnię.

– Jak z katalogu!

– Tak do tego przywykliśmy, że nie zwracamy już na to uwagi – śmieje się Landon. – Dobrze to zobaczyć oczami innej osoby.

– Szczególnie jeśli ta osoba przyjeżdża tu pierwszy raz. Witamy w Nowej Anglii – mówi Grace i przesadnym gestem omiata ręką otoczenie, prezentując okazałe wiekowe budynki.

Większość stoi w znacznej odległości od szerokiej, spokojnej drogi. Stare kamienne murki i rozległe podjazdy wiodą do wielkich oszalowanych domów z eleganckimi, okalającymi budynki werandami i przyległymi stodołami z drewna. Potężne, kilkusetletnie klony górują majestatycznie nad dachami, a ich wiotkie srebrzyste liście, rozświetlone zmyślnie ustawionymi

na ziemi reflektorami, szemrają cicho pod aksamitnym czarnym niebem.

Eve ogląda to wszystko z otwartymi ustami. Każdy kolejny dom wydaje się większy i piękniejszy od poprzedniego; nie widziała dotąd takiego bogactwa.

– Kto tu mieszka? – pyta. – To chyba miasteczko milionerów.

Landon wskazuje ręką domy.

– Fundusz hedgingowy, fundusz hedgingowy, fundusz hedgingowy.

– Nie wszyscy – marszczy brwi Grace. – Sam mieszkasz w wielkim domu, a nie masz z tym nic wspólnego.

– Racja. Ty też nie. Ale my to stara gwardia. Mieszkająca we wspaniałych domach z ciekącymi dachami.

– Tak jest. – Grace znów obraca się na siedzeniu. – Landon pochodzi ze starej, majątnej, arystokratycznej rodziny.

– Owszem. Tak starej, że majątek zdążył przepaść – śmieje się Landon, powtarzając swój ulubiony żart.

– A jednak mieszkają w najpiękniejszym domu w miasteczku... – wyjaśnia Grace.

– Tylko brakuje nam pieniędzy, żeby go odnowić – uśmiecha się Landon, nie robiąc sobie nic z przytyku.

– Ale macie przecież Sidneya – dodaje Grace.

– To prawda. Ale w tej chwili Sidney potrzebuje staranniejszej opieki niż dom.

– Też racja – uśmiecha się Grace i wyjaśnia, że Sidney mieszka w jednym z domów należących do posiadłości rodziny Landona i pracuje jako dozorca jeszcze od czasów jego dziadków. Teraz już przekroczył osiemdziesiątkę i może co najwyżej zajmować się psami.

– Twój dom też taki jest? – pyta Eve Grace.

– Niiieee! – Landon gwizdże przeciągle i kręci głową. – Wprost przeciwnie.

– To skomplikowane – mówi Grace. – Mój tata w pewnym sensie pasuje do rodziny Landona. Gdyby postawił na swoim, nasz dom byłby podobny.

– Ale potem ożenił się z Generałem – dodaje Landon.

– Tak nazywa moją mamę – tłumaczy z uśmiechem Grace. – Wydaje mi się, że to jej ubliża, ale ponieważ jest zachwycona pochodzeniem Landona, udaje, że to zabawne.

– Twoja matka za żadne skarby nie zamieszkałaby w naszym domu.

– Mylisz się! – mówi Grace. – Dałaby się za to pociąć. Tylko najpierw przeprowadziłaby generalny remont.

Przykłada dłoń do ust i kiwając porozumiewawczo głową, szepcze teatralnie:

– Nuworyszka.

Landon znów się śmieje, a Grace wyjaśnia:

– Moja mama ma fioła na punkcie perfekcjonizmu. Porządek, czystość i reguły – to cała ona.

– Boże święty! Reguły! – wzdycha Landon. – Załaminowała je i powiesiła na ścianie w przedsiönku, więc każdy wchodzący od razu je widzi.

Eve jest zaciekawiona. Reguły? W jej domu nigdy nie było reguł jako takich. A może i są, ale niepisane. Sam pomysł wywieszania ich na ścianie wydaje jej się dziwaczny.

– Co to za reguły? – pyta.

Landon odchrząkuje.

– Numer jeden: przed wejściem do domu buty należy zdjąć i schować do wyznaczonego schowka. Kurtki należy odwieszać. Goście mogą porządnie ustawiać buty na półce. Zasada numer dwa: proszę się nie częstować jedzeniem. Najpierw proszę zapytać. Zasada numer trzy: po jedzeniu proszę opłukać talerze oraz kubki i wstawić je do zmywarki. NIE ZOSTAWIAĆ W ZLEWIE. Proszę dosunąć krzesło do stołu, a przed wyjściem wylizać podłogę...

– Landon! – Grace też zaczyna się śmiać. – Tego tam nie ma! Ale reszta się zgadza. Wstyd, co? – Obraca się znów do Eve. – Jedyne plus jest taki, że wiszą już tak długo, że wtopiły się w otoczenie.

– Zaczynam się martwić – mówi Eve. – Z waszych opowieści wynika, że pomysł sprowadzenia do domu obcej osoby zupełnie nie przypadnie twojej mamie do gustu. Nie dostanie szału?

– Nie – śmieje się Grace. – Bywa bardzo spięta, ale lubi też, gdy zapraszamy wszystkich znajomych do domu. Czuje wtedy, że ma nas na oku. Mamy do dyspozycji suterene i w sumie nikt nam nie zawraca głowy. Mama jest znacznie szczęśliwsza, kiedy wie, że jesteśmy pod jej dachem.

Eve myśli o swojej matce i próbuje ją sobie wyobrazić w domu pełnym młodzieży, ale nie potrafi. Gdy była młodsza, marzyła o rodzeństwie, o wielkiej, hałaśliwej, szczęśliwej rodzinie. Takiej jak rodzina Grace. Chociaż ma poczucie, że jej własna rodzina też jest w pewnym sensie

dokładnie taka, jak zawsze chciała.

– Nie wyobrażam sobie mojej mamy otoczonej wianuszkami dzieciaków – mówi z zadumą. – Ale nie chodzi o to, żeby się rządziła, tylko o to, że angażuje się w różne projekty i nie bardzo zauważa, co się w ogóle dzieje w domu. Lubi, jak w domu jest ładnie, ale chodzi raczej o charakter niż o pedanterię. Nasz dom jest przede wszystkim przytulny.

Grace wzdycha.

– *Uwielbiam*, jak jest przytulnie. Chciałabym, żeby u nas tak było, ale przytulności i perfekcjonizmu chyba nie da się pogodzić.

– A skąd się to bierze, ta potrzeba perfekcji? – pyta Eve, wychylając się do przodu.

– Mama pochodzi znikąd, zakochała się w moim tacie, który urodził się w starej nowoangielskiej rodzinie, i wydaje mi się, że zawsze miała kompleksy. Mówi, że przyglądała się bacznie mojej babci i próbowała się dowiedzieć, jak się ubierać, jak podejmować gości. Nawet jak mówić.

Landon znów się zaśmiewa.

– Twoja mama rzeczywiście ma najbardziej obłądny akcent, jaki słyszałem. Coś jakby ją wyjęli ze starego czarno-białego filmu. Do dziś mam ochotę się kłaniać na jej widok.

Teraz Grace wybucha śmiechem.

– Mówię ci, że to podróba. Mama jest z Queens i żadna inna znana mi osoba z Queens tak nie mówi. Przysięgam, że finguje.

– Ale po co to robi? – Eve nie rozumie.

Grace wzrusza ramionami.

– Taka już jest. Chyba dlatego, że nie czuje się dość dobra i tak bardzo się stara przewyższyć wszystkich pod każdym względem. Musi mieć idealny dom, idealne dzieci, idealne życie.

– To chyba macie naprawdę ciężko? Nie czujecie ciągłej presji?

Grace w końcu przestaje się uśmiechać.

– Jest ciężko – mówi cicho. – Kocham mamę, ale... lekko nie jest. To, co robimy, nigdy nie jest dość dobre. Albo raczej to, co robię ja. Chłopakom wszystko uchodzi na sucho. Najbardziej się uwzięła na mnie, bo jestem jedyną dziewczyną. No i na tatę. Jego też nie oszczędza.

Landon bierze ją za rękę, ściska delikatnie i nie spuszcza wzroku z drogi, zwalnia



i łagodnie skręca między wielkie kamienne filary.

Grace mruga szybko i potrząsając głową, próbuje zmienić temat rozmowy.

– Dosyć o mojej stukniętej rodzinie. Jesteśmy na miejscu. Nie ma jak w domu.

Samochód toczy się z chrzęstem po żwirowym podejździe, mija dwa stare kamienne budynki – stodołę i domek gościnny – i dopiero wtedy ich oczom ukazuje się sam dom.

Doskonale symetryczny, niski, szary, z pięknymi metalowymi skrzyniami w oknach, wypełnionymi liliowymi hiacyntami i bluszczem płożącym. Frontowych schodów strzegą z obu stron kamienne charty, przed każdym skrzydłem domu ciągnie się ogród francuski z niskim, idealnie przyszyżonym bukszpanem i klasyczną hortensją drzewiastą pośrodku, a między oknami stoją stare metalowe donice z drzewkami mirtu.

Wygląda to tak, jakby niewielkie, eleganckie *château* uniosło się nad Francją, przeleciało nad Atlantykiem i osiadło bezszelestnie pośród liściastej feerii New Salem.

– Idealny – szepcze Eve, wysiadając z samochodu i napawając się widokiem. – To najbardziej idealny dom, jaki widziałam.

– A nie mówiłem! – Landon mimochodem ściska jej ramię, przechodząc do bagażnika po torby, a tymczasem zza rogu wypadają dwa labradory i machając jak szalone ogonami, obwąchują ich radośnie, okrążają nogi i wtykają mokre nosy w dłonie, domagając się pieszczot.

Grace siada w kucki, żeby jej pogłaskać, otacza je ramionami i kładzie im głowę na grzbietach.

– Przywitaj się z Montym i Brunonem. Moje malutkie.

Przemawia do nich czule, cmoka je w nosy, a potem prowadzi Eve za węgieł, do przedsionka z osławionymi regułami na ścianie, i dalej, do największej kuchni, jaką dziewczyna kiedykolwiek widziała.

– Umieram z głodu – mówi Grace, a Eve podchodzi za nią do lodówki, wgapiając się w grube na dziesięć centymetrów marmurowe blaty, ciężkie szklane żyrandole i gigantyczny piec kuchenny La Cornue.

Nad wyspą kuchenną zwisa z sufitu metalowy drążek, na którym tłoczą się lśniące, nieskazitelnie czyste miedziane rondle, a za stół kuchenny służy ustawiony przy wyspie blat z polerowanego betonu, podparty antycznymi żeliwnymi nogami.

Grace, która kuca przy lodówce i przegląda jej zawartość, odwraca się i widzi, że Eve zatrzymała się przy stole i przesuwając dłońmi po jego powierzchni.

– Odlewany beton – mówi. – Woskowany. Blaty ze złocistego marmuru Calacatta. Krany Waterworks. *Jak widać*. – Uśmiecha się. – Wydaje mi się, że moja mama nie znosi całej tej

kuchni, ale wyczytała, że to ostatni krzyk mody, więc musieliśmy ją mieć. Nie chce się przyznać, że tęskni za naszym starym drewnianym stołem, chociaż czasem przyłapujemy ją na pokpiwaniu z betonu.

Obraca się z powrotem w stronę lodówki i wzdycha.

– Nie ma nic do żarcia. A ja umieram z głodu.

– Myślałam, że nie wolno wam się częstować bez pytania? – ośmiela się Eve, przypominając sobie o regułach.

– Nie wolno, ale i tak to robimy – mówi Grace. – Mama wprowadziła ten zakaz, gdy byliśmy naprawdę mali i chłopcy potrafili wyjeść całą zawartość lodówki. Nie żeby teraz tego nie robili, ale kupuje dla nich żarcie i napycha nim szuflady... *szuflady!* Grace wstaje, podchodzi do blatu i wysuwa coś, co, jak się okazuje, jest zabudowaną szufladą chłodniczą.

– Mniam! – Wyjmuje aluminiową tackę z lasanią i chwyta telefon, żeby wysłać wiadomość. – Muszę tylko sprawdzić, czy można.

Kilka sekund później telefon wibruje, Grace uśmiecha się i właśnie podchodzi z lasanią do piekarnika, gdy na schodach z sutereny rozlega się tupot nóg.

Oto męskie wcielenie Grace. Jej długie nogi, jasne włosy o popielatym odcieniu, zielone oczy. Ma smukłe kończyny i jest – jak zauważa natychmiast Eve, gdy chłopak przeciąga się w drzwiach, odsłaniając naprężony, muskularny brzuch – prawie nieznośnie przystojny.

– Cześć, siora! – mówi i dopiero teraz dostrzega Eve. – O! Hej. Nie wiedziałem, że ktoś tu jeszcze jest. Cześć.

Podchodzi do Eve, która natychmiast żałuje, że nie poszła do łazienki poprawić włosy i nałożyć błyszczczyk.

– Jestem Chris. Fantastyczny starszy brat Grace. Wiem, kim jesteś! Jesteś tą niezmierną laską z Facebooka!

Uśmiecha się, a Eve ściska podaną dłoń i przedstawia się, wściekła, że oblała się rumieńcem, z nadzieją, że chłopak nie zauważył pełzającej jej po twarzy fali gorąca.

– Olej go – mówi Grace. – To potwór z ciemności. Wynurza się z otchłani zwabiony zapachem jedzenia.

– *À propos* – zagaja Chris i zagląda do piekarnika. – Co tak ładnie pachnie?

– Lasania. Mama kazała ją podgrzewać przez pół godziny. Będziesz musiał poczekać.

– Dobra. Zrobić sałatkę? – Podchodzi niespiesznie do lodówki i wyjmuje warzywa. Eve gapi się na niego, a Grace rozdziawia usta.

– Masz gorączkę? – pyta. – Serio. Zaczynam się martwić. Zadzwoń po lekarza?  
Zdecydowanie nie jesteś sobą.

– Uhaha! – Chris bierze nóż i zaczyna kroić ogórka na nierówne kawałki.

– Nie obrałbyś go najpierw? – uśmiecha się Grace. – Byłoby ci o wiele łatwiej się popisywać.

Przysuwa się do Eve i szepcze jej do ucha:

– Robi to ze względu na ciebie!

– Masz rację – przyznaje Chris, odkłada nóż, obchodzi wyspę, siada na stołku obok Eve i odwraca się do niej. – Grace, ty powinnaś zrobić sałatkę. Ja tu sobie posiedzę i zapoznam się z twoją koleżanką.

– Ja to zrobię! – podrywa się zawstydzona Eve, która chce z nim porozmawiać, ale obawia się, że znów się zaczerwieni albo wyjdzie na kretynkę, bo czuje, że dar mowy chwilowo ją opuścił.

– Nie – mówi Grace. – Zostaw to mnie. Posiedź sobie. Albo idźcie na dół. Landon pewnie usadził się już przed ekranem i ogląda baseball, co?

Chris kiwa głową.

– Zawołam was, jak będzie gotowe.

– Na pewno? – waha się Eve, ale Grace jest niewzruszona, więc Eve, założywszy włosy za uszy, schodzi za Chrisem po schodach do rozświetlonego pomieszczenia urządzonego tak, by zaspokoić wszelkie możliwe potrzeby nastoletnich lokatorów.

Na jednej ścianie wiszą poobijane deski surfingowe, przed telewizorem rozrzucono kilka wielkich worków sako, za nimi stoi narożna sofa. W rogu utknięto oldskulowe flippery, a obok nich postawiono maszynę do prażenia kukurydzy.

– Od lat nie działa – wyjaśnia Chris i wzrusza ramionami, prowadząc ją po pokoju. – Ale fajnie wygląda. Jak ci idzie gra w ping-ponga?

Podchodzi do stołu, bierze raketkę i patrzy Eve wyzywająco w oczy.

Dziewczyna się uśmiecha.

– W te strony lepiej się nie zapuszczaj – mówi żartobliwie, a gdy podchodzi do stołu z drugiej strony i sięga po raketkę, czuje, jak napięcie zaczyna z niej schodzić.

– O, doprawdy? – uśmiecha się Chris. – Czyżbym wyczuł w twoim głosie ducha

rywalizacji?

– Jeśli chodzi o ping-ponga, to jak najbardziej – odpowiada Eve. – Przekonasz się być może, że choć najwyraźniej należysz do wytrawnych sportowców, to w tej konkurencji zrobię z ciebie miazgę.

– Podoba mi się, jak kobieta używa w zdaniu słowa „wytrawny” – uśmiecha się Chris.

– Źle mnie zrozumiałeś – mruczy pod nosem Eve. Tylko nie spiecz raka. Tylko nie spiecz raka. Tylko nie spiecz raka.

– To jak? – pyta Chris jakby nigdy nic. – Gotowa?

Eve kiwa głową, bierze piłeczkę i serwuje nad siatką tak szybko, że Chris ledwo ma czas ruszyć ręką.

– Okej – mówi z uśmiechem. – Teraz wiem, co mnie czeka. A już chciałem być dżentelmenem i pozwolić ci wygrać...

– Do boju! – droczy się Eve.

Chris serwuje, dziewczyna błyskawicznie odbija piłeczkę, chłopak wydaje okrzyk, odbiera, po czym odbijają tam i z powrotem, śmiejąc się z niewiarygodnych uderzeń, które udaje im się odebrać. Grają tak szybko, tak popisowo, że aż Landon odrywa się od meczu i podchodzi popatrzeć.

– Gdzie się nauczyłaś tak świetnie grać w ping-ponga? – pyta Landon. – Nie spotkałem jeszcze nikogo, kto by się mógł zmierzyć z tą rodziną. Żadne z nas już nawet nie zavraca sobie tym głowy.

– Coś ci powiem. – Chris odkłada raketkę. – Jesteś moją pierwszą godną przeciwniczką od lat. Naprawdę dobrze sobie radzisz.

– Dziękuję – mówi pobłaźliwie Eve. – Tata mnie nauczył. Ma świra na punkcie ping-ponga.

Landon kręci głową.

– Chris wcale nie wie, jak to jest, co, Chris? – mówi ze śmiechem, a tymczasem z góry dobiega ich głos Grace wzywającej ich na kolację.

– Nawet sobie nie wyobrażacie, jakie to było okropne. – Grace i Eve właśnie uraczyły chłopaków opowieściami o strasznych dziewczynach z Nowego Jorku, przy czym Grace ku zawstydzeniu Eve nie pominęła wątku Lodowej Królowej.

– Wiedziałem! – Chris uderza dłonią w stół i patrzy na Landona. – Mieszkamy nie tam, gdzie trzeba. Przenoszę się do Nowego Jorku. Jak mówiłaś, że nazywa się ta dziewczyna? Gdzie

mieszka? Allegra, tak?

– Tak, i jeśli chcesz złapać jakiegoś syfa, to proszę cię uprzejmie. Zapoznam was – mówi Grace. – To było naprawdę obłeśne.

– Grace. – Chris poważnie. – To nie tak, że tu się nie dzieją takie rzeczy. Może ty i twoje kumpele tego nie robicie, ale wiesz, jak jest.

– Pewnie, że wiem – odpowiada Grace. – I wszyscy wiemy, które to dziewczyny, ale nie chodzi nawet o to, co zrobiły, ale o ich podejście do tematu. Wydawały się zblazowane. Wszystkim.

– Ale tu jest tak samo – ciągnie Chris. – Młodzież, która ma wszystko i nic jednocześnie.

Grace wzdycha.

– No tak. Jak to się stało, że my wyrosliśmy na ludzi?

Patrzą na siebie z Chrisem.

– Tata – mówią chórem i wybuchają śmiechem.

– Ich tata jest obłądny – wyjaśnia Landon Eve.

– Na pewno nie dzięki mamie.

Dziewczyny zbierają talerze, a chłopcy siedzą i rozmawiają półgłosem. Eve wstawia talerze do zmywarki i po raz pierwszy od miesiący zdaje sobie sprawę, że się uśmiecha.

Po raz pierwszy od miesiący może złapać oddech.

Grace zauważa jej uśmiech.

– Dobrze się bawisz?

– Tak, naprawdę. Chyba nie radzę sobie za dobrze z tymi wszystkimi zmianami, które mnie czekają. Ten cały moment przejścia mnie trochę stresuje. A dziś po raz pierwszy czuję się... normalnie.

– Ale nie jesteś chora, czy coś takiego? – mówi niepewnie Grace.

– Nie! Dlaczego o to pytasz?

– Dlatego, że jesteś naprawdę chuda. Nie chciałam pytać, ale...

– Nic nie szkodzi. Chyba po prostu przestają jeść, kiedy dopada mnie stres.

– Szczęściara. Ja w takich sytuacjach od razu nurzam się w górze czekoladek – śmieje się Grace.

– A mnie po prostu ściska się żołądek – kłamie Eve. – Coś się robię śpiąca. Obrazisz się, jak pójde spać?

– Ja też jestem śpiąca. Chodźmy na górę. Landon zostaje na noc, więc chłopaki przekimają się w suterenie.

Eve budzi się pierwsza mimo różnicy czasu. Sięga po telefon, wysyła do mamy wiadomość, że świetnie się bawi, a potem ściąga czasopismo z półki Grace i postanawia, że poleży cicho i poczeka, aż Grace się obudzi.

Trudno się skupić ze świadomością, że brat Grace jest na dole, że już niedługo znów go zobaczy, więc Eve odkłada magazyn i patrząc na przyjaciółkę, marzy, żeby już się obudziła, żeby mogła spędzić więcej czasu z Chrisem.

Nic się nie dzieje. Eve zaczyna kasłać, potem wstaje i idąc do sąsiadującej z pokojem łazienki, stara się robić dość hałasu, żeby Grace się obudziła.

I rzeczywiście, gdy wraca do pokoju, przyjaciółka właśnie się przeciąga i szeroko ziewa.

– Cześć – mamrocze i uśmiecha się do Eve. – Dawno się obudziłaś?

– Cześć. Niedawno, ale nie chciałam schodzić, zanim ty się zbudzisz.

– Dobrze! – mówi Grace. – Moja mama urządza dzisiaj jakąś imprezę charytatywną i mamy jej zejść z drogi. Mamy poprosić Chrisa, żeby wziął nas do lokalnej restauracji. Podają tam naleśniki z kawałkami czekolady, za które byś się dała pokroić. Chodźmy zobaczyć, czy chłopcy już wstali.

– Mam się przebrać? – pyta niepewnie Eve, wskazując kraciaste spodnie od piżamy i koszulkę.

– Ja się nie przebieram – mówi Grace. – Tak się nosimy po domu. Weź moje japonki i możemy lecieć. Wymkniemy się frontowym wejściem, żeby mama nas nie zobaczyła.

Chris już nie śpi i ogląda kanał sportowy. Grace powiadamia go o planach i cała trójka wchodzi na paluszkach po schodach, a gdy krzyżują się spojrzenia Eve i Chrisa, dziewczyna zauważa z ulgą, że wcale sobie tego nie wymyśliła: jest taki przystojny, jak sądziła, a do tego rzeczywiście wydaje się nią zainteresowany.

Cała trójka przemyka przez reprezentacyjną część domu i Eve zatrzymuje się na moment przy stole zastawionym rodzinnymi fotografiami. Oto ze zdjęcia uśmiecha się Chris, wprost niebywale przystojny i najwyższy z całej rodziny.

Waha się przez chwilę, przysuwa bliżej, żeby się dokładnie przyjrzeć, i żałuje, że nie

może wsunąć fotografii do torebki. Nagle na jej twarzy pojawiają się niedowierzenie, konsternacja, a wreszcie osłupienie.

Eve wydaje stłumiony okrzyk przerażenia, po czym uginają się pod nią nogi i upada na ciemną marmurową posadzkę.

# CZEŚĆ DRUGA



# 21

## *Maggie*

Piłeczka zakreśla łuk wysoko w powietrzu, tryumfalnie wystrzeliwuję lewą rękę w górę, ku niebu, i już jestem zadowolona. Odbiorę. To uderzenie pozwoli nam wygrać gem, set i mecz. Rozkoszuję się każdą sekundą, gdy moja ręka w zwolnionym tempie bierze zamach i w najwłaściwszym momencie przesywa powietrze, by z głuchym uderzeniem spotkać się z piłeczką i z prędkością światła ściąć ją ponad siatką.

Kim nie ma najmniejszych szans. Do cholery, sama Venus Williams nie miałyby szans. To być może najwspanialsze zagranie w moim życiu i Lara, i ja rzucamy się na siebie, żeby odtańczyć krótki tryumfalny taniec, a Kim udaje, że całkowicie się pogodziła z tym, że ja, jej odwieczna rywalka, w końcu ją pokonałam.

– Świetna gra. – Kim zmusza się do krzywego uśmiechu, podając nam rękę nad siatką. – Moje kolano jeszcze nie wydobrzało.

Marszczy brwi i wyjaśnia, dlaczego nas nie rozgromiła.

– Muszę wrócić do ortopedy. Naprawdę mnie boli. Ledwo mogłam biegać.

– Serio? – pyta całkiem niewinnie Lara. – A mnie się zdawało, że latałaś po całym korcie.

– Idziesz pod prysznic? – pyta Lara, gdy po odłożeniu rakiet pakujemy swoje rzeczy.

– Nie mogę. O czternastej urządzam podwieczorek w domu i mam masę roboty. Przyjdiesz, prawda?

– Nie wierzę ani odrobinę, że masz masę roboty. Nie znam nikogo lepiej zorganizowanego niż ty.

– To tylko pozory – mówię, ale z przyjemnością rejestruję komplement. – Muszę jeszcze zrobić kanapki. Zostawiłam to na ostatnią chwilę, bo inaczej rozmiękną.

– Nie korzystasz z cateringu? – Lara wygląda na zdziwioną.

– Z okazji podwieczorku? Nawet ja umiem upiec kilka ciast i zrobić kanapki – śmieję się, ale przeraża mnie to, że Lara – że ktokolwiek – może zakwestionować moje umiejętności cukiernicze.

– Potrzebujesz pomocy?

Waham się przez chwilę. Prawda jest taka, że *owszem*, przydałaby się pomoc. Pomocy *nigdy* nie za wiele, ale ilekroć pozwalam innym pomagać, zawsze coś sknocą. Okropnie ułożą kwiaty; nakryją do stołu nie tak jak należy; źle ustawią krzesła na dworze. Staram się rozdzielać

zadania, bo wiem, że ludzie się cieszą, gdy mogą pomóc, ale ostatecznie i tak mam im za złe, że nie poradzili sobie równie dobrze jak ja.

Mówiąc szczerze, będzie łatwiej, jeśli dopilnuję wszystkiego sama.

– Zamówiłam obsługę kelnerską, więc oni zrobią co trzeba – kłamię, wiedząc, że będę ganiać wte i wewte jak szalona, i sama ustawiać stół i krzesła, bo kelnerom też nigdy nie ufam. – Do zobaczenia później!

Posyłam jej pożegnalnego całusa i prawie w podskokach pędzę na parking, niesiona radością, że wreszcie pokazałam Kim, gdzie jej miejsce.

Szybki rzut oka na telefon – wiadomości od rodziny, nic ważnego, nic, co nie mogłoby poczekać, bo teraz rozmyślam o tym wszystkim, co jeszcze muszę zrobić przed czternastą. Głęboki oddech. Dam radę. Zawsze daję. I z tego *shynę*: z wydawania pięknych przyjęć na ostatnią chwilę.

Sprawdzam w lusterku fryzurę, wtykam niesforne kosmyki kręconych włosów pod czapkę z daszkiem i zakładam moje niezastąpione wielkie okulary przeciwsłoneczne w oprawkach à la skorupa żółwia, żeby ukryć brak makijażu.

Nie trzeba było się dzisiaj zgadzać na poranek na korcie. Naprawdę potrzebowałam tych dwóch godzin, ale jak mogłabym odrzucić zaproszenie Kim po tym, jak ostatnio dała mi taki wycisk? Zwłaszcza że od tego czasu jeździłam trzy razy w tygodniu na tajne lekcje do Norwalk, na które wydałam majątek.

Znajduję miejsce do parkowania tuż pod kwaciarnią przy Main Street – dzięki ci, Boże! – i pędzę dokupić kwiatów. Louise rozmawia przez telefon, ale zna mnie na tyle, że na pewno wie, że wiem dokładnie, co robię. Idę wolno przez sklep, zgarniając naręcza tulipanów, hiacyntów, bzu i cudownych bujnych piwonii.

– Coś jeszcze? – Louise odkłada telefon i pakuje kwiaty, wołając do schowanego na zapleczu Juana, żeby pomógł mi zanieść kwiaty do samochodu. – Chyba pani wydaje przyjęcie!

– Zna mnie pani – śmieję się. – Zawsze coś wypadnie!

– Nie wiem, jak pani to robi! – Kończy pakować, Juan podnosi kwiaty, a Louise bierze kartę z mojej wyciągniętej ręki. – Dzieci, a do tego jeszcze cała ta cudowna działalność dobroczynna. Czy pani kiedyś odpoczywa?

– Wie pani, jak to się mówi – uśmiecham się. – Nie ma pokoju dla bezbożnych!

Louise nie słucha, ze zmarszczonymi brwiami patrzy na kartę i próbuje ją wsunąć jeszcze raz.

– Wszystko w porządku?

– Przykro mi, pani Hathaway – mówi przeprasza­jąco, jakby się za mnie wstydziła. – Pani karta została odrzucona.

Wiem, że nie ma absolutnie żadnego powodu, żeby moja karta została odrzucona, ale od razu wpadam w zakłopotanie. Ostatnio to nie pierwszy raz. Tak że w banku mają burdel – Mark tłumaczył to przenoszeniem środków na inny rachunek o niższym oprocentowaniu – ale to nie łagodzi mojego upokorzenia.

Wyjmuję z portmonetki drugą kartę.

– Mąż miał to załatwić – próbuję wyjaśniać i obie wznosimy oczy do nieba. Jacy ci mężczyźni są beznadziejni.

Druga karta jest w porządku. Nie zdawałam sobie sprawy, że wstrzymywałam oddech aż do chwili, gdy Louise wręcza mi kartę; czekam na wydrukowanie potwierdzenia i notuję w pamięci, że sama muszę zadzwonić do tego cholernego banku.

Wydawałoby się, że ze względu na to, ile na nas zarabiają, powinni dopilnować, żebyśmy nie musieli przeżywać takich krępujących sytuacji. Uśmiechamy się do siebie z ulgą, Louise życzy mi powodzenia z moją imprezą i wreszcie mogę wracać do domu.

Bez względu na to, ile razy jadę tym podjazdem, ile lat już tu mieszkamy, zawsze zatrzymuję się na łuku, zawsze bezwiednie wzdycham z zadowolenia na widok urody tego domu.

Czasem się zatrzymuję, właśnie w tym miejscu, wyłączam silnik i napawam się widokiem eleganckiej symetrii, francuskich żardynier przycupniętych między oknami, wielkiego buku czerwono­listnego, górującego nad domem. Chłonę wzrokiem starą drewnianą huśtawkę, która przez wiele lat znosiła ciężar całej trójki dzieci, a teraz zwisa posepnie z jednej z majestatycznych gałęzi.

W takich domach powstają baśnie. O takim domu marzyłam, kiedy dorastałam. Po szkole, gdy rodzice byli jeszcze w pracy, godzinami oglądałam telewizję i modliłam się, żeby nadano któryś z moich ukochanych filmów: *Wielkiego Gatsby'ego* albo *Wyższe sfery*.

Nocą leżałam w łóżku i marzyłam, że jestem Grace Kelly i urządzam swoją garderobę. Wyobrażałam sobie swojego przystojnego księcia i każde pomieszczenie należącego do mnie eleganckiego domu.

Rano ojciec ubrany w podkoszulkę chodził z rykiem po domu i marzenia minionej nocy ulatywały na dobre. To były tylko marzenia. Jak dziewczyna taka jak ja mogłaby liczyć, że kiedykolwiek będzie żyła w ten sposób?

Im byłam starsza, tym mocniej wierzyłam, że to możliwe. Mało prawdopodobne, fakt, ale najbardziej na świecie uwielbiałam wyzwania. Już wtedy miałam obsesję na punkcie wystawnego stylu życia, wyższych sfer. Wiedziałam wszystko co trzeba na temat dobrych manier i obycia w towarzystwie.

Oglądałam filmy, czytałam pamiętniki, które wpadły mi w ręce. Opowieści o Rockefellerach, Du Pontach, Cabotach mogłam recytować tak, jakby ich bohaterowie byli moimi kuzynami.

Myślicie, że się przejmowałam tym, że rodzice kpili ze mnie niemiłosiernie, gdy ćwiczyłam przed lustrem akcent, naśladując Katherine Hepburn, jej ruchy i sposób mówienia? Nauczyłam się wyłapywać swój akcent rodem z Queens, aż nie pozostał po nim nawet ślad.

Skoro zmieniałam już akcent i sposób bycia, to, czego zmienić nie mogłam, stało się mniej istotne. Szczęśliwie odziedziczyłam po ojcu szczupłe, żylaste ciało, ale moja jasna, piegowata cera i kręcone, rude włosy w każdym calu upodabniały mnie do rodziny matki. Jak mawiała babcia, mapę Irlandii mam wypisaną na twarzy.

Zgoda, żadna ilość peelingu do twarzy nie dałaby mi porcelanowej cery Grace Kelly, ale kręcone, rude włosy? Na długo przed tym, jak Nicole Kidman przeobraziła swoje płomieniste loki w lśniącą jasną grzywę, pomyślałam o pasemkach i prostownicy, żeby osiągnąć ten sam efekt.

Siedziałam przy domowym stole, wyfiokowana i elegancka niczym Grace Kelly, z lśniącymi blond włosami upiętymi w kok, z podrabianą apaszką od Hermès na szyi, i próbowałam zamykać oczy, żeby odciąć się od rodziców wrzeszczących na siebie przez stół.

Czy to coś złego, że pragnę czegoś *więcej*, zastanawiałam się z nadzieją, że moje milczenie uczyni mnie niewidzialną, ochroni mnie przed ich wyzwiskami.

Czy da się stworzyć siebie na nowo i wieść życie, na które z pewnością się zasługuje?

Ten dom pozostaje najmocniejszym dowodem na to, że się da. Mój mąż, tak czarujący, przystojny, wysoko postawiony, jest dowodem na to, że się da. To pełne blasku, magiczne życie na Złotym Wybrzeżu Connecticut jest dowodem na to, że się da.

Czuję wdzięczność. Nigdy nie dopuszczę, by w gronie kobiet, które zaczęłam nazywać przyjaciółkami, osunęła się moja fasada. Nie jestem głupia. Mam pełną świadomość podskórnej rywalizacji między tymi kobietami. Nigdy nie dopuszczę, by się dowiedziały o tym, skąd pochodzę, kim naprawdę jestem, bo liczy się tylko to, jaką pozycję mam dzisiaj, w kogo się przemieniłam, jakie życie sobie stworzyłam.

Ilekoć wyjeżdżam zza rogu i przed oczami miga mi nasz kamienny dom, pnąca hortensja właśnie wypuszczająca liście w wędrowce po pokrytym trejażem murze, zatrzymuję się na chwilę i doceniam to, jak daleko zaszłam.

Na ogół zostawiam samochód na podjeździe. Nie dzisiaj. Dziś wjeżdżam do garażu, żeby w oczekiwaniu na pierwszego gościa dom był śliczny jak z obrazka, żeby żaden pojazd nie zagrażał tego przykładu klasycznej zabudowy New Salem.

Basen już odsłonięty. Trochę wcześniej, ale tak dobrze zobaczyć wodę zamiast tej okropnej zimowej osłony, do tego w stojących przy zbiorniku donicach posadzono wielkie

hortensje, już bujne i zielone.

Kręcę z westchnieniem głową, bo kątem oka dostrzegam pomarańczową siatkę na środku trawnika. Mimo moich reguł, mimo że bez końca powtarzam tym chłopakom, żeby po sobie sprząтали i odkładali sprzęt sportowy na miejsce, po całym podwórku walają się rakiety i piłeczki do lacrosse. Zbieram je, odnoszę, a potem wyjmuję z samochodu kwiaty i wstawiam je do zlewu w pawilonie przy basenie.

Podwieczorek podam w pawilonie. Na wypożyczonych stołach wiklinowe kosze czekają już na kwiaty. Stoły na kozłach czekają na wykrochmalone, złożone lniane obrusy. Wydrukowane przeze mnie ulotki ozdobione uroczymi rysunkami spoczywają zrolowane w małych koszykach, a w każdym znajduje się drobny podarek: próbka nowego odświeżacza powietrza o zapachu bzu, ofiarowanego przez lokalnego wytwórcę.

Otwieram drzwi do pawilonu, układam kwiaty i rozpylam trochę aerozolu, który natychmiast odświeża powietrze i sprawia, że w pawilonie pachnie wiosną. Przekłęci kelnerzy. Trzeba było ich zamówić na znacznie wcześniejszą porę, ale teraz już nic nie poradzę. Zerkam na zegarek, biorę głęboki oddech i postanawiam zostawić im pawilon – w domu mam ważniejsze rzeczy do zrobienia, a jeśli nie zacznę od razu, to już po zawodach.

## 22

# Maggie

Kruchy spód upiekłam, dzięki Bogu, już wczoraj. Wyjmuję z lodówki przykrytą formę do tarty, otwieram puszkę przepołowionych gruszek – no tak, wiem, że to brzmi strasznie *déclassé*, ale nawet sam Jacques Pépin poleca konserwowe gruszki – kroję je na cienkie plasterki i odkładam. Wyjmuję jajka, migdały, mąkę, wanilię i cukier, mieszam wszystkie te składniki i wylewam masę na spód.

Godzinę później na kryształowej paterze spoczywa doskonała tarta gruszkowo-migdałowa. Obok stoi talerz ze świeżo wyjętymi z piekarnika bułeczkami maślanymi, a pośrodku – miseczka z dżemem truskawkowym. Na talerzach leżą rzędy trójkątnych kanapeczek: ogórek, łosoś wędzony, serek śmietankowy i rukiew wodna. I wreszcie, jedyna rzecz, której nie przyrządziłam sama, ale udam, że jest inaczej: talerz delikatnych *petit fours* w pastelowych kolorach.

W ubiegłym roku podwieczerek urządziła Kim i mówiąc szczerze, nie chciałabym być wredna, ale wyszło jej to trochę pretensjonalnie. Żeby nie powiedzieć prostacko. Na miłość boską, zamówiła do ogrodu zespół muzyczny. Jedzenie było pyszne, ale było go zbyt dużo! A kwiaty były takie wielkie, że zasłaniały siedzącą naprzeciwko osobę. Poza tym rozstawianie wizytówek z okazji podwieczorku to... lekka przesada.

Przez te wszystkie lata zgłębiania etykiety nauczyłam się, że mniej znaczy więcej. Prawdziwe bogaczki nie noszą tony makijażu ani wielkich diamentów w uszach, nie jeżdżą astonami martinami i nie przytłaczają gości olbrzymimi kwiatami i niekończącym się ciągiem srebrnych półmisek uginających się od jedzenia.

Te naprawdę bogate stawiają na prostotę. Mniej znaczy więcej. Piękne wiosenne kwiaty w wiklinowych koszach. Domowe jedzenie. Herbata podana w cudnych porcelanowych dzbankach na małych stolikach wokół basenu.

To będzie uosobienie powściągliwej elegancji. Krótko mówiąc, pokażę Kim, pani na trzydziestoarowej posesji z kamienną posiadłością, jak to się robi.

Wszystko układa się wspaniale i nie posiadamy się ze szczęścia. Świeci słońce, kobiety rozmawiają podnieconymi głosami, wychwalając nawzajem swoje pastelowe sukienki, kapelusze słoneczne z szerokimi rondami oraz połyskującą w słońcu złotą i diamentową biżuterię, i od czasu do czasu obracają głowy, żeby sprawdzić, kto jeszcze przyjechał.

W przerwie między kolejnymi kieliszkami klasycznego białego wina postanawiam podać szampana; do każdego kieliszka wrzucam garść nasion granatu, dzięki którym napój musuje jak trzymana w dłoni, wytworna lampa woskowa i sam w sobie przydaje blasku przyjęciu.

Lara szturcha mnie, bo właśnie wchodzi Kim w sandałkach na szpilce, stąpając ostrożnie

po trawie, żeby się nie zapaść. Ma na sobie prostą, dopasowaną kremową sukienkę doskonale podkreślającą jej ciało, wyrzeźbione przez uprawianą w saunie jogę, a z boku głowy wystają jej pióra koktajlowego kapelusika. Z jednego ramienia zwisa torebka Chanel, drugie otacza hawańczyka, pekińczyka czy też maltańczyka. Nigdy ich nie odróżniam.

– Mam nadzieję, że można wchodzić z pieskami. – Kim udaje, że cmoka nas w policzki, i odstawia psa. – Chociaż ona tak naprawdę nie jest zwierzęciem. Uważa, że jest moim dzieckiem! Muszę ją potem zawieźć do fryzjera, więc wolałabym już po nią nie wracać do domu.

– Oczywiście! – kłamię, patrząc, jak suczka, korzystając z okazji, przykuca i sika. Wspaniale.

Kim teatralnym gestem zsuwa na czubek nosa przyciemniane okulary i mierzy wzrokiem otoczenie. Lara wymierza mi kuksańca.

– Ależ to pięknie urządziłaś! – zachwyca się Kim, a ja już mam jej podziękować, autentycznie uradowana szczerym komplementem, gdy kobieta dodaje: – Jest tak... *sielsko*. Milutko! Chyba sama wyhodowałaś te urocze kwiatuszki!

Zapominam języka w gębie. Lara wyciąga rękę i niepostrzeżenie gładzi mnie po plecach, a ja staram się nie zmazywać z twarzy najbardziej fałszywego uśmiechu, jaki kiedykolwiek musiałam u siebie wywołać. Nie wiem, co odpowiedzieć. Najchętniej wróciłabym do swojego dawnego akcentu i wykrzyczała: *Spierdalaj, pindo! No, już*. Ale tego, rzecz jasna, zrobić nie mogę.

Z odsieczą spieszy Lara.

– Nie znam bardziej uzdolnionej kobiety! – mówi z entuzjazmem. – Poczekaj, aż spróbujesz jedzenia. Tarta migdałowa jest *niebywała*! I wszystko zrobiła sama! Nienawidzę jej.

– Jestem pod wrażeniem – mówi Kim i odwraca się do kogoś przechodzącego z talerzem *petit fours*. – *Sama* je zrobiłaś?

Cholera. Wiadomo, że Kim musiała wskazać jedyną rzecz, której nie zrobiłam sama. Ale nie dam jej tej satysfakcji. O, nie. Kiwam głową.

– To dziwne. – Sięga po jedną sztukę. – Wyglądają dokładnie jak te, które zamawiam zawsze w Great Cakes.

Próbuje kawałek.

– I smakują też tak samo! *Identycznie*! Jak, u licha, tego dokonałaś?

– Łatwo nie było – kłamię z nadzieją, że moja twarz nie jest tak czerwona, jak mi się wydaje. – Doskonaliłam je całymi dniami. Cieszę się, że wyglądają jak z cukierni!

– Mówię ci – wtrąca się Lara. – Powinna mieć program w telewizji. Maggie, ktoś cię

potrzebuje w pawilonie – dodaje i na szczęście odciąga mnie od Kim.

– Czy ja już zwariowałam, czy ta sucz przeszła samą siebie?

Przycupnęłyśmy za pawilonem razem z Heather, która świeżo dołączyła do naszego kręgu, jest jeszcze niepewna swojego położenia i niechętnie zabiera głos, nawet gdy ją przyciskamy.

– Mnie się wydaje miła – odzywa się ostrożnie. – Ale nie znam jej za dobrze.

– Nie znasz, wierz mi. – Kręcę głową. – Pewnie powinnaś się cieszyć, że jest dla ciebie miła. Dla mnie jest wredna. I to od samego początku, i wiecie co? Nie widzę, żeby równie źle traktowała kogokolwiek innego.

Lara opróżnia kieliszek.

– Czuje się zagrożona. W Richmond czy Charlotte, czy czort wie, gdzie tam wcześniej mieszkała, była Bóg wie kim, i po przeprowadzce tutaj spodziewała się tego samego. Jak ci się zdaje, dlaczego postawili największy i najszeptniejszy dom w mieście? Ona rozpaczliwie pragnie stać się kimś, kim nigdy nie będzie. Nie zdaje sobie sprawy, że ile by nie miała pieniędzy, ile by nie wydała na cele dobroczynne, gdzie by nie bywała, to pozycji za to nie kupi. Ty, Maggie, masz to we krwi. Masz wrodzoną klasę. A ją zżera zazdrość.

Wzruszam ramionami, jakbym chciała powiedzieć, że pewnie ma rację, ale nie patrzę jej w oczy. We wspomnieniach wyświetlają mi się rodzice. Ojciec w poplamionej podkoszulce, matka w fartuchu i domowych kapciach, ciągle wrzaski i ryk telewizora. Och, gdybyś tylko wiedziała.

Gdybyś tylko wiedziała.

Tradycja nakazuje, by ubiegłoroczna prowadząca przedstawiła tegoroczną, i muszę przyznać, że mam lekkiego pietra, gdy Kim uderza łyżeczką w kieliszek i wśród zgromadzonych kobiet zapada cisza.

Ogłasza, ile dotąd zebrano pieniędzy, wysłuchuje uprzejmych oklasków, po czym zachęca, żeby dalej sprzedawać cegielki i w tym roku pobić rekord, chociaż wiem, że nie mówi tego szczerze; wiem, że życzyłaby sobie, żeby ubiegły rok pozostał tym rekordowym.

– Wreszcie chciałabym przedstawić tegoroczną przewodniczącą i podziękować jej: oto Maggie, którą doskonale znacie. Wiecie z pewnością, że Maggie sama przygotowała wszystkie te pyszności, czego jej naprawdę zazdroścę. Sama musiałam zostawić majątek w Cinnamon Catering! – dodaje ze śmiechem.

Zebrane kobiety jej wtórują, bo Cinnamon Catering rzeczywiście się ceni.

– Następnym razem zapłacę Maggie! – żartuje Kim. Tłumek znów się śmieje, tym razem trochę bardziej nerwowo. Goście odwracają się, żeby zobaczyć moją reakcję, ale ja się



wstrzymuję. Omówię to później z Larą. Czy to możliwe, że Kim właśnie ogłosiła publicznie, że uważa mnie za swoją cholerną służącą?

Zaciskam zęby i odtwarzam w głowie znajomą mantrę. Jak postąpiłaby Jackie? Jak postąpiłaby Grace? Jak postąpiłyby Katherine, Babe, Brooke? Wykazałyby się uprzejmością i grzecznością. Pominęłyby to milczeniem.

– Ale poważnie, pawilon jest cudowny i wszystko jest tak pięknie urządzone. Wspaniale to przygotowałaś.

Uśmiecham się protekcyjnie i w końcu występuję, żeby powiedzieć kilka wymaganych słów.

Już biorę głęboki oddech przed przemową, gdy nagle zamieram. Czyżby z domu dobiegł mnie krzyk? Zaczynam na nowo, ale znów to samo. Krzyk, bez dwóch zdań. Drzwi domu się otwierają i przez trawnik pędzi do mnie Grace, a za nią spieszy Chris.

Grace głośno łka, wyraźnie zrozpaczona, a mnie ten widok mrozi krew w żyłach. Podbiegam do niej i wiem, że stało się coś okropnego, coś naprawdę okropnego.

Chris ją dogania, łapie za rękę i próbuje odciągnąć, ale siostra go odtrąca i wrzeszczy do niego:

– Muszę jej powiedzieć!

Serce tłucze mi się w piersi tak głośno, że z trudem powstrzymuję się od krzyku. Co? Kto? Wypadek? Oczyma wyobraźni widzę na jezdni pokrzywione kończyny i robi mi się niedobrze.

– Grace – wyduszam z siebie tonem na pograniczu hysterii; nie dbam już o to, że w tej chwili w moim ogrodzie, w pełnej zdumienia ciszy, obserwują mnie jak zahipnotyzowane wszystkie osoby, którym zawsze chciałam zaimponować. – Co się stało? O co chodzi?

– O tatę – szlocha, upada na kolana na trawę i zalewa się łzami. – On ma drugą rodzinę.

Nie doszło do wypadku. Nikt nie zginął. Nie mam pojęcia, co ona plecie. Nie mam pojęcia, co znaczą te słowa. Patrzę na nią szeroko otwartymi oczami.

– Mamo! – krzyczy Grace głosem małej dziewczynki, głosem pełnym bólu. – Myślisz, że jeździ do Kalifornii w interesach? Nieprawda. Jeździ do swojej drugiej żony. I córki. Poznałam ją. Była tu.

– Grace, coś ci się pomieszało – mówię powoli, bo wydaje mi się, że śnię.

To nie może być prawda. Moja córka przechodzi najwidoczniej załamanie nerwowe albo próbuje mnie upokorzyć przed wszystkimi znajomymi.

– Grace – upominam ją głosem zimnym jak stal. Nie dopuszczę do tego. Niech ktoś zabierze stąd moją córkę. – Nie mam pojęcia, co się z tobą dzieje, ale wracaj do domu. Nie wiem, co to za gierka, ale zajmijmy się tym później.

– To żadna gierka! – piszczy, a w jej oczach maluje się cierpienie i jedno jej muszę przyznać: gdyby naturszczycy dostawali Oscary, na pewno by się załapała. – Eve. Moja koleżanka. Była tu. Rozpoznała go. To jej ojciec.

Mrugam bezradnie powiekami. Nie mam pojęcia, o czym ona mówi.

– To najwyraźniej jakaś pomyłka. – Próbuję zaśmiać się uprzejmie, wiodąc spojrzeniem po zafascynowanych, wstrząśniętych kobietach. – Wybaczcie mi na chwilę, postaram się dowiedzieć, co się dzieje.

Z trudem przemierzam trawnik, trzęsą mi się nogi i naraz czuję się tak, jakbym oglądała to wszystko przez mgłę.

## 23

### *Sylvie*

Eve stała się ostatnio tajemnicza: zaczęła zamykać drzwi do swojego pokoju, domagając się prywatności. Sylvie od dłuższego czasu nie zapuszczała się do pokoju córki, ale teraz dziewczyna pojechała na weekend do Nowego Jorku i z pewnością dobrze się bawi, bo inaczej by się odezwała, więc Sylvie może wykorzystać ten czas na uporządkowanie jej rzeczy.

Może dowie się, dlaczego córka zmienia się tak drastycznie na jej oczach, choć nie jest to świadome zamierzenie, a przynajmniej nie takie, z którego Sylvie zdaje sobie sprawę.

Dzięki Bogu nie musi zmagać się z tym, na co uskarża się tak wiele innych matek nastoletnich dziewczyn. Gdy donoszą, że znajdują pod łóżkiem miseczki porośnięte pleśnią, Sylvie oddycha z ulgą. Eve jest zorganizowana i porządna, nawet sama pierze swoje rzeczy. Nie znosi bałaganu pod żadną postacią.

W jej pokoju stale pachnie lawendą, dzięki ekologicznym odświeżaczom powietrza, które przechowuje zarówno przy łóżku, jak i w łazience, i których używa nieco obsesyjnie.

Dawniej Sylvie i Eve razem przeglądały zawartość szafy i decydowały, co zostaje, co trzeba wyrzucić, a co oddać znajomym. Choć bez Eve to dość ryzykowne, Sylvie jest niemal pewna, że może wyjąć ubrania, których córka już nie nosi.

Lecz gdy tylko otwiera drzwi szafy, zamiera w bezruchu i ogarnia ją smutek. Oto wszystkie śliczne fatałaszkę, których Eve nie może już nosić. Urocze białe spodnie, haftowana spódniczka, liliowa sukienka, w której wystąpiła na szkolnym balu – wszystko zbyt obszerne.

Jeszcze do niedawna Eve nosiła większość rzeczy, coraz mocniej zaciskając pasek, ale w końcu nawet ona musiała się pogodzić z sytuacją. Ostatnio stale chodzi w legginsach i strojach na cebulkę, żeby nie marznąć.

Sylvie sięga po parę niemal całkiem zniszczonych tenisówek i wyjmuje stojące pod nimi kartony po obuwiu. Powinny być puste, a jednak coś w nich jest. Sylvie uchyla wieko i odkrywa, że wypchane są opakowaniami po różnych produktach spożywczych. Wszystkie pudełka po butach są pełne papierków. Ciasteczka Oreo. Twixy. Kartony z cukierni rozłożone i spłaszczone. Chrupki Cheetos. Doritos. Słoik po nutelli. Woreczki po chipsach. Ogromne opakowania po czekoladzie.

Dość jedzenia, żeby zaspokoić potrzeby całej rodziny na bardzo długi czas.

Właśnie tego Sylvie się obawiała. Eve nie może być tak straszliwie chuda, jeśli nie zwraca jedzenia, które pochłania.

Nie można już dłużej lekceważyć dowodów. Eve jest bulimiczką. Anorektyczką. Może jedną i drugą. W każdym razie cierpi na pełnoobjawowe zaburzenia odżywiania. Nie mogą

czekać, aż z tego wyrosnie, nie mogą już dłużej chować głów w piasek.

Eve może się nie zgodzić, ale nie ma już wyboru. Sylvie sięga po komórkę i wybiera numer, który zapisała kilka tygodni wcześniej. Ośrodek Terapii i Badań Zaburzeń Odżywiania Uniwersytetu Kalifornijskiego w San Diego.

– Halo – mówi. – Nazywam się Sylvie Haydn. Wydaje mi się, że moja córka cierpi na zaburzenia odżywiania, i chciałabym przyjść z nią na konsultację. Tak. Wtorek jak najbardziej.

Po umówieniu wizyty wcale nie czuje się lepiej. Przegląda resztę garderoby Eve, przerażona tym, co jeszcze może znaleźć, ale na tym koniec. Czuje jednak, że szumi jej w głowie i zdaje sobie sprawę, że musi coś zrobić, żeby się uspokoić.

Joga. Przypomina sobie, jak bardzo ją to uspokajało w czasie wakacji, i wpisuje w Google „Prana Joga”, ponieważ słyszała dobre opinie o tym studiu. Za trzydzieści minut zaczynają się zajęcia, a na dole, w szafie z okryciami wierzchnimi, leży gdzieś mata do jogi.

Ośrodek oferuje tygodniowe wprowadzenie za trzydzieści dolarów. Idealnie. Właśnie tego jej trzeba.

W drodze do Prany stara się nie zamartwiać o Eve. Oddycha głęboko przez nos i nagle podrywa się gwałtownie, bo odgłos komórki raptownie sprowadza ją na ziemię. Zjeżdża na pobocze z nadzieją, że to Mark, który jest w delegacji.

To nie Mark. To Clothilde. I jej czkawka.

– Cześć, mam. Wszystko w porządku? Masz czkawkę?

– Oczywiście, że mam. Gdzie jesteś?

– W drodze na zajęcia jogi. Trzeba ci czegoś?

– Źle się czuję.

Sylvie ogarnia niepokój, bo słyszy, że Clothilde trochę mamrocze. Nie powinna spożywać alkoholu, ale przekonała różnych opiekunów, żeby od czasu do czasu przemycali dla niej butelkę dobrego wina.

– Piłaś, mam?

Clothilde nie odpowiada.

– Nie chcą mnie słuchać – mówi.

– Dobrze, mam. Przyjadę po zajęciach.

W słuchawce zalega cisza, a Sylvie kręci głową. Żadnego do widzenia, żadnego dziękuję,

zero wdzięczności. Ale to żadna nowość, powtarza sobie. To nie jej wina. Matka już taka jest. Kłopot w tym, że Sylvie oczekuje czegoś innego.

Lecz przynajmniej – myśli, parkując w pobliżu ośrodka – dzięki telefonowi od Clothilde udało jej się na chwilę zapomnieć o córce z zaburzeniami odżywiania i mężu, który przepadł bez śladu.

Sylvie odczuwa ukojenie na widok wchodzących kobiet, gibkich i umięśnionych, promieniejących spokojem. Wymieniają się uśmiechami.

– Przykro mi. – Długowłosa dziewczyna za kontuarem ze współczującym grymasem oddaje jej kartę kredytową. – Odrzucona.

Sylvie marszczy brwi.

– Może pani spróbować jeszcze raz?

Tak robi, z tym samym rezultatem.

Gdy Mark był w domu, któregoś dnia pociął drugą kartę kredytową. Połączył rachunki i powiedział, że nie będą już używać Visy, ale Amex powinien działać. Sylvie sprawdza kartę, bo naraz przyszło jej do głowy, że może przez pomyłkę podała dziewczynie Visę, ale nie. To nie pomyłka.

– Widocznie mąż zapomniał zapłacić.

Nie może ukryć niepokoju. Nie pierwszy raz ma do czynienia z taką sytuacją. Mark jest wprawdzie bardzo zabiegany, ale płacenie rachunków to podstawa. Proponowała, że przejmie ten obowiązek, żeby trochę odciążyc męża, lecz on nie chciał o tym słyszeć.

Sylvie wręcza trzydzieści dolarów w gotówce i zauważa, że zostały jej tylko czterdzieści trzy dolary. Ostatnio stara się nie ruszać bez gotówki właśnie z tego powodu – jeśli Mark spóźni się ze spłatą zadłużenia, Sylvie nie chce zostać na lodzie.

Zajęcia zaczynają się za dziesięć minut i Sylvie rozkłada matę, a potem szybko pisze do Marka.

Znowu.

*Gdzie jesteś? Zaczynam się martwić. I ZAPŁAĆ AMEX. Znow odmowa. Kocham cię, ale zadzwoń. Calusy.*

W drodze do matki – wciąż w stroju do jogi i bez makijażu, co matce na pewno się nie spodoba – Sylvie czuje się o niebo lepiej.

Podskórna obawa związana z nieznanym miejscem pobytu męża jeszcze jej nie opuściła, podobnie jak lęk o Eve, ale przypomina sobie słowa instruktora jogi nakazującego im skupić się

na oddechu, na terażniejszości, na chwili obecnej.

Może w końcu ma szansę zostać joginką. Nie cierpi wszystkich tych asan, ale jeśli chodzi o zakończenie, Śawasanę, czyli leżenie na plecach i rozluźnianie całego ciała, to mogłaby pozostać w tej pozycji na cały dzień.

Jedzie do ośrodka dla seniorów i odkrywa, że teraz docenia wszystko wokół, zupełnie inaczej niż w drodze na zajęcia. Jakie piękne są te drzewa i jasnobłękitne niebo, po którym płynie leniwie ledwie kilka puszystych chmur. Jakież to szczęście, że może tu mieszkać, wieść takie życie, mieć Eve, być żoną mężczyzny, którego uwielbia.

Ostatnio niezbyt często odczuwa taki wewnętrzny spokój i jest zdecydowana cieszyć się nim jak najdłużej, bo, Bóg jej świadkiem, ten stan przemienie, gdy tylko zajedzie do Clothilde.

W ośrodku panuje krzątanina. Dyrektorka stoi w holu i macha do Sylvie, gdy ta wchodzi i kieruje się do windy.

– Jest już w drodze – wyjaśnia zadyszana.

Sylvie patrzy na nią w osłupieniu.

– Co?

– Karetka odjechała przed kilkoma minutami.

Ziemia osuwa jej się spod nóg.

– Co pani opowiada?

– Nie odebrała pani naszych wiadomości? Och, pani Haydn. Tak mi przykro. Chodzi o pani matkę. Zdaje się, że miała udar. Jadą na sygnale do Scripps...

Sylvie już się odwróciła i pędzi do samochodu, zbyt zawstydzona, zbyt skruszona, żeby spojrzeć tej kobiecie w oczy. Wiedziała, że coś jest nie tak, ale jej przekłeta joga okazała się ważniejsza.

Czuła, że coś jest nie tak, ale myślała przede wszystkim o sobie.

Jest tak egocentryczna, tak pochłonięta sobą, tak samolubna, jak zawsze utrzymywała matka.

## 24

### *Maggie*

Wciąż jeszcze roztrzęsiona wchodzę do kuchni, wyglądam przez okno i widzę, jak wszystkie ważne osoby tego miasta stoją na zewnątrz w małych grupkach i rozprawiają szeptem na mój temat. Naraz dociera do mnie, że jeśli nie chcę skończyć jako wyrzutek społeczeństwa, muszę szybko tam wrócić i naprawić szkody wyrządzone przez moją córkę.

Nie mam pojęcia, dlaczego powiedziała to, co powiedziała. Jedyne prawdopodobne wytłumaczenie to typowe dla nastolatki piekło emocji, o którym czytałam, ale zawsze się szczyliłam tym, że na razie mnie to omija.

Zastanawiam się, czy nie zadzwonić do Marka, który dziś wczesnym rankiem musiał ruszyć na lotnisko, lecz porzucam tę myśl. Później przyjdzie czas, żeby to wszystko ogarnąć. Teraz muszę wykrzesać z siebie cały swój wdzięk i załagodzić sprawę najlepiej, jak tylko umiem.

Biorę głęboki wdech, wyobrażam sobie Jackie Kennedy i z uśmiechem wymykam się na zewnątrz, ignorując milknący szum rozmów.

– Nie mam pojęcia, co wygaduje moja córka. – W moim głosie dźwięczy nonszalancki śmiech. – Ech, ta młodzież! – Wznoszę oczy do nieba. – Cóż za dramat! To na pewno wpływ jakiegoś programu telewizyjnego. Jeszcze komuś szampana?

Nikt nie może mnie oskarżyć, że nie jestem wytrawną gospodynią.

Ale wbrew temu, na co liczyłam, nie rozbrzmiewa na nowo gwar rozmów, nie słychać westchnień ulgi. Widzę za to współczujące spojrzenia kobiet, które podchodzą się ze mną pożegnać i biorą mnie w ramiona; wiele z nich ledwo znam.

Ściskają mnie mocno i szepczą coś w stylu: „Wszystko się ułoży”, „Jesteś taka silna”, a ja za każdym razem uwalniam się z objęć i je uspokajam.

– Grace żyje w ogromnym napięciu. Ma same piątki, ale sędzę, że wiele ją to kosztowało.

Doborowa ze mnie aktorka.

Kim podchodzi i ściska mnie tak mocno, że w ustach mam pełno piór. Uwalnia mnie dopiero wtedy, gdy zaczynam pokasływać.

– Biedna Grace – mówi. – Mam tylko nadzieję, że to nie początek załamania nerwowego. Wielka szkoda, że tegoroczny podwieczorek tak się zakończył.

Mogłabym jej przerwać, sprzeciwić się, ale nagle czuję się nieludzko zmęczona i jedynym sensownym rozwiązaniem wydaje mi się ucieczka od wszystkich.

Grace nie może przestać płakać, a ja chcę ją pocieszyć, ale nie potrafię. Przerabiamy to na okrągło i za każdym razem jej opowieść jest taka sama – ta dziewczyna, Eve, podniosła zdjęcie Marka, zbladła i powiedziała, że to jej ojciec.

Marka nie ma, więc nie może dołączyć brakujących ogniw. Nic się tu nie trzyma kupy, oprócz tego, że to nie brzmi już jak młodzieżowy dramat, ale zakrawa na coś rzeczywistego, coś, co może być tak przerażające, że mój umysł nawet nie chce tego dogłębnie rozważyć.

Bogu dzięki, że jest tu Lara. To jej udaje się uspokoić Grace, to ona wkłada mi w dłoń szklaneczkę whiskey, szepcząc: „Nie mogłam znaleźć brandy”.

– Nieważne. Nie znoszę ani tego, ani tego. – Opróżniam szklaneczkę i odkładam ją z grymasem na twarzy. – Dzięki.

– Grace – mówi łagodnie Lara. – Zaczynaj od początku.

Tak też robi.

Gdy opowieść dobiega końca, zachowuję spokój. Czy ta dziewczyna ma jakieś dowody? To bez sensu. Możliwe, że zobaczyła status Grace, jej dom, styl życia, i zwyczajnie jej pozazdrościła. Nie mam pojęcia, po co wymyśliła to okropne kłamstwo, ale to jest kłamstwo, nie da się ukryć.

– To nieprawda – mówię z przekonaniem. – Mówiłaś, że ją zatkało na widok tego domu? Wygląda na to, że biedna dziewczyna coś sobie uroiła, gdy zobaczyła, jak żyjemy. Mówię to z przykrością i nie chciałabym się wywyższać, ale wszystko wskazuje na to, że była zazdrosna i chciała cię zranić.

– Byłam przy tym, mamo! – wybucha Grace. – Ona nie kłamała. Była w takim samym szoku jak ja. Nie zmyśliła tego, mamo. Ja jej wierzę.

– To już twoja sprawa, Grace – mówię. – Obawiam się, że ja nie.

Nagle ogarnia mnie wściekłość, że Grace uwierzyła jakiejś wieśniarce z Kalifornii i zrujnowała moją reputację przez śmieszne zazdrosne dziecko. Zaczynam się trząść ze złości.

– Boże wielki, Grace! Przerwałaś mój podwieczorek i wypowiedziałaś to absurdalne kłamstwo w towarzystwie wszystkich kobiet w mieście. To, Grace, jest niewybaczalne.

Moja wściekłość narasta z minuty na minutę.

– Przyniosłaś mi wstyd przy wszystkich moich znajomych z powodu urojenia jakiejś dziewczyny? Sama już nie wiem, co powiedzieć. Niedobrze mi się robi na samą myśl, co zrobiłaś.

– Co ja zrobiłam? – krzyczy Grace. – Przejmujesz się tylko swoim wizerunkiem! Myślisz, że to takie nierealne? Myślisz, że w twoim idealnym życiu coś takiego nie może się wydarzyć?



No to *gdzie* on się podziewa, jak go tu nie ma? Jak to się dzieje, że mijają dni, a żadne z nas nie może go złapać? A ciebie obchodzi tylko to, jak wypadasz przed tymi durnymi kobietami w tym durnym mieście. Rzygać się chce!

– Grace Elizabeth Rose! – ryczę. – Jak śmiesz się tak do mnie odzywać! Masz szlaban!

– Nie masz nic do gadania! – wrzeszczy, wypadając z pokoju i zatrzymując się tylko po to, żeby krzyknąć przez ramię: – I to ty zrobisz z siebie pośmiewisko, a nie ja!

Próbuję to zbyć śmiechem.

– Ech, te nastolatki – mamroczę do Lary, ale ona tylko patrzy na mnie z większym współczuciem niż potrafię teraz spokojnie znieść.

Mój głos przechodzi w szept.

– Myślisz, że to może być prawda?

Okropność tej sytuacji wykracza poza granice mojej wyobraźni.

Lara kręci głową.

– Absolutnie nie – mówi. – Mark? Nie ma szans. Sądzę, że się nie mylisz. Ta dziewczyna była zwyczajnie zazdrosna i spróbowała uderzyć Grace w czuły punkt. Chcesz wiedzieć, co myślę, Maggie? Nie ma mowy, żeby Mark zrobił coś takiego. Jakżeby mógł? Przecież to nie tak, że w ogóle nie wiesz, gdzie jest.

Śmieje się, a ja odwracam wzrok i myślę o wszystkich tych okazjach, gdy wybierałam jego numer, a on nie odbierał.

O wszystkich okazjach, gdy ruszał w podróż, a ja nie miałam żadnych wątpliwości. Ma biuro w Kalifornii, no i co? Każda ma męża, który jeździ w delegacje, który ma gdzieś biuro albo mieszka w mieście od poniedziałku do czwartku. Oczywiście niektórzy mężowie sypiają z innymi kobietami, gdy przebywają poza domem, ale jesteśmy prawie pewne, że wiemy też, którzy to mężowie.

Nie Mark. Mark nie jest taki. Mark nie należy do mężów, którzy przesadzają z alkoholem na przyjęciach bożonarodzeniowych i flirtują z moimi koleżankami. Nigdy nikt go nie przyłapał na obściskiwaniu się z czyjąś żoną w ogródku na tyłach domu.

Kiedy Mark jest w Kalifornii, pracuje. Chodzi wcześniej spać.

Chyba że nie. Jeśli to prawda, to co to oznacza? Myślę o tym pięknym życiu, które sobie zbudowałam, które zbudowaliśmy, i szukam potwierdzenia u Lary.

– Jesteś *pewna*, że Mark nic nie kombinuje?

– Może do niego zadzwonisz? – mówi. – Uważam, że to sprawa między wami i to *on* powinien cię uspokoić, nie ja.

Wydaję z siebie jęk.

– Nie chce mi się wierzyć, że to się stało dziś. Przy wszystkich.

– Zapomną – kłamie. – Zawsze nam się wydaje, że wszyscy o nas mówią, ale tak naprawdę każda z nas ma swoje sprawy na głowie.

Patrzę na nią z kamienną twarzą, a ona wzrusza ramionami.

– No dobra już, dobra. A więc będziesz na językach i co z tego? Kogo obchodzi to, co myślą inni? Te z nas, które mają nastoletnie córki, dobrze znają te komedie i dramaty... Będziesz mogła łatwo się z tego wywinąć.

Zapada długa cisza.

– Chyba że to prawda. – Serce skacze mi do gardła na samą myśl.

– No tak. Chyba że to prawda. Ale tak nie jest. No już, dzwoń do niego.

– Zadzwonię po twoim wyjściu – mówię, bo nie chcę, żeby Lara, nawet Lara, dowiedziała się, że często pod nieobecność Marka przez wiele dni nie mogę się z nim skontaktować.

Nie chcę, żeby Lara, nawet Lara, wiedziała, że mimo jej mądrych, uspokajających słów, mimo moich własnych tłumaczeń – w mojej ocenie całkiem zdroworozsądkowych – jestem przerażona, całkowicie przerażona, że Grace może mieć rację.

## 25

### *Sylvie*

Bez makijażu, z zamkniętymi oczami, wąła w swojej bezbronności, Clothilde leży podłączona do płataniny przewodów, kroplówek, monitorów. Sylvie, wpatrując się w pościel, siedzi na dosuniętym do łóżka krześle i trzyma matkę za rękę.

Lekarze rozmawiali z nią ściszonymi głosami. Wyjaśnili, że Clothilde przeszła potężny udar i podejrzewają, że wskutek wysokiego poziomu cholesterolu w sercu utworzył się skrzep, który dotarł do mózgu.

Twierdzą, że to gra na przetrzymanie. Zrobią tomografię, gdy ustąpią obrzęk i opuchlizna. *Jeśli* ustąpią.

Do tego czasu nie można niczego przewidzieć, więc Sylvie siedzi tylko w milczeniu na OIOM-ie, trzyma matkę za rękę i wyrzuca sobie, że nie pojawiła się wcześniej. Zapewniono ją, że to by nie miało żadnego znaczenia – kiedy Clothilde dzwoniła do córki, właśnie przechodziła udar. Nawet gdyby Sylvie od razu do niej pojechała i przybyła po dwudziestu minutach, rezultat byłby ten sam.

A gdyby tak Sylvie zadzwoniła do ośrodka? Nalegała, by ją zbadano? Clothilde tak wiele razy podnosiła fałszywy alarm, nakazywała córce dzwonić do dyrektorki, uskarżała się na to i owo, że Sylvie przestała zwracać na to uwagę.

Kto by ją winił, że nie zadzwoniła? Poza nią samą, oczywiście.

W łóżku matka jest całkiem niepodobna do siebie. Wygląda jak skurczona kopia dawnej Clothilde. Gdy tak leży w szpitalnej koszuli, bez nieodłącznego makijażu, jest w niej coś przerażającego. Nie widać ani śladu jej silnego charakteru.

Wchodzi pielęgniarka, majstruje przy kroplówce i odgarnia Clothilde włosy z czoła gestem tak czułym, że Sylvie, niezgrabnie trzymająca matkę za rękę, czuje się zawstydzona.

– Pani jest córką? – pyta, a Sylvie potakuje ze ściśniętym gardłem. Kiwa głową i do oczu napływają jej łzy, a pielęgniarka kładzie rękę na jej ramieniu.

– Wszystko będzie dobrze – mówi. – Widocznie Bóg tak chciał.

– Sądzi pani, że ona coś słyszy? – pyta Sylvie.

– Jeśli chce jej pani coś powiedzieć, właśnie nadeszła odpowiednia pora. – Uśmiecha się. – Powtarzają zawsze, że zmysł słuchu zanika na końcu, więc tak, sądzę, że słyszy.

Wychodzi cicho z sali, a Sylvie przysuwa krzesło bliżej zagłówka i myśli o tym wszystkim, co powinna powiedzieć matce.

Powinna powiedzieć „kocham cię”. Opowiadać jej historie, przypominać szczęśliwe czasy, wszystkie cudowne chwile, które ze sobą dzieliły. Mogłaby mówić o swoim dzieciństwie, przywołać we wspomnieniach Francję.

Mogłaby powiedzieć matce, że ją kocha.

Ale słowa nie przechodzą jej przez gardło.

Mijają godziny, a stan Clothilde się nie zmienia, obrzęk ani nie postępuje, ani nie zanika. Stan stabilny, cokolwiek to znaczy. Sylvie mogłaby spędzić noc na niewygodnym łóżku polowym, ale jak wyjaśniła życzliwie pielęgniarka, lepiej, żeby pojechała do domu i wyspała się jak należy. Zadzwoń ją, jeśli coś się zmieni. Cokolwiek.

Sylvie zjeżdża windą, wsiada do samochodu i opiera głowę na kierownicy. Jest prawie nieprzytomna z emocji.

W telefonie ma trzy wiadomości głosowe, żadna od Marka. To dyrektorka ośrodka coraz bardziej gorączkowo informuje, że Clothilde jest w drodze do szpitala.

Najpierw odkrycie, że Eve cierpi na zaburzenia odżywiania, potem udar Clothilde. Sylvie wpatruje się w wyświetlacz, w liczne wiadomości wysłane do Marka i pozostające bez odpowiedzi, i słyszy w głowie zapamiętany z dzieciństwa przesądny, przenikliwy głos matki:

– Nieszczęścia chodzą trójkami.

Ktoś jest w domu. Na podjeździe stoją: pikap i pojazd z lawetą. Drzwi do garażu są otwarte, w środku włączono światło. Sylvie, którą niełatwo przestraszyć, ogarnia fala strachu, a zaraz potem gniewu. Kto to jest, u diabła, i co, do cholery, robi w jej garażu?

Podjeżdża z piskiem opon, trzaska drzwiczkami i podchodzi do intruzów.

– Kim panowie są i co robią w moim domu?

– Czy pani jest żoną Marka Hathawaya? – pyta jeden, zerkając na podkładkę z klipsem i podając jej jakąś kartkę.

Sylvie ostrożnie kiwa głową.

– Reprezentujemy firmę windykacyjną Smith Brothers.

Sylvie się waha, już nie tak pewna siebie. To jakaś pomyłka. Z całą pewnością.

– Jaką firmę windykacyjną? Nie wiem, o czym pan mówi.

– Kilka instytucji kredytowych zleciło nam egzekucję długów.

– Jakich długów? Nie mamy żadnych długów. Co panowie wyrabiają?

Sylvie sięga po dokument i krzyczy jak szalona do dwóch mężczyzn, którzy właśnie wytaczają z garażu harleya-davidsona należącego do Marka.

– Nie możecie tego zabrać! Dzwonię na policję.

– Proszę pani, zechce pani zapoznać się z dokumentem. Musimy też odebrać porsche i range rovera.

Sylvie nawet nie patrzy na kartkę, tylko parska nieukrywany śmiechem.

– Porsche? Range rovera? Zwariował pan? To jakaś pomyłka. Proszę tylko spojrzeć.

Mówi teraz powoli, jakby przemawiała do dziecka.

– Widzi pan mój samochód? Przypomina panu porsche albo range rovera? Nie? Dobrze, bo to bardzo stare volvo kombi. Może pomyliły wam się adresy. Albo imiona. Albo coś innego. Nie mamy porsche, nigdy nie mieliśmy porsche. Chciałabym, żeby nas było stać na porsche, ale mamy tylko to, co widać.

Mężczyźni wymieniają nic nierozumiejące spojrzenia. Przywykli do wykrętów, ale reakcja tej kobiety wydaje się szczerą. To nie jest ten typ domu, to nie jest typ kobiety, która ukrywałaby gdzieś porsche albo range rovera.

– Jakim samochodem jeździ pani mąż? – pyta jeden z mężczyzn.

– Żadnym – wyjaśnia Sylvie z uśmiechem. – Prawie go tu nie ma, a gdy jest, jeździ volvem. Proszę, odstawcie panowie harleya. Nie wyciągnę konsekwencji. Nic się nie stało. Zapomnijmy o sprawie.

Mężczyzna przegląda dokumenty.

– Jego drugi adres to Ponus Ridge Road, New Salem, Connecticut?

– Nie! – odpowiada ze śmiechem Sylvie. – Zatrzymuje się w mieszkaniu w Nowym Jorku. Mówię panu, to jakaś pomyłka.

Szef ekipy kartkuje plik papierów i znajduje to, czego szuka.

– Mark Anthony Hathaway. Urodzony czternastego lipca sześćdziesiątego piątego.

Teraz Sylvie nic nie rozumie, kiwa tylko głową.

– Dyrektor generalny Hath Comfort Solutions S.A.?

Sylvie znów potakuje.

– Dwa zarejestrowane adresy. Jeden w La Jolli, drugi w Connecticut. A pani, jak rozumiem, jest jego żoną, Margaret Alice Hathaway, poślubioną dwudziestego siódmego września osiemdziesiątego siódmego roku?

– Przykro mi. – Sylvie znów zaczyna się śmiać. – Macie bałagan w papierach. Macie właściwego Marka Hathawaya, ale nie tę żonę. Nigdy nie słyszałam o Margaret jakiegś tam, a Mark nie mieszka w Connecticut. Ma biuro w Nowym Jorku i wynajmuje mieszkanie na Manhattanie. Musicie uporządkować papiery. A teraz proszę panów o opuszczenie posesji.

Margaret – myśli Sylvie – dlaczego to imię brzmi znajomo? I wtedy ją olśniewa. *Maggie*.

Szef marszczy brwi, przegląda papiery i znów się krzywi.

– Nic z tego nie rozumiem – mruczy do siebie i przekłada kartki. – Na pewno jest żonaty z Margaret Alice z New Salem. Tylko zupełnie nie pojmuję, nie pojmuję kim wobec tego jest pani.

## 26

### *Sylvie*

To jakieś nieporozumienie, powtarza sobie Sylvie. Jakieś straszliwe nieporozumienie. Powtarza to sobie nawet wtedy, gdy nieco odrętwiała siedzi już przy komputerze i cichy głos podpowiada jej, że to nie pomyłka, że dzieje się coś bardzo, bardzo złego.

Waha się przed uderzeniem w klawiaturę. Nie ma takiej zagadki, której nie rozwikłałby Google, i może – rozbłyskuje nikła iskierka nadziei – może znajdzie się jakieś wytłumaczenie.

Google nie potrzebuje nawet pięciu sekund, żeby odnaleźć nazwisko Margaret Alice Hathaway, po kilku kolejnych sekundach odkrywa, że rzeczywiście mieszka ona w Connecticut, jest znana jako Maggie i ma męża o imieniu Mark.

To żaden dowód, podszeptuje głos. Marków Hathawayów są pewnie tysiące. Sylvie przesuwa kursor na grafiki i nabiera gwałtownie powietrza, bo jej ekran zapełnia się małymi zdjęciami Margaret Alice Hathaway. Licznymi podobiznami odstawionej blondyny stojącej w grupie identycznych, uśmiechniętych kobiet podczas rozmaitych imprez dobroczynnych.

Ale dopiero, gdy przewija dalej, na piątej stronie Google, z trudem łapie powietrze. Już miała uwierzyć, że to pomyłka, gdy zobaczyła Marka. *Z Maggie. I ich dziećmi.* Podczas pikniku w klubie żeglarskim.

Sylvie brakuje tchu. Czuje się tak, jakby ktoś ją przebił sztyletem, lecz tym razem nie ma mowy o pomyłce. Dalsze wyszukiwanie odkrywa jeszcze więcej informacji: o ich dzieciach, ich domu, ich życiu.

Palce Sylvie śmigają nad klawiaturą, po policzkach spływają jej bezgłośnie łzy, a gdy okazuje się, że niczego więcej się nie dowie, wstaje, podchodzi do drzwi, ale nogi odmawiają jej posłuszeństwa, więc powoli, przyparta do ściany, osuwa się na podłogę i zwija się w kłębek, a całym jej ciałem wstrząsa szloch.

Telefon dzwoni, a Sylvie leży skulona w pozycji embrionalnej, zbyt wyczerpana, zbyt wstrząśnięta, żeby się poruszyć.

Pozwala mu dzwonić i podnosi się dopiero wtedy, gdy uruchamia się sekretarka, ktoś się rozłącza i za chwilę aparat rozdzwania się na nowo.

Podchodzi do telefonu; czuje, że ciało ciąży jej jak ołów i chwytą słuchawkę dopiero wtedy, gdy widzi, że to Eve.

– Eve! – Stara się, by jej głos brzmiał normalnie, optymistycznie, jakby nie zawałił jej się właśnie świat.

– Cześć, mamó – mówi matowym głosem Eve.

– Gdzie się podziewasz? Wydzwaniam do ciebie od paru godzin. Wszystko w porządku? Tak się martwiłam.

Zapada długa cisza.

– Eve? Co się dzieje?

Sylvie słyszy, że zaczyna mówić podniesionym głosem, i usilnie się stara go obniżyć. Czyżby wiedziała? Oczywiście, że nie – bo i skąd?

– Chcesz, żebym po ciebie przyjechała?

– Nie. Jestem z Claudią.

– Powiedz mi tylko, czy wszystko w porządku? Możemy o tym pogadać, jak wrócisz do domu?

– Tak – mówi cichutko Eve.

Sylvie ogarnia przerażenie, ale zna córkę, wie, że nie może naciskać.

– Kocham cię – szepcze.

– Ja ciebie też.

Po telefonie od Eve Sylvie siedzi przez chwilę przy biurku, patrzy na zdjęcia i usiłuje coś z tego zrozumieć. Dzwoni do Marka, raz za razem, ale jego telefon jest wyłączony, i Sylvie zdaje sobie sprawę, że nie ma szans się z nim skontaktować. Zorganizował sobie życie tak, że może zniknąć; zawsze znikał. Dopiero teraz wszystko zaczyna się układać w jedną całość.

Po pewnym czasie przechodzi do kuchni i nalewa sobie sową porcję wódki. Siada przy stole kuchennym i sączy wódkę, w głowie przewijają jej się wspomnienia z życia małżeńskiego, z pierwszego spotkania z Markiem, i próbuje dociec, jak to się stało, że tak długo się ukrywał, jak mogła być taka głupia.

*Widzisz to, co chcesz widzieć, słyszysz to, co chcesz słyszeć, kapujesz?* Głowę wypełnia jej głęboki głos Harry’ego Nilssona z musicalu z jej dzieciństwa. Nie ma już cienia wątpliwości, jak to się stało, że uszło mu to płazem. Pytanie tylko brzmi, dlaczego to zrobił. Jeśli ta kobieta to jego żona – a tak najwyraźniej jest – to dlaczego poślubił Sylvie? Dlaczego nie zdecydował się po prostu na romans, dlaczego nie był szczery, przynajmniej z nią?

Za oknem miga Angie, wchodzi bez pukania z dwoma kubkami kawy i zastaje Sylvie siedzącą przy stole kuchennym naprzeciwko na wpół opróżnionej butelki z wódką.

– Nie za wczesna pora? – Angie marszczy brwi. – Wiem, że gdzieś tam wybiła piąta, ale u nas ledwo pora lunchu...



Rzuciwszy tylko okiem na minę przyjaciółki, siada i kładzie jej dłoń na ramieniu.

– Co jest? Co się stało?

Sylvie patrzy na nią i wybucha płaczem, a Angie bierze ją w ramiona, głaszcze po plecach i czuje, jak serce skacze jej do gardła na myśl o tym, co się mogło stać.

Teraz kolej Angie na kieliszek wódki.

– Nie do wiary – powtarza, patrząc na Sylvie i kręcąc głową.

Wychyla duszkiem kieliszek wódki, sięga po butelkę i nalewa po brzegi im obu.

– Gdybyś nie znalazła zdjęć, to bym nie uwierzyła. Niestłuchane. Przecież chodzi o Marka. *Marka!* Jak to możliwe?

– Nie wiem. – Sylvie wzrusza ramionami. – Wiem za to, że to prawda. A najgorsze jest to, że w pewnym sensie nie jestem zaskoczona. W pewnym sensie... wiedziałam.

Angie rozdziawia usta z zaskoczenia.

– *Wiedziałaś?*

– Nie wiedziałam, że ma drugą żonę – mówi niecierpliwie, prawie niezrozumiale Sylvie.  
– Ale nie mogłam się wyzbyć wrażenia, że coś jest na rzeczy, coś mi tu nie pasuje, tylko nie mogłam się z tym zmierzyć. Ilekroć zaczynałam myśleć, że to dziwne, że nie dzwoni przez kilka dni, albo że może ma romans, spychałam tę myśl jak najgłębiej. Nie wierzę, że byłam tak niewiarygodnie głupia.

– Jeśli ty byłaś głupia, to znaczy, że wszyscy zgłupieliśmy. – Angie bierze ją za rękę. – Mark jest ostatnią osobą na ziemi, po której bym się spodziewała czegoś takiego. Jest czarujący i dowcipny, i...

– Dość – szepcze Sylvie ze ściśniętym gardłem. – Nie zniosę tego.

– Przepraszam. – Angie sama ma łzy w oczach. – Po prostu nie mogę w to uwierzyć.

– Wiem. To tak jak ja. Ciągle myślę, że to pomyłka. Że też musiało się to wydarzyć akurat teraz. Poważnie, nie wiem, czy mam dość sił, by przez to przechodzić. Moje małżeństwo okazało się lipą, nie mam grosza, moja córka jest chora, a matka umierająca.

– Nie zdawałam sobie sprawy, że jest aż tak źle – mówi łamiącym się głosem Angie. – Naprawdę umiera? Myślałam, że wydobrzeje.

– W tej chwili nie jest ani lepiej, ani gorzej. Ale chcę porozpaczać. Moja matka leży w śpiączce farmakologicznej, prawdopodobnie na łożu śmierci, a ja nie czuję *nic*. A jeśli mam

być całkiem szczerą, to mam nadzieję, że nie wydobrzeje.

Udręczona patrzy na przyjaciółkę.

– Ale jestem odrażająca, prawda? Co ze mnie za człowiek?

Szłocha cicho, a Angie otacza ją ramieniem.

– Jesteś małą dziewczynką, nad którą znęcała się matka – szepcze. – Przez całe życie traktowała cię jak śmiecia, ale to nie twoja wina. To nie twoja wina.

Sylvie nic nie odpowiada, tylko kładzie głowę na ramieniu Angie i nie hamując łez, daje się kołysać.

Nieco później, gdy pominąwszy fazę podchmienia, przeszły prosto do upojenia, kiedy już Angie zdecydowała, że zostanie na noc, żeby zaopiekować się przyjaciółką, kobiety siedzą przy komputerze i przewijają zdjęcia.

– Spójrz tylko na te dzieci! – wykrzykuje Angie. – Chryste Panie, Sylvie. Wyglądają kropka w kropkę jak Mark. *Kutas*. A ona wygląda *okropnie*.

Przygląda się bacznie żonie.

– Żona ze Stepford na sterydach, co nie? Dziwne, że jest żonaty z kimś tak całkowicie różnym od ciebie. Ale... blondyna! Taka dziarska! I... różowiotka. I naiwna! Nienawidzę jej – jęczy, a Sylvie parska śmiechem.

Śmiech narasta, aż szala się przechyla i Sylvie zaczyna łkać. Angie, która od zawsze ma mocniejszą głowę, prowadzi ją do łóżka i otula kołdrą tak ciasno, tak kojąco, że przez chwilę Sylvie czuje się ogrzana, bezpieczna i kochana.

## 27

### *Sylvie*

Jest środek nocy i dzwoni telefon. To nie Clothilde, rejestruje Sylvie, wrywając się z głębokiego, alkoholowego snu. Kto zatem dzwoni o tej godzinie?

Mark!

– Halo? Halo? Halo? – mówi nagłym tonem, ale nie słyszy odpowiedzi, więc pyta cicho, prawie szeptem:

– Mark? To ty?

– To nie Mark – odpowiada jakiś głos.

Sylvie od razu instynktownie rozpoznaje, z kim ma do czynienia.

– Czy to...? Czy jesteś Maggie? – pyta z wahaniem.

Zapada długa cisza.

– Jesteś żoną Marka?

– Tak jak i ty, o ile dobrze rozumiem – mówi Maggie.

– Nie wiedziałam – odzywa się w końcu Sylvie. – Sama dopiero poznałam prawdę.

– Zdaję sobie z tego sprawę – ciągnie Maggie. – Tylko... to wszystko trochę mnie przerasta. Naprawdę już nie wiem, w co wierzyć. Widziałaś się z nim? – pyta już ciszej.

Nie to chce wiedzieć. Jest tak wiele innych rzeczy, o które chce zapytać: jak się poznali, jak do tego doszło, jak to możliwe, że o niczym nie wiedziała.

Ale wówczas musiałaby zapewne sama odpowiedzieć na podobne pytania, a na to z całą pewnością nie jest gotowa.

– Nie – mówi Sylvie. – Myślałam, że może jest z tobą.

Maggie śmieje się cierpko.

– A ja, że z tobą. Tutaj na pewno go nie ma i nie odbiera też telefonu. W jego biurze nikt nie odpowiada. Jakby się zapadł pod ziemię.

Sylvie blednie.

– U mnie to samo. A nawet gorzej. Weszła do mnie firma windykacyjna.

– Firma windykacyjna? – pyta czujnie Maggie. – Co masz na myśli? Pojawili się i wzięli jakieś rzeczy z domu?

W jej głosie wyraźnie słycać strach.

– Wygląda na to, że nie są upoważnieni do tego, żeby wejść bez pozwolenia, ale potrafią człowieka tak zastraszyć, że robią, co im się podoba. Załadowali na lawetę harleya Marka, ale do samego domu nie weszli.

Maggie mruga z niedowierzaniem.

– Przepraszam, czy możesz powtórzyć?

– Zabrali harleya-davidsona Marka.

– Mark ma... *harleya-davidsona*? Boże wielki. Buck, nasz czternastolatek, chyba skona!

To powiedziawszy, Maggie zaczyna się śmiać. Początkowo słycać chichot, potem śmiech na całe gardło, a wreszcie histeryczny ryk, po którym następuje seria szlochów.

Sylvie nic nie odpowiada. Siedzi cicho i się nie odzywa, wiedząc już, że Mark, którego zna i kocha, to zupełnie inny Mark niż ten, który poślubił kobietę po drugiej stronie linii.

Czkawka, potem pociągnięcie nosem; odgłos wyciąganej z pudełka chusteczki; głośne chrząkanie.

– Bardzo przepraszam – mówi ochryple Maggie. – Nie wiem, co mnie naszło. Boję się. Jestem zła. I smutna. I nie mam pojęcia, co począć. Wprost nie wierzę w tę zdradę. Jestem wściekła, ale jednocześnie ciągle mam nadzieję, że wróci i zapewni mnie, że wszystko będzie dobrze.

– Wymówki to jego specjalność – zgadza się mrukliwie Sylvie. – Zdarzało się, że zniknął na całe dni, nie dzwonił, nie pisał. Ja się zamartwiałam, ale gdy wracał do domu, mówił...

– ...że był na konferencji handlowej? Poza zasięgiem? Telefon mu się popsuł?

– Oczywiście tobie mówił to samo. Teraz wszystko jasne. Ale wtedy w jego ustach nieprawdopodobne brzmiało jak prawdopodobne, chociaż w pewnym sensie zawsze przeczuwałam, że coś jest nie tak.

– Czyż to nie ironia, że mamy tak wiele wspólnego? – stwierdza Maggie. – Może nie powinnam ci tego mówić, ale byłam na ciebie wściekła.

– Wcale się nie dziwię. Ale ja nie wiedziałam – odpowiada Sylvie. – Gdyby było inaczej, nigdy bym się z nim nie związała.

W słuchawce znów zalega cisza.

– Nawet już nie wiem, w co wierzyć. Jednego jestem pewna: to najgorsze, co mnie w życiu spotkało.

Sylvie nie odpowiada. Nie musi. Może to nie jest najgorsza rzecz, jaka spotkała ją, ale do cholery, niewiele już brakuje.

– O, Boże... – zaczyna łkać Maggie. – A co, jeśli zostawi nas na lodzie? Jeśli będę musiała pójść do pracy? Jak utrzymam rodzinę? Nasze dzieci?

Słyszy sama, że jej głos przechodzi w paniczny skowyt.

– Nawet nie wiem, jaka jest nasza sytuacja finansowa.

Im bardziej Maggie histeryzuje, tym Sylvie staje się spokojniejsza. Skutecznie walczy z rozdrażnieniem, które budzi w niej najwyraźniej rozpieszczona rozmówczyni.

– Maggie, nie mam pojęcia, w jakim jesteś położeniu, ale radzę ci, żebyś zaczęła się tego dowiadywać. Sama od jakiegoś czasu sprawdzam wszystkie papiery, jakie mogę znaleźć. Musisz pójść do każdego banku, w którym według twojej wiedzy macie rachunek, i skontaktować ze wszystkimi instytucjami kredytowymi, które wydały wam karty. Wtedy będziesz mieć jasny obraz. Możliwe, że nic ci nie grozi.

Wątpi w to, ale nie chce na nowo pociągać Maggie na skraj hysterii.

– Jeśli chodzi o pracę, to większość ludzi to robi. Sama pracowałam przez większą część życia i choć Mark nie chciał, żebym miała cały etat, nie boję się ciężkiej pracy i ty też nie powinnaś. Jako matki robimy to, co musimy, żeby zadbać o dzieci. Możliwe, że nie utrzymam poziomu życia, jaki miałam przez jedenaście ostatnich lat...

W słuchawce słychać gwałtowny wdech.

– Jedenaście lat? To wtedy wzięliście ślub?

– Nie wiedziałaś? – pyta z wahaniem Sylvie.

– Nie... nie miałam pojęcia – odpowiada łamiącym się głosem Maggie. – Jak można ukrywać coś takiego przez *jedenaście lat*? Jak to możliwe, że uszło mu to na sucho?

– Bo mu na to pozwoliłyśmy – mówi prosto z mostu Sylvie. – Chciałam mu wierzyć, więc nadstawiałam drugi policzek nawet wtedy, gdy jego wymówki były tak niewiarygodne, że nie mogły być prawdziwe.

– A ja byłam zbyt zaabsorbowana sobą, żeby zwrócić na to uwagę – odpowiada szeptem Maggie, a Sylvie czuje niespodziewanie przyływ współczucia z powodu tego, przez co musi

teraz przechodzić ta druga kobieta.

## 28

# Maggie

Jak się okazuje, wstrząs nie poraża od razu z całą siłą. Człowiek odkrywa coś tak potwornego, tak przełomowego, że poradzić sobie z tym może tylko poprzez odruchowe zaprzeczenie.

Cios. Człowiek przestaje wierzyć, a zaczyna tłumaczyć, wtedy spada drugi cios. Człowiek zaczyna szukać potwierdzenia, doszukiwać się przyczyn; rozgląda się wokół, patrzy na wszystko, co zbudował, wszystko, co kocha, wszystko, co go określa, i uświadamia sobie, że nic, *nic*, nie jest tym, czym się wydaje.

I wtedy zaczyna wymiotować albo mdleje, albo siada na podłodze i odrętwiały z szoku, obejmując rękami kolana, godzinami kuli się w ciemnym zakamarku.

Mija trochę czasu i idę do pokoju Grace. Okropna ze mnie matka. Powinnam przy niej być, ale nie mam siły. Wchodzę i zastaję Grace zwiniętą w kłębek na łóżku, a obok niej siedzącego Chrisa, który położywszy jej dłoń na plecach, czyta głośno *Małą księżniczkę*, jej ulubioną książkę z dzieciństwa.

Ruszam w ich stronę, sądząc, że to ja powinnam ją pocieszać, ale waham się, gdy na mój widok oczy córki zwięzają się w szparki.

– Gdzie on jest? – cedzi lodowatym głosem.

– Kto?

– Twój *mąż* – mówi.

– Nie wiem.

Nie mam pojęcia, dlaczego wydaje się taka wściekła na mnie.

– Zostawiłam mu wiadomości. Nie rozumiem, co się dzieje. Próbuję się dowiedzieć. Może jest jakieś wytłumaczenie.

– Tak. I ja już je znam – odpowiada beznamiętnie Grace. – To ty go do tego doprowadziłaś.

Tracę oddech.

– Wiesz, że to prawda – ciągnie, plując nienawiścią. – Jesteś dla niego taka wredna, ciągle na niego wrzeszczysz, wrzeszczysz na nas wszystkich, zawsze wszystko musi być na tip-top. Nic dziwnego, że poszukał sobie innej kobiety. Wiesz, jak Eve opisała swoją mamę? Jako wyluzowaną. *Wyluzowaną!*

Jej głos przechodzi w krzyk i przesywa moje serce jak ostrze noża.

– Powiedziała, że jej mama jest wyrozumiała. On nie mógł się doczekać, kiedy od ciebie ucieknie, bo jesteś taką jebaną despotką, a teraz zrujnowałaś nam wszystkim życie.

– Przestań, Grace – błaga Chris. – Jeszcze nic nie wiadomo.

– Owszem, wiadomo – odwraca się do niego Grace. – Wiadomo, że przez całe życie chodzimy na paluszkach, żeby przypadkiem *jej* nie zdenerwować, ale tata znalazł wyjście. Nie mam do niego żalu. Szkoda, że ja nie mogę znaleźć innej *mamy*.

Wtedy wychodzę z pokoju. Nie chcę, żeby zobaczyła, jak po policzkach spływają mi łzy. Nie chcę, żeby widziała, jak zamykam się w łazience i zwinąwszy się w kłębek na podłodze, kołyszę się w przód i w tył, jęcząc z bólu i zastanawiam, jak wiele cierpienia można znieść.

Po pewnym czasie siedzę odrętwiała przy kuchennym stole. Lara zanurza we wrzątku torebki z herbatą, przynosi kubki na stół i delikatnie przesuwa naczynie w moją stronę, dodawszy wcześniej miodu, co normalnie zrobiłabym sama, ale teraz zdaje się, że nie jestem zdolna do żadnego działania.

– Mam zadzwonić na policję? Do adwokata? Nie wiem, co zrobić. Ona powiedziała, że zadzwoni na policję.

– Ona? A! Druga żona.

– Ma na imię Sylvie.

Mieszam herbatę i patrzę, jak miód się rozpuszcza, a napój wiruje leniwie w kubku.

– Wydaje się znacznie silniejsza ode mnie.

Nie mogę zapomnieć o naszej wczorajszej rozmowie telefonicznej. Zanim się odezwała, wyobrażałam sobie, że to jakaś uwodzicielska, wszechwładna, zdzirowata diablica. Nie spodziewałam się, że to kolejna cierpiąca kobieta. Nie spodziewałam się, że ma jakieś ludzkie uczucia.

Nie pytała o moje życie z Markiem, ale i tak jej powiedziałam. Może nie powinnam, ale chciałam, żeby mnie wysłuchała. Bez względu na to, czy o mnie wiedziała, czy nie, musiałam jej to powiedzieć, być może po to, żeby przywrócić ważność sobie, swojemu życiu, życiu moich dzieci.

Mam troje dzieci, powiedziałam. Chrisa Hathawaya, Grace Hathaway i Bucka Hathawaya. Jestem żoną Marka Hathawaya od dwudziestu pięciu lat.

Mark jest urodzonym sportowcem, na studiach grał w hokeja, ale teraz woli tenisa albo golfa. Nie znosi sznurowanych butów, chyba że tenisówki, nie tknie ryby oprócz łososia, a jego



ulubiony film z ostatnich lat to *Old School: Niezaliczona*. I ubóstwia Stonesów.

Mój mąż. Moja miłość. Nie skończyłam mówić, a już mi się załamał głos. Miałam do powiedzenia jeszcze więcej, o wiele więcej. Chciałam jej wyznać, jakim jest cudownym ojcem, jak wygląda, gdy porusza się we mnie, jak mnie drażni, gdy staje za mną i łapie za tyłek, i jak zawsze go to bawi.

Chciałam jej opowiedzieć, jak mi się oświadczył. Jak spotkaliśmy się w klubie żeglarskim jego ojca w Kennebunkport i tam, po pijackim wieczorze z tatą, starał się to zrobić bez rozgłosu, co było trudne, zważywszy na pozycję jego taty. Jak wymknęliśmy się na pokład na papierosa, jak Mark wyjął pierścionek po babci, co potwierdzało, że zaplanował to wcześniej. Jak zabrakło mi tchu, gdy pijany z pełną powagą upadł na jedno kolano.

Chciałam, żeby wiedziała, jakim jest wspaniałym mężem. Jak zawsze robi zakupy, wozi wszędzie dzieci, gdy jest w domu, potrafi naprawić w domu praktycznie wszystko.

Chciałam jej powiedzieć, jak niedobrze mi się robi, gdy opisuję mężczyznę, który wydaje się idealny, a tymczasem jest wprost przeciwnie. I jak obrzydliwie się czuję, opowiadając o mężczyźnie, którego od lat nie zauważałam. Nie widziałam go. Byłam zbyt zajęta wspinaniem się po drabinie społecznej, żeby dbać o Marka.

Ale chce mi się rzygać przede wszystkim dlatego, że choć pamiętam wiele dobrego, myślę o tym, co wykrzyczała mi Grace, a o czym od zawsze wiedziałam.

Nie zasługuję na niego. Nigdy nie zasługiwałam.

Za wysokie progi.

## 29

# Maggie

Ktoś dzwoni do drzwi. Ignoruję go i ściszam telewizor na wypadek, gdyby głos Kelly Ripy przeniknął przez okna na podjazd i zasignalizował intruzom, że jestem w domu.

Dziś rano rzeczywistość znów uderzyła we mnie z całą siłą. I wstyd. I strach. I na nowo znalazłam się w punkcie wyjścia, znów pragnę pozostać w łóżku i spędzić resztę życia w ukryciu.

Dzwonek do drzwi zmusza mnie do tego, żeby się podnieść i ukradkiem wyjrzeć przez żaluzje w łazience. Na podjeździe stoi czarny range rover, blondynka w białym stroju tenisowym właśnie wsiada i odjeżdża, bez wątplenia zostawiwszy coś w progu.

Nie mogę się zwlec z łóżka. Mark się nie odzywa. Zostawiłam mu masę wiadomości, od stosunkowo normalnych: „pogadajmy o tym”, po nocne łkania: „jak mogłeś to zrobić dzieciom, jak mogłeś to zrobić mnie?”.

Idę do łazienki, a gdy mój wzrok pada na leżące w rogu przybory do golenia Marka, twarz znów wykrzywia mi żal i muszę się chwycić blatu. Nie mogę w to uwierzyć. Nie mogę uwierzyć, że naprawdę mnie to spotkało.

Nie mam pewności, co jest gorsze. Utrata Marka czy utrata mojego życia.

Nie mam pewności, czy to się jeszcze liczy.

W łazience coś śmierdzi i dopiero po chwili dociera do mnie, że to ja. Całe dni w łóżku, bez prysznic, bez mycia zębów, sprawiły, że marszczę z obrzydzenia nos, gdy ściągam przez głowę koszulę nocną, i zastygam, żeby przyjrzeć się sobie w lustrze. Czy naprawdę jestem taka odrażająca, taka okropna, taka bezwartościowa, że mój mąż musiał sobie znaleźć kogoś innego?

Obracam się bokiem i ujmuję brzuszek, którego nie mogę się pozbyć, choćbym nie wiadomo jak ćwiczyła i ile razy przechodziła na dietę sokową, czyli oczyszczającą, czyli *głodową*. Poza tym moje ciało jest dopieszczane na siłowni, wyrzeźbione na pilatesie. Włosy mam przycięte, rozjaśnione pasemkami i regularnie układane.

Botoks trzyma w ryzach zmarszczki mimiczne, kwas hialuronowy uwypukla kości policzkowe jak nigdy wcześniej. Uważam się, być może niesłusznie, za osobę, która wygląda młodo jak na swój wiek i to niekoniecznie ze względu na to, że coś ze sobą robiłam, ale wszystkie znajome dziewczyny poddają się tym samym zabiegom i mają podobne przekonanie, a jednak, patrząc na nie, wiem dokładnie, jakich wypełniaczy używały. I gdzie.

Moja twarz nie wygląda dziś zbyt dobrze. Już kilkudniowa głodówka wystarczyła, żeby nadać jej wyniszczony, nieco obłąkany wyraz. Tłuste włosy zwisają w strąkach, a tuż pod linią włosów pokazał się wielki pryszcz.

Cofam się i ujawnię w dłonie piersi, unoszę je i zaraz potem pozwalam działać grawitacji. Czy tego właśnie pragnął Mark? Czy chodzi o to, że nie jestem szczególnie zainteresowana seksem? Oczywiście, gdy się poznaliśmy, byłam. Przed ślubem nieźle szaleliśmy, ale jakoś z biegiem lat moje zainteresowanie tą sferą spadało.

Potem pojawił się Chris, później reszta. Ani ja, ani Mark nie mieliśmy siły, żeby udawać, i pragnęliśmy tylko zasnąć przy kojących odgłosach z telewizora.

Mark jest stale zmęczony po podróży. Czyż nie dzieje się tak, że po pewnym czasie dotyka to każdą parę? W tym mieście nikt już nie uprawia seksu. A przynajmniej nie z własnym mężem.

Moje znajome pozwalają sobie na dyskretne flirty, ale ja, jeśli nie będę uprawiać seksu z Markiem, to z pewnością nie będę też uprawiać go z kimś innym, i – w odróżnieniu od niektórych kobiet, których nie wskażę palcem – na pewno nie z trenerem, projektantem ogrodów czy – Boże broń – *fachowcem od remontów*. Po co, u licha, miałabym ryzykować to wszystko, żeby wyłądować z powrotem tam, skąd przyszedłam?

Kiedy ostatnio kochałam się z Markiem? Miesiąc temu? Dwa? Zdaje się, że po przedstawieniu Grace.

*Boże święty*. Czy to naprawdę było w *styczniu*? Parę miesięcy temu! To Mark wyszedł z inicjatywą, jak zwykle. Było szybko i przyjemnie, jak zwykle. Zakończyliśmy buziakiem, ja obróciłam się na bok do snu, a Mark poszedł na dół pracować. Jak zwykle.

Ciekawe, jak często kocha się z Sylvie. Ciekawe, czy jest nią równie mało zainteresowany jak mną. Czy porusza się w niej tak samo? Czy ona jest lepsza ode mnie? Bardziej aktywna? Czy robi mu rzeczy, których ja bym nie zrobiła?

Nie będę się teraz nad tym zastanawiać. Nie potrafię. Tyle tylko mogę zrobić, żeby poradzić sobie z tą ogromną, nieuchronnie nadciągającą zmianą. Co ona dla mnie oznacza? A dla dzieci? Na razie skradają się po domu, jakby się mnie bały.

Poza Grace, której prawie nigdy nie ma. Pomieszkuje u różnych znajomych, na co normalnie bym nie pozwoliła w ciągu tygodnia, ale nie mam siły na jej nienawiść, jej pogardę, jej ból.

Odkręcam wodę pod prysznicem i wpełzam z powrotem do łóżka, czekając, aż się nagrzej, i wtedy otwierają się drzwi sypialni. Przestraszona naciągam kołdrę na głowę w obawie, że któraś damulka od range rovera wdarła się do domu, zaraz mnie zobaczy i doniesie, że jestem w oplakany stanie.

To Grace. Opadam z ulgą na pościel i zaraz zaczynam się zastanawiać, dlaczego nie siedzi w szkole.

– Która jest? Dlaczego jesteś w domu?

– Nie wiem. Nie czuję się za dobrze.

Próbuję usiąść i odezwać się tak surowo jak dawniej, zanim jeszcze rozpadł się mój świat, i przyglądam się jej uważnie. Sprawia dziwne wrażenie. Jakby się wyłączyła.

– Grace? Czy ty... piłaś?

– O Jezu, nie! – syczy. – Odbiło ci?

– Przepraszam. Po prostu wyglądasz... dziwnie.

– Mówiłam ci. Nie czuję się za dobrze.

– Może odpoczniesz z godzinę, a potem zawiozę cię do szkoły? Wiem, że życie nas teraz nie oszczędza, ale to twój ostatni rok, ważna sprawa. Proszę cię, nie zawal przez to szkoły.

Miażdży mnie spojrzeniem.

– Nie wiem, czy jesteś odpowiednią osobą do udzielania takich rad – mówi.

– W porządku, ale przed tobą całe życie i nie chcę, żebyś je sobie zrujnowała.

– Już jest zrujnowane – odpowiada Grace, a w jej oczach wyraźnie widać cierpienie.

– Och, skarbie. – Klepię dłonią łóżko koło siebie; pragnę wziąć ją w ramiona i ukoić jej ból. – To okropne. Chciałabym ci poprawić humor, ale nie potrafię. Musimy po prostu się wspierać nawzajem i starać się, jak tylko możemy.

Grace nie rusza się z progu ani na krok.

– Wspierać się nawzajem? – wydaje z siebie sarkastyczne warknięcie. – Od sześciu dni nie wyłazisz z łóżka. Przegapiłaś występ mojego chóru i zawody jeździeckie. Dzięki Bogu, znajomi podrzucają jedzenie, bo ciebie nigdzie nie widać. Jezu, mamo. Tu nie chodzi tylko o ciebie. Straciliśmy ojca i nie mamy w nikim oparcia.

– Staram się – mówię łamiącym się głosem. – Staram się wam dawać oparcie. Chciałabym, żebyście ze mną o tym porozmawiali. Chcę wam pomóc... tylko... nie wiem, co robić.

Teraz już naprawdę płaczę.

– Przecież ty nie chcesz pomóc! – krzyczy Grace. – Cały dzień tylko leżysz beczynn timer w łóżku. I tak bym o tym z tobą nie gadała, bo to wszystko twoja wina! Tata by nas nie zostawił, gdybyś nie była taką tyranką. Rozumiem, dlaczego odszedł. Nie znoszę tu z tobą mieszkać. Dotąd wytrzymałam tu tylko ze względu na tatę. Nienawidzę cię! Zrujnowałaś mi życie! – wrzeszczy i trzaskając drzwiami, wybiega z pokoju.

Jak mam do niej dotrzeć? Jak jej pomóc? Jak pomóc któremukolwiek z dzieci, skoro wiem, że to, co mówią, jest prawdą? Skoro nie potrafię nawet się zwlec z łóżka, żeby się nimi zająć. Nie tylko byłam okropną żoną, ale jestem też okropną matką. Grace ma rację.

Leżę otępiała, wpatruję się w sufit, nasłuchuję, jak woda z natrysku leje się i leje, i naprawdę nie mam pojęcia, co począć, jak sama poradzić sobie z tym życiem.

Albo czy w ogóle chcę sobie z nim radzić.

Przyznaję. Leżę w łóżku i rozmyślam o samobójstwie. Nie widzę już sensu; nic mnie nie obchodzi. Mogłabym łyknąć tabletki. Albo podciąć sobie nadgarstki. Z jednej strony wiem, że nigdy bym tego nie zrobiła, ale z drugiej – jakiś wewnętrzny przymus pcha mnie do tego. Co zrobiłyby dzieci? Czy w ogóle by je to obeszło? I Mark. Cóż to by była za słodka zemsta, gdyby musiał dźwigać taki ciężar do końca życia.

Z tych chorych, pokręconych myśli wyrывa mnie Buck. Kochany, uroczy Buck, taki mały, a taki spostrzegawczy, kochający i dobry.

Słyszę, jak wchodzi do domu i się wita, a pięć minut później puka delikatnie do drzwi mojej sypialni i wnosi filiżankę kawy oraz talerzyk z ciastkami.

– Pomyślałem, że będziesz miała ochotę. – Nachyla się i całuje mnie w policzek, a ja patrzę na niego czule.

– Przepraszam – szepczę, a w oczach znów zbierają mi się łzy. – Przepraszam, że jestem taka żałosna. Niezbyt dobrze się czuję.

– Nie szkodzi – mówi. – Grace też dojdzie do siebie. Cierpi i tyle. Wiesz, jaka z niej córeczka tatusia, po prostu nie radzi sobie z jego zniknięciem.

– A ty?

Buck wzrusza ramionami i odwraca wzrok.

Wiem, że cierpi, ale mi nie powie. Jeszcze nie teraz.

– Daję radę. Jak mam jakieś zajęcie, trochę udaje mi się zapomnieć. Też tak powinnaś zrobić, mamó. Naprawdę powinnaś wstać i wziąć się do roboty. To działa, przysięgam. Nie na dłuższą metę, ale chociaż na chwilę. Dopóki ktoś nie przypomni.

– Masz rację. – Siadam i popijam kawę, ale ciastek mój żołądek nie przyjmie. – Do roboty. Muszę się zabrać do roboty – mówię z uśmiechem i zastanawiam się nad ostatnim zdaniem.

– Buck, powiedziałeś, że dopóki ktoś nie przypomni. Czy to znaczy, że ktoś ci coś mówił w szkole?

Wierci się nerwowo i znów wzrusza nieznacznie ramionami.

– Co mówią?

– Nic takiego. Słyszeli tylko, że mój tata ma drugą żonę i drugie życie w Kalifornii. Kilka osób pytało, czy to prawda, że mój tata to przekręciarz.

Wydaję z siebie jęk. Nic dziwnego, że Grace zostaje w domu. Dzieci potrafią być takie okrutne. Nie wiedzą, jaką siłę mają ich słowa. Tyle się mówi o znęcaniu, wszystkim się zdaje, że są tacy świadomi zagrożeń, a jednak wystarczy jedna bezmyślna uwaga, jedno tak łatwo przechodzące przez usta spostrzeżenie, a samoocena dziecka zostaje zniszczona na całe lata.

W ubiegłym roku w szkole doszło do nękania na Facebooku. Nawet same dzieci przyznały wtedy, że ich tata ma rację co do Facebooka. To dlatego zawsze nalegał, żeby dzieci trzymały się od tego z daleka – ze względu na brak prywatności i potęgę słowa pisanego, wystukiwanego często bez refleksji, ostrożności i świadomości jego zasięgu.

– Czy tak właśnie uważają? – dopytuję. – Że jest przekręciarzem?

– Tylko niektórzy. Powiedzieli, że będziemy musieli sprzedać ten dom i że zostaniemy na lodzie.

– Co? – Teraz już kipię ze złości. – Kto tak powiedział? Chcę wiedzieć, kto rozpowiada takie rzeczy.

– Nawet nie znam ich imion – kłamie Buck. – Jakieś tam dzieciaki z innej klasy.

Patrzy na mnie, a w jego oczach widzę lekki strach.

– Czy to prawda?

– Nie! – oświadczam stanowczo. – Wiadomo, że tata zniknął, i wiadomo, że na drugim wybrzeżu żyją inni ludzie, na których mu zależy, ale reszta jest wyssana z palca. Nie sprzedajemy domu, a tata absolutnie nie jest przekręciarzem. I kocha cię, Buck. Nawet jeśli zostawi *mnie*, nie zostawi *was*. Obiecuję.

Buck kiwa głową, chociaż mi nie wierzy. Sama sobie nie wierzę. Nie wiem już, w co wierzyć, ale chcę ochronić te dzieci najlepiej, jak potrafię, i bez względu na to, jak bardzo Mark nas zdradził, nadal pozostaje ich ojcem, a one go potrzebują.

– Mam dziś zrobić lazanię? – pytam, a Buck uśmiecha się i kiwa z ożywieniem głową. – Coś ci powiem. Wyślij Chrisa do miasta po mieloną wołowinę i mozzarellę, to wam upiekę. Nawet wyjdę z łóżka i z wami zjem.

Mierzwię mu czuprynę, a potem przyciągam mocno do siebie.

– Kocham cię, Buck.

– Ja ciebie też – mamrocze, a potem wstaje i gdy jest już przy drzwiach, obraca się do mnie.

– Aha, mammo. Może byś wzięła prysznic, zanim zejdziesz na kolację?

Ledwo wyszłam spod prysznic, a tu dzwoni telefon. Czekam, aż odbierze któreś dziecko, ale po chwili patrzę na wyświetlacz i widzę napis NIEZNANY. To może być Mark.

Chwytam bez tchu słuchawkę i serce mi zamiera na dźwięk fałszywej troski w głosie Kim.

– Maggie! Nie sądziłam, że odbierzesz! *Wszyscy* od wielu dni próbują się do ciebie dodzwonić. Tak się martwiłyśmy.

– Nic mi nie jest – mówię. – Dziękuję za troskę.

– Ale naprawdę wszystko w porządku? – Jej głos jest jak miód, tak śliski i lepki, że nikt by się nie domyślił, jaka z niej suka. – Chciałam cię tylko powiadomić, że myślami jesteśmy z tobą. Czy mogę coś dla ciebie zrobić, Maggie? Cokolwiek?

– Możesz odnaleźć mojego męża – wrywa mi się i zaraz przeklinam się w myślach.

Miałam nie wymawiać tych słów, a na pewno nie pod adresem Kim.

– Żartowałam – prostuję szybko. – Właśnie się wszystkiego dowiadujemy.

– A więc to prawda? – pyta. – Ma żonę i dziecko? Linda doradzała klientom przy sprawach rozwodowych i twierdzi, że na sto procent pójdzie siedzieć. Biedactwo, to musi być coś okropnego. I podobno znikły całe pieniądze. Och, Maggie! Musisz przechodzić istne piekło. Nawet sobie nie wyobrażam, co możesz teraz czuć. Szczerze mówiąc, gdybym musiała sprzedać ten dom, chyba bym się zabiła. Zwłaszcza że włożyłaś w niego tyle pracy. Dokąd zamierzacie się przenieść?

– Kim – odzywam się zdecydowanym głosem. – Nie wiem, skąd czerpiesz te informacje, ale to wszystko nieprawda. Nasze finanse są w najlepszym porządku, a jeśli chodzi o dom, to nigdzie się nie wybieramy.

– Naprawdę? Ale ja słyszałam...

– Nie obchodzi mnie, co słyszałaś. To nieprawda. Muszę już lecieć. Jeszcze raz dzięki za troskę.

Ostatnie zdanie było przepełnione sarkazmem i Kim nie mogła nie usłyszeć, jak trzaskam słuchawką, zaciskając z wściekłości zęby.

Kto w tym mieście jest na szczycie, przed tym świat stoi otworem. Ja zawsze byłam na

szczybie; to ja plotkowałam o innych i czułam wdzięczność, że dopisuje mi większe szczęście niż tym biedaczkom, których sytuacja życiowa odmieniła się tak znacząco, że reszta z nas wzdrygała się na samą myśl.

Te kobiety, które mieszkają w wielkich domach, dopóki mężowie nie wymienią ich na bardziej żwawe, olśniewające, młodsze kopie, opłacając drapieżnych adwokatów i księgowych, którzy mają za zadanie wykazać, że osaczona pierwsza żona jest obłąkana, a klient nie ma grosza przy duszy, przy czym po rozwodzie mąż i jego olśniewająca druga żona stawiają większy, lepszy, bardziej imponujący dom, a pierwsza żona, zgnębiona rozwodem, gnieździ się w wynajętym mieszkanku nad cudzym garażem.

Te pierwsze żony, należące niegdyś do naszego grona, organizują „wyprzedaże garderoby”. Dziesiątki kobiet, które mają dość szczęścia, by jeszcze trzymać się zamożnych mężów, rzucają się gorączkowo na sterty kaszmiru i rzeczy od Chanel czy Hermès, przeszukują diamenty i perły, i płacą każdą cenę, jakiej zażąda nieszczęsna była żona, powtarzając sobie, że jej pomagają, i nie dopuszczając do świadomości wyrzutów sumienia, że oto żerują na czyimś nieszczęściu.

Niezbadane są wyroki boskie. To mogłaby być jedna z nas. Którakolwiek. Ilekroć spotykamy byłą pierwszą żonę, która pracuje teraz w butiku albo stara się o licencję pośrednika handlu nieruchomościami, przypominamy sobie, jak krucho są nasze własne związki.

Po obowiązkowych powitaniach, seriach „Cześć-jak-leci!” i „Fantastycznie-wyglądasz!” czy „Ale-schudłaś-chyba-jesteś-na-diecie-rozwodowej!”, uciekamy gdzie pieprz rośnie, z dala od przypomnienia, że możemy się znaleźć na jej miejscu, jeśli nie będziemy dość ostrożne.

To dlatego uzależniamy się od pilatesa, jogi, pasemek, solariów, wosku, kwasu hialuronowego i innych wypełniaczy. Przyzwyczajamy się do myśli, że należymy do wyższych sfer, i zamierzamy tam pozostać, niezmiennie budzić zainteresowanie naszych mężów i pilnować, żeby nie stać się takimi jak *one*.

A tu proszę. Zostałam sama. Zdradzona. Upokorzona. Na ustach wszystkich. Przedmiot ich *schadenfreude*. Ach, z jaką rozkoszą rozprawiają o cudzym nieszczęściu, próbując zatuszować satysfakcję współczującymi minami, pomrukami troski, zapiekankami pozostawianymi na progu, jakby porzucenie było chorobą, schorzeniem.

Bo oczywiście jest.

Chciałabym wiedzieć, co ludzie gadają. Chciałabym im powiedzieć, że to wszystko nieprawda, ale sama nie wiem, co jest prawdą, a co nie. Wiem jedynie, że nieprzyjemne pogłoski działają jak głuchy telefon – jedna pikantna plotka rodzi kolejne, aż ostateczny rezultat w niczym nie przypomina prawdy.

Nie mogę pójść do miasta. Nie mogę nawet przejechać. Myśl o powszechnym współczuciu napawa mnie przerażeniem. I wstydem. Nie mogę, nie stanę się obiektem litości.

Nie mogę, nie zamierzam odbierać od nich telefonów. Ani otwierać przed nimi drzwi.



Przynajmniej do czasu, aż zdołam jakoś przezwyciężyć upokorzenie, wstyd i szok spowodowany tym, że wszyscy wiedzą, co starałam się zawsze ukrywać i co stało się przyczyną odejścia Marka:

Nie dorastam innym do pięt.

Mija trochę czasu i wzbiera we mnie złość. Napędza, daje energię, żeby się ubrać i zejść na dół. Złość towarzyszy mi, gdy wyjmuję z szafek naczynia, układam warstwy makaronu i sosu pomidorowego, i z pasją ucieram na wierzch parmezan. Buck i Chris w milczeniu krzątają się wokół, nieproszeni nakrywają do stołu i bez słowa skargi karmią psy.

Buck idzie nawet na dwór pozbierać swój sprzęt do lacrosse. Obserwuję go przez okno i widzę, jak wchodzi do pawilonu ogrodowego. Wszystko zostało usunięte, wszelkie ślady po dniu, który zmienił nasze życie.

Nalewam sobie kieliszek wina i wychodzę za nim. Zbliżam się powoli do skraju trawnika, obracam się i patrzę na basen, taras i dom. Bez względu na pogłoski, bez względu na to, co ostatecznie okaże się prawdą, nie stracę tego domu. Nigdzie indziej nie znajdę szczęścia.

Nawet jeśli będę musiała wynająć najdroższych adwokatów od rozwodów, nie wyląduję w jakiejś klitce na obcej posiadłości i nie dopuszczę do tego, że trzeba będzie zabrać Bucka z prywatnej szkoły albo – Boże broń – pójść do pracy.

Nie wrócę tam, skąd przybyłam. Dotarło do mnie to, co powiedziała Sylvie: że powinnam zbierać informacje, dowiadywać się, na czym stoimy, lecz jeszcze nie jestem gotowa. Ale już niedługo.

Czy obawiam się tego, co mogę odkryć? Nie. Jestem tym przerażona.

Chłopcy siedzą przy stole, a ja nakładam lazanie na talerze i podaję im do wyciągniętych rąk z przestrożą, żeby uważali, bo talerze są gorące.

– A gdzie wasza siostra? – Patrzę to na jednego, to na drugiego, ale zgodnie wzduszają ramionami.

– Idźcie ją zawołać na kolację.

Chris patrzy wyczekująco na Bucka, a ten odwzajemnia spojrzenie.

– Teraz twoja kolej – mówi Buck. – Ja nakarmiłem psy. I pozbierałem rzeczy z podwórka.

– Tak, bo to *twoje* rzeczy – mówi Chris. – Ja nakryłem do stołu. I wyjąłem pocztę.

– Jezu! – wrzeszczę i walę łyżką w stół, na co obaj podskakują. – Przestańcie się kłócić. Po prostu po nią idźcie.

– Całe szczęście, że w przyszłym tygodniu kończy się przerwa świąteczna – mamrocze

Chris, odsuwając gwałtownie krzesło.

– Wiesz co? – zwracam się do niego. – Ja też się z tego cieszę.

Chris pędzi po schodach po Grace, a ja natychmiast żałuję, że na niego naskoczyłam.

– Przepraszam – mówię, gdy tylko wraca do kuchni. – Nie chciałam. Po prostu nie mogę teraz znieść waszych kłótni.

– No dobra – bąka, a ja wzdycham.

– Powiedziałeś Grace?

– Tak. Twierdzi, że nie jest głodna.

Podchodzę do podnóża schodów i wołam ją po imieniu, czego nigdy nie robię. Wprowadziłam zakaz krzyków. Krzyki przypominają mi moich rodziców – domowe wrzaski są takie *déclassé*, że wpoilałam dzieciom, zresztą ku ich niechęci, że należy przejść się po domu z telefonem, jeśli dzwoniący chce akurat rozmawiać z kimś przebywającym w innym pomieszczeniu.

A teraz sama łamię wszystkie zasady.

– Co? – odkrzykuje Grace.

– Chodź no tu!

Ciekawe, jak długo jej to zajmie. Jeszcze tydzień temu nie śmiałyby się tak do mnie odezwać. Jeszcze tydzień temu odnosiła się do mnie z szacunkiem i grzecznością. Odnoszę wrażenie, że w środku nocy ktoś mi podmienił córkę na to ponure, chamskie, wściekłe dziecko, dla którego mam coraz mniej sympatii.

– Co? – stoi na piętrze i patrzy na mnie lekceważąco.

Podnoszę głos.

– Kolacja!

– Nie jestem głodna.

– Guzik mnie to obchodzi – cedzę przez zaciśnięte zęby. – Siedzimy przy rodzinnym stole i masz do nas dołączyć. Nie musisz jeść.

– Nie siedzimy przy rodzinnym stole – prycha Grace. – Może nie zauważyłaś, ale brakuje taty. Dzięki tobie. Więc ani myślę do was zejść.

– Właśnie że zejdziesz, do cholery – mówię powoli.

– Właśnie że nie, do cholery – odpowiada, a potem przepycha się koło mnie, trącając mnie ramieniem, wybiega tylnymi drzwiami i znika na podjeździe, a ja stoję nieruchomo, wstrząśnięta do głębi.

Nie byłam dotąd w takiej sytuacji. Nie mam pojęcia, co robić. Zamykam więc drzwi, wchodzę do kuchni i ignorując Chrisa i Bucka siedzących z rozdziawionymi ustami, sięgam po widelec.

– Można jeść – bełkoczę z pełnymi ustami, żeby przywrócić trochę normalności naszemu życiu, które nagle przestają rozpoznawać.

# 30

## *Grace*

Mama Landonu stara się mnie traktować jakby nigdy nic, ale jest niespotykanie delikatna i wiem, że próbuje w pewnym sensie zastąpić mi matkę.

O nic nie pyta, nie porusza tej sprawy, lecz nieoczekiwanie zaczęła mnie traktować jak nowego członka rodziny. Oczywiście Landon i ja chodzimy ze sobą od wieków, a ja zawsze utrzymywałam dobre stosunki z jego rodziną, ale rzadko się zdarzało, żeby zapraszali mnie na regularne weekendowe wypadki do, powiedzmy, wesołego miasteczka, a teraz biorą mnie na pokład łajby, jakbym należała do stałej załogi.

Nie mówiąc już o tym, że pani Carver zaproponowała mi noclegi w pokoju gościnnym, gdy tylko będę chciała. Zastąpiła nawet białą narzutę biało-niebieską, należąca kiedyś do jej córki, bo rzekomo ociepla wnętrze, i zostawiła pod prysznicem nowe butelki szamponu i odżywki. Mojej ulubionej marki.

Zostaję tu dziś na noc, bo nie mogę znieść mieszkania w domu. Wszyscy już śpią, włącznie z Landonem. Żartował sobie, że zakradnie się na palcach przez korytarz, ale przestrzegłam go przed tym. Tego mi tylko trzeba, żeby jego matka mnie wywaliła. Nie pojedę do domu. Nie chcę jechać do domu.

Wpełzam pod kołdrę, podpieram plecy poduszkami, sadzam sobie na kolanach starego pluszowego misia Landonu i rozkładam mu łapy do uścisku.

Miś jest miękki i szorstki. Zostało mu jeszcze trochę futerka, ale większość się wytarła od przytulania. Układam go sobie na ramieniu jak dzidziusia, klepię po grzbiecie, a w oczach zbierają mi się łzy.

Powinnam być w domu. Nie powinnam tu siedzieć, w tym obcym pokoju, który w miarę upływu nocy staje się coraz bardziej znajomy. Chcę być oparciem dla braci, szczególnie dla Bucka, ale ilekroć widzę matkę, czuję przyływ wściekłości i nic nie mogę zrobić, żeby nie wybuchnąć.

Mam do niej żal. Naprawdę. I nienawidzę jej za to. Przez siedemnaście lat mieszkałam z nią i obserwowałam, jak traktuje tatę, jak go nie docenia, jak rozstawia nas po kątach, pokazuje, gdzie nasze miejsce, i w końcu popycha go w ramiona kogoś innego.

Chciałam zniechęcić Eve, ale nie potrafiłam. Chciałam zniechęcić jej matkę, ale nawet to mi się nie udało. Wszystko, co opowiadała o niej Eve, zanim jeszcze wyszło szydło z worka, wydawało się niewiarygodne. Z opowieści wynikało, że to matka, jaką chciałam mieć. I najwyraźniej także żona, jaką chciał mieć tata.

Ale jak mógł nam to zrobić? Jak mógł tak zwyczajnie od nas odejść? Rozumiem, że nie odbiera telefonów od mamy. Rozumiem, że chce się wyrwać jak najdalej, ale nie odbierać

telefonów ode mnie? Ignorować mnie? Jeszcze nigdy nic mnie tak nie zraniło.

Nie mam poczucia, że straciłam jedno z rodziców. Mam poczucie, że straciłam oboje. Mój ojciec, człowiek, którego wielbiłam przez całe swoje życie, znikł. Dorastając, jednego byłam pewna: że jestem córeczką tatusia, że ojciec mnie kocha i bez względu na wszystko zawsze będzie obok. Jakże się myliłam.

Zostaje tylko matka, w której miłość powątpiewałam, odkąd pamiętam. Niezdolna nawet udawać, że ją obchodzimy, niezdolna odłożyć na bok własnych zmartwień i spróbować zająć się dziećmi. Moja matka, najbardziej egocentryczna i samolubna kobieta, z jaką się kiedykolwiek zetknęłam, nie zadaje sobie żadnego trudu grania dobrej matki. Nie dba o pozory.

Po prostu nie wstaje z łóżka.

A my, jak troje sierot, musimy radzić sobie sami. Chris wrócił już na studia, nie mógł znieść tego dramatu, ale ja mam siedemnaście lat i jeszcze mieszkam w domu. A Buck? To ledwie podrostek. Buck potrzebuje matki. Wiem, że pod jej nieobecność to ja powinnam się nim zaopiekować, ale nie mogę już tego znieść, nie mogę przebywać blisko niej ze świadomością, że to ona jest temu wszystkiemu winna.

Wcześniej wiedziałam, że matka nigdy mnie nie kochała. Nie wiedziałam, aż do chwili sprzed paru dni, że nigdy nie kochał mnie też ojciec. Siedzę z misiem na ramieniu i lzy płyną mi cicho po policzkach. W całym domu panuje cisza. Wpatruję się w zegarek, aż mija północ.

Carverowie kładą się wcześniej. Przed kolacją lubią się napić drinka, i to niemałego, a do posiłku popijają wino. Nam też nie żalują – olać zasady i przepisy. To znaczy, że zasypiają szybko i twardym snem, a ja wiem, gdzie przechowują alkohol.

Kiedy jestem już absolutnie pewna, że wszyscy śpią, skradam się korytarzem i nasłuchuję pod drzwiami obu sypialni. Słysząc donośne chrapanie państwa Carverów i nieco cichsze – Landona.

Schodzę po schodach, oświetlając sobie drogę iPhone'em. W spiżarni stoi dzisiaj otwarta i opróżniona do trzech czwartych butelka wina. Wiem, że jeśli zniknie, nic nie zauważą. Landon żartuje zawsze, że nie mają pojęcia, co stoi w piwniczce. Zawijam butelkę w szlafrok, wracam na górę, zamykam delikatnie drzwi i z powrotem siadam na łóżku.

Kiedyś nie przepadałam za winem. Ani za wódką. Ani w ogóle za alkoholem. Przekonuję się jednak, że im częściej się pije, tym lepiej smakuje. A Carverowie pijają wyborne czerwone wina. Zgoda, nie wypada ich pić z gwinta, ale i tak doceniam ten smak i jedno mogę stwierdzić: na pewno pomaga odwrócić myśli od mojego tak gównianego życia.

# 31

## *Maggie*

O czwartej rano wpatruję się w księżyc w pełni i nawet nie próbuję z powrotem zasnąć. Obok na łóżku leży laptop, na którym karta za kartą wyświetlone mam historie mężczyzn wiodących podwójne życie.

Zadziwia mnie to, jak podobne są te opowieści.

I zadziwia mnie moja własna głupota.

Jak widać, można wyróżnić osiem podstawowych podstępów używanych przez małżonków wiodących podwójne życie, ja tymczasem całymi latami potrafiłam sobie usprawiedliwić każdy z nich.

1. *Spadek zainteresowania seksem.* Oczywiście, że Mark wykazywał spadek zainteresowania seksem. Ja też. Kto by miał na to czas i energię przy licznych dzieciach i szalonym tempie naszego życia. Chyba dotyczy to wszystkich znanych nam par małżeńskich? Skąd niby miałam wiedzieć, że to o czymś świadczy?

2. *Ukrywanie pieniędzy i wyciągów z kont.* Oficjalnie nigdy niczego nie *ukrywał*, ale mnie takie rzeczy zupełnie nie interesują. Sprawami finansowymi zajmuje się Mark. Tak było od zawsze. Jest niezwykle skutecznym biznesmenem, który zdołał wykupić firmę, dla której pracował, i rozbudować ją w przedsiębiorstwo, które pozwalało nam wieść takie życie, o jakim zawsze marzyliśmy. Kiedy widzę wyciąg z konta, cyferki skaczą mi przed oczami. Jestem pewna, że gdybym tylko chciała, wiedziałabym więcej. Ale ja nie chciałam. To była działka Marka. Ja byłam zaabsorbowana wychowywaniem dzieci – czy naprawdę miałam pilnować i tego?

3. *Regularne potajemne spotkania z byłą małżonką/malżonkiem, dziewczyną/chłopakiem.* Nie ma żadnych byłych małżonek ani dziewczyn i – Boże jedyny – mam nadzieję, że nie ma też ekschłopaków. To by już było o jedną zdradę za dużo. Nie ma żadnych potajemnych spotkań z kimkolwiek, bo nikogo takiego nie ma. Chociaż, jak sądzę, „potajemny” znaczy „taki, o którym bym nie wiedziała”. Ale Mark, choć czarujący, przystojny i rozrywany towarzysko, nie wprowadzał starych znajomych do naszego związku. Zawsze powtarzał, że ze mną zaczyna od nowa. Nigdy w to nie wątpiłam. Może niesłusznie.

4. *Ukryte lub niedostępne pagery, telefony komórkowe lub konta e-mailowe.* Mark ma jedną komórkę, jedno konto i nie używa pagera. O ile mi wiadomo.

5. *Częste wyjazdy.* Oczywiście. Obsługuje klientów z obu wybrzeży. Nie podobało mi się to, nie znosiłam samotnych wyjść na różne imprezy, ale rozumiałam. To wszystko wydawało się logiczne. Wtedy.

6. *Rezygnacja z wyjść do „miejsc dla par”.* Kiedy Mark tu jest, chodzimy do „miejsc dla

par”. Co prawda nie przepada za wielkimi tłumami nieznanymi ludzi, ale ja też nie. Jest wyjątkowo nieufny i ostrożny, jeśli chodzi o towarzystwo. Zbudowaliśmy krąg znajomych, którym ufamy. Nie. Krąg znajomych, którym ufa Mark. Szczerze mówiąc, nigdy tego nie rozumiałam. Zaczynam rozumieć teraz.

7. *Mowa ciała świadcząca o nieuczciwości. A co to znaczy? To, że szybko odwracał wzrok, gdy pytałam, gdzie był przez kilka ostatnich dni? Nie odwracał, a ja nie pytałam. Maglowanie go nigdy nie przyszło mi do głowy. Czasem, rzecz jasna, wyrażałam niezadowolenie, że stale muszę chodzić sama na różne imprezy, ale tutaj tak wielu mężów wyjeżdża, że zawsze znajdzie się ktoś bez pary, najczęściej grupka, i spotykamy się wcześniej na drinka. Dobrze się bawiłam. Na ogół lepiej niż z Markiem.*

8. *Zagadkowe wykorzystywanie gotówki na „nieprzewidziane” lub mętnie objaśniane wydatki. Dlaczego miałby brać ode mnie gotówkę, skoro to on pracuje na nasze utrzymanie? Zaraz... podczas ferii zimowych mieliśmy wziąć dzieci do Aspen i Mark odwołał wyjazd w ostatniej chwili. Nie chodziło o to, że nie mógł jechać – mogliśmy to śmiało zrobić – ale w ogóle odwołał wypad. W hotelu zaszła jakaś pomyłka, pokryły się dwie rezerwacje i zabrakło miejsc. Dzieci były niepocieszone. Muszę przyznać, że wydało mi się to dziwne. Nie było miejsc? W Aspen?*

Teraz sobie przypominam, że gdy powiedziałam Markowi, że po prostu znajdę inny hotel, wpadł w szał. Oznajmił, że dzieci są rozpuszczone i w tym roku nie ma ferii w Aspen, koniec, kropka.

Przeprósł później, wyjaśnił, że żyje ostatnio w ogromnym napięciu. Dodał, że martwi się, że dzieci dorastają otoczone rozlicznymi przywilejami, i chce, żeby zobaczyły, że można inaczej. Wolał, żeby nauczyły się zajmować sobą w domu, zamiast lecieć samolotem do luksusowego kurortu.

To tłumaczenie wydało mi się wtedy przekonujące.

Kwestia pieniędzy.

Dlaczego karty kredytowe nie działają?

Sylvie wydaje się tym równie zaniepokojona. Mark ma majątek wart miliony. To się nie trzyma kupy. Pieniądze nie przepadają ot tak. Jeśli Mark zniknął – a teraz już nie sposób temu zaprzeczyć – musiał wziąć pieniądze ze sobą.

Ale jak mógł nas zostawić z zablokowanymi kartami kredytowymi? Nie wypisuję czeków, ale muszę się dowiedzieć, ile środków jest na naszych kontach. Chyba nie mógł ich opróżnić. Jesteśmy jego rodziną: żoną, dziećmi. Choćby nie wiadomo co zrobił, wierzę, że nie zostawi nas na lodzie.

Firma windykacyjna to już całkiem inna historia. To sprawy firmy. Jestem pewna, że gdzieś tam są pieniądze, i to duże.

Gdy Mark się odnajdzie, wyjdziemy z tych tarapatów.

Dziś mam w sobie dość siły, żeby zacząć drażnić. Dziś potrzebuję odpowiedzi. Rano jadę do jego biura. Jestem pewna, że go tam nie zastanę, a jego pracownicy nie odbierają moich telefonów, ale *ktos* musi wiedzieć, gdzie on jest, i nie wyjdę, dopóki się tego nie dowiem.

Jeśli okaże się to konieczne, będę siedzieć w ich biurze przez całą noc. Przez cały tydzień.

Następnie wybiorę się do banku.



## 32

# *Maggie*

Jeśli już jadę do Nowego Jorku, to na ogół z dziewczynami na zakupy. Czasem wybieramy się do teatru, ale częściej zostawiamy na parkingu czyjegoś SUV-a na cały dzień i udając wielkomięjskie laski, uderzamy do Bergdorfa albo Barneysa, naładowane adrenaliną na myśl o wydawaniu pieniędzy i porzuceniu na chwilę naszego podmiejskiego życia.

Wkraczamy pewnym krokiem do sklepów, przymierzamy co popadnie i rzucamy na ladę markowe ciuchy tak nonszalancko, jakbyśmy kupowały czasopisma.

Rozchichotane wędrujemy Madison Avenue, objuczone torbami z ubraniami, które musimy natychmiast włożyć, a resztę wysyłamy wprost do Connecticut, żeby wymigać się od podatku.

Mijam dziś te same sklepy i spodziewam się ukłucia żalu, ale nic podobnego. Nie boli też świadomość, że nie wrócę do Theory, żeby odebrać piękne, starannie zapakowane rzeczy, które czekają w torbie na podłodze za ladą.

Nie potrzebuję ich. Nigdy nie potrzebowałam. Ubrania i biżuteria były dla mnie zajmujące tylko jako przepustka z mojego plebejskiego życia, życia pełnego krzyku, ubóstwa i braku perspektyw.

Ten rysz tunek stał się bardziej interesujący, gdy poślubiłam Marka i przekonałam się, jak skuteczna jest to waluta w środowisku rodzin z dziećmi, w którym się obracaliśmy.

Moje kompleksy były tak wybujałe, a lęk przed odrzuceniem tak silny, że wierzyłam, że choćbym nie wiadomo jak udoskonaliła swój akcent, rozjaśniła i ułożyła włosy, nauczyła się nienagannyh manier, nigdy nie stanę w pełni zaakceptowana, jeśli nie stanę się bardziej papieska niż sam papież.

Dorastałam w przekonaniu, że o wszystkim decyduje klasa społeczna, ale po przeprowadzce do Connecticut szybko zorientowałam się, że chodzi raczej o pieniądze. Arystokratyczne pochodzenie dla nikogo nie było ważne. To, że Mark wywodzi się z rodziny kolonizatorów z *Mayflower*, interesowało tylko starą gwardię. Dla nuworyszy miało to znaczenie jedynie wtedy, gdy szło w parze z majątkiem.

Wywierałam na niego presję, przyznaję. Do głosu doszło moje wrodzone zamiłowanie do rywalizacji. Zobaczyłam, jaką władzę mają te dziewczyny tylko dlatego, że noszą najdroższą biżuterię i mieszkają w największych domach, i ja też chciałam poczuć tę potęgę.

Naciskałam Marka, żeby przejął firmę. Gdy oznajmił w końcu, że pozyskał inwestorów i zebrał fundusze, nie posiadałam się z radości. Kilka lat później „Gazette” opisała go jako milionera, prezesa Hath Office Solutions, i do pełni szczęścia brakowało mi jedynie jego tytułu miliardera.

Zatrzymuję się przy salonie Gucciego i myślę o torebkach, które być może będę musiała sprzedać, jeśli potwierdzą się moje najgorsze obawy. Nie żeby torebki miały jakieś znaczenie. Nie żeby jakakolwiek własność miała znaczenie. Może i dały mi władzę, ale w świecie, który jest tak powierzchowny, pusty i zasiedlony narcyzami, to żadna władza.

Ach, jakże mi wstyd.

Idę dalej i po drodze wyobrażam sobie, co zrobię, jeśli zastanę Marka na miejscu. Sama myśl o nim, takim przystojnym, olśniewającym w granatowym garniturze, rozjaśniającym pokój swoim uśmiechem, przeszywa mnie jak sztylet i z trudem powstrzymuję szloch.

Nie chcę znów płakać. Nie chcę, żeby tusz do rzęs spłynął mi po twarzy, skoro poświęciłam tak dużo czasu, żeby wyglądać na kobietę silną i niezłomną – kobietę, z którą nie można już dłużej pogrywać.

A jednak mimo wszystko wiem, że jeśli wyrazi skruchę, spojrzy mi głęboko w oczy i poprosi o wybaczenie, wyjaśni, że sprawy wymknęły mu się spod kontroli, ale nie może i nie chce zostawić mnie i dzieci, być może nie zdołam się oprzeć.

Czy gdyby zaczął się zarzekać, że już nigdy nie spotka się z Sylvie, już nigdy mnie nie zdradzi, chce wrócić do tego, co przeżywaliliśmy w pierwszych latach po ślubie, zdołałabym mu uwierzyć? Czy chciałabym zacząć od nowa?

Sukinsyn. Zaciskam zęby i narasta we mnie gniew. Wyobrażam sobie, jak walę go po głębie, wypadam jak burza, zabieram dzieci i staram się, żeby ich już nie zobaczył oraz przejmuję dom i jego wszystkie pieniądze, gwarantując, że do końca życia będzie musiał płacić za to, co mi zrobił.

Przechwytyuję swoje odbicie w przyciemnianych szybach mijanych sklepów. Czuję się okropnie, ale wyglądam bajecznie. Lakierki na szpilce, krótka spódnica, rozkloszowany płaszczyk, na ramieniu torebka od Prady. Jestem uosobieniem miejskiego szyku – nikt by się nie domyślił, że żyję pośród podmiejskiego przepychu. Krótko mówiąc, wyglądam jak żona ozdoba, która może być wzorem dla innych.

Jak Mark mógł w ogóle pomyśleć o tym, żeby związać się z inną kobietą?

Choć trzeba by raczej zapytać: jak to możliwe, że znam już odpowiedź na to konkretne pytanie?

Z dokumentem tożsamości w dłoni podchodzę pewnym krokiem do jednego z portierów i podaję mu nazwę firmy. Marszczy brwi.

– Dziesiąte piętro? – podpowiadam. – Hath Office Solutions? Mark Hathaway?

Drugi portier nachyla się w naszą stronę.

– A, tak! Oni się wynieśli.

Wybałuszam oczy.

– Co? *Kiedy?*

– Z rok temu? Tak. Trochę ponad rok temu.

– Ależ... to niemożliwe – bełkoczę. Jak Mark mógł nie wspomnieć o sprawie tak poważnej jak zmiana siedziby firmy? Dlaczego mi nie powiedział?

Gapię się na portiera, starając się wyciszyć te pytania w mojej głowie, i dociera do mnie, że coś mówi.

– Co, proszę?

– Czy chce pani nowy adres?

Jestem taka wdzięczna, że mogłabym mu się rzucić na szyję i go uściskać. Zadowolam się najszerszym uśmiechem, na jaki mnie stać w tych okolicznościach, a twarz portiera nieoczekiwanie się rozjaśnia.

– Życzę miłego dnia – mówi na pożegnanie, a ja wiem, że sprawy przyjmą znacznie lepszy obrót niż mi się zdawało jeszcze pięć minut temu.

W Nowym Jorku nigdy nie czułam się zagrożona, ale też przebywałam zawsze w okolicach, które dobrze znam. Krocząc Madison Avenue, Pięćdziesiątą Siódmą, wchodząc do restauracji na Upper East Side, czuję się pewnie, bezpiecznie. Jestem u siebie.

W tej dzielnicy jednak jeszcze nigdy nie byłam. Przekraczam ostrożnie wyciągnięte nogi bezdomnego, który opiera się o przepelniony kosz na śmieci i wyciąga rękę, a ja odwracam wzrok i trafiam na kolejkę niechlujów przesuwającą się z wolna przez drzwi z napisem PUNKT WYDAWANIA METADONU.

Wsunąwszy dłoń do kieszeni, zdejmuję pierścionki z diamentami i z gołymi palcami od razu czuję się lepiej. Otulam się ciasniej płaszczem i spoglądam ponownie na trzymaną w ręce karteczkę.

Zatrzymuję się przed obskurnym budynkiem wciśniętym między sklep z telefonami i sklep spożywczy w rodzaju tych, które skusiłyby tylko turystę, narkomana albo desperata.

Chociaż mój mózg kalkuluje, że z pewnością podano mi błędny adres, popycham drzwi i odsuwam butem niedopałek papierosa, żeby przyjrzeć się zawieszonej na ścianie czarnej tablicy z wykazem nazw firm ułożonych z plastikowych białych literek, które w ciągu kilku sekund można zdjąć i przełożyć.

Słowem – prowizorka.

Jest. Drugie piętro. Numer dwieście trzy. Hath Office Solutions. Wchodząc do windy, nie jestem już taka pewna siebie, przećwiczone kazania wyparowały mi z głowy i prawie nie mam wątpliwości, że na mojej twarzy maluje się przerażenie. Korytarz jest równie obskurny: brakuje kilku żarówek, a wykładzina dywanowa pamięta lepsze czasy, sprzed jakichś trzydziestu lat.

Pukam do lokalu numer dwieście trzy, przysuwam ucho do drzwi i czekam, ale nic nie słychać. Pukam głośniejsz, a potem łapię klamkę, otwieram z wahaniem drzwi i biorę głęboki wdech w przygotowaniu na spotkanie jeśli nie z moim mężem, to z ludźmi, którzy wiedzą, gdzie go znaleźć.

# 33

## Maggie

Drzwi nie są zamknięte. Nie stawiają oporu, ale wewnątrz nikogo nie ma.

Nie było tu nikogo od *miesiący*.

Stoją biurka, telefony, kilkadziesiąt pudeł, wszystko pokryte grubą warstwą kurzu. Nawet bez niego jest to nędzna nora, w której można zwariować.

Nie rozumiem. Nic z tego nie rozumiem. Dlaczego Mark zmienił siedzibę? Dlaczego niby miałby przenieść biuro do *czegoś takiego*? To musi być pomyłka. Albo przynajmniej da się to jakoś wyjaśnić.

Podchodzę do okna, ogarniając wzrokiem popękane ściany i żółtą plamę wilgoci na suficie, i wiem już, że zaraz zwymiotuję. Łapię kosz na śmieci i charczę, ale z trzewi nie wydobywa się nic poza ostrą, piekącą żółcią.

Rozrywam karton i widzę, że jest wypełniony upchniętymi na chybił trafił papierami. Znajduję formularze zamówień. Autentyczne. Wszystkie na firmę Marka. Potężne zamówienia. Czyli nie wszystko to kłamstwo.

Następnie wyjmuję pismo, w którym informuje się Marka o wszczęciu postępowania karnego z tytułu niewywiązania się ze zobowiązań finansowych. Czytam je ponownie, a potem wkładam z powrotem do pudła, ustawiam kartony w jednym miejscu, zabieram je na dół, pakuję do taksówki i przewożę do swojego samochodu.

W banku dobrze mnie znają. Nie z powodu interesów, ale dlatego, że uczestniczymy we wszystkich spotkaniach towarzyskich, a gdy Rayowi, menedżerowi, urodziło się dziecko, posłaliśmy kosz śliniaczków z inicjałami.

Kiedy wychylam się zza rogu, Ray rozmawia przez telefon. Rozpromienia się na mój widok i gestem wskazuje, żebym usiadła, a sam próbuje się wypłatać z rozmowy. Siadam i oddycham z ulgą. Gdybyśmy mieli jakiś problem, z pewnością by do mnie zadzwonił. Zna mnie od lat. Gdyby zabrakło środków, Ray nie zachowałby tego dla siebie.

– Co słyhać, pani Hathaway? – Odkłada słuchawkę. – Miło mi panią widzieć!

– Urwanie głowy – oznajmiam jak zwykle. – Co u Janie? I u dzieciaków?

– Wszystko suuuper – odpowiada, też jak zwykle.

– Nina jest już chyba w czwartej klasie?

– W piątej! – wykrzykuje z dumą i obraca w moją stronę stojącą na biurku ramkę, żebym

zobaczyła, jak podrosły dzieci.

– Och, Ray, są cudowne! – Oczy zachodzą mi mgiełką na wspomnienie czasów, kiedy moje dzieci były takie małe. – Nie do wiary, jak ten czas leci.

– Prawda? – Uśmiecha się, a potem nachyla nad biurkiem i przekłada jakieś papiery. – Cieszę się, że pani przyszła, pani Hathaway. Zostawiałem wiadomości pani mężowi. Musimy się z nim pilnie skontaktować.

Gapię się na niego bez słowa. Powiedzieć mu, że Mark mnie zostawił? A co, jeśli wtedy nie zechce udzielić mi informacji o stanie naszych finansów? Ale mamy przecież wspólne konto. Z pewnością jestem upoważniona do pozyskiwania informacji na temat salda.

– Czy wszystko w porządku? – pytam najpierw.

– Tak, z pewnością tak. – Zdejmuje segregator ze stojącego za biurkiem regału, kartkuje zawartość i marszczy brwi. Wraca do pierwszej strony i czyta ją ponownie, tym razem uważniej.

Odchrząkuje i wstaje z segregatorem w ręce.

– Pani Hathaway, czy mogłaby pani chwilę poczekać? Muszę porozmawiać z moim zastępcą.

Patrzą przez żaluzje, ale widzę tylko, że zastępca coś tłumaczy, Ray słucha, odpowiada i obaj zaglądają do segregatora.

Ray wraca i wciąż ma zmarszczone brwi.

– Pan Hathaway musi nas koniecznie odwiedzić, naprawdę – mówi, próbując, zresztą mało skutecznie, ukryć lekką panikę w głosie. – Wiem, że często wyjeżdża, ale musi przynajmniej do nas dzisiaj zadzwonić. Właściwie to dość pilne.

Nie mogę mu nie powiedzieć.

– Ray. Nie wiem, gdzie on jest. Zostawił mnie.

Twarz przesłania mu maska szoku.

– Bardzo... bardzo mi przykro – wyjąkuje.

– Posłuchaj, Ray. Przypuszczam, że mnie zostawił. Wygląda na to, że ma drugą rodzinę w Kalifornii. Mogę ci powiedzieć tylko tyle, że zapadł się pod ziemię. Nie działa żadna z moich kart kredytowych, zostało mi jakieś sto dwadzieścia sześć dolarów, czyli nic, zważywszy na to, że mam do wykarmienia troje dzieci, i nie wiem, co robić.

Zalewam się łzami.

Na żadnym koncie nie ma środków. Rozmaite rachunki, które otwierał Mark przez lata, a jest ich wiele – bo był lojalnym klientem, miał dobrą opinię i w pewnym momencie znaczną sumę pieniędzy – są zadłużone.

Łączny debet wynosi siedemset sześćdziesiąt cztery tysiące czterysta osiemdziesiąt trzy dolary i trzydzieści trzy centy.

– Nie rozumiem. – Wpatruję się tępo w leżące przede mną dokumenty. – Jak bank może dopuścić do tego, że ktoś przekracza stan konta o tak olbrzymią sumę? To trzy czwarte miliona dolarów. Dlaczego... jak to się dzieje?

Ray wygląda na strapionego.

– Ja też tego nie rozumiem. Będę musiał wszcząć wewnętrzne dochodzenie. W ubiegłym roku, kiedy na rachunkach zgromadzono znaczną sumę pieniędzy, sam określiłem limit na kartach. Ale to było dwieście tysięcy. Sam nie wiem, jak... – Wzdycha, a ja nagle zdaję sobie sprawę, że jego praca też wisi na włosku. Może i nie wie, jak do tego doszło, ale w końcu to on tu rządzi i co za tym idzie, ponosi odpowiedzialność.

– Ray? – Odkładam dokumenty na stół. – Jak to się dzieje, że dochodzi do takich rzeczy? W jaki sposób z kont znikają pieniądze? Kto zezwala na takie ogromne zadłużenie? Chcesz mi powiedzieć, że w ogóle nie ma pieniędzy? Nic a nic? Wszystko opróżnione?

Ray znów grzebie w papierach, żeby opóźnić to, co nieuchronne, ale jego mina mówi wszystko. Kiedy wstaję, trzęsą mi się nogi i zapominam powiedzieć do widzenia. Albo dziękuję. Albo poprosić, żeby pozdrowił Janie. I tak z największym trudem docieram do drzwi.

# 34

## *Maggie*

Zdawałoby się, że popadnę w całkowite odrętwienie, ale gdy kieruję się do samochodu, mój mózg pracuje na najwyższych obrotach, gorączkowo szukając wyjścia z tarapatów.

W końcu w tym jestem dobra. Nie przewodziłam wszystkim tym komitetom ze względu na to, że mam piękną garderobę. Chociaż to pomaga. Jestem, jak bez przerwy wypominają mi dzieci, władcza, zorganizowana, superskuteczna. Przedsiębiorcza i stanowcza.

Wystarczy tylko spojrzeć na to życie, które udało mi się zbudować z niczego.

Życie, które muszę teraz ocalić.

Skoro nie mam dostępu do kart kredytowych ani środków na koncie, potrzebuję gotówki, i to od razu. Lodówka świeci pustkami, mam do wykarmienia cztery gęby, a w portmonetce leży sto dwadzieścia sześć dolarów i trzydzieści dwa centy.

Robię w myślach przegląd tego, co można sprzedać. Mamy cenne obrazy, meble, biżuterię, odzież. Tak wiele *rzeczy*. Wzdrygam się na myśl o urządzeniu wyprzedaży garderoby, dołączeniu do grona kobiet godnych politowania. Musi być jakiś inny sposób i w tej chwili, z niecałymi dwustu dolarami przy duszy, muszę go znaleźć.

Podjeżdżam na parking pod sklepem spożywczym. Wiem, że mamy w domu makaron i jeśli kupię puszkę pomidorów, ser i sałatę, będę mogła przynajmniej upichcić dzieciom niedrogą kolację.

Skrawek światła słonecznego odbija się czerwienią na kamieniu i przywołuje pewne wspomnienie. Cztery lata temu z okazji naszej rocznicy Mark podarował mi zabytkowy rubinowy naszyjnik. Jest piękny i jedyny w swoim rodzaju, ale przy tym tak ozdobny, a złoty łańcuch tak ciężki, że dotąd ograniczyłam się do podziwiania go w domowych pieleszach.

Nie powiedziałam Markowi. Kiedy pytał, dlaczego nigdy go nie noszę, łatwo mogłam się wykręcić zapewnieniem, że noszę go bardzo często i gdyby częściej bywał w domu, toby o tym wiedział.

Kiedy go dostałam, jedliśmy kolację w restauracji w towarzystwie Meyerów i Ginny przez cały wieczór rozpyłała się nad naszyjnikiem. W drzwiach wpadliśmy na Kim, która, rzecz jasna, natychmiast dostrzegła naszyjnik.

Rzuciła się jak sęp i chwyciła go, żeby przyjrzeć się diamentom i rubinom; wiedziała, że to autentyk, wiedziała, że z pewnością kosztował krocie.

Byłam pewna, że mi go zazdrości, i napawałam się jej rozczarowaniem, gdy Mark powiedział, że naszyjnik pochodzi od nowojorskiego antykwariusza i jest jedyny w swoim



rodzaju.

Lara wyjawiała mi, że mój naszyjnik prześladował Kim całymi miesiącami. Przetrzała Internet w poszukiwaniu takiego samego albo podobnego. Zamierzała się wybrać do nowojorskich antykwariuszy, żeby sprawdzić, czy mogą dla niej taki znaleźć, i prosiła nawet Larę, żeby zrobiła dla niej zdjęcie.

Założyłam go raz, celowo, na damski podwieczorek w klubie tenisowym. Wprawdzie zdawałam sobie sprawę, że to lekka przesada, ale jakże bym mogła inaczej, skoro miała być tam Kim. Od razu ruszyła w moją stronę, wskazując naszyjnik wszystkim dziewczynom, które jeszcze o nim nie słyszały.

– Jeśli kiedyś wyjdzie ci bokiem, to go od ciebie kupię – powiedziała. – Poważnie.

– Wątpię, żeby do tego doszło. – Roześmiałam się. – Ale zapamiętam.

Już mi wyszedł bokiem, lecz nigdy nie sprzedałabym go Kim.

Myśl, że trzeba do niej zadzwonić, jest przerażająca, ale to przynajmniej pewniak. Ile może być wart naszyjnik? Coś mi się przypomina, że wyceniono go na osiem tysięcy dolarów.

Osiem tysięcy to majątek. I pomyśleć, że Mark mógł bez namysłu wydać tyle na prezent. Jeśli będę uważać, może mi na trochę wystarczy, przynajmniej do czasu, aż uda mi się sprzedać inne rzeczy, znaleźć pracę i wykombinować, co dalej robić.

Zatrzymuję się przy regale z puszkami, wyciągam szybko telefon i wybierając numer Kim, wzdrygam się na myśl o udawanym współczuciu w jej głosie.

– Maggie! – Odbiera natychmiast, aż dziw, że zdążył wybrzmieć pierwszy sygnał. – Tak się o ciebie martwię. Wspaniale, że zadzwoniłaś. Chciałam się dowiedzieć, jak ci leci. Mark się odezwał?

– Wszystko w porządku. – Staram się odpowiadać tak lekko i radośnie, jak tylko się da. – Właściwie dzwonię w innej sprawie. Przeglądałam dzisiaj klamoty i doszłam do wniosku, że w końcu muszę się pozbyć rzeczy, których nie noszę i nie używam. Chciałam zabrać trochę biżuterii do Sotheby's, kiedy przypominałam sobie, że jeden naszyjnik całkiem ci się podobał, więc pomyślałam, że dam ci znać, może będziesz zainte...

Kim bierze gwałtowny wdech. Słyszę to.

– Zabytkowy naszyjnik z rubinami?

– Tak.

– To cudowny naszyjnik. Biorę go. Poważnie. Ile za niego chcesz?

W głowie mi szumi. Myślałam o ośmiu tysiącach, ale może podoba jej się tak bardzo, że

jest gotowa dać więcej? To by nie było w porządku... lecz jestem bez grosza... a ją na to stać, jak Boga kocham... Złoto poszło ostatnio w górę... Naprawdę, powinnam go dać do wyceny... ale nie mam czasu... ale ale ale ale...

– Maggie? Jesteś tam? Halo?

– Przepraszam. Coś przerwało. Co mówiłaś?

– Ile chcesz za naszyjnik?

– Nie wiem – odpowiadam słabo, zażenowana. – Wyceniono go na osiem tysięcy.

– Osiem tysięcy? – Ma czelność się roześmiać. – Przy obecnym stanie gospodarki? No, no. Wydaje mi się, że to przesada – mówi.

– Serio? – Trafiła kosa na kamień. – Masz pojęcie, co się teraz dzieje z cenami złota?

– Wiem, że złoto jest w cenie – stwierdza z wyższością. – Ale to antyk, a ceny antyków spadają.

– W Sotheby's twierdzą inaczej – kłamię.

– Dam cztery – oznajmia.

– Kim, mówiłam ci, wyceniono go na osiem. Mam dokumenty. Wezmę osiem.

– Dam cztery pięćset – odpowiada.

Kusi mnie jak nie wiem, ale przypominam sobie, jaką zrobiła minę na widok naszyjnika, jak obsesyjnie poszukiwała podobnego, jak zawsze ze mną konkurowała – i wiem, że może się udać.

– Tak mi przykro, Kim.

Jestem z siebie dumna, że mój przepraszający ton zabrzmiał tak autentycznie.

– Chciałam go najpierw zaproponować tobie, ale w Sotheby's chcą go dołączyć do rezerw i dają osiem.

Prycha z pogardą.

– No to powodzenia!

– Dziękuję – mówię z naiwną zuchwałością. – W Betteridge mają trochę spadkowej biżuterii. Może znajdziesz tam coś podobnego. Powodzenia!

Rozłączam się, uśmiecham do siebie i liczę sekundy.

– Osiem... dziewięć... dziesięć... jedenaście... dwanaście.

Dzwonek telefonu.

– Wezmę go. – Tym razem w jej głosie nie słyhać słodczy. – Mogę przynieść czek za jakieś pół godziny?

Czek od razu mi przejmą.

– Musi być gotówka – mówię.

Zapada cisza. Kim czeka na wyjaśnienia, ale nie mam zamiaru ich udzielać.

– Dobrze – burczy w końcu. – To niech będzie godzina.

Wsuwam telefon do tylnej kieszeni i skręciwszy za róg, zauważam dwie znajome, które szepczą coś sobie na ucho. Na mój widok odsuwają się od siebie i przyklejają do twarzy fałszywe uśmiechy.

Ja też uśmiecham się nieszczerze, odpowiadam tym samym „Cześć-co-słyhać”. Nikt nie wspomina o podwieczorku, o moim załamaniu, o tym, że Mark zniknął, ale na pewno, *na pewno* podsłuchały moją rozmowę z Kim i bez wątpienia lada chwila zaczną rozsiewać plotki.

Moje podejrzenia się potwierdzają. Doszedłszy do samochodu, zdaję sobie sprawę, że zapomniałam kupić ser, więc wbiegam z powrotem do sklepu i idąc alejką numer siedem, słyszę, jak jedna z tych kobiet, Kristy, już rozmawia przez telefon w sąsiedniej alejce i przekazuje dalej moją rozmowę, moją rozpaczliwą potrzebę zarobku, a mówi o tym z tak wyraźną przyjemnością, że aż zapiera mi dech, serce kołacze mi w piersi i drzę na całym ciele.

Skręcam więc w tę alejkę i staję nieruchomo, a Kristy w tym czasie sięga na najwyższą półkę po paczkę makaronu, nieświadoma, że ktoś może być w pobliżu i usłyszeć jej prywatną rozmowę telefoniczną, aż w pewnym momencie się obraca, dostrzega mnie i – trzeba jej to przyznać – wytrzeszcza przerażona oczy, przerywa w pół zdania, a jej chemiczna opalenizna nabiera popielatego odcienia.

Kieruję się do wyjścia, a ona podbiega i łapie mnie za rękę.

– Bardzo cię przepraszam – mówi. – Maggie, nie wiem, co powiedzieć. Bardzo cię przepraszam.

Obracam się powoli, doprowadzona do ostateczności, ze świadomością, że nic nie poradzę na wszystkie Kristy tego świata, a w tym mieście jest ich pełno. Taka osobista tragedia to dla nich pożywka i nie zmienię tego, cokolwiek powiem, chociaż może dam jej do myślenia.

– Kristy, przechodzę teraz najgorszy okres w swoim życiu. Mam najszczerzą nadzieję, że ciebie nigdy nic takiego nie spotka, ale jeśli będzie inaczej, wierzę, że ludzie, których uważałaś

wcześniej za przyjaciół, potraktują cię lepiej niż ty dzisiaj potraktowałaś mnie. Liczę w twoim imieniu, że nie będą prowadzić głośnych rozmów przez telefon w miejscach publicznych, rozsiewając z lubością plotki i ciesząc się z cudzego nieszczęścia.

Kristy stoi jak wryta, po policzkach płyną jej łzy, a ja mówię dalej:

– Mam swoje ulubione powiedzenie: Nie po słowach, lecz po *czynach* ich poznać. A inne głosi: Kiedy człowiek pokazuje swoją prawdziwą twarz, nie czas na wątpliwości. A więc *dziękuję ci*, Kristy. Dziękuję, że pokazałaś swoją prawdziwą twarz.

Obracam się i idę do samochodu. Przy wyjeździe patrzę w lusterko wsteczne i widzę, że kobieta dalej tkwi w tym samym miejscu, jakby zamieniła się w słup soli.

– Co robisz? – Grace staje w progu gabinetu Marka i czuję, jak emanuje przemożną niechęcią. Cieszę się, że spędza tak dużo czasu u Landona, cieszę się, że oszczędza mi dodatkowego zmartwienia w postaci swoich humorów.

Staram się nie reagować na jej zaczepki, wycofywać się, pamiętać, że o ile mnie jest trudno, córce jest z pewnością o wiele trudniej.

Ale nic nie mogę na to poradzić. Cokolwiek bym powiedziała, nie przywróci jej to ojca. Kiedy krzyczy, że to moja wina, wiem, że prawdopodobnie ma rację, i nie mam nic na swoje usprawiedliwienie.

– Przeglądam rzeczy. – Wyczerpana swoim zajęciem, ledwie podnoszę wzrok znad pudeł i stert wertowanych papierów.

Chociaż jestem doskonale zorganizowana, to Mark zawsze prowadził dom i – Boże święty – jakże żałuję teraz, że tak było. Jakże żałuję, że wcześniej nie pomyślałam o przejęciu pałeczki, ale oczywiście nigdy by się na to nie zgodził, bo jak miałby wtedy utkać tę rozległą sieć kłamstw?

Bo jest rozległa.

Mimo mojej zaradności, ilekroć otwieram kolejną kopertę, kolejne pudło, czuję ucisk w piersi na myśl o tym, co mogę odkryć.

Niezapłacone rachunki. Groźby od komorników. Ostrzeżenia o wstąpieniu na drogę sądową wystosowane przez firmy, które zapłaciły z góry i nic nie dostały. Zawiadomienia urzędowe. To wszystko nie trzyma się kupy. Jak to możliwe, że tak długo uchodziło mu to na sucho? I dlaczego? Dlaczego do tego dopuścił?

Nadal nie wierzę, nie mogę uwierzyć, że pieniądze się rozplynęły. Z pewnością o wiele bardziej prawdopodobne jest to, że usunął pieniądze z rachunków i ulokował je gdzie indziej.

Według mnie przebywa teraz na Bermudach. Albo w Brazylii. Niewątpliwie ulotnił się z milionami w kieszeni, bo o tym, że ma miliony, jestem przekonana. Pamiętam, jak czytałam

artykuł o jego firmie w czasach, gdy pracował tam jako dyrektor handlowy. Pieniądze gdzieś są. Muszą gdzieś być.

Kiedy odnajdę Marka, odnajdę też pieniądze.

Spoglądam na Grace.

– Próbuję się dowiedzieć, co się dzieje. Wygląda na to, że tatuś trochę namieszał w finansach.

– A to *co* znaczy?

Wiem, że nie powinnam jej mówić, nie powinnam nic okazywać, ale mam już dość tego obwiniania, tego, że Grace chodzi po domu i patrzy na mnie wilkiem, podczas gdy jej ojciec pozostaje aniołem, który muchy by nie skrzywdził.

Wręczam jej pismo, w którym klient wygraża, że poda Marka do sądu.

Grace czyta i marszczy brwi.

– No i? Nadal nie rozumiem.

– Nie wiem na pewno – mówię. – Wydaje mi się, że tatuś wpadł w tarapaty finansowe. To by tłumaczyło jego zniknięcie.

W jej oczach błyska lęk.

– Tarapaty finansowe? Czy *my* też jesteśmy w tarapatkach finansowych? Będziemy musieli sprzedać dom?

Staram się jak najdelikatniej powiedzieć jej, że nie wiem, co się stanie z domem, ale kątem oka widzę stertę dokumentów dotyczących domu, w tym nakaz przejęcia.

– Nie możemy sprzedać domu – mówi trzęsącym się głosem Grace.

– Mam nadzieję, że nie będziemy musieli, skarbie – uspokajam. – Coś wymyślimy.

– Ale nie, jeśli sprzedamy posiadłość. To mój dom. To jedyny dom, jaki znam. Nie możesz sprzedać tego domu.

– Grace, ja też nie chcę sprzedawać tego domu. Kocham go tak samo mocno jak ty i to też mój dom. Nie mam pojęcia, co przyniesie nam przyszłość, ale obiecuję ci, że wszystko się ułoży.

– Nie! – Głos jej się załamuje. – Nieprawda. Skąd możesz to wiedzieć? Jeśli tatuś nie wróci do domu, wcale się nie ułoży.

Toczy wokół szaleńczym wzrokiem i zauważa stertę rzeczy w kącie.

– A to co?

Ułożyłam tam trzy litografie Matisse'a, które Mark dostał od ojca i które na pewno są trochę warte. Do tego antyczny zegar i przenośny sekretarzyk z orzecha.

– Zastanawiam się nad sprzedaniem tych rzeczy – wyjaśniam.

Grace przykuca i ogląda grafiki, a ja szykuję się do odparcia ataku.

– Nie możesz ich sprzedać – mówi przez zaciśnięte zęby. – Należą do tatusia. Dostał je od dziadka Jacka i kiedyś będą nasze. Ta jest dla mnie. – Wskazuje jedną. – I nie zezwalam ci na jej sprzedaż. Ani żadnej innej. Wszystkie trzy są dla nas.

– Nie masz nic do gadania – odpowiadam ze znużeniem, całkiem zobojętniała. – Jeśli chcesz jeść, żyć, robić to wszystko, co lubisz, musimy załatwić pieniądze, i to szybko. Wasz ojciec odszedł i puścił nas z torbami. Rozumiesz? Wasz ojciec, który muchy by nie skrzywdził, nie zostawił nam nic poza masą cholernych kłopotów. Jeśli mogę coś sprzedać, żeby zarobić trochę pieniędzy, to, do licha ciężkiego, sprzedam to.

Grace chwyta swoją grafikę i wypada z pokoju. Przez chwilę chcę ją gonić, ale dociera do mnie, że brakuje mi na to sił. Córka wraca, staje w progu i piorunuje mnie wzrokiem.

– Nienawidzę cię – syczy. – Jesteś samolubną pindą i dlatego odszedł. I nigdy ci nie wybaczę.

Kiedyś poderwałabym się z miejsca i od razu palnęła kazanie. Straciłaby samochód, telefon, przywileje. Dostałaby szlaban na miesiąc. Postraszyłabym ją ogniem piekielnym i zmusiła do przeprosin.

Dzisiaj mam to gdzieś. Dzisiaj jestem zbyt zajęta główkowaniem, czym tu się, do cholery, teraz zająć.

# 35

## *Grace*

Od tamtego wydarzenia nie potrafię spojrzeć nikomu w oczy. Letnie praktyki w wesołym miasteczku to świetna sprawa, bo mogę się obracać wśród młodszych dzieci i w zasadzie unikać wszystkich znajomych.

W środku lata będzie trudniej. Uczestniczę w programach gry w tenisa, jazdy konnej i żeglarstwa. Na razie zamierzam się od tego wymigać, chociaż przypuszczam, że zajęcia i tak nie zostały opłacone, więc będę zdana na siebie i szczęśliwie uda mi się ukryć.

Dzisiaj po raz pierwszy zgodziłam się na wieczorne wyjście. Biedny Landon. Nie może już usiedzieć w domu, zwłaszcza przy ciągłych balangach jego kumpli, a Jamie organizuje dziś osiemnastkę, więc to poważna sprawa. W żadnym razie nie mogę odmówić.

Na imprezie będzie każdy, kto się tu liczy. Czyli każdy. Normalnie miałabym to gdzieś. Takie rzeczy kompletnie mnie nie ruszają, walę jak w dym i na ogół spędzam wieczór ze swoją ekipą, ale jestem pewna, że tym razem wszyscy będą o mnie gadali, a nie wymyśliłam jeszcze, jak na to reagować.

Nie uważam się za duszę towarzystwa, lecz wiem, że inni tak mnie postrzegają. Widzę w sobie osobę, która prawie z każdym się dogada, ale trzyma się z dala od babskich intryg.

Dlaczego? Bo życie jest za krótkie. A gdy ma się chłopaka na stałe, wszystko się zmienia. Nie ma czasu na głupie, wredne zagrywki. Nie żebym wcześniej była inna.

Nigdy nie obracałam się w gronie dziewczyn szepczących za plecami koleżanek i nigdy nie należałam do tych, o których szeptano. Aż do teraz. Wiem, że to nie przeze mnie, że w niczym nie zawiniłam, lecz tak już jest w tym mieście. Ty równa się twoja rodzina, a twoja rodzina równa się ty.

Owszem, mam stresa. Widzę oczami wyobraźni, jak wchodzę, zapada cisza, wszystkie spojrzenia wędrują w moją stronę, grupki osób pokazują na mnie i szepczą: „To ta, której ojciec ma drugą rodzinę”.

Kiedyś w końcu muszę wyjść. A to urodziny najlepszego kumpla Landona. Nie ma mowy, żebyśmy je opuścili. Dopilnuję tylko, żeby wyglądać jeszcze lepiej niż zwykle – jeśli zrobię się na Blake Lively, to po to, żeby ją przebić. Będę na ustach wszystkich. Tym razem z właściwego powodu.

Kilka dni temu Landon kupił mi sukienkę. Z wyprzedaży, falbaniastą, z brzoskwiniowego szyfonu, na cienkich ramiączkach, chyba najcudniejszą, jaką widziałam. Nie mogłam znieść myśli, że mi ją kupił, że musiał mi ją kupić, choć gdy odliczał banknoty dolarowe i podawał je sprzedawczyni, twarz promieniała mu z dumy, że jest taki dorosły.

Zwieszam głowę w dół i owiewam włosy chłodnym powietrzem z suszarki, żeby wyglądały jak potargane przez wiatr, nakręcam końcówki na wałki z rzepami i nakładam róż na kości policzkowe.

Odrobina tuszu na rzęsy, trochę bezbarwnego błyszczczyku na wargi, cienkie złote koła w uszy. Wsuwam sukienkę, suszę nawinięte na wałki włosy, odplątuje je i spryskuję lakierem niesforne kosmyki.

Wydaje mi się, że od tak dawna wyglądałam jak „idź stąd i nie wracaj”, że zapomniałam już, że mogę wyglądać jak dziś. Zapomniałam, że *kiedykolwiek* wyglądałam tak jak dziś.

Brzoskwiniowa sukienka podkreśla opaleniznę, którą nabyłam przypadkowo podczas letnich praktyk na powietrzu w wesołym miasteczku; słońce wydobyło też z moich włosów naturalne pasemka. Policzki promienieją, a cała twarz wygląda zdrowo i pogodnie.

Sięgam do rogu nocnej szafki, wyciągam na wpół opróżnioną butelkę wódki, sprawdzam, czy nie słyszczyć kroków i czy nikt nie zapuka zaraz do drzwi, po czym pociągam duży łyk.

Wyglądam tak dobrze, że nikt by się nie domyślił, jaki gówniany mam nastrój. Ojciec mnie porzucił, matka nie może się pozbierać, cały świat mi się rozpada, a w mojej rodzinie najwyraźniej nikogo to nie obchodzi.

Naprawdę nie wiem, co bym zrobiła bez Landona. Bez Landona i bez kilku łyków wódki co wieczór, tak tylko, żeby się trochę ,trochę znieczulić.



## 36

### *Maggie*

Lara to dobra koleżanka, ale nie rozumie. Nie potrafi zrozumieć.

Może i współczuje, ale widzę, że projektuje na mnie swój lęk. Żadna z dziewczyn nie zastanawia się, jak najlepiej mi pomóc; dziękuję Bogu, że nie im się to przytrafiło.

Jedyną osobą, która cokolwiek i jakkolwiek rozumie, jest Sylvie. Cóż za ironia – kobieta, którą powinnam nienawidzić najbardziej na świecie, jako jedyna może mi przynieść pociechę. Któż lepiej niż ona rozumie, przez co przechodzę? Któż by inny ukrył się ze mną w studni żalu nad sobą?

Staram się dzwonić do niej często i mam świadomość, że ona raczej do mnie nie dzwoni, nie szuka we mnie oparcia, ale gdy zaczynam widzieć wszystko w czarnych barwach, gdy nabieram przekonania, że nikt inny mnie nie zrozumie, sięgam po telefon i dzwonię do Kalifornii, wiedząc, że Sylvie ma w sobie coś, co zawsze mnie uspokoi.

Nie pozwala mi zbyt długo użalać się nad sobą. Kiedy zaczynam jęczeć, pokpiwa ze mnie. Przeraża ją to, że zamartwiam się, co powiedzą ludzie w mieście. Kiedy wyznaję, że mam opory przed zorganizowaniem wyprzedaży garderoby, że nie chcę się ujawnić i stać się przedmiotem powszechnego współczucia, wprost nie może się nadziwić.

– Czy to twoje przyjaciółki? – pyta. – Te kobiety? Ufasz im? Czujesz się przy nich bezpiecznie? Kochasz je i czujesz się przez nie kochana?

Musiałam się zastanowić. Heather. Casey. Kim. Nawet Lara. Znajome z kortu. Z komitetów. Z fundacji. Kobiety przewijające się przez przyjęcia koktajlowe, które nazywa się życiem towarzyskim. Czy to rzeczywiście moje przyjaciółki? Czy umiem odpowiedzieć na któreś z pytań zadanych właśnie przez Sylvie?

Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia.

Wiem za to, że nie jestem tak silna jak Sylvie. Wiem, że żadna z nas nie ma wieści od Marka, ale ona to lepiej znosi.

Następny krok to telefon na policję. To oznacza, że podam sprawę do publicznej wiadomości. A to oznacza, że nie mogę już dłużej udawać, że życie mimo zewnętrznych pozorów toczy się dalej zwykłym trybem.

Chris wrócił na studia, Grace jest u Landona, a Buck wyrzekł się wypadów ze swoimi kumplami od lacrosse i woli spędzać czas z mamą.

Chciałabym, żeby przebywał wśród znajomych, ale nie chcę go naciskać jak dawniej, gdy miałam zbyt wiele zajęć, by znosić to, że dzieci wiszą na mnie ze swoimi ciągłymi pragnieniami

i zachciankami. Teraz go potrzebuję, mojego kochanego czternastoletniego mężczyzny, który ukrywa przede mną swój ból i stale dba o moje samopoczucie.

Nie chcę stać się matką, którą dzieci muszą się opiekować. Nie chcę, żeby musiały dźwigać taką odpowiedzialność, a jednak obecność dziecka, *takiego* dziecka, tak bardzo podnosi na duchu.

Kiedy Buck był malutki, zawsze miałam do niego słabość. Nieprawda, że jest moim pupilkiem – wszyscy na różnych etapach stawali się moimi pupilkami: Chris jako pierworodny, Grace jako jedyna dziewczynka – ale Buck pojawił się jako niezaplanowana, cudowna niespodzianka po tym, jak zdecydowaliśmy, że już wystarczy. W chwili gdy spojrzałam mu w oczy, zobaczyłam w nich samą słodycz.

Od kilku dni przesiaduje ze mną na sofie w pokoju rodzinnym. Przygotowujemy sobie ogromne michy popcornu i oglądamy programy, filmy. Właśnie jesteśmy w trakcie oglądania *Sherlocka Holmesa*, trzeciego odcinka brytyjskiej wersji, gdy ktoś dzwoni do drzwi.

Jęczę i odstawiam popcorn.

– Spodziewasz się kogoś?

Kręci głową.

– Możesz otworzyć, Buck? – Patrzę na niego błagalnie. – Nie chcę nikogo widzieć.

– Oj, mamó – gdera, ale już się rusza z miejsca.

Zatrzymuję film i czekam na niego, lecz zaraz wstaję, słysząc od drzwi niskie męskie głosy, i dotarłszy do przedpokoju, widzę przerażonego Bucka w towarzystwie dwóch mundurowych.

– Pani Maggie Hathaway? – Starszy, o dobrotliwej twarzy, spogląda na mnie, a ja kiwam głową i chwytam krawędź stołu, żeby się podeprzeć, bo lekko uginają się pode mną nogi.

– Żona Marka Hathawaya?

– Co się stało? – szepczę.

– Wszystko w porządku – mówi spokojnie. – Jestem sierżant Scarper. Czy możemy porozmawiać na osobności? – pyta i patrzy przelotnie na Bucka.

Prowadzę ich do kuchni, ale nie chcą usiąść ani napić się wody czy kawy.

– Pani Hathaway, pani mąż, Mark, został aresztowany przez wydział policji stanu Kalifornia.

Nabieram gwałtownie powietrza, chociaż wcale mnie to nie dziwi.

– Za co został aresztowany?

– Patrol zatrzymał go na plaży w Santa Monica, ponieważ był pijany i agresywny. Następnie odkryliśmy, że figuruje w kalifornijskim rejestrze osób zaginionych i... – Wymienia spojrzenia z kolegą i kontynuuje: – ...mamy na niego kilka zaległych nakazów, zarówno z Kalifornii, jak i z Nowego Jorku.

– Nakazów? Z jakiego powodu?

– Oszustwo, defraudacja, kradzież mienia o dużej wartości i... – Odchrząkuje i odwraca wzrok.

Wiem, do czego zmierza, wiem, jakie to musi być dla niego trudne, nie mogę uwierzyć, że zaraz usłyszę z jego ust, że Grace miała rację, że to nie żadna okropna pomyłka.

– ...i wygląda na to, że przyznał się do usankcjonowanego prawnie małżeństwa... – Nieszczęsny człowiek jest zażenowany, nie wie, że ja wiem. – ...z, ekhm, dwiema kobietami równocześnie. Władze stanu Kalifornia potwierdziły legalność małżeństwa w Kalifornii. Czy ma pani swój akt małżeństwa?

Wychodząc z przedpokoju po dokument, czuję, jakby moje nogi należały do kogoś innego. Tuż pod drzwiami kuchni natykam się na udreżonego Bucka.

Wszystko słyszał.

# CZEŚĆ TRZECIA

# 37

## Sylvie

Na lotnisko, po Eve, Sylvie pojechała własnym samochodem, chociaż Angie upierała się, że to głupota jechać osobno.

– Eve coś trapi – powiedziała Sylvie. – Mam wrażenie, że ona wie...

Westchnęła.

– To jakiś obłąd. Przecież nie może wiedzieć. Ale coś przeczuwam. Muszę ją sama przywieźć do domu.

Sylvie stoi na lotnisku u boku Angie i jak przez mgłę dociera do niej świadomość, że otacza ją morze ludzi, których życie pozostało w tym samym punkcie, podczas gdy ona usiłuje udawać normalność, a wiedza, że całe jej życie okazało się oszustwem, sprawia, że czuje się w swojej skórze tak nieswojo jak kiedyś.

– Będzie dobrze – powtarza Angie. – Będzie dobrze.

Ale Sylvie nie wie, czy to prawda. Musi zachować twarz ze względu na Eve, musi być silna, musi jakoś odnaleźć słowa, które dziewczyna zdoła przyjąć, ale jak może celowo zadawać jeszcze większy ból córce, która i tak ma teraz nadwątlone siły.

Pierwsza wychodzi Claudia, a Eve – tak nieznośnie chuda, jeszcze bardziej niż wcześniej, chociaż może to dlatego, że Sylvie nie widziała jej od kilku dni – wlecze się w ogonie.

Dziewczyny są przygaszone, milczące, Eve ma opuchnięte oczy, i obie matki, tuląc córki, krzyżują spojrzenia nad ich głowami. Eve nie puszcza. Sylvie trzyma ją w objęciach i czując, że szczuplutkim, wątłym ciałem córki wstrząsa powstrzymywany od pewnego czasu szloch, macha do Angie, żeby odeszły.

Wszystko wokół nich się rozmywa. Angie i Claudia odchodzą bez słowa, a Sylvie kołysze Eve, sama z twarzą zalaną łzami.

– Chodźmy do samochodu – mówi w końcu. – Tam porozmawiamy.

Ale zanim dochodzą do samochodu, Eve zamyka się w sobie. Odsunęła na bok emocje i siedzi, wpatrując się obojętnie w okno, a Sylvie próbuje do niej dotrzeć.

– Dziewczyny były niemiłe?

– Nie.

– Coś z chłopakiem?

– Nie.

– Eve, co się stało? Nie mogę pomóc, dopóki mi nie powiesz.

Eve obraca się do matki ze zboloną miną.

– Nie mogę ci powiedzieć – szepcze.

Sylvie skręca na najbliższym zjeździe, zatrzymuje się i obraca do córki.

– Eve, cokolwiek zaszło, cokolwiek zrobiłaś, kocham cię i nie będę cię oceniać. Daję ci słowo, że się nie wkurzę, ale coś nie gra i musisz mi o tym powiedzieć.

Patrzy, jak na twarz córki wkrada się konsternacja, i czeka w milczeniu, aż Eve znów otworzy usta.

– Chodzi o tatę – mówi w końcu. – Dowiedziałam się czegoś...

– Ma rodzinę w Connecticut – dopowiada z przygnębieniem Sylvie, wiedząc już, że Eve wie.

– Skąd...? Wiedziałaś?

Sylvie kręci głową.

– Dowiedziałam się wczoraj. A ty skąd wiesz?

Eve zaczyna swoją opowieść, początkowo niepewnie, potem prawie połykając słowa. Na koniec wyznaje, jak straszna przejęła ją groza, gdy przechodząc przez dom, zobaczyła zdjęcia, zobaczyła swojego ojca z inną rodziną, naskoczyła na Grace i wybiegła. Chciała uciec gdzie pieprz rośnie, była gotowa zrobić cokolwiek, byle uśmierzyć ten ból.

– Czasem bólu nie da się uśmierzyć. – Sylvie ujmuje Eve za wąż, ptasią dłoń i gładząc palce, wyczuwa pod skórą każdą kostkę i staw. – I ktoś będzie musiał nam w tym pomóc.

– A co powiedział? Jak się wytłumaczył? – Eve mniej interesuje pomoc, a bardziej wyjaśnienia, lecz Sylvie delikatnie naprowadza ją z powrotem.

– Nie rozmawiałam z nim. Ma wyłączony telefon. Ale, Eve, ja muszę o tym z kimś porozmawiać – kłamie. Myśl o tym, że miałyby usiąść przed terapeutą i obnażyć swój wstyd, jest przerażająca, jednak to jedyny sposób, żeby przekonać córkę do wizyty.

Kiedy teraz na nią patrzy i widzi, jak wąż i niezdrowo wygląda, wie, że ta sprawa może przelać czarę goryczy, a na podejmowanie takiego ryzyka nie może sobie pozwolić.

– I ty też musisz z kimś porozmawiać.

Wzrok Eve tężeje, cofa dłoń i Sylvie dostrzega nagle jej sterczące obojczyki, szpiczaste ramiona, zapadnięte oczy.

Jak mogła wcześniej nie zauważyć, że stan córki tak się pogorszył? Do tego jeszcze podczas pobytu w Nowym Jorku z pewnością prawie nic nie przełknęła.

– Chodzi o jedzenie? – pyta podejrzliwie Eve. – Ja nie jestem chora. Jeśli to jakiś podstęp, który ma mnie nakłonić do odwiedzenia terapeuty, to nic z tego. Mówiłam ci milion razy, że po prostu nie jestem głodna. Szczególnie teraz.

– Wiem. – Sylvie ostrożnie uznaje jej racje. – I to właśnie mnie niepokoi. Ogromnie dużo przeszedł, więcej niż może znieść nastolatka, i nie musisz być w tym osamotniona.

– Nic mi nie jest – mruczy pod nosem Eve. – Radzę sobie.

– Radzić sobie to nie to samo co żyć – mówi Sylvie. – Uwierz mi. Coś o tym wiem.

Patrzy, jak córka stara się być silna, próbuje udowodnić matce, że nic jej nie jest, aż nagle opada z sił, krzywi się i zalewa łzami.

## 38

### *Sylvie*

Doktor Lawson jest sympatyczny i życzliwy. Ma iskiereki w oczach, lśniąca, łysą czaszkę i jest na tyle stary, że nie budzi postrachu. Na szczęście w niczym nie przypomina ojca Eve, ani pierwszego, ani drugiego.

Sylvie przeprowadziła już z nim długą rozmowę telefoniczną. Opowiedziała o Marku i teraz kamień spada jej z serca, gdy lekarz pyta, czy może porozmawiać z Eve na osobności.

To było godzinę temu. Sylvie zaczyna tracić cierpliwość; siedzi w poczekalni, kartkuje stare numery „People”, wzdycha ciężko i co rusz spogląda na zegarek, jakby miało to przyspieszyć zakończenie wizyty.

Co oni tam *robią*? Dlaczego to tak długo trwa? Czy powinna zażądać, żeby ją wpuścili? W końcu jest matką Eve.

– Pani Haydn?

Podnosi wzrok i widzi w drzwiach doktora Lawsona.

– Eve poszła na badania krwi – wyjaśnia. – Zapraszam do gabinetu. Proszę – wskazuje ręką krzesło. – Niech pani siada.

I zaczynają się wyjaśnienia.

– Eve, zgodnie z pani podejrzeniami, cierpi na anoreksję, ale zdaje się, że od pewnego czasu objada się i wymiotuje, co by sugerowało bulimię. O jej stanie zdrowia dowiemy się znacznie więcej po odebraniu wyników badań krwi, ale pewne oznaki wskazują na konieczność bezzwłocznej hospitalizacji.

Sylvie z największym trudem zachowuje spokój.

– Jakie oznaki?

– Zauważyła pani może, że jej skóra pokryła się meszkiem, a włosy są cienkie i zlepione w strąki. Ostatnia menstruacja wystąpiła pięć miesięcy temu. Pani Haydn? Pani Haydn?

Lekarz nachyla się do niej, wiedząc, co oznacza to tępe spojrzenie. Widział już je wiele razy.

– To nie pani wina.

Sylvie patrzy na niego i jak każda matka, która kiedykolwiek przed nią zasiadła na tym krześle, nie wierzy.



– Dziewczęta, które lecę, potrafią bardzo sprytnie ukrywać swoje zaburzenia, można powiedzieć, że są mistrzyniami mistyfikacji. Wymyślą każde możliwe kłamstwo i uwiarygodnią je na tyle, że człowiek zaczyna powątpiewać w dowody, które widzi na własne oczy. Nie musiały pani wiedzieć, że Eve od miesiący nie ma okresu ani że w ciągu ostatniego miesiąca dwukrotnie zasłała. Nie mówię tego po to, żeby obciążyć panią poczuciem winy, ale żeby powiadomić panią, że to typowe dla anoreksji. Anorektyczka zrobi, co tylko w jej mocy, żeby ogłupić ukochane osoby i móc dzięki temu dalej kontrolować swój sposób odżywiania.

Sylvie ociera łzę i kiwa głową.

– A więc chodzi o kontrolę? Ciągłe o tym czytam, ale nie rozumiem, co to znaczy.

Lekarz potakuje.

– Żyjemy w epoce, w której nastoletnie dziewczyny zaczynają mieć poczucie, że nie nadążają. Szykują się do opuszczenia domu i prawda jest taka, że choć na zewnątrz mogą sprawiać wrażenie podekscytowanych i dojrzałych, wiele z nich czuje, że przestaje panować nad sytuacją, i wtedy próbują panować nad jedyną dziedziną, która według nich jest do opanowania. A dodatkowe komplikacje... przeprowadzka, rozwód, strata... mogą spowodować szybkie nasilenie objawów.

– Opowiadała panu o ojcu?

– Opowiadała mi o obu ojcach.

Sylvie przełyka ślinę i znów kiwa głową.

– To musi być bardzo trudne dla was obu. Leczenie Eve obejmie intensywną terapię, zarówno indywidualną, jak i grupową, i podczas niej zgłębimy także te kwestie. Ale jedna rzecz, pani Haydn. Martwię się również o panią. Odkrycie tej zdrady w czasie, gdy pani matka jest poważnie chora, z psychologicznego punktu widzenia może się okazać dla pani bardzo trudne, zbyt trudne, by radzić sobie z tym w pojedynkę. Mam nadzieję, że nie będzie pani miała mi tego za złe, ale czy zastanawiała się pani, czy również się z kimś nie spotkać?

Sylvie przywykła do tłumienia uczuć. Odsuwała na bok ból, lęk i samotność, i skupiała się na kolejnych zadaniach, żeby odciągnąć myśli od nieszczęść, które ją spotykały. Znajdowała sobie rozrywki, aż ból przygasał na tyle, że mogła dalej żyć.

Tak było i ze zniknięciem Marka. Zajęła się wyrobem świec i rozsyłaniem ich do każdego, kogo tylko wskazała jej Angie. Utrzymywała przy tym, że czuje się dobrze i nie poddaje się lękowi.

Pomagają regularne telefony od drugiej żony Marka. Sylvie została nieoficjalnie mianowana terapeutką, a nie tą złą drugą kobietą. Jest tą silną, tą, która może pomóc stanąć na nogi.

Sylvie jest wprost stworzona do odgrywania takiej roli – w końcu czyż nie próbowała przez całe swoje życie uleczyć matki? Kiedy Maggie zalewa się łzami po drugiej stronie linii, tylko Sylvie potrafi przemówić jej do rozsądku, pokazać, że życie stanie się znośniejsze, że w ogóle istnieje coś poza Markiem i jego zdradą.

Sylvie jest osobą, która pomaga drugiej żonie swojego męża po to, by ocalić siebie.

Wpatruje się teraz w doktora Lawsona i chce się uśmiechnąć, zapewnić go, że wszystko jest w porządku, bo to ona jest opiekunką. Po co miałyby się spotykać z terapeutą?

Lekarz odwzajemnia spojrzenie, a w jego oczach widać współczucie.

– Pani Haydn? – powtarza. – A kto się opiekuje *panią*?

Sylvie zaczyna płakać.

## 39

# *Maggie*

– Mamo? Co to za ludzie na naszym podwórku? – woła przez kuchnię Buck, który chrupiąc jabłko, przechodzi właśnie koło okna.

– Ogrodnicy? – odkrzykuję z nadzieją, bo ogrodników trzeba było zwolnić, a trawa wyrosła na wysokość niespotykaną zapewne wcześniej w New Salem. Buck zaproponował, że sam ją skosi, lecz oczywiście w całym swoim dorosłym życiu ani raz nie weszłam w posiadanie kosiarki, a teraz to ostatnia rzecz, na jaką możemy sobie pozwolić.

– Czy ogrodnicy jeżdżą wozami transmisyjnymi? – słyszę głos Bucka, a potem stłumiony jęk. – Kurna. To nie wygląda dobrze.

Staję w oknie koło niego i zapiera mi dech na widok wozów NBC i CBS, ludzi gromadzących się tłumnie na moim podwórku, reporterów przemawiających przed kamerami i wymachujących rękami w kierunku domu, rozstawiających się ekip telewizyjnych, których członkowie mają nawet czelność opychać się bajglami i stawiać swoje papierowe kubki z kawą na moim pieprzonym trawniku.

– To *ona!* – krzyczy ktoś na zewnątrz. Tłum obraca się zgodnie i pędzi w stronę domu, a ja odrywam się od okna i ciężko oddychając, opieram się o ścianę.

Znalazłszy bezpieczne schronienie w kuchni, z bijącym sercem dzwonię na posterunek policji.

– Wtargnęli na teren prywatny. Proszę natychmiast przyjechać i ich stąd usunąć.

Na dźwięk dzwonka u drzwi ogarniają mnie złość, strach i panika.

– Nie idź – syczę rozkazująco, bo jestem prawie pewna, że Buck, jak na dobrze wychowanego chłopca przystało, właśnie zamierzał otworzyć drzwi i oznajmić uprzejmie, że jego matka nie ma ochoty na rozmowę.

Dzwoni telefon. Lara. Chwytam słuchawkę.

– Dajesz radę? – W słuchawce wybucha głos Lary. – Coś okropnego! Och, Maggie. Tak mi przykro.

– Laro, co tu robią dziennikarze? Co jest grane?

Zapada niezręczna cisza.

– Och, Maggie – odzywa się w końcu Lara. – W mediach wszędzie o was trąbią.

– *Jakich* mediach?

– Wszystkich – odzywa się nieśmiało Lara. – To już trwa parę dni. Po tym, jak aresztowali Marka, znalazł się w lokalnej kronice policyjnej, ale sprawa została nagłośniona na cały kraj.

– Co to znaczy: na cały kraj?

Lara się waha, ale nie może mi nie powiedzieć.

– Rozdmuchali to we wszystkich dzisiejszych programach śniadaniowych. W *Today Show* nadają materiał o bigamistach, a w *Good Morning America* za jakieś dziesięć minut zaczną się program wyłącznie o tobie i Marku, i o jego szwindlach.

– Mają materiały o mnie? – słyszę swój szept.

– Nie wiem, skąd je wzięli. Całą masę. I mają wywiady z ludźmi, którzy cię znają, ale z żadnym z prawdziwych przyja... o Boże! To jest na żywo? – Przerywa na chwilę. – Nadają teraz sprzed twojego domu?

– O, tak. Kiedy już się wydaje, że gorzej być nie może, tak się właśnie dzieje.

Słyszę jakieś odgłosy w suterenie, mówię Larze, że muszę kończyć, i zszedłszy do suterenu, zastaję tam Bucka przyklejonego do telewizora, którego ekran wypełnia teraz ujęcie naszego domu i przemawiającej na żywo reporterki.

– O jego żonie, Maggie, mówiło się, że jest opoką lokalnej społeczności. – Reporterka szerokim gestem omiata dom, a operator przesuwając kamerę. – I do ubiegłego tygodnia brylowała wśród pań jedzących na Złotym Wybrzeżu Connecticut. Ale wiele się zmieniło od jej dzieciństwa spędzonego w skromnym robotniczym domu...

Nie słyszę już nic więcej, bo na ekranie miga nagle ujęcie mojego domu rodzinnego, jeszcze ohydniejszego i bardziej zrujnowanego niż dawniej; na pierwszym planie widać ogrodzenie z siatki i psa skaczącego, warczącego i szczekającego do kamery.

Sklamałabym, mówiąc, że jestem dumna ze swojej reakcji. Wstyd i wściekłość łączą się w siłę, zbyt obezwładniającą, bym potrafiła nad nią panować. I oto bez namysłu pędzę do góry po schodach, do frontowych drzwi, otwieram je na oścież i maszeruję w dół po stopniach, wprost do reporterki, która nadal przemawia na żywo do kamery. Furia tętni mi w całym ciele jak wściekła czerwona żyła.

– Jak śmiecie! – krzyczę. – Jak śmiecie wkraczać bezprawnie na mój teren i stawiać w takiej sytuacji moje dzieci! Złazić z mojego podwórka, i to już!

Reporterka jest niewzruszona.

– Pani Hathaway, czy wiedziała pani, że mąż sprzeniewierza pieniądze?

– Wynocha stąd! – żądam i rozglądam się za policją, ale nie mogę nikogo znaleźć.

– Czy może nam pani chociaż zdradzić, skąd pani się dowiedziała o tym, że mąż ma inną żonę i córkę? – ciągnie reporterka gładkim, modulowanym głosem zawodowca.

– Wypierdalać!

O, Jezu. Musiałam bluzgać na wizji? Musiałam bluzgać, stojąc w poszarzałym szlafroku, spod którego wyziera niezbyt czysty biustonosz, ze splątanymi, skołtunionymi włosami? Musiałam dawać upust wściekłości, zbliżyć się do reporterki, gotowa zabić każdego, kto postąpi w moją stronę?

Dziennikarka cofa się, a ja biorę głęboki oddech i wiem już, że po czymś takim nigdy nie odbuduję swojej godności, że w każdym zakątku miasta kobiety siedzą przyklejone do telewizorów z komórkami w rękach i wydzwanają, do kogo się tylko da, a oczy rozszerzają im się z przerażenia – i dreszczyku emocji – z powodu mojego publicznego upadku i upokorzenia.

Oto ja. Kobieta, którą – jak mi się kiedyś zdawało – każda z nich pragnęła zostać.

# 40

## *Sylvie*

Sylvie tuli córkę na do widzenia i na odchodnym macha do niej z uśmiechem, jakby czuła się wprost doskonale, po czym czeka, aż znajdzie się w bezpiecznym schronieniu windy, i osuwa się po ścianie, wyczerpana emocjonalnie.

Eve przez cały dzień prosiła i błagała, żeby matka ją stąd wzięła. Płakała, krzyczała, wyła, dostawała z tego wszystkiego czkawki, obiecywała, że będzie jadła, przysięgała na wszystko, co ma, że mówi poważnie: tym razem będzie inaczej. Reżim uzgodniony z doktorem Lawsonem obejmuje spożywanie obowiązkowych porcji jedzenia w ciągu dnia i nocne dożywianie dożylnie po to, by Eve posiliła się jak należy, a to ją przeraża.

Doktor Lawson powiedział, że zalecany przyrost wagi to kilogram do półtora tygodniowo, i Eve zaczęła naprawdę świrować dopiero wtedy, gdy o tym usłyszała.

Sylvie nie może znieść myśli, że zostawia ją samą, ale zbliża się pora jej pierwszej sesji terapeutycznej, a musi jeszcze zajrzeć do Clothilde i zacząć ogarniać bałagan z finansami.

Kroczy szpitalnym korytarzem, grzebiąc w torebce w poszukiwaniu kluczyków, i nie zwraca uwagi na parę siedzącą na krzesłach przy wejściu. Kobieta trąca mężczyznę, a ten podrywa się, chwyta aparat i robi zdjęcie Sylvie.

Zaskoczona Sylvie już chce zapytać, co tu się, u licha, dzieje, gdy kobieta podchodzi do niej z maleńkim czarnym dyktafonem w ręce.

– Pani Haydn? Pracujemy dla „The Star”. Jak rozumiem, pani córka została przyjęta do tej kliniki. Czy załamała ją wiadomość o pani mężu?

– Co? – odzywa się kamiennym głosem Sylvie. – Skąd się dowiedzieliście... że tu jestem?

– A więc to prawda?

– Nie odpowiem na żadne pytania, dopóki mi nie powiecie, skąd się dowiedzieliście, że tu jestem.

Pewnie ktoś z personelu, pielęgniarka na izbie przyjęć lub ktoś inny. Jak można być tak niedyskretnym?

– Z Facebooka – przyznaje kobieta. – Co poniektórzy znajomi pani córki wrzucali posty na ten temat.

– Jasna cholera! – Sylvie przymyka na moment oczy, a potem obraca się na pięcie i wychodzi, ignorując dwoje reporterów, jakby w ogóle nie istnieli.

Nie może jechać do Clothilde. Najpierw musi się dowiedzieć, co zamieszczono na Facebooku, i zadbać o to, by natychmiast znikło. Skręcając na podjazd, widzi, że pod domem stoi masa wozów z antenami na dachach, a wokół kłębi się kilkadziesiąt osób.

Reporterzy.

Cholera.

Zawraca szybko i jedzie wprost do Angie, która otwiera drzwi, zanim jeszcze Sylvie zdąży zaparkować.

– *Gdzieś* ty była? Wydzwaniam do ciebie od rana.

Z jej twarzy znikł zwykły uśmiech i minę ma śmiertelnie poważną.

– A jak ci się zdaje? – burczy Sylvie. – Odstawiłam Eve do kliniki i zamierzałam odwiedzić matkę, ale nie mogę. Media nas dorwały.

– Wiem.

– Jak to wiesz?

– Wiem, bo wszędzie was, kurwa, pełno.

– O, Jezu. Aż tak źle?

– Gorzej dla tej drugiej. Opisują ją jako nadętą, wredną nuworyszkę. „Wyniosła” i „zimna” – te słowa zapamiętałam.

– Nie sprawia wrażenia wyniosłej. Raczej zdruzgotanej.

– Sylvie, oglądałaś w ogóle jakiś materiał?

Sylvie przekrzywia głowę.

– Kawaleczek. Nie mogłam na to patrzeć.

– A widziałaś jej chałupę? – Angie kręci głową. – To obłęd! Ja pierdołę, istny pałac! O co biega? Kim on, kurna, w ogóle jest? Ten drugi Mark otacza się porszakami i diamentami, a ona obnasza Chanel i wyleguje się na forsie. Takiego go w ogóle nie znamy.

Sylvie siada.

– Myślisz, że ma jeszcze pieniądze?

– Nie wiem. Z pewnością umiał je wydawać. Tylko że nie na ciebie. Boże! Jak sobie przypomnę, jak cię zbeształ za tę kurtkę, którą chciałaś kupić w ubiegłym roku. Ile ona

kosztowała? Dwieście dolarów? Trzysta?

Sylvie wzrusza ramionami.

– Coś koło tego.

– A ta się objija w cholernych sobolach. Mogłabym go zakatrupić.

Sylvie rozsiada się wygodniej, przymyka oczy i opiera głowę o poduszkę.

– Ale jestem wykończona. Ciekawe, co mnie dalej czeka. Najpierw Eve i jej anoreksja, potem moja mama z udarem i wreszcie gwóźdź programu: moje lipne małżeństwo i zakłamany, niewierny mąż. Zbieram siły na myśl o tym, co się jeszcze może zdarzyć.

– Nic się nie zdarzy. – Angie przysiada się do niej. – Nie wiesz? Nieszczęścia zawsze chodzą trójkami. Koniec, kropka. To twoja trójka. Teraz już wszystko zacznie się zmieniać na lepsze.

– To mało prawdopodobne, zważywszy na to, że pod moim progiem koczują reporterzy. Nie mogę nawet pojechać do domu. Prawdopodobnie liczą na to, że odsłonią moje życie prywatne do cna. Angie, nie wiem, jak to przeżyję.

– No już, nie tragizuj – cmoka Angie. – Od tego jestem ja. Nic ci nie będzie, bo zawsze spadasz na cztery łapy. I na szczęście, w odróżnieniu od tej drugiej, która najwyraźniej przez całe życie starała się ukryć swoje niskie pochodzenie, nie masz żadnych tajemnic. Czego się mogą o tobie dowiedzieć? Że uwielbiasz się babrać w ziemi? Że wyrabiasz wspaniałe świece i jesteś znana z tego, że potrafisz siedzieć nad nimi do świtu? Wielka mi, kurwa, sensacja.

– A jeśli zaczną wypytywać o mnie ludzi na mieście? A jeśli rozmawiają już z jakimiś matkami w szkole? – Sylvie dostaje dreszczy na samą myśl.

– I co im powiedzą? Że nie znają cię zbyt dobrze, ale wyglądasz na cudowną osobę? Jedyną osobą, która zna cię dobrze, jestem ja, a ja z pewnością nic nie powiem...

Urywa na dźwięk dzwonka u drzwi.

– Momencik.

Schodzi, otwiera drzwi i zastaje za progiem reporterkę z notesem w ręce.

Reporterka już otwiera usta, ale Angie uśmiecha się swoim najbardziej czarującym uśmiechem i ją ubiega.

– Bierz pani ten notesik i długopis, i wsadź se je w dupę – mówi. – I owszem, można mnie zacytować.

Tymczasem Sylvie rozmawia przez telefon i bazgrze coś na kartce. W końcu się żegna



i obraca do Angie, blada jak ściana.

– Kto to był? – Angie siada koło niej.

– Z banku – mówi beznamiętnie Sylvie. – Zajmują dom. Od miesiący nie wpłynęła ani jedna rata.

– Nie wierzę. Boże święty. Co im powiedziałaś?

– Nie... – Sylvie otwiera usta, ale nie może dobrać słów. – Nic nie powiedziałam. Słabo mi się zrobiło.

– Ile im wisisz?

– Nie wiem. Nie spytałam.

– Pierwszy błąd. Ile wynosi wasza comiesięczna rata?

– Nie mam pojęcia.

– Boże, Sylvie. Obiecuj mi, że już nigdy nie wpłaczesz się w taką historię.

– Jeśli to się kiedyś powtórzy, to chyba się pochlastam.

– Chodzi mi o pieniądze. Chodzi mi o to, że musisz mieć jakieś pojęcie, na czym stoisz.

– Ale Mark prowadził...

– Chyba wyprowadził.

– Ale to były jego pieniądze.

Angie prychna śmiechem.

– Bo je ukradł?

Wzdycha ciężko.

– Wiem, wiem. Nie miałaś pojęcia, że je ukradł, myślałaś, że zarobił, ale i tak jesteś przecież jego żoną... *Zakładałaś, że jesteś jego żoną.* Byliście duetem. Uważasz swój dom za dom Marka?

Sylvie kręci głową.

– No widzisz. To twój dom. Wasz. To samo dotyczy pieniędzy, a jako jego partnerka musisz wiedzieć, na czym stoisz. Sama jestem kiepska, jeśli chodzi o rachunki, ale zmuszam się do przeglądania wyciągów z kart kredytowych i dokładnie znam przychody i wydatki. Jak

sądzisz, jak inaczej byłoby mnie stać na przewalanie kasy na markowe torebki?

– Angie? – Sylvie, która kiwała głową na znak zgody, chociaż zdążyła odpłynąć myślami, skupia teraz uwagę na przyjaciółce. – Kurczę, gdzie ja teraz zamieszkać? Skąd mam wziąć pieniądze na podstawowe wydatki?

– Nie pozwolimy ci zamieszkać pod mostem. – Angie przykrywa jej dłoń własną. – W najgorszym przypadku zamieszkacie u nas, dopóki czegoś nie wymyślimy. A wymyślimy, obiecuję. Zrób rozeznanie w finansach i pogadamy z Simonem. O ile ci wiadomo, na ukrytym koncie jest przecież masa pieniędzy. Musisz się dogrzebać do wszystkich możliwych papierów, dzięki którym uzyskasz dostęp do kont Marka. Lepiej założyć, że nic na nich nie ma, ale kto wie? Czyż nie jest o wiele bardziej prawdopodobne, że założył tajne konto?

Sylvie opadają ręce. Wzdycha.

– Jeszcze trzy tygodnie temu stwierdziłabym, że Mark to ostatnia osoba na świecie, która utrzymywałaby coś w tajemnicy... rachunek w banku czy cokolwiek innego. Najgorsze jest to poczucie, że wyszłam na idiotkę. Jaka muszę być głupia, żeby nie zauważyć, że mój mąż ma całkiem inną rodzinę. Ilekroć nie mogłam się z nim skontaktować albo znikał na jakiś czas, to nawet jeśli miałam przeczucie, że coś się święci, pozwalałam sobie na przekonanie, że jego wymówki są autentyczne. I to jest w tym wszystkim najgorsze. Nie mogę sobie poradzić ze wstydem. To był mój mąż. Człowiek, którego znałam lepiej niż ktokolwiek inny. Jak to, u licha, świadczy o mnie i moim rozsądku? Jak miałabym jeszcze komukolwiek zaufać? – jęczy. – Jak mogłabym być taka głupia?

– Jeśli ty byłaś głupia, to znaczy, że wszyscy zgłupieliśmy – pomrukuje Angie. – Wszyscy, co do jednego. Simon to geniusz finansowy i ani przez chwilę nie wątpił w Marka. W dniu, w którym się dowiedzieliśmy, był tak wstrząśnięty, że zasiadł na cały dzień przy stole kuchennym i opróżnił prawie całą butelkę wódki. *Nikt* nie wiedział. Nikt nawet niczego nie podejrzewał.

– Nie rozumiem tylko dlaczego. Dlaczego to zrobił? Jakim trzeba być człowiekiem, żeby umieć tak kłamać w żywe oczy? Ze świadomością, że się kogoś skrzywdzi?

– Jego zapytaj – podpowiada Angie.

– Nie. – Sylvie kręci stanowczo głową. – Tego nie zrobię. Nie spotkam się z nim i basta. Zniszczył nam życie i na razie nawet nie chcę na niego patrzeć.

– A wiesz, gdzie jest?

– Nie mam pojęcia. Ale do czasu rozprawy nie może wyjeżdżać z Kalifornii.

– A nie próbował się z tobą kontaktować?

Sylvie milknie. Kilka razy, najczęściej późno w nocy, ktoś do niej dzwonił z zastrzeżonego numeru. Czekala, aż się załączy sekretarka. Podejrzewała, że to on, ale nie

chciała wysłuchiwać żadnych wyjaśnień.

– Próbował, prawda?

Sylvie opowiada o nocnych telefonach.

– Następnym razem odbierz – radzi Angie. – Nawet jeśli będziesz musiała udawać, dowiedz się, gdzie są pieniądze. Przecież musi coś mieć. Musisz się dowiedzieć. Obiecuj. Dobrze?

Sylvie niechętnie kiwa głową.

– A jeśli chodzi o to, dlaczego to zrobił, to Bóg raczy wiedzieć – stwierdza smutno Angie. – Simon mówił, że oglądał ostatnio program o oszustwach miłosnych, i mężczyzn, którzy robią to co Mark, opisywano jako socjopatów i narcyzów. Tyle że oni wszyscy ukradli pieniądze od swoich kobiet, a tu mamy inną sytuację. Może naprawdę zakochał się w dwóch kobietach. Może nie umiał dokonać wyboru? Albo chciał zostawić pierwszą żonę, ale nie mógł opuścić dzieci?

– To dlaczego wobec tego się ze mną *ożenił*? Dlaczego nie mogłam po prostu zostać jego partnerką? – wybucha Sylvie. – Po co od razu łamać prawo?

– Biorąc pod uwagę okoliczności jego aresztowania, można odnieść wrażenie, że łamanie prawa nie robi na nim szczególnego wrażenia. – Angie unosi brew.

– Chciałabym coś z tego zrozumieć – mówi Sylvie i uciskając opuszkami skronie, czuje, że nadciąga ból głowy. – Bóg jeden wie, jak sobie z tym poradzi Eve. Tylko tego jej jeszcze teraz trzeba. Nawet nie wiem, od czego zacząć rozwiązywanie tej sprawy.

– To nie twoja działka. – Nachyla się ku niej Angie. – Od tego ma terapeutów. Poważnie, jest w najlepszym z możliwych miejsc. Jeśli ma gdzieś przepracować swoje problemy, to nie znajdzie bezpieczniejszej przystani.

Sylvie wstaje i prostując ręce ku górze, przeciąga się mocno. Wie, że Angie ma słuszość, nawet jeśli sama nie do końca w to wierzy.

– Jedziesz już? – pyta Angie. – Jesteś gotowa się zmierzyć z kamerami?

– Nie. Jedziesz ze mną. *Ty* się z nimi zmierzysz.

– To rozumiem! – Angie się uśmiecha. – Nie ma nic lepszego niż porządna awantura. A jeśli zacznę kłąć jak pomyłona, nigdy tego nie wyemitują. Czy jeśli powiem, że nie mogę się już doczekać, to będzie znaczyło, że jestem nienormalna?

– Tak. Absolutnie.

– No to tego nie powiem – burczy pod nosem i obie kobiety schodzą wolno po schodach.

# 41

## *Maggie*

Gdy sprzedawaliśmy nasz pierwszy dom, z rozkoszą przygotowywałam go do wizyty potencjalnych kupców. Przed każdymi odwiedzinami kupowałam naręcza świeżych kwiatów, pilnowałam, żeby mieć pod ręką ciasto cytrynowe, które można szybko wsunąć do piekarnika i wypełnić wewnątrz kuszącymi zapachami domu, rozpalalam w kominkach i rozstawiałam świece zapachowe.

Jak wtedy, tak i teraz pośredniczka dzwoni, by mnie powiadomić, kiedy zamierza pokazywać dom, ale ja nie jestem już właścicielką. Mój piękny dom został przejęty przez bank, a telefony od agencji nieruchomości to dla mnie tylko sygnał do wyprowadzki. Nie mam motywacji, żeby go upiększać, ponieważ wpływy ze sprzedaży nie są przeznaczone dla mnie.

Ale i tak nie da się go upiększyć, myślę, wyglądając przez okno. Chyba zaraz zatone w smutku. Żwirowy podjazd porósł chwastami, żywopłot z bukszpanu stracił kształt i na wszystkie strony sterczą młode, jasnozielone listki. Jabłonie zrzuciły owoce; te, których nie wyjadły jelenie, gniją i fermentują na ziemi.

W środku panuje atmosfera pustki, domu, w którym zabrakło miłości. Resztkę mebli pokrywa warstwa kurzu, chyba że akurat wyłonię się na chwilę ze stanu depresji, zauważę to i przesunę dłonią po blacie.

A pomyśleć, że jeszcze niedawno umarłabym ze wstydu na myśl, że pośredniczka musi się pojawić pół godziny wcześniej, uzbrojona w środek do czyszczenia tapicerki, wosk pszczeli, świece zapachowe, odświeżacz powietrza. Że musi polerować zakurzone meble i przesuwac je, żeby zakryć plamy.

Ani myślę się fatygować i robić to za nią. Nie mam siły się tym przejmować.

Coraz więcej mebli znajduje nowych właścicieli i w całym domu zostają po nich tylko ślady na wykładzinie, a na ścianach, gdzie wisiały kiedyś obrazy, widnieją puste prostokąty.

Trudno uwierzyć, że ten dom tętnił dawniej życiem rodzinnym, że wypełniały go śmiech i miłość. Chociaż nie jestem już pewna, czy tak kiedykolwiek było.

U podnóża schodów biorę głęboki oddech i zatrzymuję się na chwilę, nasłuchując odgłosów krzątania w salonie. Wzrok kieruję bezwiednie na ścianę naprzeciw schodów, gdzie wisiało wielkie zabytkowe lustro w złożonych ramach.

To w nim przeglądałam się zawsze przed wyjściem, sprawdzając, czy mam nienaganny makijaż i porządnie ułożone włosy; sprawdzając, czy sprostam roli.

To, że lustro sprzedano, nie ma teraz znaczenia. Nie muszę już zerkać na siebie z aprobatą w przyciemnianych sklepowych witrynach; jestem wręcz zła, gdy widzę w lustrze łazienkowym

swoje pięciocentymetrowe odrosty i zmarszczki na czole.

Lustro udało się sprzedać za cztery tysiące, z czego połowa, dzięki Bogu, trafiła do mnie w gotówce. To dzięki tym pustym miejscom po sprzętach nie odcięto nam jeszcze prądu i paliwa. Nadejdzie chwila, gdy to wszystko przejmie bank albo policja, albo wierzyciele, ale na razie muszę wykarmić rodzinę.

– A, tu pani jest! – Starsza kobieta o krótkich, siwych włosach, porządna i skrupulatna, wychodzi na korytarz, trzymając w ręce torebkę z krokodylej skóry.

– Właśnie tu wszystko urządzamy, ale mamy wrażenie, że zaszła jakaś pomyłka w wycenie.

Pochylam się nad metką.

– Tu jest napisane: piętnaście tysięcy dolarów – śmieje się kobieta.

– Nie, wszystko w porządku.

To nie jest miejscowa pośredniczka – tego bym nie zniosła. Znalazłam ją w Norwalk i poniekąd rozumiem jej pełen niedowierzania wzrok.

– Wiem, że to obłądna cena, ale ta torebka to obiekt pożądania wszystkich. Prawdopodobnie sprzeda się jako pierwsza.

– Mój Boże! – Kobieta kręci głową. – Nie miałam pojęcia, że ktoś mógłby wydać tyle na torebkę! Boże! Wygląda na to, że to będzie nasza najlepsza wyprzedaż. Jest pani *pewna*, że nie chce zostać? Podczas organizowanych przez nas wyprzedaży majątku właściciele są na ogół obecni. Z wielką przyjemnością patrzą, za ile sprzedają się ich stare rzeczy.

Patrzę na nią jak na wariatkę i tylko kręcę głową.

– Obawiam się, że mnie to nie dotyczy.

– Rozumiem. Rozstanie z przedmiotami, do których jest się przywiązaniem emocjonalnie, może być trudne.

Jej oczy łagodnieją i wypełniają się współczuciem, a ja kiwam głową. Związek emocjonalny nie jest tak istotny, bardziej przeraża mnie perspektywa oglądania sępów przebijających radośnie w moich ostatnich pięknych rzeczach.

Larze powiedziałam, że wyjeżdżam, jakbym co najmniej miała wyskoczyć na kilka dni na Nantucket. Ha. Marzenie ściętej głowy. Nie mam pojęcia, dokąd pojedę, ale trzeba mi wiejskich klimatów. Drzew. Pól. Przyrody. Może plaży albo jeziora. Jakiegoś miejsca, w którym nie będę musiała rozmyślać o tym, co się dzieje w tym budynku.

Budynku, który był kiedyś moim domem.

Kiedy rozmawiałam wczoraj z Larą, pytała, jak tam przygotowania do wyprzedaży. Co miałam powiedzieć? Że robi mi się od tego słabo?

– Założę się, że Kim wparuje pierwsza – powiedziałam gorzko.

– Pewnie tak – zaśmiała się Lara. – Chciałam tylko, żebyś wiedziała, że ja się nie wybieram, okej? Zdaję sobie sprawę z tego, że sprzedajesz te rzeczy, bo nie masz innego wyjścia, i to by nie było w porządku. Chcę, żebyś o tym wiedziała.

– Dobra z ciebie przyjaciółka – mówię. – Wzdrygam się na myśl o tym, że wszyscy będą grzebać w moich rzeczach. Wiedziałaś, że nie przyjdiesz, ale dziękuję, że mi to powiedziałaś. To dla mnie bardzo ważne.

Pośredniczka – jak jej tam było? A, tak! Eleanor – dalej przy mnie stoi.

– Czy będzie pani gdzieś w pobli...? O, matko! – Obraca się i marszczy brwi na dźwięk silnika. – A przekazywałam reporterom, że nie wejdą.

– Przyjadą reporterzy?

– Co do jednego – wzdycha Eleanor. – Nie jestem pewna, czy uda nam się ich wszystkich wykopać. Ale to nie oni. To ktoś miejscowy.

– Skąd pani wie? – Odsuwam się od okna, żeby nikt mnie nie dojrzał i nie sfotografował aparatem z teleobiektywem.

– Czarny range rover – mówi Eleanor, wyglądając na zewnątrz.

– O, tak. To na pewno ktoś miejscowy.

– Jakaś znajoma?

– To może być ktokolwiek.

– A *zaznaczyliśmy*, żeby nie przyjeżdżać wcześniej. Nie cierpię, kiedy lekceważą to, co napisane czarno na białym.

Ktokolwiek to jest, nie chcę, żeby mnie zobaczył, nie chcę spotkania oko w oko. Nie chcę, żeby stał się świadkiem mojej hańby.

Myślałam, że mam tu przyjaciółki – wierzyłam, że zasłużyłam sobie na lojalność i szacunek kobiet, które widywałam prawie codziennie, czy to w szkole, na zebraniu, czy podczas jednej z kwest. Te same kobiety pokazują się teraz w telewizji, wygłaszając opinie i uwagi na temat mojego małżeństwa, i opowiadając historie o Marku i o mnie. Kobiety bardziej zainteresowane swoimi pięcioma minutami sławy niż ochroną znajomej, która wiele razy gościła je w swoim domu.

Łapię torebkę i prawie pędem udaję się do bezpiecznego schronienia w kuchni, ale tuż przed zamknięciem drzwi słyszę znajomy głos w korytarzu.

– Bardzo przepraszam, że przyjechałam wcześniej, ale musiałam. Mam spotkanie w mieście, lecz chciałam też zajrzeć tu. Takiej okazji nie można przegapić.

Czuję, jak serce skacze mi do gardła. Znam skądś ten głos.

– Rzeczywiście, jest tu trochę pięknych rzeczy – czaruje teraz Eleanor. – Po tej stronie mamy torebki, a tam cudowną biżuterię. To naprawdę jedna z naszych najciekawszych wyprzedaży.

– Nie wątpię. Maggie Hathaway musi mieć wszystko z najwyższej półki. No cóż, czyjaś strata, mój zysk – śmieje się.

– Jestem Eleanor. – Pośredniczka ma dość przyzwoitości, żeby to przemilczeć. – Proszę pytać, jeśli będzie pani czegoś potrzebować.

– Dziękuję, Eleanor. Na początek biorę tę Birkin.

Zapada cisza i wyobrażam sobie, jak kobieta obraca torebkę w rękach.

– *Piętnaście tysięcy?* Wiem, że to z krokodyla, ale spójrz tylko na tę rysę. A tę? To o wiele za drogo.

– O! – mówi nerwowo Eleanor. – Rety. Nie zauważyłam ich. Ma pani rację.

– Dam pięć – oznajmia zdecydowanym głosem kobieta. – Pięć tysięcy dolarów. W gotówce.

– Będę musiała zapytać właścicielkę...

– Pięć tysięcy? Za używaną, porysowaną torebkę? Nikt tu więcej nie da, gwarantuję.

– To, co pani mówi, ma sens. – Wprawdzie Eleanor nie wydaje się do końca przekonana, ale pięć tysięcy za torebkę to według niej i tak nieprzyzwoita cena. – Rzeczywiście jest dość paskudnie porysowana.

– Świetnie. Chciałabym też zerknąć na naszyjniki. I kolczyki. Torebki są ciekawe, ale zdecydowanie za wysoko wycenione. Uwierz mi, wiem, ile te rzeczy kosztują w komisach. O wiele mniej. Mogę sobie odkładać tutaj rzeczy? Jestem Kim, nawiasem mówiąc.

– Miło mi cię poznać, Kim.

Głos Kim poznałabym wszędzie. To nie jest jej głos.

To głos Lary.

Opieram się pokusie i nie wypadam z kuchni, żeby jej pokazać, że wiem. Dość już sobie nagrabiłam. Muszę się stąd wydostać.

Biegnę do samochodu, wciskam pedał gazu i wyjeżdżam pędem, rozganiając wrzeszczących reporterów i ekipy telewizyjne. Już nikt nie powstrzyma ich przed wtargnięciem do domu, ale kogo to obchodzi. Mogą sobie gadać i robić, co chcą, bardziej mi nie zaszkodzą. Ludzie, których nie znam, nic mi już nie zrobią, ale mogą mnie jeszcze zranić tak zwani przyjaciele. Na to wygląda.

Jak porażona jadę stanową 95. Straciłam męża, swoje życie i szacunek wszystkich, których znam. Nawet ta garstka ludzi, których uważałam za przyjaciół, okazała się bardziej zainteresowana korzyściami. Doskonale zdaję sobie sprawę z tego, że w gazetach i na jednym z blogów nazwano mnie publicznie oszustką, a moje plebejskie korzenie budzą bez wątpienia powszechną wesołość przy drewnianych rustykalnych stołach w Le Pain Quotidien.

Straciłam wszystko, ale tym samym pozostaje mi tylko dociekać, co znaczy to „wszystko”.

Ci, którzy znali Marka, opisywali go jako „idealnego męża”. Może i pozostawałam ślepa na jego zdradę, jego drugie małżeństwo, ale tak poza tym, co z niego był za mąż? Stale poza domem, a gdy już przyjeżdżał, to wychodził przed dom, żeby odebrać „służbowy telefon”; zamykał się w swoim gabinecie na długie godziny, żeby „nikomu nie przeszkadzać”. I zdarzało się też, że przepadał bez wieści na kilka dni i stawał się całkiem nieosiągalny.

Rzadko uczestniczył ze mną w rozmaitych wydarzeniach, którymi wypełniałam sobie pustkę w życiu, i zaczyna do mnie docierać, że to nie było małżeństwo. To był *układ*.

Układ, który nie dawał mi szczęścia, układ tak nierzeczywisty, że zaczynam kwestionować nie tylko swoje małżeństwo, lecz także to, co z nim związane.

Meble, ubrania, *rzeczy* – prawie wszystko się rozeszło i niczego mi nie żal.

Przyjaciółki, które co do jednej zapadły się pod ziemię, przyjęcia, na które z pewnością nikt mnie już nie zaprosi, komitety, którym nie będę przewodzić, bo nikt więcej nie zwróci się do mnie z prośbą o to – czy to się w ogóle liczy? Czy to się *kiedykolwiek* liczyło?

Jadę i jadę, te myśli brzęczą mi w głowie, nie mam pojęcia, dokąd zmierzam, wiem tylko, że im bardziej oddalam się od New Salem, tym bardziej się uspokajam.

Zjeżdżam, gdzie mi się podoba, skręcam w różne drogi tylko dlatego, że mam na to ochotę. Dostrzegam zwisające nad drogą liście, jaskrawą zieleń trawy, gospodarstwa rozrzucone wokół, krowy pasące się spokojnie na łąkach.

Guilford. Old Saybrook. Lyme. Jadę w kierunku wskazanym przez tablicę z napisem Ashlawn Farm, ciekawa, co też tam znajdę. Odkrywam z radością palarnię kawy i kafejkę.



Sadowię się na starym drewnianym krześle na werandzie uroczego wiejskiego domu, sączę wyborną kawę, patrzę na pola i dopiero po chwili dociera do mnie, że na twarz wypłynął mi uśmiech.

Kilka innych osób dołącza do mnie na werandzie. Uśmiechamy się na przywitanie, wymieniamy grzeczności i dopiero gdy zostaję znów sama, zdaję sobie sprawę, że odnalazłam miejsce, w którym chciałabym rozpocząć kolejny etap mojej podróży. Gdyby to ode mnie zależało, moja noga już by nie postąpiła w New Salem, zwłaszcza że jako dojrzała czterdziestoczterolatka znalazłam się w punkcie, w którym muszę zaczynać od zera.

Jedno jest pewne: oto miejsce, w którym tego dokonam, oto miasteczko, które wreszcie napędza mnie spokojem.

## 42

### *Sylvie*

Sylvie siedzi na ławce nad wodą, popija wodę z butelki i strofuje się w duchu za to, że odczuwa takie napięcie. Na litość boską, przecież to Mark. Człowiek, z którym żyła i którego kochała przez te wszystkie lata.

Człowiek, który przez te wszystkie lata ją okłamywał.

Nie chciała rozmawiać z nim przez telefon ani – co sugerował jego adwokat – wpuszczać go do domu po tym, jak pożyczyła od Simona pieniądze na kaucję dla Marka. Sama nawet nie wie, dlaczego to zrobiła. Może dlatego, że Eve jest w tak marnej kondycji i Sylvie nie mogła znieść myśli córki o ojcu spędzającym czas w więzieniu.

Umówili się w Torrey Pines – rezerwacie przyrody. To miejsce, choć piękne, nie wywołuje w żadnym z nich romantycznych wspomnień i jest dostatecznie neutralne, by nie musieli napotykać nikogo znajomego.

Nie żeby napotykanie znajomych wprawiało ją w zakłopotanie. Nosi głowę wysoko i nie chce być postrzegana jako ofiara tej sytuacji. Nadal jest sobą: matką, przyjaciółką, artystyczną duszą.

Nie może nazwać się żoną. Już nie.

Kobiety ze szkoły zaczęły się mobilizować: zapraszają ją na wspólne wyjścia, wyrażają swój niepokój i oferują wsparcie w licznych listach i e-mailach. Sylvie rzadko przyjmuje te życzliwe zaproszenia, ale wie, że są szczerze.

Teraz najbardziej potrzebuje zajęcia. W ciągu dnia maluje domy, a nocami wyrabia świece. Robi, co może, żeby jakoś przetrwać. Przedłużająca się beczynność powoduje, że Sylvie zaczyna dumać o przeszłości i na okrągło odtwarzać w głowie film pod tytułem *Życie z Markiem*; przewija i powtarza sceny, jakby miało jej to pomóc odnaleźć odpowiedź na pytanie *daczego*.

Zanim go ujrzy, słyszy już jego głos i natychmiast czuje ścisk w żołądku. Obraca się, wstaje i szybko nadrabia miną wstrząs, którego doznaje na jego widok.

Mark, zawsze taki wytworny, przystojny, typowy chłopak z Kalifornii, wygląda strasznie. Wychudł, spodnie na nim wiszą, twarz zmizerniała, pod oczami pokazały się głębokie cienie. O ile wcześniej był zawsze nienagannie ubrany, teraz ma na sobie znoszoną, poplamioną koszulkę polo.

Gdyby ktoś go nie znał, mógłby go wziąć za kloszarda.

Staje przed nią i chłonie ją wzrokiem.

– Cudownie wyglądasz.

Łzy w jego oczach wydają się szczere.

– Ty za to okropnie – nie może się powstrzymać Sylvie. Oboje się uśmiechają i przez chwilę Sylvie zapomina, co zrobił, widzi tylko człowieka, którego kochała, i w tym uśmiechu pojawia się cień szansy, ale kobieta potrząsa gwałtownie głową, żeby pozbyć się tej myśli.

– Och, Sylvie. – Mark sięga po jej dłoń, ale ona cofa się o krok i dostrzega w jego oczach przerażenie. – Przepraszam – dodaje i sam też się cofa, niezdolny spojrzeć jej w oczy. – Nie chciałem cię stawiać w krępującej sytuacji.

– Już dobrze – mówi ona. – Może... się przejdziemy?

Ścieżka jest wąska, piaszczysty szlak biegnie wzdłuż urwiska nad wodą. Idą w milczeniu, a Sylvie bardzo się pilnuje, żeby nie dotknąć Marka, schodzi nawet ze ścieżki na trawę, żeby podczas marszu przypadkiem nie otarli się o siebie rękami.

– Chciałbym wyjaśnić, jeśli mogę – odzywa się w końcu Mark.

– Och, nie sądzę, żebyś potrafił – odpowiada Sylvie, żeby go od tego odwieść. – Nie skontaktowałam się z tobą po to, żeby słuchać wyjaśnień, ale dlatego, że Eve jest bardzo chora i pomyślałam, że powinieneś o tym wiedzieć.

Idzie dalej i obraca się dopiero wtedy, gdy Mark łapie ją za rękę i zatrzymuje w miejscu, żeby na niego spojrzeć. W oczach ma ból.

– *Eve*? Co się dzieje? O co chodzi?

Doktor Lawson miał bez wątpienia rację. Mark, bez względu na to, co zrobił, pozostaje ojcem Eve i ją kocha. Ma to wypisane na twarzy. Kocha ją szczerze i Sylvie nie ma już cienia wątpliwości, co powinna zrobić.

Nie dla siebie, ale dla swojej córki. Żeby pomóc Eve wrócić do życia.

Wyjaśnia wszystko i zmusza się do trzymania rąk przy sobie, bo Mark płacze, wiedząc, że miał w tym udział.

Gdy już się uspokaja, Sylvie pyta cicho gdzie się zatrzymał, chociaż zna prawdopodobną odpowiedź.

– W schronisku dla bezdomnych – mamrocze. – Mogło być lepiej. Ale kilka nocy spędziłem na ulicy, więc teraz mam jak w Four Seasons.

Próbuje się śmiać, ale jakże Sylvie mogłaby mu zawtórować na wieść, że tak nisko upadł?

– Możesz zamieszkać w pokoju gościnnym. – Obraca się do niego i widzi zdumienie

w jego oczach. – Nie... – Odsuwa się od jego wyciągniętych rąk. – To tylko uprzejmość z mojej strony. Właściwie nie jestem pewna, po co to robię, ale Eve potrzebuje twojej obecności.

Cóż ja najlepszego zrobiłam?

Przez całą drogę do domu kłębią się w niej sprzeczne uczucia. Uraza, miłość, ból, zawód, litość. Gdyby miała wybór, wolałaby już nigdy nie oglądać Marka. Doświadczyła w życiu tak wiele bólu, że nauczyła się radzić sobie ze skrajnym cierpieniem, odsuwając się od niego, idąc naprzód.

Tym razem nie pozwoli jej na to miłość do córki.

Tu już nie chodzi o nią. Chodzi o Eve. Nie powiedziała nawet o tym doktorowi Lawsonowi, poczeka na dogodny moment, ale jest przekonana, że to konieczne.

Mark przyjeżdża tego samego wieczoru, skruszony, z całym dobytkiem w jednej spłowiałej torbie.

– Wiem, że nie możesz mi wybaczyć – mówi tuż po przestąpieniu progu; najwyraźniej wcześniej porządnie to przećwiczył. – Ale, Sylvie, nigdy nie chciałem nikogo skrzywdzić. Zakochałem się w...

– Dość! – przerywa ostro Sylvie. – Nie chcę tego słuchać. Możesz się zatrzymać w pokoju gościnnym, ale nie interesuje mnie bycie twoją przyjaciółką, a co dopiero kimś więcej. Nie ciekawią mnie twoje tłumaczenia. Będę o niebo szczęśliwsza, jeśli będziesz spędzał czas poza domem, gdy ja w nim będę. Nie chcę, żebyś rozmawiał o tym z kimkolwiek poza swoim adwokatem. Muszę skonsultować się z lekarzami Eve, czy możesz już ją odwiedzić.

Mark, który odetchnął z ulgą, że nie musi wracać do schroniska, w którym zamieszkał w oczekiwaniu na rozprawę, przymyka na moment powieki i kiwa głową, a po jego pewności siebie, czy wręcz arogancji, nie został nawet najmniejszy ślad.

# 43

## Sylvie

Angie miota się po pokoju i rzuca jej piorunujące spojrzenia.

– Pojebało cię czy co?

– Nie. Tak. Sama nie wiem – marszczy brwi Sylvie. – To dla mnie mordęga, Angie. Nie mogę znieść jego obecności pod tym samym dachem, ale w pewnym sensie mam poczucie, że powinien mieszkać w domu, tam, gdzie jego miejsce.

– Ma skurwiel szczęście, że w ogóle *ma* jeszcze dom! – burczy gniewnie Angie. – Gdybyśmy nie pożyczyci ci pieniędzy, dom dawno zostałby zajęty. Boże, Sylvie. Wiedziałam, że jesteś aniołem, ale to już szczyt szczytów.

Nachyla się i naraz obniża głos.

– Ani mi się waż go z powrotem przyjmować. Ani mi się waż pozwalać mu się oczarować i znowu wkupić w twoje łaski.

Sylvie śmieje się z goryczą.

– Wiem, że to zabrzmie dziwacznie, ale na pewno do tego nie dojdzie. Nie robię tego dla siebie. Robię to dla Eve. To jej tata, a ona teraz potrzebuje nas obojga.

Angie namyśla się przez chwilę.

– Tak ci powiedział terapeuta?

Sylvie kiwa głową.

– A co z lekarzami Eve?

– Jeszcze o tym nie wspominałam. Zrobię to przy najbliższej okazji.

– Ale dlaczego w twoim domu? – dopytuje Angie. – Tego nie potrafię pojąć. Dopuścił się karygodnej zdrady, a w następstwie zamieszkał w twoim pięknym domu i jeszcze do tego na pewno go obsługujesz.

– Przede wszystkim nie obsługuję. Powiedziałam mu, żeby schodził z drogi, gdy jestem w pobliżu.

– I respektuje to? – Angie krzywi się z powątpiewaniem. – Żadnych kolacyjek we dwoje na tarasie?

Sylvie przypomina sobie kilka ostatnich dni, które spędzili we dwoje w domu, omijając się nawzajem szerokim łukiem, pełni niepokoju, że przypadkiem na siebie wpadną. Gdy tego ranka przechodziła obok pokoju gościnnego, drzwi nagle się otworzyły i stanął w nich Mark, który owinięty w ręcznik wybierał się do łazienki. Zatrzymała się, spojrzała na niego i nie mogła już oderwać oczu od jego chudej, bladej sylwetki, od cienia człowieka, którym był niegdyś.

– Koszmarnie wyglądam – odezwał się łagodnie. – Wiem. Sądzę, że w więzieniu mają wspaniałą siłownię – próbował zażartować. – Podobno nie ma tam nic innego do roboty.

Pierwszy raz wspomniał wtedy o więzieniu i Sylvie, która tak usilnie starała się zetrzeć pozostałości uczucia, które nadal żywiła do męża, odruchowo chciała go pocieszyć, powiedzieć, że wszystko jakoś się ułoży.

Ale to już nie jej działka. A nawet gdyby było inaczej, jakże mogłaby mu powiedzieć, że wszystko się ułoży, skoro to bardzo mało prawdopodobne?

– Nie! – odpowiada ostro. – Gotuję posiłek, odkładam mu trochę na talerz i zostawiam pod drzwiami jego pokoju. Powiedziałam mu, że nie interesują mnie kontakty towarzyskie.

Angie powoli kręci głową.

– Sama nie wiem, Sylvie. To dla mnie jakiś kosmos. Po co od razu wpuszczać go do domu? Może przecież chodzić codziennie na terapię i mieszkać gdzie indziej.

– Chcesz usłyszeć prawdę? – wybucha Sylvie. – Szkoda mi go. Wygląda jak półtora nieszczęścia. Jest taki chudy i wymizerowany. Na litość boską, mieszkał na ulicy.

– I dobrze – warczy Angie. – Ma za swoje.

– Angie – Sylvie nie ustępuje. – Czeka go dziesięć lat więzienia. Jest skończony. Niedobrze mi się robi na jego widok, ale to pewnie nic w porównaniu z tym, co on czuje. Nie wiem, dlaczego zrobił to, co zrobił. Nie mam czasu się nad tym zastanawiać, bo ciągle latam od Eve do matki, od jednego cholernego szpitala do drugiego.

Głos jej się łamie i zmienia w szloch.

– A gdy wracam do domu, nikt tam na mnie nie czeka. I chociaż nigdy mu nie wybaczę, świadomość, że ktoś jeszcze jest w domu, daje mi pewną pociechę. To naprawdę pocieszające, że nie jestem tam całkiem sama.

– Przepraszam. – Angie czuje się okropnie. – Nawet nie potrafię sobie wyobrazić, przez co przechodzisz, i nie mogę cię oceniać. Nie o to mi chodziło. Przyrzeknij mi tylko, że nie dasz się wziąć na piękne słówka i nie wylądujecie razem w łóżku?

– Przyrzekam na wszystkie świętości – kiwa poważnie głową Sylvie, a Angie podchodzi i bierze ją w objęcia.

To pierwszy dzień Eve poza kliniką. Jednodniowa przepustka, która ma na celu stopniowe przystosowanie jej do leczenia pozaszpitalnego, czyli kontynuowania terapii i programu dwunastu kroków, i rozpoczynania każdego spędzonego w domu dnia od rozmowy telefonicznej z opiekunem.

– Super, mam – mamrocze Eve, zapadając się w siedzenie i zapinając pas. – Pierwszy dzień poza więzieniem, a ty zabierasz mnie do następnego szpitala.

Sylvie już ma się bronić, gdy patrzy na córkę i widzi, że dziewczyna się uśmiecha.

– Żartuję, mam. Wiem, że trzeba odwiedzić *Grand-mère*. Jak ona się czuje?

Sylvie wzdycha głęboko.

– Niezbyt dobrze. Obrzęk mózgu nie ustąpił od czasu udaru i nie odzyskała przytomności.

– Umrze? – Na twarzy Eve maluje się raczej ciekawość niż lęk.

– Tak. To znaczy... – Rzuca jej krótkie spojrzenie. – *Wszyscy umrzemy, ale jeśli chodzi o Grand-mère, to zapewne nastąpi to szybciej.*

Eve wygląda w milczeniu przez okno. Gdy się obraca, Sylvie ze zdumieniem dostrzega w jej oczach łzy.

– Evie, skarbie? Tak mi przykro. Nie chciałam ci zadawać jeszcze więcej bólu, ale musisz się z nią spotkać. Musisz się pożegnać, tak na wszelki wypadek.

– Ja jej nawet nie lubię. – Eve zalewa się łzami. – Jest paskudna. Nie mam pojęcia, dlaczego płaczę.

Sylvie wie. Wyciąga rękę i ujmuje dłoń córki.

– Strata to trudna rzecz – mówi cicho. – Zwłaszcza gdy jest się młodym. Już tak dużo przeszłaś. Żałuję, że to się dzieje akurat teraz, ale musimy założyć, że wyciągniemy z tego jakąś naukę. Musi tak być, inaczej to by nie miało sensu. Choć myślę, że tu chodzi o coś więcej. Wydaje mi się, że w twoim przypadku ta strata przypomina ci stratę ojca.

Teraz Eve już otwarcie szlocha.

– Nawet nie pamiętam swojego ojca – odpowiada. – Jak to możliwe?

– Może wydaje ci się, że nie pamiętasz, ale to w tobie siedzi, a teraz po raz pierwszy od jego odejścia znów dotykasz śmierci. Coś takiego musi obudzić podświadomość. Jutro porozmawiamy o tym z Sonią, dobrze? Czy chcesz do niej zadzwonić po powrocie do domu?

– Poczekam do jutra – mówi Eve, a Sylvie notuje sobie w głowie, że musi zadzwonić do terapeutki, gdy tylko zostanie sama.

Sylvie, od zawsze nastrojona na wyczuwanie emocji, wie, że coś jest nie tak, gdy tylko wchodzi do domu. Mark nie siedzi w swoim pokoju, ale przy barku w kuchni, i sączy coś, co wygląda na dużą szkocką.

– Co jest? – pyta od razu Sylvie. – Co się stało?

– Przepraszam – zaczyna Mark. – To moja wina. Bez namysłu odebrałem telefon.

– I...?

– To była Maggie – wzdycha Mark. – Wściekła się. Próbowałem wyjaśnić, że tylko tu mieszkam, że nic nas nie łączy, ale nie chciała w to uwierzyć. Wkroczyła na wojenną ścieżkę.

– *Wojenną ścieżkę?* A co to znaczy? Ta *wojenna ścieżka*?

– Powiedziała, że sprzeda swoją historię mediom i że jeszcze oboje pożałujemy.

– Co? – Sylvie stoi osłupiała. – Jaką historię, do cholery? Media wiedzą już wszystko, czego można się było dowiedzieć. Prawda, Mark? Czy jest jeszcze coś, o czym mi nie powiedziałeś? O czym jeszcze powinnam wiedzieć, do diabła?

– O niczym. Ona uważa, że jesteśmy razem. Sądzi, że ukrywamy pieniądze i że to zaplanowaliśmy...

Przerywa mu ostry dźwięk telefonu.

– Nie odbieraj – jęczy Mark. – To pewnie ona.

Sylvie nie zwraca na niego uwagi i chwytą słuchawkę.

– Pani Haydn?

– Tak?

– Mówi doktor Rothenberg ze Scripps Memorial Hospital. Jest mi bardzo, bardzo przykro, ale mam dla pani złe wieści. Pani matka miała następny udar.

– Co? Myślałam, że jest w stabilnym stanie.

– Wprawdzie obrzęk mózgu ustąpił, ale bardzo często się zdarza, że po kilku tygodniach dochodzi do następnego udaru, i tak się właśnie stało.

– Co z...? Czy ona...? – Sylvie, czując dziwną pustkę w głowie, nie może wypowiedzieć tego słowa.

– Obawiam się, że pani matka odeszła. Zrobiliśmy wszystko, co mogliśmy. Proszę



przyjąć wyrazy współczucia – mówi zakłopotany. – Można się jedynie pocieszać, że już spoczywa w pokoju.

Akurat, myśli Sylvie, pewnie przepycha się u bram raju, żeby ją wpuścili bez kolejki. Ale dziękuje tylko za wiadomość, odkłada słuchawkę i wpatrując się nieruchomo w płytki za kuchenką, zastanawia się, co właściwie czuje.

Teraz to Mark pyta, co się stało. Myśli o Maggie zeszyły na drugi plan.

Sylvie obraca się do niego.

– Moja matka umarła – mówi beznamiętnie.

– Och, Sylvie. – Mark wyciąga do niej rękę i nakłada na twarz maskę współczucia, lecz Sylvie kręci głową, odsuwa się od niego i wyjaśnia, że musi teraz pobyć sama.

Wychodzi na podwórko, wdycha zapach lawendy, idzie w stronę kwietnika i starej omszałej ławki, siada z podkulonymi nogami, obejmuje rękami kolana, kładzie głowę na dłoniach i wpatruje się w aksamitne niebo.

I wtedy to do niej dociera.

To nie jest uczucie żalu.

To ulga.

# 44

## *Sylvie*

Sylvie czuje na sobie świdrujące spojrzenie Maggie, ale nie odwraca się i zdaje się nie zauważać jej obecności; czuje tylko smutek, że Maggie z powodu fałszywych założeń dała się pożreć nienawiści właśnie wtedy, gdy już prawie zdążyły się zaprzyjaźnić.

W sali sądowej panuje martwa cisza, słychać tylko skrobanie pasteli, którymi portrecistka doskonale odwzorowuje ponurą determinację widoczną na twarzy Sylvie i bliską histerii rozpacz Maggie.

Przynajmniej dziś, w sądzie, wypłynie cała prawda. Może Maggie nie uwierzyła Sylvie, może wmówiła sobie, że Sylvie i Mark razem uknuli ten plan, lecz dziś dowie się, że jest w błędzie.

Sylvie spogląda na Marka, a ten uśmiecha się do niej lekko, co – gdyby ktoś zwrócił uwagę – mogłoby uchodzić za uśmiech krzepiący. Za to z punktu widzenia Maggie mogłoby to być potwierdzenie zmowy i miłosne wyznanie.

Maggie, która zauważa uśmiech, bo nie potrafi oderwać oczu od tej dwójki w desperackim poszukiwaniu dowodów na prawdziwość swojej tezy, czuje teraz, jak zalewa ją fala niepohamowanej wściekłości. Nie wie przecież, że uśmiech Marka jest uśmiechem wstydu. Uśmiechem przepraszającym. Przyznaniem, że spieprzył w swoim życiu wszystko, co było mu drogie.

Wydawało mu się, że gdy sprowadzi się do domu, zdoła uchylić drzwi i na nowo odnaleźć drogę do serca Sylvie, ale się mylił. Czegokolwiek próbował, trafiał na mur, aż Sylvie w końcu musiała go poprosić, żeby się wyprowadził, bo dla obojga ten układ stał się nieznośnie upokarzający.

Sylvie patrzy spokojnie na prokuratora, potwierdza swoje imię i nazwisko, adres i inne szczegóły, w tym – na końcu – swój stan cywilny: mężatka. Następnie prokurator pyta, czy rozpoznaje swojego męża w sali sądowej.

– Rozpoznaję.

– A czy może nam go pani wskazać?

Sylvie unosi rękę i wyraźnie wskazuje Marka, zauważając, że Maggie, sądząc po jej minie, najwyraźniej płynnie przeszła od furii do rozpacz.

Maggie, która zeznawała dzień wcześniej, siedzi bez ruchu; to ona uosabia tu pokrzywdzoną żonę. Sylvie, którą media okrzyknęły Drugą Żoną, zerka na nią od czasu do czasu i widzi, jak przygryza wargi, ociera łzy, wszelkimi dostępnymi środkami walczy o współczucie.

Proces przebiega zaskakująco monotennie. Atmosfera jest znacznie mniej dramatyczna niż pokazują to w telewizji; poza szlochami, pociąganiem nosem i donośnym smarkaniem Maggie, mniej tu cierpienia i teatralności.

– A jak dowiedziała się pani o istnieniu pani Hathaway?

– Dowiedziałam się, kiedy ku mojemu zażenowaniu w drzwiach domu pojawili się przedstawiciele firmy windykacyjnej.

– A jak dowiedziała się pani córka?

– Moja córka dowiedziała się, kiedy poznała córkę Marka i zaprzyjaźniła się z nią. Eve wybrała się do ich rodzinnego domu w Connecticut.

Spogląda na Eve siedzącą obok Angie, która trzyma ją za rękę i ledwie dostrzegalnie kiwa Sylvie głową.

Sylvie przenosi wzrok z powrotem na prokuratora.

– Przepraszam – mówi. – Czy mogę prosić o powtórzenie pytania?

– W jakich okolicznościach córka powiadomiła panią, że wie o drugiej żonie?

– Powiedziała mi po tym, jak odebrałam ją po podróży do Nowego Jorku. I Connecticut.

To usłyszawszy, Mark obraca się w stronę Eve, a ta patrzy na niego. Po prostu patrzy. Jej spojrzenie nie osądza, nie ma w nim bólu. Patrzy na niego jak na obcego i nie spuszcza z niego wzroku, aż Mark w końcu kapituluje i obraca głowę, a Sylvie czuje, jak ogarnia ją niepokój.

Eve nie może dłużej tłumić uczuć, nie może posłużyć się jedzeniem ani czymkolwiek innym, żeby znieczulić się na swoje lęki. Spoglądając na Eve w sali sądowej, Sylvie wie, że popełniła błąd.

Do licha. Dlaczego nie zaufała intuicji i pozwoliła Eve tu przyjść? I jakie będą tego konsekwencje?

– Nie mogę uwierzyć, że ten sukinsyn obrócił się i spojrzał na Eve – syczy Angie, gdy idą korytarzem podczas przerwy na lunch. Eve idzie za nimi i przyklejona do iPhone'a pisze SMS-a, a Angie prowadzi przyjaciółkę przez tłum.

– Tędy. – Skręca w wąski korytarz. – Przed wejściem roi się od reporterów, więc kupiłam nam kanapki na miejscu. Wspaniale sobie poradziłaś! Ale byłam z ciebie dumna.

Obniża głos do szeptu.

– Ale kiedy ten sukinsyn się obejrzał i spojrzał na Eve, to myślałam, że go zabiję. *Widziałaś?* O co, do cholery, chodziło?

– Widziałam – mówi Sylvie. – Nie wiem. Jeśli chodzi o niego, to niczego nie jestem pewna. Patrzyłam dziś na niego i miałam poczucie, że to ktoś obcy.

– Ja czułam to samo. Zawsze uwielbiałam Marka, ale kiedy teraz na niego patrzę, nie czuję nic poza nienawiścią. – Angie kręci głową.

Zatrzymują się przed damską toaletą.

– Muszę się wysikać. Cholerne przekwitanie. Mój pęcherz przybrał ostatnio rozmiary groszku. Idziesz też?

Wchodzą do środka i w jednej z kabin słyszą plusk spuszczonej wody. Gdy otwierają się drzwi kabiny, staje w nich Maggie, zajęta poprawianiem bluzki. W końcu wychodzi i widząc, kto właśnie wszedł do toalety, staje jak wryta.

– No, pięknie – wzdycha Angie. – Jakoś wytrzymam. Chodź – mówi i zaczyna wyciągać Sylvie na korytarz.

– Nie, w porządku. – Sylvie wyciąga rękę, żeby powstrzymać przyjaciółkę, po czym obraca się do Maggie, która stoi przy umywalce i właśnie bierze głęboki oddech.

– Maggie, przepraszam. Przepraszam w imieniu wszystkich zamieszanych w sprawę osób. Wiem, że mnie obwiniasz, ale mam nadzieję, że uwierzysz w to, co usłyszałaś dzisiaj na sali sądowej. Nie miałam o niczym pojęcia. Gdybym o tobie wiedziała, nigdy bym w to nie weszła. A po wszystkim wcale nie przyjechałam go z powrotem. Zrobiło mi się go żal i zaproponowałam mu dach nad głową. I tyle.

– Nieważne – mówi gorzko Maggie. – To wszystko nieważne. Mam zrujnowane życie i czy wiedziałaś o mnie, czy nie, to gdyby cię nie poznał, do niczego by nie doszło. Jak mogłabym cię nie obwiniać? Może i nie chcesz tego przyznać, ale to wszystko twoja wina, czy ci się to podoba, czy nie.

Angie występuje naprzód.

– Pojechało cię? Myślisz, że Mark to zrobił, bo Sylvie ma nad nim jakąś władzę? Nie rozumiesz, że facet, który był twoim mężem, to kłamca, krętacz i złodziej? I do tego oszust jakich mało. Nie oglądasz wiadomości? Kobieto, tu nie chodzi tylko o bigamię. To kradzież i oszustwo na dużą skalę. Jeśli nie ona, to znalazłby sobie kogoś innego, bo kłamstwo to jego chleb powszedni. Obwinianie mojej przyjaciółki jest nienormalne. Obwinianie kogokolwiek poza nią jest nienormalne.

– A ty co za jedna? – Maggie z całą wyniosłością mieszkanki New Salem spogląda na Angie z góry, choć jest od niej sporo niższa.

– Jestem jej siostrą – kłamie bez zająknięcia Angie. – A tobie, siostrzo, dobrze radzę: zapomnij o oskarżeniach i zacznij znów żyć.

– Nie jestem twoją siostrą – uśmiecha się szyderczo Maggie. – Zacząć znów żyć? Jak mam zacząć znów żyć, skoro mam troje dzieci, dom, z którego mnie za trzy tygodnie eksmitują i zero cholernej kasy?

Podnosi głos, jej wielkopański akcent zanika i daje o sobie znać akcent z Queens.

– Jak mam wrócić do życia, skoro porzucili mnie przyjaciele i nie mogę nawet przejść ulicą, bo wszyscy wokół szepczą i chichoczą. Jak mam dalej żyć, skoro nie mam nic? *Nic!*

– Spróbuj zrobić to, co robi większość z nas. – Angie kiwa z potępieniem głową, nie zwracając uwagi na Sylvie, która kładzie jej dłoń na ramieniu, żeby ją powstrzymać. – Spróbuj zarobić na życie. Przestań się nad sobą użalać i weź się, kurwa, do roboty. Przestań obwiniać wszystkich wokół i zacznij się zastanawiać, jak przeżyć.

– Co ty tam wiesz! – łka Maggie. – Nie masz pojęcia, co to znaczy być na moim miejscu...

– Racja – mówi Angie, a Sylvie wyciąga ją w końcu na korytarz. – *I dzięki Bogu.*

– Wszystkiego dobrego. – Sylvie obraca się do Maggie na odchodnym. – Zastanów się może, czy nie zacząć od nowa gdzie indziej. Gdzieś, gdzie nikt cię nie zna. Zbudować sobie życie na nowo...

– I idź na cholerną terapię! – krzyczy przez ramię Angie. – Sylvie, myślisz, że w automacie mają wodę?

# 45

## *Sylvie*

– Jaki jest werdykt ławy przysięgłych?

Sędzia zadaje pytanie trzykrotnie.

– Winny.

– Winny.

– Winny.

Sylvie czeka samotnie w celi. Siedzi wyprostowana na niewygodnym metalowym krześle dosuniętym jak najbliżej stołu. Poza drugim krzesłem w pomieszczeniu nie ma innych mebli.

Drży na myśl o spotkaniu z Markiem. Złość ustąpiła i Sylvie czuje teraz przede wszystkim odrazę. Mark może sobie mówić, co chce, a ona nie zmieni zdania, ale jego obrońca wiedział, jak zagrać jej na emocjach: jakżeby mogła odmówić ostatniego spotkania człowiekowi skazanemu na dziesięć lat więzienia?

Drzwi się otwierają i strażnicy wprowadzają Marka. Wyciąga ręce, żeby odpięli mu kajdanki, po czym zasiada przy stole. Towarzyszy mu siedzący w rogu adwokat.

– Dziękuję, że przyszedłeś – mówi. – Co u ciebie?

– Wszystko gra. – Sylvie, skrępowana, nie wie, jak się z nim obchodzić.

Mark przymyka na chwilę oczy.

– Spróbuję się wytłumaczyć.

– Mark, doprawdy. Współczuję ci tego wszystkiego, ale nie obchodzi mnie...

– Ale mnie obchodzi – wtrąca. – W tym cała rzecz. Myśl, co chcesz, ale ja i tak cię kocham i chciałem, żebyś o tym wiedziała.

– Po co? – śmieje się gorzko Sylvie. – Żeby na ciebie poczekała?

– Nie. Bo koniecznie chciałem, żebyś wiedziała, że nie udawałem.

Sylvie patrzy na niego oszołomiona.

– Czyś ty z byka spadł? Jak to: nie udawałeś, skoro miałeś inną żonę i dzieci? Skoro to wszystko okazało się kłamstwem? Chyba powinieneś się leczyć, Mark.

– Nigdy nie chciałem nikogo skrzywdzić. Jeśli mam być całkiem szczery, to nigdy nie kochałem Maggie. Ożeniłem się z nią, bo wydawało mi się wtedy, że tak trzeba, i chcieli tego moi rodzice, a ja nie wiedziałem, jak odmówić. Jak już zrozumiałem, że popełniłem błąd, nie miałem pojęcia, jak się wyplątać, no i nie mogłem zostawić dzieci. *Nie zostawiłbym* dzieci. Nie spodziewałem się, że jeszcze kogoś poznam, nie spodziewałem się, że jeszcze w kimś zakocham się po uszy tak, jak w tobie.

Sylvie wpatruje się w niego, ani trochę nieudobruchana.

– Na litość boską, więc wtedy postanowiłeś mieć ze mną romans, a potem się ze mną ożenić! Po co ten ślub? Po co to wszystko?

– Bo byłem przerażony, że cię stracę. Kochałem cię, Kocham – poprawia się. – I Kocham Eve. Okropnie się o nią boję, przeraża mnie jej wygląd, to, że jest taka chuda. Sylvie, widać jej wszystkie kości, i do tego ta jej obojętność. Tak jakby...

– Proszę, przestań – mówi Sylvie. – Jestem w stałym kontakcie z jej lekarzami. Proszę, nie wypowiadaj się na temat Eve, skoro nie masz pojęcia.

– Przepraszam. Tylko że... ja sobie nie wyobrażałem życia bez ciebie, bez was obu, a wiedziałem, że nie mogę powiedzieć prawdy. Znalazłem tylko jeden sposób na to, by was przy sobie zatrzymać: przyjęcie zobowiązania.

– Popęnienie bigamii.

– Nigdy tak o tym nie myślałem – upiera się Mark i w oczach zbierają mu się łzy. – Jesteś taka różna od Maggie. Z tobą życie było zawsze takie proste. Z nikim innym tak bardzo nie czułem, że żyję.

– I dlatego zabrałeś jednemu, żeby dać drugiemu? – pyta chłodno Sylvie.

Mark kręci głową.

– Tego nie było w planie. Sądziłem, że mogę tak zrobić raz, żeby wygrzebać się z długów, a przy kolejnym zamówieniu wszystko naprostować. Nigdy nie sądziłem, nigdy nie chciałem...

– Przestań – przerywa łagodnie Sylvie. – Już dość.

Mark patrzy na nią i wyciąga rękę, ale właśnie wtedy otwierają się drzwi i strażnik daje znak, że to już koniec.

– Kocham cię – mówi Mark, błagając ją wzrokiem, by ujęła jego dłoń. – Przepraszam. Uwierz mi, proszę.

Sylvie spogląda na jego dłoń i muska ją ledwie dostrzegalnie, a potem wstaje.

– Wiem – odpowiada. – I wierzę.



# CZEŚĆ CZWARTA

CZERWIEC 2012

## 46

# Maggie

Podobno jakaś sztuczka umożliwia otwarcie drzwi pasażera w wielkim, starym jeepie wagoneerze, którego kupiłam wkrótce po tym, jak się tu wprowadziliśmy, ale jakoś jej nie opanowałam. W ogłoszeniu o sprzedaży napisano, że kolor wozu to „cynamonowy metalik”, lecz w rzeczywistości samochód jest po prostu pomarańczowy, a fantazyjna nazwa bynajmniej nie przydaje mu wartości. Zacinające się drzwi też nie.

Od środka otwierają się bez najmniejszego trudu, ale nie od zewnątrz – chyba że się je podniesie, przesunie nieznacznie w lewo i szybko pociągnie, jak wyjaśnił poprzedni właściciel. Czy coś takiego. Nie pamiętam dokładnie, te pierwsze dni zamazują mi się w głowie. W piękne dni, takie jak dzisiejszy, chętnie zostawiam otwarte okno i przez nie wrzucam torebkę na siedzenie pasażera.

Torebka wygląda dość absurdalnie, choć jestem prawdopodobnie jedyną osobą w promieniu wielu kilometrów, która wie, że ta wielka brązowa torba, nieodłącznie wisząca mi na ramieniu, teraz już podniszczona i znoszona, to Hermès, jeden z nielicznych relikwów mojego dawnego życia. To torebka, którą usiłowałam sprzedać razem z pozostałymi rzeczami, ale miesiącami leżała w komisie, aż w końcu zadzwonili, żebym ją odebrała.

Większość naszych rzeczy sprzedałam, zanim przyszli po nie wierzyciele. Kiedy przyjechali zrobić spis przedmiotów i w efekcie przejąć wszystko, co wartościowe, żeby odzyskać część pieniędzy, które był im winny Mark, nie mieli, dzięki Bogu, świadomości, że nasze antyki i ubrania rozrzucone są po rozmaitych domach i komisach w okręgu Fairfield.

Przerażała mnie myśl, że będą się domagać ode mnie wpływów ze sprzedaży, więc kiedy się tu przeprowadzaliśmy, po prostu wtoczyłam dzieci do wynajętego samochodu i bez pożegnania wyjechałam z miasta. Jednego dnia tam mieszkałam, drugiego zniknęłam. A kto by tam za mną tęsknił?

Tutaj, w Old Saybrook, życie jest zupełnie inne. Prostsze. Żyje się po wiejsku. Tutaj najbardziej ceni się ciepło, uczciwość i więzi międzyludzkie. Nikt nie poświęca wszystkiego na ołtarzu bogactwa i sławy.

Wagoneer stał na trawniku przed domem z przyczepioną kartką, na której napisano flamastrem „na sprzedaż”. Był jaskrawopomarańczowy i wykończony drewnianymi listwami i ilekroć go mijałam, ogarniała mnie nieokreślona tęsknota. Wóz przywoził mi na myśl serial *The Brady Bunch* i Davida Cassidy’ego, i dzieciństwo, i przeświadczenie, że moja przyszłość może być szczęśliwa, radosna i wypełniona idealnymi ludźmi, którzy wszystkie bolesne sytuacje zbywają śmiechem i zawsze mogą liczyć na pomoc wiecznie uśmiechniętej Alice.

– Zapytać nie zaszkodzi – powiedziałam pewnego dnia, ruszając po prostu w stronę drzwi wejściowych, na co Grace wydała z siebie jęk. Pomysł kupna tego samochodu ją przerażał, przerażało ją całe to nowe życie, tak dalekie od wszystkiego, co znała, i zdrada, z którą musiała

sobie radzić w każdej minucie każdego dnia.

Godzinę później – właściciel auta, starszy pan, gadał jak najęty – Chris ruszył podjazdem, a Buck i Landon, który przez kilka pierwszych miesięcy pozostawał u boku Grace, zapiali z radości i zaczęli wiwatować. Nawet córka zmusiła się do uśmiechu.

– No i gites! – Chris przybił Landonowi piątkę, wymieniłam z właścicielem uścisk rąk i chłopcy zaczęli się kłócić, kto mnie zawiezie do domu, twierdząc, że to najbardziej wypasiona bryka na świecie i że jeśli chodzi o pojazdy retro, to przebiją teraz wszystkich kumpli lanserów.

– To kwestia koloru – orzekł stanowczo Chris. – *Pomarańczowy!* Ja cię, co za kolor! To dlatego jest taki zajebisty!

– Żaden pomarańczowy – upierałam się i upieram do dziś. – To cynamonowy metalik.

Wieczorem Chris dalej się ekscytował, co było zabawne do mniej więcej siódmej, a potem stało się dość męczące.

– Chris – westchnęłam, bo myśl o prowadzeniu wielkiego, pomarańczowego, nieznośnie starego wozu, jaskrawo i dosyć dołująco uwydatniła realia mojego życia. – Możesz przestać nawijać jak hipster i zacząć mówić jak człowiek?

– Przepraszam – bąknął Chris i prawda o realiach jego życia w końcu do niego dotarła, gdy obaj chłopcy pomaszzerowali na górę do swoich pokoi w naszym małym wynajętym domku.

Minęły dwa lata i nie mogę uwierzyć, jak bardzo zmieniło się nasze życie. Chris, który pracuje teraz w nowojorskim wydawnictwie, już nie gada jak hipster, Grace własną pracą utrzymuje się na studiach na Uniwersytecie Nowojorskim, a ja zdążyłam pokochać wagoneera. Nazwałam go, a raczej ją, Paula, bo jest wielka, hałaśliwa i poprawia wszystkim humor. Nie mieszkańcom – ci przywykli do tego samochodu – ale turystom, którzy latem zjeżdżają tłumnie do miasteczka i są znani z tego, że zatrzymują mnie, gdy jadę po zakupy, i chcą sobie zrobić zdjęcie.

Wrzuciwszy torebkę przez okno, obchodzę wóz i wsiadam, rejestrując z roztargnieniem, że muszę się wybrać na stację i odkurzyć kabinę – podłogi to zapis Buckowego podjadania: przed szkołą, po szkole, przed meczem, po meczu, bez przerwy. Okruchy, opakowania, puste papierowe kubki, które jakimś sposobem znalazły się na podłodze przy tylnym siedzeniu, gdzie walają się bezładnie, a ostatnie krople shake'a, frappuccino czy smoothie, czy co tam pił, tworzą teraz na gumowym dywaniku lśniąca, lepka w dotyku plamę.

I pomyśleć, że tak sobie kiedyś wyobrażałam piekło. Cóż za uderzający kontrast w porównaniu z moim dawnym range roverem, na którego czarnej karoserii widać było najmniejsze zabrudzenie, którego czarne dywaniki czyszczone były co najmniej dwa razy w tygodniu i który ładował w myjni, kiedy tylko chciałam. Czyli często.

O, gdyby mnie teraz zobaczyły przyjaciółki.

Ale nie widzą. Zresztą co to za przyjaciółki, choć przez pewien czas jeszcze udawały. Przez chwilę próbowały się ze mną skontaktować – Lara i Heather słały e-maile i wydzwaniały – lecz mój konsekwentny brak odpowiedzi w końcu je zniechęcił.

Staję na światłach i zerkam na leżący na siedzeniu pasażera telefon. Ostatnio nie jestem do niego szczególnie przywiązana; nie ma rzeczy tak ważnej, żeby nie mogła poczekać. Skłamałabym, mówiąc, że zasypują mnie telefony od reprezentujących typ osobowości A członkiń różnych komitetów, które nagłym tonem polecają mi rozwiązać jakiś problem. Na szczęście nie jestem już też adresatką plotek – żadne przyjaciółki nie wydzwaniają do mnie, żeby szczegółowo przeanalizować przyjęcie, na którym poprzedniego wieczora wszystkie się spotkałyśmy, czy polamentować pełnym grozy szeptem, co też malarze zrobili z ich salonami, i to jeszcze za tyle pieniędzy.

Patrzę na wyświetlacz i marszczę brwi. Nieodebrane połączenie od kogoś o numerze rozpoczynającym się od 203. New Salem? Nie rozpoznaję tego numeru, ale sprawa i tak jest niepokojąca. To niepożądane przypomnienie przeszłości, od której tak usilnie próbuję się odciąć.

Skręciwszy z drogi, jadę powoli obok wspaniałej starej posiadłości wysłużonym zwirowym podjazdem wiodącym do stojącego na tyłach domku, niegdyś wozowni. Właśnie zbieram pocztę z podłogi werandy, gdy dzwoni telefon. Zakładając, że to Buck, odbieram bez namysłu, przeglądając z roztargnieniem korespondencję, i dopiero na ułamek sekundy przed wciśnięciem przycisku zdaję sobie sprawę, że to ten numer 203. Za późno.

– Maggie? Maggie? To ty? To nadal twój numer?

– Tak – mówię, odkładając pocztę na mały żelazny stolik, znaleziony na śmietniku i odmalowany przez Chrisa sprejem na stalowoszarą. – Kto mówi?

Czytałam kiedyś, że trzeba sobie wpoić nawyk uśmiechania się podczas rozmowy telefonicznej. Dzięki temu głos brzmi przyjaźniej i dla mnie ten nawyk stał się odruchem, ale zniknął w ciągu sekundy w dniu, w którym dowiedziałam się, że mój mąż ma drugą rodzinę.

Teraz, odbierając telefon, nie zawracam sobie głowy uśmiechem, chyba że jest szczerzy i mam szczególny powód do radości. Nie dbam już o konwenanse ani o to, co ludzie pomyślą, i nie muszę nikomu imponować. To nie ma żadnego znaczenia. Nie wtedy, gdy świat wywraca się człowiekowi do góry nogami.

– Maggie! – świergoli ze śmiechem głos w słuchawce. Znajomy, ale bliżej nieokreślony.  
– Mówi Lara!

Milczę. A co bym miała powiedzieć? Przez ostatnie dwa lata nie myślałam o niej inaczej niż Zakłamana Lara. Lara, która potajemnie wykupiła moje najcenniejsze rzeczy, zmusiła pośredniczkę do zaakceptowania znacznie niższych cen niż powinna, a potem ukrywała fanty, aż miała pewność, że usunęłam się z drogi.

Lara, która udawała moją przyjaciółkę, potępiając otwarcie „dwulicowe” kobiety, które „rzucają się jak sępy”.

Nie wyznałam Larze, że wiem. Widywałam się z nią wtedy, kiedy musiałam – szczególnie gdy wpadała bez zapowiedzi po tym, jak przestałam odbierać telefony i oddzwaniać – ale wiedziała, że coś jest nie tak, a nawet jeśli nie miała pewności, musiała się domyślić, gdy wyjechałam bez pożegnania.

A jednak wydzwaniła do mnie przez kilka dobrych miesięcy po wyprowadzce, aż przypuszczalnie prawda ukryta w moim obojętnym milczeniu dotarła w końcu do jej świadomości.

– Co u ciebie, Laro?

– Jak dobrze cię słyszeć, Maggie! – mówi Lara tonem, który ma jak zwykle emanować ciepłem. – Tęsknimy za tobą!

– Dziękuję – odpowiadam po dłuższej chwili.

Jakżeby mogła powiedzieć, że ja też za nimi tęsknię? Moje wspomnienia z dawnego życia są tak skażone, że trudno mi sobie przypomnieć to, co dobre, to, co się zdarzyło wcześniej, gdy życie zdawało się proste – w nieco innym sensie – choć tylko dlatego, że o tak wielu sprawach nie wiedziałam.

– Wprost *nie wierzę*, że masz jeszcze ten sam numer i udało mi się dodzwonić! Wszyscy ciągle o tobie mówią... same cudowne rzeczy... i martwimy się o ciebie, zwłaszcza że nikomu nie udało się z tobą skontaktować. Czy to prawda, że mieszkasz gdzieś na wsi? W Essex?

Siadam na krześle i patrzę na drzewa.

– Blisko. W Old Saybrook – mówię. – Można powiedzieć, że na wsi.

– Powiem ci w czym rzecz. Któregoś dnia gadałyśmy z dziewczynami o tym, że przydałaby się chwila oddechu, jakiś świetny babski weekend, i oczywiście zaczęłyśmy sobie przypominać dawne babskie wypady z tobą. Casey i ja rzuciłyśmy: pojedźmy do niej! Babski weekend! Niezły ubaw, co? Jak za starych czasów.

To ostatnia rzecz, jakiej bym chciała. W głowie rozbrzmiewa mi wyraźnie głos Lary, która przedstawia się w moim domu jako Kim, żebyśmy się nie dowiedziały o jej zdradzie. Jak mogłabym udawać, że to się nigdy nie zdarzyło? Jak mogłabym wybaczyć i zapomnieć, i co w ogóle mamy teraz ze sobą wspólnego?

– Maggie? Jesteś tam?

– Przepraszam. Tak. Coś przerywa.

– Jeszcze jedna rzecz – mówi szybko Lara, teraz już poważnym tonem. – Chciałam ci to powiedzieć osobiście, ale jeśli teraz tego nie zrobię, to się nie spotkamy i nie będę mogła tego powiedzieć. Maggie, byłaś dla mnie dobrą przyjaciółką, a ja okropnie cię potraktowałam.

Czekam. Bez słowa.

– Żyję z tym od dwóch lat i próbuję się dodzwonić, żeby ci o tym powiedzieć, przeprosić, ale nie oddzwoniasz. Jacyś straszni ludzie wprowadzili się do twojego dawnego domu i dlatego zaczęłam rozmyślać o wszystkich miłych chwilach tam spędzonych, i wiedziałam, że muszę zadzwonić. To ja kupiłam twoje rzeczy, Maggie. Nie Kim. To ja. Kupiłam torebki i biżuterię, do tego namówiłam tę kobietę, żeby sprzedała je grubo poniżej ich wartości, i nigdy ci o tym nie powiedziałam.

– Dlaczego? Dlaczego zrobiłaś coś takiego?

Lara bierze głęboki oddech.

– Tak mi wstyd. Nikt o tym nie wiedział, ale Steve prawie od roku nie miał pracy. Kazał mi cię wydatki i nie mogłam nic kupować, i trochę mi odbiło, gdy się dowiedziałam, że twoje wszystkie piękne rzeczy są na sprzedaż. Jeśli cię to pocieszy, żadnej z tych rzeczy nie włożyłam, nie nosiłam też torebek – dodaje żałośnie. – Nie mogłam. Wystarczy, że na nie spojrzę, a zalewa mnie wstyd. A potem przestałaś oddzwaniać, pomyślałam, że pewnie wiesz, i usiłowałam zapomnieć o sprawie, ale nie mogłam. Brakuje mi ciebie, Maggie. I bardzo, bardzo cię przepraszam za to, co zrobiłam.

Jej słowa brzmią szczerze, ale czego ode mnie oczekuje? Mam teraz przewrócić oczami i powiedzieć: dobra, bądźmy znów przyjaciółkami, bo lepsze przeprosiny spóźnione o dwa lata niż żadne?

– Chcę ci to wszystko oddać – mówi Lara. – Nigdy nie będę tego nosić i wiem, że nie mogę też tego zachować. To twoje rzeczy.

Spoglądam na swoje praktyczne chodaki, jedyne buty, w których jestem jeszcze w stanie wykonywać pracę kelnerki, a potem obracam się i patrzę na swój mały, wynajęty domek. Mimowolnie parskam śmiechem, bo cóż bym tu zrobiła z torebkami z krokodylej skóry i błyszczącymi klejnotami? Musiałabym sobie zawracać głowę ponowną sprzedażą, wiedząc, że w pobliżu trudno by było znaleźć potencjalnych kupców, albo wystawić przedmioty na eBayu, a na tych sprawach zupełnie się nie znam.

– Nie chcę ich – mówię w końcu. – Już ich nie potrzebuję. Cieszę się, że mi powiedziałaś i... no cóż. To ładnie, że się skontaktowałaś i zaproponowałaś zwrot, ale nie. Dziękuję. Nie.

– W takim razie muszę ci za nie zapłacić jak należy – oznajmia Lara. – Nie pamiętam dokładnej kwoty, ale mniej więcej znam ich wartość. Pozwól, że zrobię przynajmniej to. Jestem ci to winna.

Jakżebym chciała być w takim położeniu, żeby odmówić, ale nie mogę. Dzięki zastrzykowi gotówki mogłabym kupić Buckowi nowe ochraniacze do gry w lacrosse, o których tak marzy, nie wspominając o jego studiach. Dodatkową gotówkę mogłabym odłożyć na czarną godzinę i skorzystać z niej dopiero, gdy będzie naprawdę potrzebna.

– Byłoby wspaniale – odpowiadam. – Doceniam twoją uczciwość. Dziękuję. Laro. Mogę cię o coś zapytać? Co z moim dawnym domem?

– Och, Maggie! – jęczy Lara. – Wprowadzili się tam okropni ludzie. Usunęli twoje wszystkie cudne rośliny i zbudowali sobie kort tenisowy. Wycięli żywopłot od frontu i postawili wielki kamienny mur z zabezpieczeniami na górze, tak że nic nie widać, i to nie taki piękny mur ze spiętrzonych kamieni, lecz taki brzydki, z tych, których nie znosimy.

Uśmiecham się, słuchając Lary, i zdaję sobie sprawę, że demonizowałam wszystko, co związane z moim dawnym życiem, włącznie z ludźmi, których nazywałam kiedyś przyjaciółmi. A tu dzwoni Lara i gada jak *Lara*. Nie wszystko jest czarne i białe. Na dźwięk jej głosu napływają dobre wspomnienia, chwile, w których mnie wspierała, radosny czas spędzony w jej towarzystwie.

Jesteśmy tylko ludźmi. Nikt nie jest nieomylny. Popęlniamy błędy, nawalamy i mamy prawo do przebaczenia. Wstyd, złość i poniżenie, które nakazały mi odciąć się od dawnego życia, dziś nie muszą być już moim motorem.

– Miło cię słyszeć – mówię. Tym razem szczerze. Przyrzekamy sobie, że będziemy w kontakcie, a Lara dodaje, że przyjedzie i zatrzyma się w zajeździe Bee&Thistle w Old Lyme, a ja, jak należy, zachwycom się tym pomysłem, chociaż obie wiemy, że nigdy do tego nie dojdzie.

Żegnam się i dopiero teraz zauważam paczkę leżącą na podłodze przy tylnych drzwiach, owiniętą folią aluminiową i przykrytą czystą kraciatą ściereczką. Gdy ją podnoszę i uchylam róg folii, bucha woń świeżo upieczonego placka z jabłkami i rabarbarem.

Udaje mi się otworzyć drzwi łokciem i postawić ciasto na blacie, po czym obracam się i potykam o plecak Bucka ciśnięty pośrodku kuchennej podłogi.

Żebracy nie wybrzydząją – to zdanie stało się moją mantrą, ilekroć Buck narzekał, że nasz dom jest ciasny i ciemny, i że brakuje mu naszej sutereny, a latem basenu.

Inna sprawa, że uwielbiam ten domek. To, że nie należy do mnie, ale do starszej pary zamieszkującej duży dom, daje mi wolność, której bym się nie spodziewała. Gdy wyłącza się kontrolka w bojlerze albo nie chce się otworzyć okno, albo coś zaczyna trzaskać i pojękiwać w rurach, nie muszę chwycić za telefon i rozdzielać ciężko zarobionych pieniędzy; ruszam przez podwórko ścieżką między drzewami i łomoczę do drzwi państwa Wellesleyów.

Nazywają mnie córką, której nigdy nie mieli przy sobie, a oni są dla mnie bez wątpienia rodzicami, jakich zawsze pragnęłam.

Pani Wellesley – czy też pani W., bo tak się każe nazywać – podrzuca nam na werandę domowe ciasta, przetwory, warzywa z ogródka.

Monty'emu i Brunonowi, labradorom Marka, których Buck nie pozwolił mi oddać, wolno

swobodnie baraszkować po ogrodzie; właśnie leżą obaj przy pani W., która zajmuje się ogrodem.

– To moi najlepsi przyjaciele – mawia z dumą pani W., poklepując je po łbach. – Naprawdę nie mam pojęcia, co ja tu bez nich robiłam. Wiem, że to tylko psy, ale cóż to za doborowi towarzysze!

Przypuszczam, że państwo Wellesleyowie nie znają mojej historii. Może i pisali o mnie we wszystkich gazetach, ale szybko zmieniałam nazwisko na panieńskie. Tutaj nikt nigdy o niczym nie wspominał ani nie obrzucał mnie tym spojrzeniem – mieszaniną ciekawości i współczucia – które mówi mi wszystko.

W gazetach opisano mnie jako „idealną” żonę, ozdobę z Connecticut. Z pasemkami z salonu Warren-Tricomi, makijażem od Laury Mercier, naszyjnikiem z serduszkami od Temple St. Clair, przepasana kaszmirowym i perłami, zdeklasowałam nawet żony ze Stepford.

Ale to było kiedyś. Przechwytyuję swoje odbicie w szklanych drzwiczkach mikrofalówki i zakładam za ucho kosmyk jasnorudych, przetykanych siwizną włosów.

Nie strzygłam ich od niepamiętnych czasów i długie kręcone włosy zaczynają mi się podobać. Wyglądają naturalnie. Nie przejmuję się też już makijażem. Nie mam pojęcia, jak Patty udaje się utrzymać w pracy idealny makijaż. Mój, choćbym nie wiadomo czego próbowała, spływa po pół godzinie.

Botoks, kwas hialuronowy, zabiegi kosmetyczne – to wszystko, na co pozwalałam sobie średnio co trzy miesiące, pozostaje teraz poza moim zasięgiem, nawet gdybym chciała. Zmarszczka pośrodku czoła stała się bardzo widoczna, ale poza tym wszyscy myślą, że nie skończyłam jeszcze czterdziestki.

Cóż za ironia, myślę sobie. Przed czterdziestką, jako żona Marka, próbując być idealną gospodynią, matką, społeczniczką i starając się osiągnąć doskonałość przez cały ten zewnętrzny rynsztunek, którego, jak mi się zdawało, potrzebuję, żeby nie odstawać od otoczenia, zdołałam mimo woli postarzeć się o dobrych dziesięć lat.

Teraz moja skóra, wolna od warstw podkładu, pudru i rozświetlacza, promienieje zdrowiem. Wczesne zasypianie, świeże powietrze i abstynencja, poza sporadycznym kieliszkiem prosecco z panią W., niewątpliwie przywróciły mi blask w oczach.

Lata jogi, pilatesu, fitnessu, zumby, czegokolwiek, co by pozwoliło przechylić przekłętą szalę tuczącego jedzenia i alkoholu, ustąpiły wędrownikom dla przyjemności oraz pracy na stojąco. Nigdy dotąd nie miałam tak umięśnionych nóg.

Wciąż jeszcze trudno mi uwierzyć, jak odmienne jest teraz moje życie i dlaczego byłam wcześniej tak niepewna siebie. Tak się cieszę, że pozbyłam się przymusu imponowania. A z kim bym tu miała rywalizować? Z innymi kelnerkami, Patty i Barb? Z panią W.? Wszystkie jesteśmy równe. Może i Wellesleyowie mieszkają w wielkim i pięknym starym domu, ale wiem na pewno, że nie traktują mnie jak kogoś gorszego tylko dlatego, że wynajmuję ich domek gościnny.



Patty przepracowała każdy dzień swojego dorosłego życia, wychowuje samotnie czworo dzieci i jest kobietą, która najbardziej mnie inspiruje. Jakich cytryn by jej nie rzucił los, ona zmieni je w musującą, słodką lemoniadę, wypełnioną smakiem i radością.

Dawna Maggie najpierw oceniała, a potem dopiero dopytywała, a oceniała właśnie dlatego, że w głębi duszy wiedziała doskonale, że nie jest dość dobra. Dopiero gdy wszystko straciłam, pojęłam, że jestem w porządku. Taka, jaka jestem.

– Haaalo! – Z werandy dopływa głos pani Wellesley.

– Jestem w kuchni! – mówię. – Proszę wejść. Herbaty?

Pani Wellesley wkracza do domu w ogrodniczych chodakach, a ja przypominam sobie absurdalne zasady, które tyle lat wisiały na ścianie w New Salem, bo przerażała mnie myśl, że któryś z gości przekona się, że dom nie jest do końca idealny. Jaki jest najgorszy możliwy scenariusz? Że pani Wellesley naniesie trochę błota? I co z tego?

– Wytarłam buty! – mówi z uśmiechem pani W.; kosmyki siwych włosów wymknęły jej się z kucyka, przykrytego słomkowym kapeluszem z szerokim rondem. – Chciałam się upewnić, czy odebrałaś ciasto, zanim dobrało się do niego stworzenie.

– Odebrałam! Pani jest cudowna! Uwielbiam rabarbar, a Buck, jak się pani domyśla, oszaleje z radości.

– O wilku mowa! – Pani W. rozjaśniają się oczy. – Pan W. wziął go do przystani, żeby zacząć przygotowywać łódź. Buck mówił, że trening ma później, a lekcje już odrobił. Wróć o piątej. Nie masz nic przeciwko?

Czy mam coś przeciwko? Ależ skąd. Moje dzieci przez całe życie czekały, aż Mark stanie się ojcem. Kiedy był na miejscu i gdy akurat nie wybiegał na zewnątrz, żeby odebrać telefon służbowy albo raczej, jak już teraz wiem, porozmawiać ze swoją drugą rodziną, potrafił być świetnym ojcem, ale tak często wyjeżdżał, że dzieciom przepadły te drobiazgi, które tworzą więź między rodzicem a dzieckiem.

Nie żebym ja była o wiele lepsza. Zamiast spędzać z nimi czas, powierzałam je opiekunkom albo komukolwiek, kto brał pieniądze za to, żeby je zabawić, gdy były małe i absorbujące, a sama w tym czasie organizowałam dobroczynne kiermasze wypieków, spotkania czy gale charytatywne w centrum kultury.

Aż dziw, że wyszły na ludzi. Chris, taki dowcipny, twardo stąpający po ziemi, skromny. Grace, taka pewna siebie i śliczna, chociaż ostatnie lata odcisnęły swój ślad. Nie kontaktujemy się. Ja się staram, ale ona mi nie wybaczyła. Nadal obwinia mnie o niewierność Marka i o to, że nas zdradził, i konsekwentnie nie odpowiada na moje e-maile i telefony.

Grace sprowadziła się tu z nami, ale nie minął tydzień, a wróciła do New Salem i zamieszkała u Landona. Rozpoczęła studia, niedługo potem rozstała się z Landonem i najwidoczniej przestała panować nad swoim życiem.

Znalazłam na Facebooku jej zdjęcia: stoi wśród grupy znajomych z butelką wódki w dłoni, na innym całuje się z przypadkowym chłopakiem.

To było przerażające. I wstrząsające. I niepokojące. Zadzwoiłam do Grace i – muszę to przyznać – niewłaściwie podeszłam do sprawy. Sama nie uporałam się jeszcze ze zmianami, tkwiłam zawieszona w tej przerażającej przestrzeni samotnego życia, i powiedziałam wszystko na opak.

Teraz się tego wstydzę. Zażądałam odpowiedzi na pytanie, dlaczego pije, i opowiedziałam, co się przydarza łatwym dziewczynom. Grace się rozłościła, nastawiła bojowo i ostatecznie zaczęłyśmy wykrzykiwać do siebie okropne rzeczy.

To się jeszcze kilkakrotnie powtórzyło i doprowadziło w końcu do czegoś w rodzaju zimnej wojny. Przepraszałam. Wiele, wiele razy. Próbowałam się tłumaczyć, ale moje wyjaśnienia trafiały w próżnię.

– To nastolatka, która zachowuje się jak nastolatka – stwierdziła Patty, gdy podczas przerwy w pracy zdarzało mi się rozpaczać i zwracać do Patty i Barb w poszukiwaniu rady, wsparcia, chętnego ucha.

– Szkoda, że nie znałaś *mnie* w tym wieku – ciągnęła Patty. – Byłam istnym diabłem wcielonym. O imprezowanie się nie martw. Jeśli nie robiła tego wtedy, gdy była młodsza, musi się wyszumieć teraz. To naturalna kolej rzeczy, kochana. Dziecko tak odcina pepowinę. Chyba że nazywa się Mikey – mówiła zamyślona, odnosząc się do swojego najmłodszego syna, który rozwiódł się półtora roku temu i wrócił do mamy. – Niechby już ją odciął, do cholery. Wczoraj mu się odmieniło i powiada: czyż to nie wspaniałe, że mieszkamy razem? Po co to w ogóle zmieniać? – wzdrygnęła się nerwowo.

– A wspomniałaś, że chciałybyś to zmienić, bo masz dość prania codziennie sterty jego szmat, sprzątań po nim i pożyczania pieniędzy, kiedy niby przypadkiem zapomni wybrać się do banku? – spytała Barb.

– A jak! Gnojek mnie objął, cmoknął soczyście w czoło i powiedział, że wie, że żartuję. Boże, dopomóż – mruknęła i popędziła do kuchni, żeby odebrać zamówienie dla stolika numer jedenaście. – Czym sobie na to zasłużyłam?

Grace była zawsze taka rozsądna, umiała się wznieść ponad picie alkoholu, zażywanie narkotyków, eksperymenty seksualne – wszystko to, o czym przyciszonymi głosami rozprawiają matki. Grace była zawsze dzieckiem idealnym. Takim, które pozostaje w stałym związku z chłopcem z dobrej rodziny. Dzieckiem, o które nikt nie musi się martwić.

Przy odrobinie szczęścia i z boską pomocą Patty może mieć rację. Z czasem odpuściłam, bo nic na to nie poradzę, dopóki nie zmieni zdania. A zmieni je. Z pewnością.

Grace chciała zasiąść w sali sądowej na czas procesu, ale jej nie pozwoliłam. Mówiła, że musi go zobaczyć, lecz ja wiedziałam, że sprawi jej to jeszcze więcej bólu.

Zresztą jak mogłabym ją wystawiać na żer fotografów, reporterów, gapiów? Obrońca Marka miał czelność zasugerować, żebyśmy się zjawili w komplecie, jako wspierająca rodzina, żeby pokazać, że w pewnym sensie mu przebaczyliśmy, co uszlachetniłoby Marka w oczach przysięgłych.

Nie miałam ochoty go uszlachetniać. Miałam ochotę go zabić. Albo przynajmniej chciałam, żeby cierpiał.

Od razu zorientowałam się, że zakazywanie Grace wstępu na salę było błędem. Na pierwsze święta Bożego Narodzenia Grace wybrała się z rodziną współlokatorki do Meksyku, do Tulum. Chłopcy i ja spędziliśmy święta w towarzystwie państwa W., którzy zostali sami; ich córka mieszka w Londynie, a syn, wolny ptak – w Tajlandii. Albo może w Wietnamie. Nie byli do końca pewni, ale nie mieli wątpliwości co do tego, że chłopcy i ja należymy do ich rodziny.

Stawiam czajnik na kuchence, a pani W. zasiada przy kuchennym stole, zdejmuje rękawice ogrodnicze, patrzy na swoje guzowate, poskręcane palce i rozprostowuje je powoli, wzdychając z lubością. Czuję przyływ uczucia i nachyliwszy się, całuję ją spontanicznie w policzek, a ona podnosi wzrok i promienieje z radości.

– A na to czym sobie zasłużyłam? – pyta.

– Niczym. Pani to pani. Cudowna osoba.

Pani W. prostuje się i odchrząkuje, ale widzę, że oczy lśnią jej od łez. Nie mam pojęcia, dlaczego dzieci państwa W. wyniosły się tak daleko, lecz wiem na pewno, że rodzice ogromnie za nimi tęsknią.

– Pomyślałam sobie, że może wpadlibyście z Buckiem do nas w sobotę na obiad. Żadne tam frykasy, ale pan W. wyruszył na poszukiwanie młodych pędów paproci i zamierzamy je ugotować. Co wy na to?

– Wspomniały pomysł. Upewnię się, czy Buck nie ma innych planów, ale ja na pewno jestem wolna.

Pani W. już ma zmarszczyć brwi i dokładnie wiem, co jej chodzi po głowie. Ona i pan W. od dawna martwią się, że poza pracą i wożeniem Bucka tu i tam – a teraz dorósł już do samodzielnego prowadzenia starego pikapa pożyczonego od pana W. i nie potrzebuje mamy-szofera – wcale nie mam swojego życia.

Nigdy by się nie ośmielili do tego przyznać, ale teraz, gdy wręczyli Buckowi klucze do królestwa, stale sugerują, żebym więcej robiła, częściej wychodziła, miała swoje życie.

Niedawno pan W. wpadł rano do naszego domku i zapytał, czy Buck nie byłby zainteresowany korzystaniem z jego starego zgniłzielonego pikapa, forda F-100, rocznik 1958. Przechowuje go w garażu za domem i nikt od lat nim nie jeździł. Nie jest jakiś tam wypasiony, ale sprawny, i szkoda by było, żeby stał beczynnym, skoro Buck ma już prawo jazdy i jest na tyle

dorosły, że nie musi mnie męczyć o podwożenie to tu, to tam.

Buck, który nie miał pojęcia, jak wygląda ford F-100 z 1958 roku, prawie się przewrócił, gdy pan W. odsunął drzwi garażu i oczom nastolatka ukazał się najbardziej bajerancki stary pikap, jakiego w życiu widział, wóz, którego teraz zazdroszczą mu szczerze wszyscy znajomi.

Buck ma przyjaciół. I to wielu. Ja nie mam, i wcale mi to nie przeszkadza. Niełatwo nawiązać nowe znajomości, gdy człowiek przenosi się do nowego miasta po czterdziestce, z dziećmi, które są za duże, żeby dało się zaprzyjaźnić z matkami z klubu malucha albo z przedszkolnej szatni.

Nie potrzeba mi przyjaciół. Wystarczy sobie przypomnieć, jak to się ostatnio skończyło. Utrzymuję serdeczne kontakty z pozostałymi kelnerkami i spotykam się z różnymi ludźmi na kawie w Ashlawn Farm, i to wystarczy.

Pani W. rozgląda się po kuchni i jej wzrok pada na stojącą na blacie butelkę wina.

– Ooo! – mówi i oczy jej się rozświetlają. – Może kapeczkę? Gdzieś tam wybiła piąta.

# 47

## Sylvie

Sylvie mruga powiekami i na podstawie pasemka światła dziennego nad zasłonami próbuje określić pogodę. W końcu podrywa się z łóżka i rozsuwa zasłony, uśmiechając się lekko na widok czystego błękitnego nieba i wiszącego jeszcze nisko słońca, obietnicy jasnego i ciepłego dnia.

Jej radość nie trwa długo. Nie dochodzi nawet do drzwi sypialni, gotowa zajrzeć do Eve, której sypialnia mieści się tuż obok, gdy czuje, jak w jej sercu lokuje się drzazga lęku, codziennie o tej samej porze, tuż po przebudzeniu.

Sylvie kupiła ten dom trzy miesiące temu, rozdarta między pozostaniem w domu, który kochała, mimo że z każdego jego kąta wyzierały wspomnienia o Marku, a zaczynaniem wszystkiego od nowa.

To Angie znalazła ten dom. Przejeżdżała obok, zobaczyła tabliczkę „NA SPRZEDAŻ”, zajęchała z piskiem opon na podjazd i omamiła właściciela, by pozwolił jej z miejsca obejrzeć wewnątrz. Doszła do wniosku, że to idealny dom dla Sylvie, pojechała po nią i przywiozła z powrotem, żeby przekonała się na własne oczy.

Sylvie nie była nawet pewna, czy chce się przeprowadzać. Stało się jasne, że potrzebuje więcej miejsca dla swojej rozwijającej się działalności, ale zawsze mogła postawić przybudówkę i przeprowadzić remont, żeby dostosować wewnątrz do obecnego stylu.

Dawny dom nie kojarzył się z Markiem aż tak bardzo, jak by się mogło wydawać. Być może dlatego, że Sylvie sama go urządziła i zawsze czuła się w nim jak u siebie. Nawet w sypialni po Marku nie został żaden ślad, szczególnie odkąd Sylvie usunęła potężny telewizor, na który tak się uparł.

Ale dom, do którego zabrała ją tego dnia Angie, też się sprawdził. Przypominał poprzedni, tyle że był pogodniejszy, jaśniejszy, miał więcej pokoi i cudowny widok z okien.

– Oto dom dla *Figless Manor* – orzekła Angie, gdy stanęły na tarasie przylegającym do głównej sypialni i zapatrzyły się na widoczne w oddali góry.

Sylvie obróciła się i spojrzała na nią pytająco.

– Och, nie mówiłam ci? *Figless Manor* to twoja nowa linia. Simon wymyślił tę nazwę. Czyż nie jest bajeczna? Pamiętasz, jak nazywałaś tak wasz dom tuż po przeprowadzce? Gdy dawni właściciele usunęli drzewo figowe? Opowiadałam o tym komuś, a Simon powiedział nagle, że ta nazwa doskonale pasuje do linii dżemów i konfitur, i ma rację.

Sylvie się rozpromieniła i rzuciła Angie na szyję.

– Strzał w dziesiątkę – zamruczała. – Jesteś genialna.

– To Simon jest genialny, a i mnie niewiele brakuje. Ale wyobraź sobie teraz, że tu mieszkasz! Czego chcesz więcej? Mogłabyś tu mieć swoją pracownię czy warsztat... do licha, nawet profesjonalną kuchnię. I wiesz dobrze, że wszystkie magazyny wnętrzarskie oszaleją. Najwyższa pora.

– Muszę to przemyśleć – stwierdziła Sylvie, choć wiedziała, że właściwie nie ma się nad czym zastanawiać. Dla pewności przeczekała trzy dni, spędzając czas na odlewaniu świec – bo wówczas wytwarzała je jeszcze w domu – wieczorem pojechała do sklepu kupić coś na kolację i w drodze powrotnej zajrzała do Angie.

Angie już od progu zaczęła gadać i usta jej się nie zamykały. Lekarz przepisał jej ambien – jak się zdawało, jako antidotum przeciw adderallowi, który zażywała bez jego wiedzy i który nie tylko pozwalał jej normalnie funkcjonować w ciągu dnia, ale też pomógł jej zrzucić sześć kilogramów.

– No i pewnego ranka wybudziłam się z dziwnego snu, w którym tej nocy bzykaliśmy się z Simonem jak króliczki całymi godzinami.

Nachyliła się nad stołem, a Sylvie nie mogła powstrzymać uśmiechu.

– Co samo w sobie jest już dziwaczne, bo nie miewam takich snów. I z całą pewnością nie bzykamy się jak króliczki. Jeśli już do czegoś dojdzie, to raz, dwa i pozamiatane. Mój Boże! A kto by miał czas na coś więcej? Ale tym razem było... gorąco! Gorąco jak nie wiem. Nie będę się zagłębiać w szczegóły, ale robiliśmy rzeczy, na które nigdy bym się nie odważyła.

– Ty to jesteś jajcara. – Sylvie pokręciła głową, pełna podziwu dla Angie i jej braku zahamowań, chociaż wiedziała, że sama nie zdobyłaby się na podobne wyznanie.

– Czekaj, czekaj! No i rano leżę sobie w łóżku i myślę o tym śnie, nie pamiętam całości, tylko urywki, i wtedy przysuwa się do mnie Simon, cały się rozplywa w czułościach, patrzy na mnie i mówi: „Rany, co w ciebie wczoraj wstąpiło? Byłaś obłądana”.

Sylvie rozdziawiła usta.

– Co? To nie był sen?

– I co ty na to? Tylko że nic nie pamiętam. No, coś tam pamiętam, ale tak jak pamięta się sen. Jakby to się nie działo naprawdę. Ale Simon znów zakochał się we mnie na zabój. A kiedy pojechał do pracy, wygooglowałam „Ambien” i „bez hamulców”, bo wierz mi, to była jazda bez trzymanki... dobrze, dobrze... nie będę się zagłębiać w szczegóły. Ale Sylvie, to grubsza sprawa. Ten seks po ambienie. To się powtarza: ludzie uprawiają dziki seks bez żadnych zahamowań, a potem niczego nie pamiętają.

Kiedy Sylvie w końcu przestała się śmiać, jeszcze raz pokręciła głową.

– Tylko ty.

– Co: tylko ja?

– Tylko ty możesz wziąć ambien, uprawiać dziki seks i go nie pamiętać. Inni ludzie po ambienie wyzerają co wieczór zawartość lodówki.

– Chybabym się zabiła – oznajmiła poważnie Angie. – Albo Simon by się ze mną rozwiódł. Zawsze się bałam ambienu, bo myślałam, że zacznę się rzucać na jedzenie. A tymczasem okazuje się, że jestem walniętą nimfomanką. Kto by pomyślał! Mówię ci, gdybyś pomyślała kiedykolwiek, że masz jakiś kłopot małżeński, weź tylko amb... O, *kurna*. Och, Sylvie. Ale ze mnie dupa wołowa. Zapomnij, że to powiedziałam, dobrze? No nie wierzę, że to powiedziałam.

– Nie, nic się nie stało – odparła Sylvie. – Serio. Ja to ja. A ty to ty. Wybaczam.

– A wracając do sprawy – Angie nachyliła się ku niej, już z poważną miną. – Simon rozmawiał z tobą o finansach, prawda? Wiesz, że na bank możesz sobie na to pozwolić, zresztą możesz odpisać masę rzeczy. Wchodzisz w to, co?

Sylvie pokiwała głową.

– Jak mogłabym odmówić? – oznajmiła i zaczęła się śmiać, bo Angie z piskiem rzuciła się jej na szyję.

Sylvie zatrzymuje się przy mahoniowym stoliku w korytarzu. Na poczesnym miejscu pyszni się tam oprawiona w szeroką srebrną ramę czarno-biała fotografia Eve sprzed choroby, gdy była tak śliczna, że serce pęka, gdy się ją porówna z jej obecnym wcieleniem.

A miała nadzieję, że w nowym domu Eve zacznie wszystko od nowa, zdoła zamknąć ten etap, zacznie żyć całkiem inaczej, zacznie znów jeść, ale jej stan szybko się pogarszał i Sylvie dalej próbuje się pogodzić z tym, że nie może jej pomóc, że jest bezradna, że nie ma wpływu na decyzje Eve o trwaniu w chorobie.

Wciąż przygotowywała dla niej posiłki, choć wiedziała, że Eve wypije co najwyżej czysty rosół z kurczaka, o ile w ogóle coś przełknie. Córka twierdziła, że nadal uczęszcza na spotkania Anonimowych Żarłoków, rozmawia ze swoim opiekunem, ale nic nie wskazywało na to, by jej to pomagało.

Obserwowanie, jak Eve niknie w oczach, było bez wątpienia najtrudniejszym doświadczeniem w życiu Sylvie. Trudniejszym niż żałoba po Jonathanie czy zdrada Marka. Eve to jej krew z krwi i kość z kości, to wszystko, co ma; gdyby córka nie... gdyby coś jej się stało, gdyby doprowadziła się do stanu, w którym by zanikła bezpowrotnie, Sylvie nie dałaby rady żyć dalej, tego jest pewna.

Nie chciałyby żyć dalej.

Eve spędza dużo czasu w domu, w swoim pokoju. Schodzi, żeby zaparzyć sobie herbaty – a pija jej ogromne ilości, żeby tak nie marznąć – albo zwija się w kłębek przed telewizorem i ogląda film. Zawsze jest opatulona w warstwy ubrań. Tak skutecznie wycofała się z życia, że ilekroć opuszcza dom, Sylvie uznaje to za mały cud.

Miała nadzieję, że tego lata będzie z córką lepiej, ale choć nadal uczestniczy w terapii, nie jest ona już tak intensywna i Sylvie panicznie się boi, że doszło do nawrotu. Wykupiła wycieczkę do Meksyku, tylko dla nich dwóch, ale Eve, całkowicie wyzuta z sił, nie chciała jechać.

Czyta, śpi, ogląda programy reality show na Bravo. Sunie po domu niczym małeńki, upiorny ptaszek; znów ma zapadnięte oczy i oklapnięte, matowe włosy, a jej zęby wydają się wręcz za duże w jej drobnej twarzy.

Sylvie ogląda z Eve jej programy, próbując choć częściowo odzyskać kontakt ze znikającą córką. To się udało, do pewnego stopnia. Udaje im się znaleźć wspólną płaszczyznę porozumienia, coś, co je łączy: niesmak na widok niektórych groteskowych sytuacji i zdumienie z powodu tego, jak daleko kobiety potrafią się posunąć jeśli nie dla pieniędzy, to przynajmniej dla sławy.

Ich porozumienie jest płytsze niż kiedykolwiek wcześniej. Sylvie tak się boi, że ją urazi, że sprowokuje kłótnię, że Eve jeszcze bardziej schudnie, że obchodzi się z nią jak z jajkiem, nie porusza już tematu tabu, stąpa ostrożnie jak po tłuczonym szkle.

Te beznadziejne programy dają im chociaż pozory bliskości. Lepiej móc utrzymywać więź z tego powodu niż – tak jak przez kilka ostatnich miesięcy – mieć poczucie, że tylko się mijają w domu, każda sobie.

Od kilku miesięcy życie stało się przerażające, wprost nie do zniesienia. Raz w tygodniu Eve się waży, a Sylvie ją sprawdza. To jedyna chwila, gdy Sylvie daje córce znać o swoich lękach, i co tydzień, gdy waga Eve stoi w miejscu, matce spada z serca kamień.

Jeśli udaje jej się zachować resztki zdrowych zmysłów, jeśli chwilowo odsuwa od siebie lęk o Eve, to tylko dzięki temu, że rzuca się w wir pracy. Razem z Angie zjeździły cały stan, rozdając próbki świec i oddając je w komis, a to wszystko dzięki wsparciu finansowemu Angie i Simona, którzy uwierzyli w to przedsięwzięcie mocniej niż sama Sylvie.

Kilka miesięcy później skontaktował się z nią przedstawiciel jednej z wielkich sieci detalicznych, który natknął się na jej świece podczas wakacji w Malibu, a gdy już oni się nią zainteresowali, wszyscy inni poszli w ich ślady.

Simon pośredniczył w zawieraniu umów, a Angie przychodziła na każde spotkanie w charakterze dyrektora do spraw marketingu i uwodziła klientów swoimi długimi rudymi włosami. Po świecach przyszedł czas na elementy wyposażenia wnętrz – okazało się, że pewien wytwórca, właściciel zakładów przemysłowych w Chinach, jest w stanie wyprodukować zaprojektowane przez Sylvie przedmioty niemal od ręki, i nie minęły dwa lata, a marka Figless Manor uznana została za przykład jeden z największych sukcesów w historii branży wnętrzarskiej, czyli strefy, do której od czasów Marthy Stewart nikt nie ośmielił się wkroczyć.



Jako kobieta stojąca na czele firmy – szczególnie że najpierw zyskała rozgłos jako niczego nieświadoma żona osławionego bigamisty – zwykłego chłopaka Marka Hathaway – Sylvie znalazła się w samym środku burzy medialnej.

Kobieta odbiła się od dna i zbudowała domowe imperium! Gdy jej życie rodzinne runęło w gruzach, włożyła całą energię w to, by dopomóc innym stworzyć dom idealny!

A teraz sama ma już swój idealny dom. Wapienne posadzki i stare bielone belki. Wiekowa winorośl pnąca się po pergolach. Drzwi i regały w stylu francuskim, wypełnione światłem, sklepienie przejście łączące obie strony domu i prowadzące do ogromnego salonu, który wydaje się jeszcze większy ze względu na potężny kamienny kominek i okna, za którymi widać tylko góry i drzewa.

Brzęczy leżący na nocnym stoliku iPhone. Sylvie podchodzi i sięga po niego. Przypomnienie, że o dziewiątej przyjeżdża ekipa ze „Style”, dodatku do „Sunday Timesa”, żeby sfotografować dom. Asystentka zamówi dla wszystkich śniadanie, czy wziąć też coś dla niej? Fryzjerka oraz makijażystka wysłały wieczorem e-maile z informacją, że Sylvie poleciła im nie przyjeżdżać. Czy zamówić je z powrotem?

Sylvie odpisuje, schodząc po schodach, pokrzepiona jak zwykle widokiem Eve, która otuliła się kołdrami, ale śpi, oddychając spokojnie, i Sylvie nie chce jej tego snu zakłócać.

Śniadanie zje w domu i nie, nie potrzebuje ekipy od fryzur i makijażu. Gdy media zaczęły się nią interesować, podszyły stylistów, żeby ją upiększyć, a ci przybywali z pudłami i torbami pełnymi kosmetyków.

Podkreślali jej oczy, uwypuklali kości policzkowe, kręcili włosy, żeby wyglądała jak malowana lala, ale jak powiedziała później Angie, zupełnie przestała przypominać samą siebie. Szczerze mówiąc, wyglądała jak pozorantka. Cała idea Figless Manor, cały styl kobiety stojącej za Figless Manor kojarzą się przecież z wygodą, ciepłem, czymś przystępnym.

– Jak mogłabym mówić o ludziach, którzy odpuszczają sobie ten pęd do perfekcji, skoro sama siedzę na tarasie i wyglądam jak manekin? – pytała.

Teraz nalega, by przygotowywać się samodzielnie. Robi sobie mocniejszy makijaż niż zazwyczaj i poświęca nieco więcej uwagi fryzurze, zbierając włosy w luźny kok i za pomocą lokówki okala twarz kilkoma delikatnymi, zwiewnymi kosmykami, ale nadal wygląda jak Sylvie.

Spogląda na zegarek. Za jakieś pół godziny przyjedzie asystentka, a wkrótce po niej fotograf ze swoim zespołem stylistów. Te spokojne poranki, gdy w domu nie ma nikogo poza śpiącą Eve i Alfiem, wielkim czarno-białym kotem, który pewnego dnia pojawił się na progu i już został, ceni sobie najbardziej. Wyłączywszy telefon, który znów zaczyna wibrować, zatrzymuje się jeszcze w pralni, zanim w spokoju zasiądzie do kawy.

Przerzuca szybko brudne ubrania z kosza do pralki i wzdycha na widok wysypujących się z kieszeni monet. Niech to szlag. Stale zapomina o przeglądaniu kieszeni. Ubrania wędrują na

podłogę, a na dnie bębna leżą nie monety, lecz dwa małe czarne krążki.

Sylvie podnosi je i marszczy brwi, ponieważ wyczuwa kolejne w kieszeniach Eve. Jeszcze trzy. Przesuwa je w dłoni, wyczuwając ich gładkość i zaskakująco duży ciężar, aż nagle dociera do niej, co to takiego.

Ciężarki.

Wpatruje się w trzymane w dłoni krążki. To dlatego było tak dobrze. Eve obciąża sobie ubrania.

Sylvie sięga po telefon i wybiera zaprogramowany numer doktora Lawsona. Jeszcze nie przyszedł do pracy, lecz Sylvie zostawia wiadomość z wyjaśnieniem, co się dzieje, i w miarę jak mówi, czuje, że narasta w niej gniew. Nie powinna się złościć – wie, że to najgorsze, co może zrobić – ale ma już tego tak serdecznie dość, wszystkich tych sztuczek, tego, że Eve po prostu nie chce wydobrzeć.

Sylvie wkracza zdecydowanie do pokoju córki i potrząsa nią.

– Co? – Eve się porusza, otwiera zapuchnięte oczy i podpira się na łokciach. – Co się dzieje? Coś się stało?

– Tak, coś się stało – mówi Eve, otwierając dłoń i pokazując jej ciężarki. – Znam twoją małą tajemnicę. Wiem, że obciążasz ubrania. Mam już tego po uszy, Eve, słyszysz? Mam już po uszy twojej durnej choroby i tego, że odmawiasz jedzenia. Kiedy się w końcu z tego wygrzebieiesz? Kiedy wreszcie dorośniesz, zaczniesz się zachowywać odpowiedzialnie i wyzdrowiejesz?

– To nie moja wina – mówi Eve. – Ja chcę wyzdrowieć. Staram się. Nienawidzę tego, co mnie spotkało.

– To dlaczego po prostu nie zaczniesz jeść? – wrzeszczy Sylvie, już u granic wytrzymałości. – Dlaczego, do cholery, nie usiądziesz przy stole i nie zjesz posiłku jak człowiek?

Rzuca ciężarki na kołdrę i wychodzi roztrzęsiona z sypialni, trzaskając drzwiami.

# 48

## *Maggie*

– Będziesz wieczorem w domu? Zrobić coś na kolację?

Nie mam pojęcia, czy w domu w ogóle *jest* coś na kolację. Jestem prawie pewna, że lodówka świeci pustkami, ale może uda mi się coś upichcić z ryżu i resztek. Mój nastolatek nieszczęśliwie zwraca uwagę na smak, byle jedzenia było dużo.

– A może byśmy wyszli? – pyta Buck. – Pomyślałem, że można by się wybrać do River Tavern.

Och, słodki, naiwny chłopczyku. Oddałabym wszystko, żeby pójść do swojej ulubionej lokalnej restauracji z moim dorosłym synkiem, ale to nie na moją kieszeń i powinien o tym wiedzieć. Tylko z okazji urodzin. Patrę na niego, takiego poważnego, uroczego, i zastanawiam się, czy jednak się nie złamać – tylko ten jeden raz – czy nie powiedzieć sobie „raz kozie śmierć” i pojechać.

– Ja stawiam – oznajmia Buck i niecierpliwie wyjmuję z tylnej kieszeni zwitek banknotów. – Nie chciałem ci nic mówić, dopóki nie skończy mi się okres próbny i nie zacznę normalnej roboty, ale wzięli mnie do pomocy na przystani. A to moja pierwsza wypłata! A więc chcę wziąć mamę na kolację, bo naprawdę potrzebuje wytchnienia.

– Och, Buck!

Oczy zachodzą mi łzami, a Buck otacza mnie ramieniem.

– To takie... urocze. Ale nie możesz wydawać na mnie pieniędzy. Musisz je odkładać.

– Taki mam plan. Ale zaplanowałem też, co zrobię z pierwszą wypłatą. Weź prysznic, przebierz się i jedziemy. Zrobiłem rezerwację na wpół do ósmej.

Wpatruję się w swojego syna, tak przystojnego i dumnego – i tak dojrzałego, choć ma dopiero szesnaście lat. Jak do tego doszło, że tak wydorósł? I stał się taki odpowiedzialny? Uśmiecham się do niego promiennie, a potem nagle mój wzrok pada na moje dłonie, stwardniałe od prac jubilerskich, którymi się ostatnio zajmuję. Paznokcie mam nieopilowane, a palce ciemnoszare od szlifowania. Jak mogę się tak pokazać w najlepszej restauracji w okolicy?

– Domyjesz, nic się nie martw – mówi Buck, widząc, na co patrzę, i czytając mi w myślach. – Potraktuj to jako trening, bo już niedługo będziesz musiała się zacząć stroić na babskie wyjścia z koleżankami z pracy. I tak, zdaję sobie sprawę z tego, że najlepiej czujesz się w dzinsach, ale mam, odpuść. Wiem, że masz jeszcze ładne ubrania. Została ci godzina.

Kręcę z uśmiechem głową. Nie mogę się z nim nie zgodzić, ale gdy jestem już w połowie schodów, zatrzymuję się i odwracam do niego.

– Buck? Czy ta praca nie przeszkodzi ci w treningach? Jak pogodzisz naukę i...?

– Mamo! – przerywa, tak bardzo dorośle, że prawie doprowadza mnie do łez. – Radzę sobie. Pamiętasz, że obiecałaś się już nie wtrącać?

– Racja. Racja – mamroczę. – Przepraszam – dodaję i biegnę pod prysznic, sama nie wiedząc, czy powinnam się śmiać, czy płakać.

# 49

## *Maggie*

Zdarzało się, że czułam się piękna, ale tylko wtedy, gdy miałam ułożone włosy, fachowo zrobiony makijaż i ciuchy z najwyższej półki. Ostatnio coraz częściej czuję się jak znużona kobieta w średnim wieku. Prawie w ogóle nie przywiązuję wagi do wyglądu. Jeśli coś jest wygodne, wkładam to.

Ciepły polar, dzinsy, znoszone chodaki, które miały mi służyć tylko w pracy, ale stały się tak wygodne, że noszę je bez przerwy. Nie zwracam uwagi na jasnorude, przetykane siwizną włosy i na pojedyncze loki wymykające się z końskiego ogona.

Jednak dziś wieczorem, prawdopodobnie po raz pierwszy od przeprowadzki, chcę się postarać – jakżeby inaczej? Nie mogę sobie pozwolić na zabiegi keratynowe, które nadawały moim kosmykom jedwabisty połysk, ale gdy patrzę w lustrze łazienkowym na swoją nastroszoną grzywę, sięgam bez namysłu po żel Bucka i wcierając go we włosy, obserwuję, jak niesforne kędziory zmieniają się w urocze luźne loczki.

Wyjmuję z szuflady pozostałości kosmetyków do makijażu i delikatnie wcieram korektor pod oczy, żeby ukryć cienie, i wokół nosa, żeby zatuszować maleńkie pajęczki, które się tam ostatnio pokazały.

Jeszcze lekka smuga różu na policzki, złocisty, błyszczący puder dla rozświetlenia kości policzkowych, odrobina tuszu na rzęsy i błyszczyc dla podkreślenia ust.

Powinnam się częściej starać. Choć makijaż jest skąpy, a włosy jeszcze mokre, twarz wygląda już inaczej. Podoba mi się to, co widzę.

W rogu mojego pokoju stoi wieszak, ukryty za parawanem, a na nim niemal cały mój dobytek. W tyle, za sportowymi bluzami, polarami, ciepłymi swetrami, wisi w plastikowych pokrowcach kilka całkiem zapomnianych ubrań.

Ubrań z mojego poprzedniego życia, zbyt porządných, żeby oddać je do sklepu dla ubogich, a nie dość porządných, by przyjął je komis w jednym z sąsiednich miasteczek.

– Za słabe marki. – Nadęta dziewczyna za ladą przejrzała je niedbale, patrząc nie na bluzki, ale na metki, i oddała mi ubrania, prawie nie kryjąc szyderczego uśmiechu. Nie podziękowała mi za zainteresowanie, nie pożegnała się, tylko obróciła głowę i ciamkając irydująco gumę do żucia, zajęła się czymś innym w sposób, jak mi się wydało, aż nadto wyniosły jak na dwudziestoparolatkę zatrudnioną w komisie odzieżowym.

Zamierzałam wziąć ubrania do jakiegoś komis z mniej krytycznym personelem, ale żyłam wtedy w takim tempie – całą energię wkładałam w próbę utrzymania siebie i dzieci oraz poszukiwania nowego lokum – że w końcu się do tego nie zabrałam.

A więc są! Bluzki, których próbowałam się pozbyć, które były nie dość wartościowe dla dziewczyny z komisu, ale na pewno dość porządne, a chyba wręcz *zbyt* porządne, jak na moje nowe życie.

Oliwkowa bluzka z szyfonu z długą wstęgą, którą można się przepasać i zawiązać na dużą kokardę. Kupiłam ją pewnego lata w małym butiku na Nantucket i jest piękna, tak przynajmniej twierdzili wszyscy, którzy ją widzieli. Podnoszę ją teraz i przypominam sobie, jak dobrze na mnie leżała. Co mi strzeliło do głowy, że chciałam się jej pozbyć?

Jasnoblękitna jedwabna tunika, obszyta srebrną nitką i małymi cekinami. Pamiętam, jak ją nosiłam pewnego lata w naszym wynajętym domku na Martha's Vineyard. Teraz wydaje mi się równie śliczna jak wtedy.

Prosta jedwabna koszulka w kolorze kości słoniowej, z długimi szyfonowymi rękawami, ucięta po skosie, z asymetrycznym rąbkiem. Zawsze bardzo mi się podobała, ale nigdy jej nie włożyłam. W oczach konserwatystek z New Salem byłaby zbyt awangardowa.

I jeszcze parę innych. Czarna wieczorowa sukienka bez rękawów od Armaniego, ale z urwaną metką, stąd pogarda dziewczyny z komisu; granatowo-kremowa wzorzysta bluzka z szerokimi rękawami; jaskraworóżowa tunika, która też zawsze mnie zachwycała, ale nigdy w niej nie wystąpiłam.

Ogarnia mnie radość, że nie pozbyłam się tych pięknych ubrań, o których zupełnie zapomniałam. Będę je nosić co do jednego, ale nie tak jak kiedyś – w towarzystwie sandałków od Manolo Blahnika i wielkich, połyskujących diamentów.

Będę je nosić tak, by pasowały do mojego obecnego wcielenia. Do dżinsów i botków. Może nawet do chodaków.

Wybieram jedwabną koszulkę w kolorze kości słoniowej, wracam do łazienki, pochylam głowę i suszę włosy suszarką, rozcierając zeszywniałe od żelu kosmyki, prostuję się i potrząsam głową, a miękkie loki opadają mi kaskadą na plecy.

Muszę przyznać z pewnym skrępowaniem, że mija kilka sekund, zanim udaje mi się oderwać od mojego odbicia w lustrze. W niczym nie przypominam wystrojonej, wytapetowanej, obwieszanej biżuterią i budzącej postrach żony na pokaz, o wyprostowanych, przetykanych jasnymi pasemkami włosach.

Nie przypominam też Maggie z dwóch ubiegłych lat: zaniedbanej, znużonej, bezbarwnej. Kobiety, której nie obchodzi to, jak wygląda, kobiety, która doświadczyła tak bolesnej zmiany, że można to dostrzec gołym okiem. Kobiety, która straciła radość życia i wkłada całą energię w przetrwanie z dnia na dzień.

Kobiety, która rozumie, że jej życie stanęło w miejscu, i nie dba o to, czy jeszcze się na nowo rozpocznie.

Kobieta, która spogląda na mnie z lustra, wygląda świeżo, naturalnie, przystępnie. Jest delikatna i ładna. To kobieta, do której chce się zagadać. Z którą chce się zaprzyjaźnić.

Sama chciałabym się z nią zaprzyjaźnić.

Nie dlatego, że ma władzę, ale dlatego, że jest taka, jaka jest.

# 50

## *Maggie*

Buck przytrzymuje drzwi River Tavern i przepuszcza mnie przodem, a ja przystaję na chwilę, bo aż puchnę z dumy z powodu mojego przystojnego, dorosłego syna. Wystroił się w koszulę i zwężane spodnie, i odgarnął z twarzy włosy – tak jak lubię, i on o tym wie – zamiast na podobieństwo Biebera, a ostatnio też wszystkich swoich kumpli, zaczesywał grzywkę na oczy.

W restauracji jest ciepło i jasno. Jakbyśmy wyszli na światło słoneczne. Wszystkie stoliki są zajęte, roznoszą się smakowite zapachy, przy barze w pierwszej sali siedzi kilka osób, obydwa pomieszczenia wypełnia radosny gwar. Wita nas uśmiechnięta dziewczyna, która wyraźnie zauroczona Buckiem prowadzi nas do stolika na tyłach, pod oknami.

– Mamo, wyglądasz obłądnie – mówi Buck, gdy dziewczyna z ociąganiem odchodzi. – Od bardzo dawna cię takiej nie widziałem.

– Jakiej? Odstrzelonej? Na co dzień mi się nie chce – gderam, gdy kelner podaje mi menu z napojami, ale ogromnie miło mi to słyszeć. – Chciałam ładnie wyglądać z okazji pierwszego dorosłego wyjścia mamy z synem.

Buck się uśmiecha i kręci głową.

– Nie chodzi tylko o strój. Sprawiasz wrażenie... szczęśliwej. Nie widziałem cię takiej od... hm... szczerze? Nie wiem, czy *kiedykolwiek* widziałem cię tak zadowoloną – stwierdza i szczerzy zęby. – Wydajesz się młodszą, co jest naprawdę dziwne. Może to przez te kręcone włosy. Masz teraz całkiem inną aurę i to wszystko ci pasuje.

– O! Ale skrupulatna wiwisekcja. Kiedy to mój nastoletni syn stał się taki spostrzegawczy?

Wyciągam rękę i ściskam jego dłoń, bo ma rację: dziś wieczorem jestem szczęśliwa.

Jestem szczęśliwa tu i teraz, z moim synem, w tej właśnie restauracji. Cieszę się, że rozglądam się po innych gościach, wśród których nie ma nikogo znajomego, a jednak czuję, że łączą mnie z nimi więzi człowieczeństwa. Cieszę się, że sobie siedzę, wreszcie czuję się dobrze w swojej skórze i po raz pierwszy od dwóch lat jestem zarazem w świetle i poza światem.

Nie chcę dłużej uciekać. Nie brnę przez życie, zastanawiając się, jak to możliwe, że wszystko wydaje się takie normalne, podczas gdy cały mój świat wywrócił się do góry nogami. Nie zdarza mi się już przerywać na kilka minut oglądania filmu albo czytania książki, żeby dojść do wniosku, że szczęście absolutne istnieje, ale jest dane tylko innym ludziom. Nie mnie.

Nie mam już poczucia, że płynę pod wodą, że słyszę, ale nie czuję. Że się odzywam tylko tyle, ile trzeba, bo mój głos zanikł, utonął w morzu wstydu. Już się nie ukrywam w swojej



pracowni, nie odrzucam wszystkich zaproszeń na babskie wieczorki z Patty i Barb, i nie wychodzę z domu jedynie po to, żeby przejść przez ogród do pana i pani Wellesleyów, i to tylko dlatego, że dbają o mnie jak o własną córkę, że są jedynymi osobami, które kiedykolwiek dały mi bezpieczeństwo, komfort i miłość.

Już nie odliczam godzin do chwili, gdy będę mogła położyć się spać, pragnąc kilku godzin oddechu od ciągłego odrętwienia i zwalczając chęć pozostania w łóżku na parę dni – a może i na resztę życia.

*Jestem tutaj. Świadoma. Szczęśliwa.*

Siedzę w River Tavern, naprzeciw swojego przystojnego syna, który właśnie toczy z kelnerem długą pogawędkę o olbrzymim *molcajete* stojącym na kuchennym blacie, dopytując szczegółowo, jak się robi guacamole i jak to się dzieje, że awokado nie wchodzi w otworki w ściankach.

Dziś wieczorem mogę oddychać.

Dziś wieczorem zdaję sobie sprawę, że w końcu zaczęłam na nowo żyć.

Zjedliśmy z apetytem posiłek, a Buck przez cały wieczór zabawia mnie opowiastkami o szkole, kolegach, ich dziewczynach. Wciąż nie mogę uwierzyć w swoje szczęście: mam oto dziecko, które wszystko mi mówi, które ufa mi na tyle, że szczerze ze mną rozmawia. Od czasu do czasu upominam się jednak, żeby się za wcześnie nie cieszyć. Na pewnym etapie to samo mogłam powiedzieć o Grace.

*Grace.* Na myśl o niej zawsze pochmurnieję. Ciągłe do niej piszę, ale nie odpowiada. Jestem na bieżąco dzięki Buckowi i – od czasu do czasu – Chrisowi, choć ten jest zaaferowany swoim życiem w Nowym Jorku, zbyt zaaferowany, by wyjść poza okazjonalne SMS-y.

Nie mam mu tego za złe. Nie mam tego za złe Grace. Żałuję tylko, że sprawy nie potoczyły się inaczej.

*Jak sobie pościelesz, tak się wypisz.* Często o tym myślę, szczególnie wtedy, gdy ból wywołany rozłąką z Grace staje się prawie nieznośny.

Jak mogę obwiniać swoje dzieci, że nie chcą ze mną obcować, skoro ja nie chciałam obcować z nimi? Przyznaję to z ogromną niechęcią. Dostrzegłam to dopiero, gdy dwa lata temu rozpadł mi się świat. Ale kiedy byli mali, nie miałam pojęcia, jak się nimi zajmować, jak być obecną, jak być matką.

A *skąd* miałam to wiedzieć? Sama wychowywałam się w jaskini. Oboje rodzice całymi dniami pracowali, a ja byłam zdana tylko na siebie. Miałam klucz i co dzień po szkole wracałam do pustego domu. Robiłam sobie coś do jedzenia, odrabiałam lekcje, sprzątałam kuchnię i nastawiałam pranie.

Gdy moja matka sprzątaczką wracała z pracy, sama była wyczerpana, zbyt zmęczona,

żeby się mną zainteresować.

Skąd miałam wiedzieć, jak być rodzicem, skoro sama nie miałam rodziców?

– Czy teraz jestem lepszą matką? – pytam z uśmiechem Bucka jęczącego z rozkoszy nad ciastem daktylowym, które podobno mieliśmy zjeść na pół i które stoi pośrodku stołu, już w trzech czwartych pożarte, podczas gdy moja łyżeczka leży nietknięta.

– Niż kiedy? Wcześniej? W New Salem?

Kiwam głową.

– Mamo! Jak w ogóle możesz o to pytać? Wiesz, że tak, ale to niesprawiedliwe porównanie. Żyliśmy całkiem inaczej, miałaś o wiele więcej spraw na głowie. I jeszcze całą naszą trójkę w domu. No, zanim Chris poszedł na studia, ale i tak było zupełnie inaczej.

– Owszem, ale Grace uważa mnie za zmorę. Despotyczną i wiecznie krytykującą. Dopiero teraz do mnie dociera, że miała rację, ale teraz już taka nie jestem, prawda?

Chcę się upewnić, czy zmieniłam się tak bardzo, jak mi się wydaje.

– Nie, mamo. – Buck kręci głową. – Nie jesteś. Nie zrozum mnie źle, ale od ostatnich kilku tygodni pierwszy raz, dosłownie pierwszy raz, znów poczułem, że mam mamę. Chodzi o to, że ciągle jesteś w domu i mogę na ciebie liczyć jak nigdy wcześniej, lecz jednocześnie jakbyś była myślami gdzie indziej. Wydawałaś się taka... smutna. Cała ta sprawa z tatą i z Grace, a potem to, że Chris prawie się nie odzywa. Jakoś tak miałem wrażenie, że jestem jedyną osobą, która cię odzyskała, ale i ja cię straciłem.

– Przepraszam. – Przetykam z trudem ślinę i mrugam, żeby powstrzymać łzy. – Sama siebie straciłam i wiem, że było ciężko, ale to nie znaczyło, że cię nie kochałam. Ciebie i ich. Ale wróciłam. Naprawdę wróciłam. Chciałabym, żeby Grace dała mi jeszcze szansę. Czy...? – Wpatruję się w obrus. – Czy ostatnio kontaktowała się z tobą?

– Nie. Nie pojawia się na Facebooku, więc jakiś czas nie czatowaliśmy. Wydaje mi się, że Chris widział się z nią kilka tygodni temu. Napisał coś o weekendzie w Nowym Jorku i o tym, że zabiera siostrę do Spice Market.

Przymuszam się do zachowania pogodnej miny, choć to pozory, zważywszy na ból, jaki sprawia mi świadomość, że tak niewiele wiem o życiu moich starszych dzieci. Nie wiem prawie nic o pracy Chrisa, o jego przyjacielach, o tym, co porabia wieczorami, i czy wreszcie nauczył się obsługiwać pralkę. Nie mam pojęcia, jak sobie radzi, nie wspominając już o Grace.

– A jak tam Grace? Czy Chris coś o niej mówił?

Ku mojemu przerażeniu Buck kręci głową. No jasne, że o tym nie rozmawiali. Chris ma inne rzeczy na głowie, a Buck to przecież szesnastolatek. Z jakiej racji mieliby być zainteresowani omawianiem życia Grace?

Znów przełykam ślinę.

– A wiesz, czy wspominała coś o mnie?

– Nie wiem, mam. Przykro mi. Mam się dowiedzieć?

– Nie. Przepraszam. Nie ma sprawy. Skontaktuje się, jak będzie gotowa.

Przymykam oczy, żeby przepędzić ból, i mocuję się ze wspomnieniami i pretensjami, żeby wrócić do terażniejszości.

– Jak to się stało, że *ty* tak dobrze dałeś sobie radę? Chyba że się myłę? – Unoszę brew. – Chyba że za moimi plecami sprzedajesz narkotyki czy coś w tym stylu?

Buck parska śmiechem.

– I ryzykuję, że trener wykopie mnie z drużyny? Żartujesz sobie? Może to dlatego, że jestem najmłodszy. Może jestem za głupi, żeby się wściekać.

Twarz mu poważnieje.

– Oczywiście, że cierpiałem i nic z tego nie rozumiałem, ale... – Wzrusza ramionami. – Chyba nigdy nie myślałem, że tata to zrobił, bo mnie nie kochał. Kto wie, dlaczego to zrobił. Może chciał po prostu spróbować innego życia, zabrął za daleko i nie mógł się już wycofać, ale nigdy nie miałem poczucia, że zrobił to, bo zawiodłem. Myślę, że to podstawowa różnica między Grace a mną. Wydaje mi się, że ona się obwinia.

– Nie obwinia siebie – mówię cicho. – Tylko mnie.

– Ciebie. Siebie. To nie ma większego znaczenia. Chodzi o to, że szukanie winnych prowadzi donikąd. Człowiek wpada w sidła. Szukanie winnych nie pozwala wrócić do życia.

Sięga po kolejną łyżeczkę ciasta, a jego słowa trafiają mnie prosto w serce.

Całuję go na dobranoc, dziękuję za największą przyjemność, jaka mnie od lat spotkała, i idę po cichu do swojej małej sypialni na poddaszu. Ściany wyklejono tu tapetą w kwieciste wzory w stylu angielskim, w oknach wiszą śliczne pasiaste zasłony, a ławeczka w oknie wyłożona jest wielkimi poduchami z frędzlami.

Pani W. urządziła domek gościnny z myślą o odwiedzinach syna i córki, spodziewając się, że wypełni się wnuczętami i przyjaciółmi. Ta sypialnia miała służyć córce, którą starsza kobieta rzadko widuje, a jej marzenia, oczekiwania i uczucia wyhaftowane są na każdej poduszce, wszyte w każdy kwadrat niebiesko-białej narzuty.

Lampy przy łóżku rzucają ciepłe światło. Gdy się kładę, podsuwam poduszki pod plecy, sięgam po laptopa, otwieram go sobie na kolanach i wpatruję się w ekran, w głowie wciąż

rozbrzmiewają mi słowa Bucka.

*Szukanie winnych prowadzi donikąd... Szukanie winnych nie pozwala wrócić do życia.*

Wszystko staje się wreszcie jasne jak słońce. To dlatego nie potrafiłam zamknąć tego rozdziału. Byłam zbyt zajęta obwinianiem.

Obwinałam Marka – za wstyd, kłamstwa, oszustwo, tarapaty finansowe, kradzież.

Obwinałam Sylvie. Inni może i myśleli, że jest taką samą ofiarą jak ja, ale ja wiedziałam, że gdyby nie ona, gdyby Mark jej nigdy nie poznał, być może nadal miałabym wiernego męża. Być może nadal wiodłabym życie, którego – jak mi się zdawało – zawsze pragnęłam.

Ale nade wszystko obwinałam siebie. Jak mogłam być taka głupia? Jak mogłam nie powątpiewać w jego oczywiste kłamstwa? Jak mogłam być taka wyrozumiała?

Człowiek widzi to, co chce zobaczyć, i słyszy to, co chce usłyszeć.

Wierzyłam, bo chciałam wierzyć. Działałam wbrew intuicji, która podpowiadała mi, że coś tu nie gra, i świadomie ją zagłuszyłam, bo nie chciałam, żeby w moim życiu cokolwiek się zmieniło.

Ciężar, który dźwigałam na barkach przez dwa lata, w końcu mnie opuszcza.

Czas o wszystkim zupełnie zapomnieć.

# 51

## *Buck*

– Przystopuj, Hathaway! – słyszę z oddali głos trenera, gdy przypieram przeciwnika do bandy lodowiska. Puszczam go, warcząc niczym wściekły zwierz.

Nie mam pojęcia, jak to się dzieje, że gram w lacrosse i hokeja z taką furją, taką pasją, bo po zejściu z lodowiska i boiska jestem łagodny jak baranek.

Ale tu, na lodowisku w Norwich, wiedzą, że podczas meczu nie dam sobie w kaszę dmuchać. Nie podczas treningów, ale w warunkach narzuconej rywalizacji coś we mnie wstępuje. Może sięgam do pokładów złości, które ukryte są tak głęboko, że ledwie zauważam ich istnienie, chociaż zważywszy na to, przez co przeszła moja rodzina, z pewnością nie zdziwiłoby to żadnego psychologa.

Puszczam typa i słucham poleceń trenera, widząc, że przyciągnąłem uwagę grupy dziewczyn, które wiernie kibicują naszej drużynie. Większość z nich chłopaki znają od wieków, a ja to najwyraźniej „świeża krew”, która przyciąga je na mecze.

Są fajne, ale żadna mnie szczególnie nie interesuje.

Po zniknięciu taty mama miesiącami powtarzała, że musi mnie zabrać do jakiegoś specjalisty, że to ważne, bym z kimś porozmawiał, opowiedział, co czuję. Całe wieki zajęło mi uświadomienie jej, że nie mam o czym mówić.

Nigdy nie podzielałem odczuć Grace, że tata to zrobił, bo mnie nie kochał albo że to moja wina. Ludzie dają dupy; on też dał dupy, lecz to nie ma nic wspólnego ze mną. Jednak przez to musiałem dorosnąć, to fakt. Może i mam szesnaście lat, ale czuję się na dwadzieścia. Albo i dwadzieścia pięć. Kiedy patrzę na tę grupkę dziewczyn, słodkich i rozchichotanych, śledzących na lodowisku każdą moją pętlę i każde uderzenie, czuję się dostatecznie stary, by być ich ojcem, chociaż wiem, że jesteśmy w tym samym wieku.

A ta dziewczyna z River Tavern? Ta, która tamtego wieczoru prowadziła nas do stolika? Pewnie dwudziesto- albo dwudziestojednolatka? Jeśli chodzi o nią, to na pewno warto tam jeszcze wrócić.

Wygrywamy mecz, ale odmawiam wypadu na lody dla uczczenia zwycięstwa. Muszę wrócić do pracy na przystani i przed odejściem do samochodu macham dziewczynom na do widzenia.

Właśnie wrzucam do tyłu torbę, gdy czuję na ramieniu czyjąś dłoń. Obracam się. To jedna z dziewczyn. Trzeba przyznać, że ta najładniejsza. Gdybym w ogóle był zainteresowany, a nie jestem, wybrałbym właśnie ją.

– Cześć – uśmiecha się. Kusząco.

– Cześć. – Zastygam z dłonią na klamce. – Rachel, tak?

Twarz jej się rozpromienia.

– Skąd wiesz?

– Znam cię z widzenia.

– A ty jesteś Buck.

– Buck Hathaway. – Wyciągam do niej rękę, jak mnie zawsze uczono, a to trochę zbija ją z tropu. Patrzy na moją dłoń, śmieje się i podaje swoją do uścisku.

– To najbardziej zajebisty wózek na świecie – mówi, patrząc na samochód. – Widziałam cię w nim i umieram z zazdrości. Sama jeżdżę rozklekotaną hondą i marzę o starym F-100.

Jestem pod wrażeniem, że wie, z czym ma do czynienia, i nie, nie spojrziała wcześniej na maskę.

Grzebie teraz japonką w żwirze i spogląda na mnie, przygryzając wargę, co w założeniu ma być na wpół urocze, na wpół dwuznaczne.

– Wysłałam, żeby zapytać, czy nie chciałbyś się z nami pobujać wieczorem.

– Pobujać?

– U mnie. Około ósmej. Moi rodzice wychodzą. Powinieneś przyjść. Masz przy sobie telefon? Mogę ci wysłać swój adres.

Wyjmuję telefon, podaję jej numer, żeby mogła wysłać adres SMS-em, i dziękuję za zaproszenie.

– Ale nie dam głowy, czy mi się uda – mówię z miną wyrażającą udawany żal. – Mama prosiła, żebym coś tam dla niej zrobił. Ale postaram się z tego wywinąć, dobra? Zrobię, co się da.

– Ja cię zabawię o wiele lepiej niż mama. – Wydyma wargi. – Obiecuję.

To powiedziawszy, odwraca się na pięcie i idzie w stronę lodowiska, celowo kręcąc tyłkiem, co sprawia, że czuję jednak maleńką pokusę.

Rzecz w tym, że ona nie jest w moim typie. I na pewno nie będę się z nią bawił lepiej niż z moją mamą. Jeszcze dwa lata temu może by i tak było, ale moja mama stała się najfajniejszą mamą, jaką mógłbym sobie wymarzyć, raczej przyjaciółką niż mamą, chociaż nadal są sprawy, o których nie powiedziałbym jej za żadne skarby.

O tym, że choć wie, że tata pisuje do mnie z więzienia długie listy, to nie ma pojęcia, że

mu odpisuję. Na początku tego nie robiłem, ale Chris wyjechał i brakowało mi taty. Chciałem, żeby wiedział o tym, że jestem w reprezentacji, że mam samochód i tak dalej, ale musiałbym poczekać, żeby powiedzieć mu to wszystko osobiście. Zresztą musiałem poczekać, żeby w ogóle mu zaufać.

Pilnuję, żeby nie opowiadać o mamie. Tata nie pyta, a ja nic nie piszę. Nie pytam też nigdy o jego drugie życie. Wszystko zaczęło się od tego, że tata wysłał mi książkę, *A Separate Peace* Johna Knowlesa. Poprosił, żebym ją przeczytał i dał mu znać, co myślę, i tak zaczęliśmy się dzielić książkami, niczym w nieformalnym klubie wysyłkowym.

Wybieramy na zmianę książki do czytania, a potem je sobie nawzajem opisujemy. Tata zawsze wybiera coś w stylu *Buszującego w zbożu* albo *Władcy much* i martwi się moimi wyborami, chociaż akurat *The Hatchet* Gary'ego Paulsena bardzo mu się spodobał.

Nie powiedziałbym też mamie o balangach Grace. Spotykam się z nią kilka razy w tygodniu na Facebooku i średnio w połowie przypadków ledwie mogę zrozumieć, co mówi, bo tak bełkocze. Przysięga, że nie jest pijana, tylko zmęczona, ale ja już nie mam dwunastu lat.

Wydarłem się na nią kilka miesięcy temu i przez trzy tygodnie się do mnie nie odzywała, aż w końcu przeprosiłem. Napisałem, że nie miałem racji, i przestałem poruszać ten temat.

Nie mogę o tym pogadać z mamą, jako że Grace dalej się z nią nie kontaktuje, bo to by tylko tragicznie pogorszyło sprawę. Chris jest przekonany, że to nic poważnego, normalne studenckie imprezowanie, i być może się nie myli. Może tak jest. Kiedy ostatnio kilka razy pokazała się na Facebooku i chciała poczatować, udawałem, że jej nie widzę, bo wkurzam się, gdy jest pijana. Wolę z nią pogadać w ciągu dnia.

Wracam do domu, całuję mamę, porywam z lodówki pół kanapki i karton mleka, i za plecami mamy zabieram je na górę. Połykam jedzenie, laptop szumi, szybkie klik-klik, loguję się i ekran od razu zapęłnia się okienkami z chętnymi do czatowania.

Grace. Olewka.

– Dawaj, bracik – pisze. – Wiem, że tam jesteś. Widzę, że dopiero co wszedłeś. Chcesz pogadać z kamerką? Kopę lat. Chciałam się przywitać.

Wiem, że prawdopodobnie jest nawalona. Wiem, że mnie to wkurzy. Ale to moja siostra. I kocham ją. I teraz ma już tylko mnie.

## 52

# Maggie

Uczucie szczęścia nieco okrzepło, ale nie zniknęło. Nie pamiętam, kiedy ostatnio się tak czułam; słowo „szczęście” to za mało – ja *czuję, że żyję*. Odżyłam na nowo. Nie mam pojęcia, jak to się stało i dlaczego – nie wiedziałam nawet, że czegoś takiego pragnę, ale przez kilka ostatnich dni budzę się szalenie podekscytowana tym, co mnie jeszcze w życiu czeka.

Dostaję nawet wyższe napiwki. Patty i Barb podśmiewają się ze mnie, że powodem mojego nagłego rozanielenia jest nowy chłopak, którego przed nimi ukrywam, ale – niestety – nie mam dla nich żadnego wyjaśnienia poza ruchem tektonicznym samego jądra mojego jestestwa.

Zawracam przy sklepie spożywczym, bo przypominam sobie, że pani W. podrzuciła wielką misę zebranego z samego rana groszku, gotowego do wyłuskania, i chociaż nie byłam nigdy wybitną kucharką, nagle zachciewa mi się zrobić zupę.

W sklepie wypełniam koszyk zapamiętanymi składnikami: szalotki, bekon, masło, bulion z kurczaka, kwaśna śmietana i szczypiorek do przybrania. Zatrzymuję się jeszcze przy stoisku z pieczywem, żeby wziąć kilka bochenków świeżego chleba na sodzie.

– Maggie? – Obracam się i widzę, że do kasy podchodzi George. Uśmiecha się szeroko, a ja odstawiam koszyk i ściskam go mocno.

Tak mocno się zaangażowałam w swoje paciorki i naszyjniki, że nie widziałam się z nim od kilku tygodni, i dopiero gdy się odsuwam i patrzę na jego swojską, pomarszczoną twarz, dociera do mnie, że za nim tęskniłam.

– Ethel znów wyjechała? – pytam, widząc zawartość jego koszyka: puszka zupy Campbell, gotowe mrożone danie, paczka szpinaku i wielki pojemnik lodów karmelowych.

– Ciii. Nie mów jej o lodach. Gotowa mnie zabić.

– Prędzej cię zabije to mrożone żarcie – mówię. – Trzeba ci świeżego, domowego jedzenia. Może pojedziesz ze mną? Zamierzam ugotować zupę z groszku. Możesz mi dotrzymać towarzystwa w kuchni i zabrać trochę zupy ze sobą. Pewnie wyjdzie jej tyle, że nie będę wiedziała, co z nią zrobić.

– Nie chciałbym ci przeszkadzać – mówi George, zupełnie nieprzekonująco.

– Nie będziesz przeszkadzał. Może zerkniesz na moje naszyjniki? Ciągle myślę o tym, żeby ci je przynieść do wypolerowania, ale jeszcze nie zdążyłam ich dokończyć. Walczę z mocowaniem zapinek.

– Trzeba było od razu mówić! – George’owi rozjaśnia się twarz. – Chętnie to dla ciebie



zrobię! Mam jechać za tobą?

Na kuchence gotuje się powoli zupa, a George siedzi zadowolony przy kuchennym stole; zamocował już zapinki i przegląda teraz lokalną gazetę.

– Ethel ostatnio bardzo często jest w drodze – mówię ostrożnie, stawiając przed nim talerz z serem i krakersami. – Pewnie ci ciężko spędzać tyle czasu w samotności.

– O, nie. – George wsuwa do ust krakersa. – Nie słyszałaś jeszcze marudzenia Ethel. Kiedy jej nie ma, mam święty spokój, ale nie mów jej, że to powiedziałem.

– Czyli mamy już dwie tajemnice – uśmiecham się. – Ani mru-mru o lodach i o marudzeniu. Czyżby to był klucz do szczęśliwego małżeństwa?

– Szczęśliwego? – George parska śmiechem, który przechodzi w kaszel. – Przepraszam. Zakrztusiłem się krakersem. Nie wiem, czy w przypadku mnie i Ethel w ogóle można było mówić kiedyś o szczęśliwym małżeństwie.

Siadam na krześle naprzeciwko.

– Poważnie? To nie byłeś w niej zakochany, kiedy braliście ślub?

– Zakochany? Też coś! Wy, młodzi, gadacie o zakochaniu, ale nie na tym polega prawdziwe życie. Pasowaliśmy do siebie, pewnie, że tak. Nasze rodziny się znały i moment był odpowiedni, i wydaje mi się, że gdy patrzyliśmy na siebie nawzajem, wiedzieliśmy, że całkiem dobrze się dobraliśmy.

– A nigdy nie chciałeś... czegoś więcej?

– Och, dostałem coś więcej. – George uśmiecha się tęsknie, a ja rozdziawiam usta.

– Czyżbyś miał... romans? – pytam wstrząśnięta.

– Oczywiście, że nie! – odpowiada George, wyraźnie dotknięty. – Ale przeżyłem wielką miłość i naprawdę wiem, co to znaczy, lecz wielka miłość i dobre małżeństwo nie zawsze idą w parze.

– Co masz na myśli? – Nachylam się zafrapowana. – Dlaczego nie mogłeś się z nią ożenić?

– Jej rodzina miała dla niej własne plany, a pochodziliśmy z dwóch różnych światów. Zawsze wiedzieliśmy, że wyjdzie za jednego ze swoich, i spędziliśmy ze sobą tylko krótką chwilę, w której cały mój świat wydawał się weselszy i lepszy, i piękniejszy, tylko dlatego, że ona w nim zamieszkała.

– Och, George – wzdycham i głaszczę go po dłoni. – To takie smutne, że nie mogliście zostać razem.

– Nic w tym smutnego, takie jest życie... – urywa i patrzy na drzwi, bo właśnie ktoś przekręca gałkę.

W progu staje pani W. z butelką prosecco w dłoni.

– Mamy wspaniałą wiadomość! Och! – Zamiera, widząc George’a.

– Proszę wejść! – Cieszę się na jej widok. – Proszę wejść i usiąść. Co tam słyhać? To mój przyjaciel, George Pawley.

– Znam George’a – mówi pani W.

– Witaj, Leono. – George się prostuje, przybiera rzeczowy ton, wstaje i podsuwa pani W. krzesło. – Proszę, siadaj.

Pani W. siada w milczeniu na krześle i gdy spogląda na George’a, ich spojrzenia łagodnieją i oboje nie mogą oderwać od siebie oczu.

– Skąd znasz...? – Staram się pełnić honory domu, ale zaraz milknę, widząc, jak świecą im się oczy i jak się do siebie uśmiechają. Oczywiście George wiedział, kto tu mieszka. Ale czy to możliwe, że pani W. jest kobietą, o której właśnie opowiadał? Patrzę to na jedno, to na drugie, wiedząc, że George miał świadomość, czyj to dom, stąd jego niechęć do wyjścia. Z całą pewnością miał nadzieję spotkać panią W., która wedle wszystkich znaków na niebie i ziemi musi być tą wielką miłością, o której mówił.

– Może kieliszek prosecco? – pytam panią W., ale tym razem nie odpowiada. Jest przejęta takim zachwytem na widok George’a, że sprawia wrażenie głuchej.

– Muszę skoczyć na chwilę na górę – mówię, choć nie jestem pewna, co robić. – Ale wy sobie zostańcie. Czujcie się jak u siebie.

Czuję się jak intruz i boję się teraz, że coś niechący zapoczątkowałam. Wychodzenie to chyba najgorsze z możliwych rozwiązań, ale jestem jak piąte koło u wozu, więc biegnę na górę zastanowić się co dalej.

Myję ręce, ochlapuję twarz zimną wodą, a potem biorę głęboki oddech i wracam na dół, gdzie zastaję George’a i panią W. w drzwiach, gotowych do wyjścia i roześmianych.

– Idziecie już? – pytam, a w moim głosie pobrzmiwa panika. Czyżby razem uciekali? Zamierzali podjąć niedokończony romans? Widać wyraźnie, że dobrze się czują w swoim towarzystwie.

– George idzie do nas na kolację. – Pani W. uśmiecha się szeroko. – Właśnie wpadł pan W., żeby sprawdzić, gdzie się podziewam, i zaprosił George’a. Ty też musisz przyjść. Mamy wspaniałą niespodziankę. Cole wrócił.

– Cole, pani syn?

– A któż by inny? – Śmieje się. – Przynieś zupę z groszku. Zjemy około ósmej?

Z uśmiechem wchodzę po schodach, myśląc sobie, że może powinnam się nauczyć odmawiać.

# 53

## Maggie

Zostało mi kilka pięknych ubrań, ale dziś wieczorem chcę wyglądać jeśli nie pięknie, to przynajmniej przyzwoicie, i włożyć na siebie coś lepszego niż dżinsy i bluzy, które stały się moim codziennym strojem.

Mam czarne legginsy, nieco wystrzępione u dołu, lecz jeśli się je podwinie, prawie nic nie widać. Do tego baleriny i jeszcze nienoszony luźny, cienki sweterek z frędzlami kupiony w lutym, kiedy w North Cove Outfitters ruszyła wyprzedaż likwidacyjna.

Z zaciekawieniem oczekuję spotkania z Cole'em. Niewiele o nim wiem poza tym, że rodzice niebywale go kochają i niebywale za nim tęsknią. Na stołach w domu porozstawiane są zdjęcia młodego, przystojnego, krótko ostrzyżonego człowieka, który uśmiecha się szeroko do aparatu. Albo jego fotografie z dzieciństwa, gdy szelmowsko i niesfornie popatruje na swoją siostrę.

Urodził się w tym samym roku co ja; to zapamiętałam. Nigdy nie był żonaty, i mimo że jego rodzice wspominali o byłych dziewczynach, zastanawiałam się często, czy nie jest przypadkiem gejem i – znając jego rodziców i ich konserwatywne, jankeskie poglądy – nie chciał im się do tego przyznać.

Kimkolwiek jest, chciałabym, żeby mnie polubił. Pragnę zrobić dobre wrażenie: wymodelowałam starannie włosy i specjalnie na tę okazję użyłam błyszczycy i tuszu do rzęs.

– Ej, mamo. – Buck zatrzymuje się na ścieżce, gdy idziemy przez ogród, i czeka, aż go dogonię. – A co, jeśli ty i ich syn zakochacie się w sobie i weźmiecie ślub? Ale by było ekstra, co? Wtedy naprawdę zostaliby moimi dziadkami.

– Nie wygłupiaj się – uciszam go. – I możesz mówić trochę ciszej? Nie wspominając o tym, że małżeństwo to nie temat na pogaduszki. Nigdy więcej nie chcę wychodzić za mąż, a nawet gdybym chciała, to nie jest właściwy mężczyzna.

– Skąd wiesz? – szczerzy zęby Buck. – Przecież go nie znasz.

– Po prostu wiem. Uwierz mi.

Idziemy dalej ścieżką, Buck podśpiewuje cicho *Love Is in the Air*, a ja się nie odzywam. Cokolwiek teraz powiem, tylko go sprowokuję, i skłamałabym mówiąc, że nie jestem ani trochę ciekawa.

Z salonu położonego po frontowej stronie domu dobiegają głosy, ale ja, jak zawsze, wchodzę tylnymi drzwiami i kieruję się do kuchni, żeby zostawić zupę i chleb.

Zastaję tam Elsę, gosposię, która pracuje u pani W. od prawie czterdziestu lat. Jest niska,

kraęła i zawsze ma błysk w oku. Krząta się teraz z uśmiechem po kuchni, przygotowując potrawy na kolację.

Ściska mnie mocno i mierzwi Buckowi czuprynę, gdy ten podchodzi prosto do tacy z przystawkami, zanurza palec w dipie z karczocha i oblizuje go, mruczając głośno z zadowolenia.

– Buck! – upominam go przerażona.

– No co? Elsa zawsze pozwala mi spróbować, prawda, Elso?

– *Ś!* To dorastający chłopak, psze pani. Musi sobie podjąć.

– To już rozumiem, dlaczego tu ciągle przychodzisz. Mam nadzieję, że nie musicie sobie przez niego odejmować od ust?

– To dla mnie sama przyjemność – mówi Elsa. – Wszystkie dzieci dorosły i poszły swoją drogą. Cieszę się bardzo, że mi się tu pęta ten chłopak.

Patrzy na Bucka z miłością w oczach, a mnie po raz kolejny ogarnia wdzięczność, że wylądowałam właśnie w tym miejscu, pośród tych ludzi, którzy stali się moją rodziną, rodziną o wiele zdrowszą i czulszą niż moja własna.

Przechodzimy korytarzem do holu, a potem do salonu, a ja rozglądam się wokół i utwierdzam w przekonaniu, że uwielbiam ten dom. Ma w sobie elegancję minionej epoki, elegancję, jakiej współcześnie trzeba ze świecą szukać. Ściany w salonie wyłożone są boazerią, wiekowe mosiężne kinkiety podświetlają olejne portrety rodzinne Wellesleyów, antyczne pluszowe kanapy stoją zestawione razem, ze stoliczków usunięto książki, żeby przygotować je na przyjęcie tac z przekąskami.

Na podłodze leżą perskie dywany, już wytarte. Nikomu nie przyszło na myśl wymienić ich pospiesznie na nowe pluszowe wersje, gdy tylko połuźnił się splot. To właśnie wiek i nie najlepszy stan decydują o ich urodzie.

Perkalowe zasłony są odsłonięte i opasane ciężkimi sznurami zakończonymi frędzlem. Ktoś mógłby uznać to wnętrze za staroświeckie i niemodne, ale ktoś inny przekonywałby, że jest eleganckie, choć nie onieśmielające.

Właśnie taki efekt chciałam zawsze osiągnąć, tak miał wyglądać „reprezentacyjny salon” w naszym domu w New Salem. Teraz zdaję sobie sprawę, że nigdy by mi się to nie udało, ponieważ ten pokój urządzano przez długie lata, z uczuciem i pieczołowitością. Żaden projektant nie wybrał tych obrazów ani nie haftował poduszek. Meble są zabytkowe i lśnią od pszczelego wosku, nałożonego i startego na wysoki połysk przez sumienną Elbę.

Przy barku stoi jakiś mężczyzna, który właśnie odstawia na blat kryształową karafkę. To na pewno Cole. Jest wyższy niż się spodziewałam, ma brodę i w niczym nie przypomina osoby ze zdjęć, pochodzących widocznie sprzed co najmniej dziesięciu lat.

Gdy się uśmiecha, wokół jego oczu pojawiają się wyraźne zmarszczki. Podchodzi, żeby się przedstawić, a mnie od razu uderza jego niezwykła uroda. Nie spodziewałam się po sobie takiej reakcji, co jest doprawdy absurdalne, zważywszy na to, że widziałam wcześniej jego zdjęcia.

Może po prostu nie sądziłam, że... wyrze na mnie takie wrażenie. To coś więcej niż stwierdzenie, że jest przystojny. Wydaje mi się, że w jego twarzy i sposobie bycia kryje się coś, co porusza we mnie jakąś strunę.

A tego się nie spodziewałam. Co rusz popatruję na gładko ogolonego, krótko ostrzyżonego mężczyznę na zdjęciach stojących na pobliskim stoliku.

Cole śledzi moje spojrzenie.

– Jestem Cole. Starsze, bardziej włochate wcielenie tego tam.

Mrugam powiekami, patrzę na niego i w końcu przytomnieję na tyle, by móc odpowiedzieć; przedstawiam się, śmieję w sposób, który można, mam nadzieję, opisać jako „uroczy”, a Cole mówi, że bardzo dużo o mnie słyszał.

– Spodziewałem się, że będziesz inna – oznajmia, a ja czuję drżenie serca. – Zabawne. Pamiętam, gdy podczas pobytu w Kapsztadzie wpadła mi w ręce gazeta, w której o tobie pisano. Kiedy mama powiedziała, jak się nazywasz, i skojarzyłem fakty, miałem wrażenie, że opowiada o zupełnie innej osobie.

Zamieram. Czerwienię się jak burak i wpatruję w niego wybałuszonymi ze zdumienia oczami. Mówi o tym tak, jakby to była pestka, jakby wszyscy wiedzieli, ale przecież tutaj nikt nie wie, więc pokonując falę mdłości, zaczynam się jąkać, nie bardzo wiedząc, co odpowiedzieć.

– Widzę, że wytrąciłem cię z równowagi – urywa i mina mu rzednie. – Bardzo przepraszam. Niepotrzebnie poruszyłem ten temat. To było nietaktowne.

– Nie, nie – mruczę pod nosem, siadam na kanapie z rozpaczliwą nadzieją, że wypieki ustąpią, i zastanawiam się gorączkowo, jak wybrnąć z tej sytuacji.

– Maggie – mówi cicho pani W., siada koło mnie, delikatnie bierze mnie pod brodę i obraca moją głowę, żebym spojrzała jej prosto w oczy. – Maggie, moja droga. Czyżbyś sądziła, że nie wiemy? Oczywiście, że wiedzieliśmy. Sprawdziliśmy twoje nazwisko w Internecie, gdy tylko zgłosiłaś się do wynajmu domku, ale ani trochę nas nie obchodzi to, co ci się przydarzyło w przeszłości. Tym bardziej że w niczym nie zawiniłaś. Chcieliśmy się tobą zaopiekować – ciągnie z uśmiechem. – A teraz należysz już do rodziny. Należysz do naszej rodziny.

Kładzie mi dłoń na kolanie i ściska krzepiąco.

– W naszej rodzinie lubimy skandaliki – dodaje serdecznie pan W. z drugiej części pokoju. – Przynajmniej coś się dzieje.

– A ty pod tym względem nie dorastasz do pięć niektórym Wellesleyom – mówi pani W. – Nasz kuzyn był podejrzewany o zabójstwo leśniczego, ale sam został zamordowany, gdy dołączył do mafii.

– A Althea? – kontynuuje pan W. – Wysłano ją na Bermudy, żeby nie musiała zeznawać w sprawie zaginięcia... – Ścisza głos i szeptem podaje nazwisko rozpoznawalne w każdym amerykańskim domu. – Była jedynym świadkiem i ciocia Evelyn ją wyprawiła, żeby nie odebrała wezwania do sądu.

– A czy *wiedziała*, co się stało? – Po moim rumieńcu nie ma śladu, pani W. rozbudziła moją ciekawość i bardzo chcę się dowiedzieć czegoś więcej.

– O, tak – odpowiada pani W., zanim mąż zdąży ją uciszyć.

– Dość powiedzieć, że nieprędko wróci do posiadłości na Martha's Vineyard – kwituje Cole. – I nie, Althea tego nie zrobiła. Przepraszam. – Obraca się w moją stronę. – Nie chciałem cię zawstydząć. Jak widzisz, my się tu nie cackamy.

Oddycham z ulgą.

– Od razu mi ulżyło – mówię, a potem ku własnemu przerażeniu wybucham płaczem.

Teraz to dopiero jestem zawstydzona. Nie mam pojęcia, dlaczego płaczę, ale biorąc z wdzięcznością bawełnianą chustkę do nosa, którą pan W. wyjmuję z kieszeni i w milczeniu podaje, zdaję sobie sprawę, że przez całe życie czułam się nieakceptowana i przerażona myślą, że gdyby ludzie naprawdę mnie poznali – dowiedzieliby się o mojej rodzinie – nie chcieliby mieć ze mną nic wspólnego.

Kiedy Mark mnie zdradził, na jaw wyszły moje ukryte lęki, mój tajony wstyd, a domek z kart, który przez lata budowałam, zaczął się rozsypywać. Wbrew mojemu głupiemu przekonaniu wcale nie zostałam zaakceptowana przez ludzi, którzy się liczą, finansistów i ich luksusowe żony. Pozbyli się mnie jak brudnej szmaty, co tylko potwierdziło to, o czym wiedziałam przez cały czas.

Jestem niewiele warta.

Mimo wszystkich zmian, których dokonałam w ciągu ostatnich dwóch lat – przeprowadzki, podjęcia pracy, odcięcia się od poprzedniego życia – ciężar przeszłości, ciężar tej wielkiej tajemnicy, wisiał mi na karku jak potężny kamień.

Może i odnalazłam siebie, ale co, jeśli odkryją, kim byłam kiedyś? Co, jeśli zorientują się, że kelnerka w restauracji to nie jakaś tam Maggie, tylko kobieta z tej słynnej sprawy o bigamię?

Tu i teraz, w tym cudownym pokoju, z tymi wspaniałymi ludźmi, którzy tak troskliwie się mną opiekowali, wiem ponad wszelką wątpliwość, że po raz pierwszy w życiu ktoś mnie akceptuje bez zastrzeżeń. Przez cały czas wiedzieli i nie osądzali mnie z tego powodu.

Nie uważają, że prawdziwa Maggie jest niewiele warta, i nie oceniają, kim byłam kiedyś i jak mogliby mnie postrzegać na podstawie okropnych opisów w prasie.

– A może drinka? – Pan W., skrępowany tym ekshibicjonizmem emocjonalnym, odchrząkuje, wstaje i rusza w stronę barku. – To co, brandy? – pyta, a Cole i ja przechwytyjemy swoje spojrzenia i parskamy śmiechem.

– Tato, Maggie nie jest na skraju załamania! – odpowiada Cole. – Brandy to lekka przesada, co?

– Już wiem! – mówi pani W. – Może szklaneczkę prosecco?

Przy pieczeniu Cole oznajmia, że po kolacji chciałby się wybrać na spacer.

– Stęskniłem się za plażą – wyznaje. – Czy możemy się przejść na plażę? Nie ma nic piękniejszego niż plaża nocą.

– Stęskniłeś się za plażą? – śmieje się pan W. – Dostawaliśmy kartki z Tajlandii, Fidżi, Bora-Bora. Miałeś plaży pod dostatkiem!

– To nie to samo co plaża w Old Saybrook – odpowiada z uśmiechem Cole. – Człowiek w końcu ma dość tego białego piasku i turkusowego morza.

– Doprawdy życie jest ciężkie – żartuję, próbując nawiązać kontakt wzrokowy z Buckiem i pokazać mu, żeby pomógł zbierać talerze.

– Co? – Marszczy brwi Buck i zdezorientowany patrzy na swój talerz. – Mam coś na talerzu?

– Nie, kochanie. Staralam się bardzo subtelnie nakłonić cię do pomocy w sprzątanii ze stołu.

Buck podrywa się zawstydzony i sięga po talerz pani W.

– Nie trzeba, mój drogi. – Pani W. gestem nakazuje mu usiąść, a Buck, nie wiedząc, co począć, patrzy w moim kierunku. – Elsa to zrobi – dodaje pani W.

– Wiem, że Elsa mogłaby to zrobić – mówię. – Ale próbuję go wychować na czyjegoś męża. Niech pani tylko pomyśli, jaka wdzięczna mi będzie jego żona za to szkolenie.

– Całkiem słusznie – przyznaje pani W. – W dzisiejszych czasach młodym trzeba wszystko mówić. Robisz kawał dobrej roboty, Maggie. Buck to zachwycający młody człowiek. Dobrze go wyszkoliłaś, nie mam racji, Wells? – zwraca się do pana W. – Dzieci i psy. Niczym się nie różnią, przynajmniej zdaniem tego człowieka, którego tak lubimy. Jak on się nazywał? Niewysoki. Z Meksyku. No, pomóż. O kim mówię?

– Nie mam bladego pojęcia. – Pan W. patrzy na nią speszony.



– Ależ masz, masz, Wells. Stale oglądamy jego programy. Robisz to, co on. No wiesz: *tssst*.

Wydaje syczący dźwięk, na który obydwaj psy leżące pod stołem u stóp pana W. podnoszą łby.

– Ten, no, psi... behawiorysta. Psi behawiorysta! Jak mu tam było? Boże jedyny. Ależ mi ostatnio szwankuje pamięć – mówi i patrzy bezradnie na męża.

– Cesar Millan? – podpowiada Buck.

– Właśnie on! – wykrzykuje triumfalnie pani W. – Ciągłe mówi o przywódcy stada, i z dziećmi jest tak samo. Muszą wiedzieć, kto jest przywódcą stada, kogo szanować.

– Czyli ja niby jestem przywódcą stada? – Krzywię się. – Nie jestem pewna, czy podoba mi się wydźwięk tego określenia.

– Jesteś i nie ma w tym nic złego. Szczenięta muszą wiedzieć, kto tu rządzi. Co on tam jeszcze mówi? Że to nie psy są oszalałe ani złe, tylko właściciele. Gdy właściciele zmieniają swoje nastawienie, to i psy się uspokajają. Liczy się łagodne, asertywne podejście. Wszystkie kłopoty biorą się z tego, że psy nie wiedzą, na czym stoją, i nie są w stanie zaufać osobie, która powinna być przywódcą stada.

– Tak do waszej wiadomości... – Buck opiera się o stół, nachyla ku panu i pani W., i obniża głos do konspiracyjnego szeptu. – Ja tylko pozwalam jej sądzić, że jest przywódcą stada. Wtedy wszyscy są zadowoleni.

Puszczą oko, a państwo W. wybuchają śmiechem.

Stoję na kamieniu, a wiatr się wzmaga i splątuje mi włosy, aż w końcu odpinam klamrę i puszczam je wolno, nieskrępowanie. Przysmykam oczy i wdycham nocne powietrze.

Pozostali się wymigali. Buck był zaproszony na imprezę, a państwo W. oznajmili, że po tak sutym posiłku nadają się tylko do łóżka.

Zostaliśmy więc we dwoje: Cole i ja. Coś mi się zdaje, że mogli to zrobić celowo.

Oddycham głęboko, zamykam oczy i prawie czuję w ustach posmak soli i morza; rozkładam ręce i odchylam do tyłu głowę, odrobinę wstawiona winem lanym obficie do kolacji.

– Cudownie! – wołam do Cole'a, który stoi nad samą wodą i pochyla się, żeby przyjrzeć się muszli. – Czuję się znów młoda. Nie mam pojęcia, dlaczego tu nigdy nie przychodzę.

– Nie jesteś jeszcze stara. – Cole podchodzi do mnie i wkłada mi w dłoń muszlę.

Ledwo ją widzę w słabym świetle księżycy, ale przesuwam kciukiem po jej liniach

i chowam ją bezpiecznie do kieszeni.

– Kiedyś ciągle tu przychodziłem – mówi Cole, sadowiac się na kamieniu. Dołączam do niego, podkulam nogi i otaczam je ramionami. – Na ogół jest tak, że gdy się już gdzieś mieszka, nigdy nie wykorzystuje się w pełni walorów tego miejsca. Miałem kiedyś dziewczynę w Londynie. Mieszkała tam trzydzieści lat i nigdy nie była w Tower ani nie widziała zmiany warty przed pałacem Buckingham. Nigdy nie była w Westminsterze, ani w pałacu, ani w opactwie. Nie mogłem w to uwierzyć. Dla niej to było coś oczywistego i uważała, że to atrakcje turystyczne dla przyjezdnych z Ameryki.

– A ty byłeś dla niej przyjezdnym z Ameryki? – pytam z ciekawości, zapominając, że wcześniej zastanawiałam się, co prawda przelotnie, czy nie jest przypadkiem gejem.

– Tak – śmieje się. – Ciągałem ją po wszystkich atrakcjach turystycznych, jakie mi przychodziły na myśl, z festiwalem w Edynburgu włącznie, i była zachwycona. Powtarzała, że trudno jej uwierzyć, że tuż za progiem czeka tyle fantastycznych miejsc.

– Akurat Edynburg niekoniecznie leży za jej progiem.

– No nie, ale wiesz, o co chodzi.

– I co było dalej?

– Z czym, z Edynburgiem?

– Nie! – Popycham go żartobliwie. – Z dziewczyną.

– To samo, co z innymi – odpowiada szczerze. – Nie umiałem dłużej usiedzieć w jednym miejscu. Miałem upodobanie do kobiet, które pragnęły czegoś dokładnie przeciwnego niż ja. Może traktowały mnie jako wyzwanie, sądziły, że uda im się mnie zmienić, że zakocham się w nich tak ślepo, że rzucę wszystko i zostanę mężem.

– I żadnej na tyle nie pokochałeś?

– Imogen kochałem bardzo. – To powiedziawszy, odwraca się do mnie i w świetle księżyca widzę tylko fragment jego twarzy. – To ta dziewczyna z Londynu. Ale nie nadszedł jeszcze odpowiedni moment. Wiedziałem, że jeśli zostanę w Londynie, jak chciała, i się z nią ożenię, coś we mnie umrze i zawsze będę tego żałował. Po pewnym czasie niewątpliwie zacząłbym ją obwiniać i pewnego ranka znalazłaby liścik na poduszce i zorientowała się, że brakuje plecaka, a to nie byłoby w porządku wobec nikogo.

– Kochałeś ją dość mocno, żeby odejść – szepczę.

– Chyba tak. Ale ta opowieść ma szczęśliwe zakończenie. Imogen wyszła za Stephena, adwokata, i mają trzy śliczne córeczki. Jestem ojcem chrzestnym najstarszej i z miejsca znalazłem wspólny język ze Stephenem. W podróżowaniu interesuje go tylko pobyt w luksusowym hotelu, gdzie obsługa kłania się w pas i gdzie organizowane są zajęcia dla dzieci.

– A to była szczęśliwa ucieczka?

– Nigdy nie zdołałbym zaoferować Imogen niczego trwałego. Na pewno nie wtedy. Ani... co tu kryć... georgiańskiego domu w Islington – dodaje z uśmiechem. – Ale czasem się zastanawiam, co by było gdyby.

– A o co chodzi z tym podróżowaniem? – naciskam. – Nie jesteś trochę za stary, żeby gonić za marzeniami?

– Przypominam ci, że jesteśmy w tym samym wieku – śmieje się. – I owszem, jestem trochę za stary, żeby się zajmować tym, czym się zajmowałem do tej pory.

– Czyli czym?

– Głównie malowaniem – mówi.

– Domów?

Cole uśmiecha się do mnie.

– Nie. Portretów. Czasem krajobrazów.

– Na tajskich plażach?

– To moje dodatkowe korzyści z pracy. Czasem przyjeżdżam do nowego miejsca, gdzie nagrano mi wystawę, a czasem po prostu się pojawiam, rozstawiam sztalugi i do wieczora mam już nowych znajomych, zamówienie albo i dwa, a nieraz i propozycję wystawy. Nie uwierzyłybyś, jak ludzi to fascynuje. Kiedy im pokazuję swoje portfolio, oczy im błyszczą. Marzą o tym, żeby ktoś ich namalował albo ich dzieci, albo rodzinę, ale nie mogą sobie pozwolić na sztukę albo tak przynajmniej zawsze myśleli. Ja jestem niebywale tani. Przyjemności, jaką daje mi wiedza, że dostają coś, z czego sami będą czerpać przyjemność, nie można przeliczyć na pieniądze.

– Tani, czyli...?

– To zależy. Jestem znany z tego, że czasem pracuję za darmo. Ale nie chodzi o obrazy... te są czasochłonne... lecz o szkice.

– Jak możesz to robić za darmo? – pytam, wiedząc, że pieniądze nie spadają z nieba. Szczególnie moje. Szczególnie teraz. – Jak możesz sobie na to pozwolić?

– Spójrz tylko na moje życie. – Cole wzrusza ramionami. – Tak niewiele mi potrzeba. Nie mam kredytu, nie mam dzieci do wykarmienia, nie płacę rachunków. Wynajmuję na krótko mieszkania albo pokoje u kogoś w domu i zostaję tak długo, jak mi się podoba. Bywa, że tylko kilka dni, a bywa, że rok. Kiedy trafia się wystawa, mogę żądać więcej za obrazy, i tak sobie dorabiam do innej pracy.

– A co to za miejsce, w którym zostałeś na rok?

– Siena. To był najmniej dochodowy rok mojego życia, ale wspaniale mi się tam mieszkało.

– A jednak nie chciałeś zostać?

– Chciałem. A potem zmieniłem zdanie. W końcu nadszedł czas ruszyć dalej.

– I nigdy nie przyszło ci do głowy, żeby gdzieś osiąść? Znaleźć miejsce, które nazwałbyś domem i w którym, jak to mówią, miał gdzie odwiesić kapelusz? Czy to nie jest męczące, taka ciągła tułaczka?

– Oto mój dom – odpowiada z uśmiechem Cole, wskazując ręką dokoła. – Old Saybrook. Moje studia były moim domem. Middlesex. I Yale.

– Yale. – Unoszę brew. Zaimponował mi.

– To nie takie imponujące, jak by się mogło wydawać – śmieje się. – Dostałem się tylko dlatego, że od założenia uczelni studiowali tam wszyscy przodkowie mojego ojca. Mają tam sale i biblioteki Wellesleyów. To było dość żenujące. Ale w tych miejscach czułem się jak w domu, chociaż nigdy nie czułem się do nich przywiązany, aż... no cóż. Ostatnio zauważyłem, że zaczynam się zmieniać. Tęsknota to może nieodpowiednie słowo, ale coraz częściej zdarza mi się myśleć o tym miejscu i oczywiście o tym, że moi rodzice już nie będą młodszy. I dzisiaj, gdy otacza mnie wszystko to, co znajome i dobre, zaczynam się zastanawiać, czy może nie pora wrócić – wzdycha. – Ale potem wpada mi w ręce artykuł o Kostaryce i marzę tylko o tym, żeby się spakować i ruszyć.

– Mógłbyś to zrobić – mówię. – Czemu nie? Gdybyś tu zamieszkał, wcale nie musiałbyś być uwiązany. Byłoby cudownie, gdybyś spędził trochę czasu z rodzicami, a jak cię przyciśnie, zawsze możesz wyruszyć, ale już nie na tak długo. Oni ogromnie za tobą tęsknią i nie musisz mi mówić, że młodszy nie bę... – urywam, nagle zakłopotana. – O, Boże! Tak cię przepraszam. Znowu to samo. Mówię ci, co masz robić. Znowu się rządzą. Tak cię przepraszam. To nie moja sprawa. Zapomnij o tym.

– Co? – Cole marszczy brwi. – Co to znaczy, że znowu się rządzą? Wcale się nie rządzą, tylko wypowiadasz swoje zdanie i jestem ci za to wdzięczny. Też o tym myślałem. Moi rodzice są wspaniali, jak się pewnie sama przekonałaś. Chcę spędzić z nimi trochę czasu. Proszę cię, nie przejmuj się. Nie powiedziałaś niczego niewłaściwego. No! – Zeskakuje z kamienia. – Zbierajmy się.

– Moi rodzice mieli rację – mówi Cole.

Wysiedliśmy już z samochodu pod domem, pożegnałam się, podziękowałam i właśnie miałam ruszyć ścieżką do wozowni, gdy to słyszę i się odwracam.

– Mówili, że zupełnie nie przypominasz kobiety opisanej w prasie. Twierdzą, że jesteś cudowna, ciepła i szczerą. I że jesteś świetną matką – uśmiecha się. – Całkowicie się z nimi zgadzam.

Cieszę się, że wokół jest ciemno, choć oko wykol, i Cole nie widzi rumieńca zadowolenia, który rozlewa mi się po twarzy.

– Dobranoc – mówię, wiedząc, że nie zatuszuję głosem uśmiechu od ucha do ucha.

– Pchły na noc – odpowiada.

– Karaluchy pod poduchy – mówimy chórem i gdy wchodzę do domu, słyszę jeszcze jego śmiech.

# 54

## Sylvie

Sylvie otwiera drzwi i wyczerpana opiera się o nie na moment, próbując odzyskać równowagę.

Woła Eve, wiedząc, że jest w domu, bo na podjeździe stoi jej jeep. Odpowiada jej cisza, co znaczy, że w pokoju córki nie ma nikogo poza nią, ale Sylvie, jak zawsze, wbiega po schodach, puka do drzwi i czeka, aż Eve powie jej, że tam jest, oddycha, żyje, i dopiero wtedy niepokój w sercu Sylvie słabnie.

Tego popołudnia pojechała się spotkać z doktorem Lawsonem. W końcu to on nadzoruje leczenie Eve i choć nie uczestniczy już ona w intensywnej terapii poza szpitalem, nadal od czasu do czasu zgłasza się do kontroli.

Doktora Lawsona zaniepokoiła wieść o ciężarkach, a jego niepokój tylko się nasilił, gdy po sprawdzeniu dokumentacji okazało się, że Eve przestała się meldować, nie pojawiła się na dwóch ostatnich sesjach terapeutycznych, słowem, samowolnie zrezygnowała z leczenia.

– Dlaczego pan do mnie nie zadzwonił? – Sylvie stara się pohamować gniew w głosie. – Jak mógł pan do tego dopuścić i mnie nie poinformować?

Doktor Lawson jest skruszony.

– Nie wiem, jak do tego doszło. Muszę porozmawiać z personelem i spróbować się czegoś dowiedzieć, ale w tej chwili najważniejsze jest spotkanie z Eve. Musi ją pani dzisiaj przyprowadzić. Mogę odwołać wizyty. Takie pogorszenie wymaga bezzwłocznej interwencji. Im prędzej tu dotrze, tym bardziej rosną jej szanse.

Sylvie serce skacze do gardła.

– Jak to: tym bardziej rosną jej szanse?

Lekarz nie odpowiada. Nie musi. Sylvie wie już, że to śmiertelna choroba. Ale dotąd nie dopuszczała myśli, że dla Eve to sprawa życia i śmierci. Teraz nie może już tłumić tej obawy.

Sylvie puka jeszcze raz, głośniejsze. Cisza. Jednym pchnięciem otwiera drzwi. Eve nie ma w pokoju. Nie widać też jej laptopa. Ani walizki.

Na łóżku leży kartka.

*Mamo, Kocham Cię, ale nie mogę już tego znieść. Muszę pobyć trochę sama, więc wyjeżdżam. Nie martw się i nie próbuj mnie odnaleźć. Niedługo się odezwę.*

*Buźka, Eve*

Sylvie opada na łóżko i z jej ust dobywa się skowyt bólu.

# 55

## *Buck*

Tuż przed wpół do dwunastej słyszę, jak wchodzi mama, i w końcu wiem, co robić. Przez dwie ostatnie godziny główkowałem, jak należy postąpić, chociaż nie mam wątpliwości, że Grace mnie ukatrupi. Ustaliłem, że jeśli mama wróci przed jedenastą trzydzieści pięć, powiem jej. Gdyby weszła do domu później, musiałbym dalej kombinować.

Ostatnio prawie ciągle czuję się o wiele starszy, ale nie wtedy, gdy muszę podejmować dorosłe decyzje. Być może mama jest ostatnią osobą, do której powinienem się zwracać, ale wiem też, że ma wielkie serce. Pomoże. Będzie wiedziała, co robić.

Schodzę po schodach i widzę, że mama rozwalila się już na sofie z nogami do góry i uśmiechem na twarzy, i patrzy teraz na mnie rozmarzonym spojrzeniem.

– Nawet sobie nie wyobrażasz, jak pięk... Co się dzieje?

Marszczy brwi, bo jak na matkę przystało wie już, że coś jest nie tak.

– Co się stało? Komu...? – Głos jej się załamuje i mama robi gwałtowny wdech. – Chodzi o Grace? Chodzi o Grace, prawda?

– Nie.

Chociaż poniekąd tak. Chodzi o Grace. Nie tak, jak myśli, lecz ta sprawa dotyczy też mojej siostry.

– Chodzi o kogoś znajomego Grace, ale sprawa jest bardziej złożona.

– Czy ona... jest w ciąży? – Mama patrzy na mnie znacząco.

– Nie, mamo. Dziś wieczorem spotkałem się z Grace na Facebooku, przyjechała do niej koleżanka i zatrzymała się na trochę. I ta koleżanka jest chora. Ale naprawdę chora. Grace nie wie, co robić.

– Nie mogą iść do lekarza? Albo do szpitala? Co jej dolega?

– Grace twierdzi, że to anoreksja. Dziewczyna podobno raz się leczy, raz nie, ale według Grace od przyjazdu niczego nie przełknęła i właśnie miała coś w rodzaju ataku. Grace już dostaje świra.

– Jak to: coś w rodzaju ataku? – pyta powoli mama.

– Nie wiem. Mówiła, że któregoś dnia ta dziewczyna miała już jakiś napad i Grace wpadła w panikę, ale koleżanka powiedziała potem, że wszystko jest w porządku i nie ma się



czym przejmować. Ale właśnie miała następny i teraz leży prawie nieprzytomna w łóżku, i Grace mówi, że dziwnie oddycha i nie może jej dobudzić.

– Musi zadzwonić po pogotowie. I to już! – krzyczy mama. – Musisz się skontaktować z Grace. Albo ja to zrobię. Zadzwonię do nich.

Teraz ja wpadam w panikę.

– Mamo, nie możesz. To... ta dziewczyna uciekła. Jej... mama... nie wie, gdzie ona jest. Nie chce tego nikomu zdradzić i kazała Grace przysiąc, że nie zadzwoni do jej mamy ani do żadnych służb. Mówiła, że nic jej nie będzie, ale nie wygląda to dobrze.

Mama kręci energicznie głową.

– O, nie – mówi. – Nie, nie, nie. Nie obchodzi mnie jej sytuacja, jej rodzice muszą wiedzieć. *Jezu* – dodaje cicho. – Grace musi natychmiast powiadomić jej matkę. Jeśli ta dziewczyna jest na tyle chora, że Grace panikuje, to znaczy, że jest na tyle chora, że trzeba od razu wezwać jej rodziców. Buck, musisz jak najszybciej złapać Grace i uświadomić jej, jakie to pilne. To brzmi naprawdę poważnie, a od anoreksji można umrzeć. Musi wezwać karetkę i zadzwonić do rodziców tej dziewczyny.

Nie wiem, jak jej to powiedzieć. Zwyczajnie nie mogę dobrać odpowiednich słów.

– Nie może.

– Wobec tego ja to zrobię. – Mama idzie już do komputera sprawdzić adres Grace. – Dzwonię po pogotowie. Czy wiadomo, jak się nazywa dziewczyna? Wiemy coś o jej rodzinie? Jak się z nimi skontaktować?

Biorę głęboki oddech. Nie mam już wyjścia.

– Eve – mówię cicho. – Eve Haydn. To córka Sylvie Haydn.

Widzę, jak mama wytrzeszcza oczy i zamienia się w słup soli.

– Co? Nie rozumiem. Jak to: córka Sylvie Haydn? Mieszka u Grace? Przyjaźnią się? Jak to...? Od kiedy...?

Wzruszam ramionami, bo prawdę mówiąc, nie wiem nawet, czy przypadkiem nie zaprzyjaźniły się dopiero dzisiaj, a jeśli to ma znaczenie, to tylko dlatego, że ktoś musi ruszyć z pomocą, i to szybko.

Kiedy mama oznajmiła, że zadzwoni do matki dziewczyny, od razu wiedziałem, że tak należy postąpić, ale matka dziewczyny nie jest już po prostu jej matką.

To jedyna kobieta, której mama by za nic w świecie nie pomogła.

Mama nie odzywa się przez dłuższą chwilę. Nachyla się, opiera łokcie na kolanach, pociera oczy i w końcu wydaje z siebie głośny jęk.

– Muszę to zrobić, prawda?

Patrzy na mnie, ale nie mogę wydusić słowa. Kiwam tylko głową, siadam koło niej i biorę ją za rękę.

– Jezu – szepcze. – Nie wierzę, że muszę to zrobić, ale gdyby było odwrotnie... gdyby to dotyczyło Grace... – Wzdryga się na samą myśl. – Ta dziewczyna jest chora i musimy jej pomóc. Po to są matki – mruczy pod nosem, nie do mnie, ale, jak sądzę, do siebie, żeby wytłumaczyć sobie, dlaczego musi to zrobić. – Troszczymy się nawzajem o nasze córki. Nieważne, czyje są. Kiedy stajemy się matkami, musimy wziąć na siebie tę odpowiedzialność. Buck? – Patrzy na mnie. – Myślisz, że możesz mi załatwić numer domowy jej mamy?

Kiwam głową. Matka Eve ma pracę. Mogę ją wygooglować, dowiedzieć się, gdzie pracuje, i tam popytać.

– Dobra. – Mama oddycha głęboko. – Dobra. Dzwonię po pogotowie, a ty szukaj numeru. I pośpiesz się. Nie mamy chwili do stracenia.

# 56

## *Maggie*

– Halo?

– Halo? Sylvie?

Zapada rozzdzierająca cisza i wydaje mi się, że słyszę, jak Sylvie zamiera z rozczarowania serce, bo wiem, że modliła się, żeby usłyszeć głos córki.

– Tak.

– Sylvie, mówi Maggie Hathaway. Dzwonię w sprawie twojej córki.

– Co? – warczy. – Eve? Co z nią? Co wiesz?

– Jest u Grace. W Nowym Jorku. Sama dopiero się dowiedziałam. Kazała mojej córce przysiąc, że nikomu nie powie, ale Grace zamartwia się o nią. Wygląda na to, że miała jakiś atak i Grace nie może jej dobudzić. Eve zabroniła jej dzwonić po pomoc, ale wezwałam karetkę i już jedzie.

– O, Boże – szlocha Sylvie. – Gdzie ona jest? Jaki jest adres?

Podaję jej adres i serce mi pęka, gdy słyszę jej głos. Mam poczucie, że wiem o tej kobiecie wszystko. O kobiecie, którą postanowiłam gardzić, o kobiecie, która zrujnowała mi życie i uszło jej to płazem. Gdy kończę, Sylvie płacze.

– Sylvie...

Czekam, aż się uspokoi i nawet się nie zastanawiam nad tym, co mówię, sama nie mogę uwierzyć w to, co słyszę z własnych ust.

– Dotrę tam szybciej niż ty. Właśnie wyjeżdżam. Dowiem się, do którego szpitala ją zabiorą, i dam ci znać. Spotkamy się na miejscu.

– A jeśli już za późno? – Głos Sylvie przechodzi w paniczny pisk. – A jeśli już za późno?

– Karetka będzie tam lada chwila, a ja dojadę za dwie–trzy godziny – mówię. – Zostanę z nią do twojego przyjazdu.

Szloch w słuchawce cichnie i słyszę, jak Sylvie bierze głęboki oddech i zмага się z czkawką.

– Zrobisz to? Pojedziesz tam w środku nocy, żeby jej doglądać?

– A czy ty nie zrobiłabyś tego samego dla mojej córki? Dla czyjejkolwiek córki, gdyby miała kłopoty?

– Zrobiłabym – odpowiada Sylvie. – Bez chwili wahania.

# 57

## *Grace*

Ocknij się, myślę. Proszę, proszę, ocknij się. Wiem, że w pewnym momencie oprzytomnieje, bo tak było poprzednim razem, i potem powiedziała, że wszystko w porządku, że czasem miewa takie dziwne stany, ale nie ma się czym przejmować, i bez względu na wszystko nie wolno mi nikogo powiadamiać.

Przeraziłam się wtedy nie na żarty, lecz pomyślałam, że może to się już nie powtórzy. Po wszystkim jakby wróciła do siebie, tylko była okropnie zmęczona. Ale to jakiś kosmos, że to ta sama dziewczyna, która dwa lata temu przyjechała ze mną do naszego domu, ta sama dziewczyna, którą Chris uznał za nieziemską laskę, która była chuda, ale jeszcze wyglądała normalnie.

Kiedy pojawiła się tu tydzień temu, na jej widok zaparło mi dech w piersiach. Nic na to nie poradzę. Wygląda, jakby stała nad grobem, i jest właściwie cieniem samej siebie. Ilekroć budzi się rano, oddycham z ulgą, że jeszcze żyje.

Próbowałam z nią o tym rozmawiać, ale ilekroć poruszam ten temat, zamyka się w sobie, więc poprzestaję na rozmowie o zwykłych bzdetach: szkole, ekipie z akademika, chłopakach.

Eve nie chciała nigdzie wychodzić. Wcale się nie dziwię. Nie mogę pojąć, skąd ma siłę w ogóle się poruszać, choć wygląda na to, że nie ma siły robić niczego poza spaniem.

Od bardzo dawna przyjaźnimy się przez Internet, i to blisko. To się nie stało od razu – po tym weekendzie, gdy wszyscy dowiedzieliśmy się o tacie, nie chciałam mieć z nią nic wspólnego, ale po procesie znalazła mnie na Facebooku i zaczęłyśmy czatować jak najęte. Tylko ona potrafiła naprawdę zrozumieć, co znaczyła strata taty. To nas połączyło. I to się nigdy nie zmieni.

Przez dwie ostatnie noce czytałam o anoreksji i wiem, że zaawansowanej anoreksji mogą towarzyszyć napady padaczkowe. Kiedy ostatnio do tego doszło, Eve twierdziła, że to na pewno nie napad i że ona wie najlepiej, bo to ona go miała. Albo i nie.

Łatwiej mi było jej uwierzyć, chociaż jestem prawie pewna, że się nie mylę. Dzisiaj wyglądało to o wiele gorzej. Przeturlałam ją na bok, żeby się nie zakrztusiła językiem, i chodzi o to, że pod warstwami dresów wyczułam jej ciało i nic tam nie ma.

*Nic.*

Kiedy dopadły ją konwulsje, wywróciły jej się oczy, a podrygujące ciało uniosło bluzy i zobaczyłam, że zostały z niej tylko skóra i kości. Ohyda. Załamalam się. Patrzyłam na jej kości i po prostu wybuchłam płaczem.

Nie wiem, co robić. Czuję, że zupełnie nie umiem sobie z tym poradzić. Eve teraz śpi, ale

to nie przypomina normalnego snu. Oddycha... ciężko, jakby walczyła o każdy kolejny oddech. Siedzę zapłakana na podłodze w kącie pokoju, bo nie mam pojęcia, co innego robić. Wydaje mi się, że umiera.

Muszę zadzwonić po karetkę, chociaż Eve mnie za to zniechęci. Chyba że się zaraz obudzi. Może się ocknie i wszystko będzie dobrze. Powinam wezwać pogotowie. Nawet jeśli się już do mnie nie odezwie, to czy mam inne wyjście?

Buck wysłał wiadomość na Facebooku i powiedziałam mu. Wiem, że nie powinnam, ale musiałam komuś powiedzieć. Potrzebuję czyjejś pomocy, żeby nie musieć powiadamiać służb.

Buck też totalnie wydygał i stwierdził, że skontaktuje się z Chrisem. On będzie wiedział, co robić. Mam tylko nadzieję, że tu szybko przyjedzie, bo bardzo się boję, co może się stać. Ciągłe sięgam po telefon i zaczynam wybierać dziewięćset jedenaście, ale zaraz przerywam, bo Eve mnie zabije.

Słyszę jakieś dźwięki w korytarzu. Głosy. Donośne. Krótkofalówki. Ktoś łomocze do drzwi, podrywam się, biegnę otworzyć i widzę trzech ratowników medycznych.

– Przyjechaliśmy po Eve Haydn – mówi jeden. – To bardzo poważna sprawa. Proszę się odsunąć.

Robię, co każą, ulga przeplata się z lękiem i napływają kolejne łzy.

Otoczają ją, pojawia się sprzęt medyczny, podłączają kroplówkę. W korytarzu gromadzi się tłum. Ludzie zaglądają, żeby zobaczyć, jak przekładają Eve na nosze. Nawet ratownicy, którzy nagłym tonem wymieniają cicho informacje, są wstrząśnięci jej sylwetką i piórkową wagą.

Eve się nie porusza. Nie budzi. Ogarnia mnie żal i wstyd, że nie zadzwoniłam po nich wcześniej. Natychmiast. Że nie zadzwoniłam za pierwszym razem. Że pozwoliłam Eve, która jest z całą pewnością potwornie chora, przekonać mnie do przestrzegania jej reguł.

Sprawdzają oddech, zatroskani szepczą coś do siebie i nagle jeden, pochylając się nad nią ze stetoskopem, krzyczy:

– Zatrzymanie akcji serca!

Odpychają mnie, biegną po sprzęt i od razu przystępują do resuscytacji, a ja stoję wciśnięta w kąt, trzęsę się ze strachu i nie mogę uwierzyć, że to się dzieje naprawdę.

Eve jest otoczona ekipą, na piersiach ma elektrody, jej wątłe ciało podryguje na noszach i wszyscy wstrzymują oddech, aż w końcu za czwartym razem zaczyna oddychać.

Są tak skupieni na Eve, na podtrzymaniu jej przy życiu, że nie zauważają, jak biegnę za nimi do karetki. Już mam wsiąść, ale próbuję zatrzasnąć przede mną drzwiczki.

– Jadę z nią – mówię, a jeden z ratowników odwraca się i patrzy na mnie badawczo.

Spodziewam się ujrzeć w jego oczach potępienie – jak mogłam czekać tak długo, jak mogłam sama ich nie wezwać? – ale nic takiego nie widzę. Widzę współczucie.

I lęk.

– Jesteś z rodziny? – pyta łagodnie.

Nie waham się ani chwili.

– Tak – odpowiadam. – To moja siostra.

# 58

## *Maggie*

W szpitalu zastaję długi ogonek ludzi, którzy czekają, żeby podać swoje nazwisko. Kolejka przesuwa się wolno. Wszystko wydaje się takie niespieszne, choć pełne napięcia. Dojechałam do Nowego Jorku w rekordowym tempie – nocą na autostradzie panuje mały ruch – ale teraz mam poczucie, że wszystko dzieje się nie dość szybko, i zaczynam się bać.

Wreszcie moja kolej. Kłamię, mówiąc recepcjonistce, że jestem ciotką Eve, a ta bezbarwnym głosem kieruje mnie w stronę kilku wind.

Winda zawiezie mnie na oddział kardiologiczny.

Boję się panicznie tego, co zobaczę. Przez całą drogę spodziewałam się zastać Eve w szpitalu, ale w sali, przytomną – chorą, lecz wdzięczną, że ktoś przy niej czuwa, uspokojoną, że jej matka jest w drodze.

Oddział kardiologiczny. Co to znaczy? Jak to się stało, że dziewiętnastolatka wylądowała na kardiologii? Idę w stronę wind i zbieram siły. Pamiętaj, kim byłaś, Maggie. Przewodniczącą komitetu. Organizatorką. Kobieta, która miała władzę. Czas na nowo powołać do życia dawną Maggie, nie tę cichą, niewidzialną Maggie, którą jestem dziś.

Wysiadam z windy, idę korytarzem, omiatam spojrzeniem mijaną salę, ledwo zauważając to, co mam przed oczami. Dopiero po chwili się reflektuję, staję, obracam na pięcie i wracam do sali. Na krześle siedzi dziewczyna; śpi z nienaturalnie wygiętą szyją i ze zwiniętą pod głową bluzą udającą poduszkę.

Twarz Grace jest obrzmiała i widać na niej ślady łez. Moja córka wygląda dokładnie tak jak wtedy, gdy była małą dziewczynką, i na ten widok staję jak wryta; nie mogę się ruszyć, mogę tylko stać i na nią patrzeć, i zaraz chyba pęknie mi serce.

Grace. Gracie. Moja ukochana córeczka. Chcę ją zagarnąć w ramiona i mocno przytulić, uścisnąć i zasypać pocałunkami, nadrobić cały ten stracony czas, wszystkie te lata, w których nie poświęcałam jej uwagi, nie potrafiłam być taką matką, jaką mogę być dziś.

Grace się porusza. Wstrzymuję oddech. Otwiera oczy, patrzy wprost na mnie niewidzącym wzrokiem, wreszcie przytomnieje, marszczy brwi i ze wstrząśniętą miną prostuje się, siada, pociera oczy i znów na mnie patrzy.

– Cześć, Gracie – szepczę. Bez namysłu ruszam pomału w jej stronę. Nagle twarz jej się krzywi i Grace już jest w moich ramionach – moja śliczna, śliczna córeńka – i szlocha, jakby jej miało zaraz pęknąć serce. Ściskam ją mocno i czuję jej ciało, które nagle staje się prawie tak znajome, jak moje własne, a po policzkach płyną mi powoli łzy.

W karetce, w drodze do szpitala u Eve ponownie nastąpiło zatrzymanie akcji serca. Na



dwanaście sekund.

Żyje – ledwo, ledwo – ale nie bez powikłań. Cierpi na bradykardię – niebezpieczne spowolnienie akcji serca – i zdiagnozowano u niej zaburzenie gospodarki elektrolitowej. Leży pod kroplówką, która ma uzupełnić płyny i minerały, lecz musi być dawkowana powoli, żeby organizm Eve i jej serce nie doznały następnego szoku.

– To znaczy, że może mieć jeszcze jeden atak serca? – Wciąż nie mogę pojąć, jak dziesiętnastolatka może być aż tak ciężko chora. Jak można było dopuścić do tego, że dziesiętnastoletnia dziewczyna jest w tak fatalnym stanie.

– Teraz najbardziej martwimy się o jej serce i nerki. Ze względu na upośledzenie czynności nerek w organizmie zebrało się sporo wody, czego efektem jest obrzęk stóp i dłoni. Obecnie staramy się przywrócić stabilny stan, wprowadzając stopniowo minerały i substancje odżywcze, których jej brakuje. Na razie nie można zrobić wiele więcej, pozostaje czekać.

– Czy ona umrze? – pyta Grace z przerażeniem w oczach.

Lekarz nie odpowiada od razu.

– Jeśli przeżyje najbliższe dwadzieścia cztery godziny, będziemy mogli z większą pewnością określić, na czym stoimy. Czy jej rodzice są w drodze?

– Matka leci z Kalifornii – mówię. – A ojciec nie... – milknę.

Lekarz kiwa głową i zbierając się do odejścia, kładzie mi dłoń na ramieniu i lekko je ściska, a moim ciałem wstrząsa dreszcz strachu.

Nie robiłby tego, gdyby sądził, że dziewczyna z tego wyjdzie. Grace też to zauważa, ale gdy idziemy zobaczyć Eve, żadna z nas o tym nie wspomina.

O, Boże. O, nie. Chryste Panie.

Rzucam tylko okiem i od razu muszę wyjść, prosto do łazienki, gdzie opieram się o drzwi i przełykam łzy. Ze ściśniętym gardłem przemywam twarz zimną wodą i próbuję się pozbiierać, zanim wyjdę do Grace i zacznę udawać dorosłą, zacznę udawać, że panuję nad sobą.

Eve, pogrążona we śnie, oplątana rurkami, przypomina kostuchę; policzki i oczodoły ma tak zapadnięte, a jej skóra i włosy są tak bezbarwne, że wygląda jak trup ze starej czarno-białej fotografii.

Przecież to dziecko. Dziecko Sylvie. Równie dobrze mogłoby być moje. Mogłoby być moje. Nigdy nie widziałam nikogo, kto byłby tak blisko śmierci, i dopiero po kilku minutach mogę spojrzeć na jej twarz i pohamować łkanie.

Ujmuję jej drobną ptasią rączkę, głaszczę kości, patrzę na jej kruche, blade, wyszczerbione paznokcie, i z twarzy skapują mi łzy.

– Źle z nią, prawda? – szepcze Grace, która siedzi zapłakana po drugiej stronie łóżka i trzyma Eve za prawą dłoń.

– Nie wiem – mówię, ocierając łzy rękawem jak dziecko. – Ale dobrze to nie wygląda.

Jak można było jej pozwolić doprowadzić się do takiego stanu? Myślę o tym i przypominam sobie, jak Grace zeszła na manowce zaraz po tym, jak dowiedzieliśmy się o zdradzie Marka.

I wtedy to do mnie dociera. Jak ktokolwiek mógł ją powstrzymać?

Siedzimy w szpitalu od kilku godzin, Grace i ja. Gładzimy Eve po rękach i wreszcie podaję córce swoją kartę kredytową i wysyłam ją na dół, do szpitalnego sklepu, po krem nawilżający. Wraca z najmniejszym, najbardziej puszystym różowym kocem, którym otulamy ostrożnie Eve, a potem wcieramy krem w jej lichą skórę, tak suchą i cienką jak u osoby starszej od niej cztery razy.

Nucimy jej cicho piosenki z dzieciństwa Grace: *Itsy Bitsy Spider, Hot Cross Buns, Ring around the Rosie, Mary Had a Little Lamb*.

Siedzimy, Grace i ja, i opowiadamy Eve historyjki z dzieciństwa mojej córki. Te zabawne i te rozczulające. Mówimy jej, że gdy się obudzi, Grace zademonstruje jej taniec, który wykonała jako pięcioletka w ramach występu baletowego, włącznie ze spektakularnym upadkiem, przez który cała publiczność wstrzymywała oddech, dopóki Grace nie wstała, nie ogłosiła: „Nic mi nie jest, nic mi nie jest!” i nie ukloniła się z szerokim uśmiechem ku euforii zebranych.

Śmiejemy się cicho z tych wspomnień, popatrując co rusz na monitor pracy serca, pilnując, żeby linia się nie wyprostowała, gotowe popędzić natychmiast po pomoc, jeśli do tego dojdzie.

Mówię Grace, że może sobie zrobić przerwę, ale ona nie chce słyszeć o odejściu. Wczesnym rankiem pielęgniarka przynosi mi kolejną kawę, a córka, dalej trzymając Eve za rękę, opuszcza głowę na łóżko i zasypia.

Jeszcze nie widzę Sylvie, ale słyszę już jej głos. Na zmianę z głosem lekarza, z którym rozmawiałam wcześniej i który ją tu prowadzi.

Wstaję i odsuwam się w milczeniu od łóżka, żeby mogła zająć moje miejsce, być przy swojej córce, i patrzę przez chwilę, jak głaszcze Eve po włosach, szepcze jej coś do ucha, całuje w czoło.

Wtedy budzi się Grace, spogląda zdumiona na Sylvie i zauważa mnie w korytarzu. Pokazuję jej, żeby poszła za mną i zostawiła Sylvie sam na sam z Eve, i tak czyni, a Sylvie, skoncentrowana wyłącznie na córce, najwyraźniej nie dostrzega nawet jej obecności.

Idziemy korytarzem, Grace jeszcze na wpółsenna. Wstrzymuję oddech, gdy opiera mi

głowę na ramieniu i wsuwa swoją dłoń w moją.

Grace szybko zasypia – pożyczone poduszki i koce zmieniły narożną kanapę w prowizoryczne łóżko – i wtedy w drzwiach pokoju dla odwiedzających pojawia się Sylvie.

Kobieta, której nienawidziłam, którą oskarżałam o rozpad mojego małżeństwa, od początku pełnego skaz i błędów – choć widzę to dopiero teraz – stoi kilka metrów ode mnie, całkiem zdruzgotana.

Patrzę na nią i nie czuję nic poza niepokojem, troską. Nawet miłością. Wstaję z zakłopotaniem, chcąc zapytać, czy coś się zmieniło, ale tylko zbliżamy się do siebie, jakby pchane nieznaną siłą.

Sylvie i ja stoimy pośrodku małego pokoju; trzymam ją mocno w ramionach, próbując wchłonąć jej ból, starając się dać jej do zrozumienia, że jest kochana, a ona opiera się o mnie i jej ciałem wstrząsa łkanie.

# CZEŚĆ PIĄTA

## RODZINA

## 59

### Sylvie

Czasem Sylvie przyłapuje się na myśli, że wszystko jest jak za starych czasów, ale nie podobnego. Stare czasy dzielą się w jej głowie na trzy części: lata temu, z Jonathanem, gdy życie było proste i szczęśliwe; małżeństwo z Markiem, kiedy życie *wydawało się* proste i szczęśliwe, ale w rzeczywistości okazało się kłamstwem; i czasy po Marku, gdy Eve przeżyła załamanie.

Sylvie powie, że wszystko jest jak za starych czasów, bo gdy Eve przyjeżdża z Nowego Jorku, gdzie studiuje na Uniwersytecie Nowojorskim, sadowi się na stołku przy kuchennym blacie z drewnianą deską z serami i kieliszkiem wina, a Sylvie krząta się po kuchni i gotuje. Czasem wpadną Angie i Simon, pożartują, pośmieją się i wspólnie przyrządzą kolację przy pomarańczowoczerwonym blasku zachodzącego słońca wpadającym przez otwarte na oścież drzwi.

Kiedy Sylvie wydaje się, że jest jak za starych czasów, ma na myśli czasy po Jonathanie, a przed Markiem. Dni, kiedy ona i Eve miały tylko siebie i obie były szczęśliwe.

Oczywiście są pewne różnice. To nie tak, że Sylvie nie zauważa subtelnych zmian. Córka może i wyszła na prostą, ale już nigdy nie będzie taka sama; zawsze trzeba będzie żyć dniami dzisiejszym. Gdy Sylvie patrzy teraz, jak Eve kroi sobie cienki jak pergamin plaster sera, oddycha z ulgą, że obecnie córka w ogóle coś je.

Przez lata nie była w stanie patrzeć, jak Eve je, bez znajomej mieszaniny lęku i paniki, trudnej do powstrzymania i ujawniającej się czasem pod postacią wściekłego warknięcia.

Gdy teraz widzi, jak dziewczyna sięga po jedno winogrono, bierze tylko głęboki oddech i powtarza sobie jak mantrę: jestem bezsilna wobec ludzi, miejsc i rzeczy.

*I jest bezsilna wobec Eve.* Jak bardzo by nie pragnęła, żeby córka się zmieniła, była bezsilna, dopóki *ona sama* nie postanowiła się zmienić. Trzeba było dwukrotnego zatrzymania akcji serca, choroby nerek i osteoporozy – a to tylko kilka z poważnych konsekwencji, z którymi musi się mierzyć Eve – i wielu gór do zdobycia w ciągu ostatnich dwóch lat, żeby zdecydowała w końcu, że chce wyzdrowieć.

Punktem zwrotnym okazało się zdarzenie, które miało miejsce na oddziale kardiologicznym, niedługo po tym, jak Eve przywieziono do szpitala. Kiedy odzyskała przytomność, pierwszym, co zobaczyła, były oczy jej matki, pełne lęku i miłości. Wiedziała, że nie może już tego ciągnąć, nie tylko ze względu na siebie, ale i na matkę. Przyrzekła Sylvie, że się zmieni.

Tym razem mówiła poważnie.

Przewieziono ją do Ośrodka Zaburzeń Odżywiania przy Szpitalu Prezbiteriańskim w Nowym Jorku, gdzie pozostała na trzy miesiące. Sylvie tymczasowo przeniosła siedzibę firmy

do Nowego Jorku, nie zastanawiając się, co ją czeka w przyszłości, i starając się usilnie skupiać na danym dniu.

Minęły dwa lata i Eve wróciła. Odmieniona, ale znów uśmiechnięta. Roześmiana. Nadal jest chudsza niż przeciętny człowiek, ale przestrzega określonego reżimu: trzy posiłki dziennie, a między nimi dwie przekąski. Nie chce odstępować i nie odstępuje od tego trybu.

– Co to takiego? – Eve sięga jeszcze po kilka winogron i kładzie je obok sera, komponując swoją „popołudniową przekąskę”, a potem obraca znaleziony mały słoiczek i przygląda się etykietce. – Dżem figowy? Z nowej serii? – pyta i przerzuca przez ramię włosy, znów gładkie i lśniąco, co niechybnie świadczy o tym, że jej organizm otrzymuje wszystkie potrzebne składniki odżywcze.

– To próbka. Przeprowadzamy testy. Ten jest z pomarańczą. Mój ulubiony.

Dawna Sylvie błagałaby Eve, żeby trochę zjadła. *Spróbuj. Chociaż troszkę.* A potem wpadłaby w przygnębienie, gdyby usłyszała odmowę. Ta Sylvie nic nie mówi, tylko się odwraca. Wszystko zależy od Eve.

Kiedy znów spogląda na córkę, widzi, że Eve próbuje dżemu łyżeczką.

– Dobry, mamó – mówi. – Naprawdę dobry.

Zamiast odłożyć łyżeczkę, sięga po następną porcję. Nie ogromną, taką, która zapowiadałaby rychłe obżarstwo, ale zwykłą łyżeczkę.

– Mówiłam – odzywa się Sylvie i uśmiecha z zadowoleniem.

– Jak to się dzieje, że jesteś w takim dobrym humorze? – Eve spogląda z namysłem na matkę. – Czyżbyś... *kogoś poznała?*

Sylvie wybucha gromkim śmiechem i kręci głową. Jest szczęśliwa, może nawet *szczęśliwsza* bez miłości. Ma dość miłości.

Jej prawdziwą miłością był Jonathan. Nigdy nie pragnęła, nie sądziła, że zasługuje na kogoś innego, ale Mark okazał się taki przekonujący, taki zadurzony, a perspektywa życia z kimś, kto o nią zadba, tak kusząca, że pozwoliła mu się sobą zaopiekować – pozwoliła się wciągnąć w coś, bez czego byłoby jej o niebo lepiej.

Przestrzeń zajmowaną niegdyś przez męża wypełniły jej teraz inne sprawy. Sukces, twórcza praca, wdzięczność za życie, jakiego nie oczekiwała, i radość z tego, że jej córka jest wreszcie zdrowa.

Sylvie przygląda się Eve i zauważa, że ni stąd, ni zowąd, między jednym kawałeczkiem sera a drugim, na jej twarzy wypływa rozmarzony uśmiech.

– Zaraz, zaraz – mówi. – Czy *ja* kogoś poznałam? Tu nie chodzi o mnie. Chodzi o *ciebie*.

Patrzcie państwo, jaka promienna i szczęśliwa! Matki nie oszukasz, ty podła dziewucho!

Przysuwa sobie stołek do stołka córki, która uśmiecha się teraz od ucha do ucha, i szykuje się na dłuższy wieczór.

– Nie wolno ci ruszyć nawet palcem, dopóki mi wszystkiego nie opowiesz.

# 60

## *Maggie*

Barb dech zapiera z wrażenia, gdy odwinąwszy papier z małego pudełka, uchyla wieko i jej oczom ukazuje się cienki złoty naszyjnik z cytrynem, jej ulubionym kamieniem.

– Ojej... to zbyt... och! – Oczy wypełniają jej się łzami, a ręce trzęsą, i mnie samej zbiera się na płacz.

– Żadne tam *zbyt*. Wiem, że uwielbiasz cytryn, i wiem, że kilka tygodni temu podziwiałaś oczko w moim naszyjniku, więc zrobiłam go dla ciebie.

– Ale przecież ty je sprzedajesz za masę pieniędzy. To za wiele!

– Och, przestań już! – ucisza ją Patty i sięga po naszyjnik. – Kiedy ktoś cię obdarowuje biżuterią, należy tylko pięknie się uśmiechnąć i podziękować.

– Dziękuję – mówi Barb. – To nie wystarczy, ale dziękuję. Jesteś dla mnie za dobra! – Zarzuca mi ręce na szyję i mocno ściska.

– Wiesz, że jutro są *moje* urodziny? – odzywa się nagle Patty. – I coś mi się zdaje, że pojutrze następne.

Śmieję się, a Patty poważnieje.

– Całkiem nieźle ci idzie ten biznes jubilerski – mówi. – Ale wiesz, że nie możesz nas zostawić. Ty, ja i Barb tworzymy zespół. Żadna z nas nie ma czasu ani cierpliwości przyuczać do pracy jakąś nową dziewczynę.

Skłamałabym, mówiąc, że nie przeszło mi to przez myśl. Nie stać mnie na rzucenie posady kelnerki, jeszcze nie, ale to prawda, że moja biżuteria się sprzedaje, i zastanawiałam się, czy dojdzie kiedyś do tego, że będę mogła odejść.

– Nie mam zamiaru was zostawiać – śmieję się. – Chyba że odnajdzie się jakaś moja zaginiona ciotka, która nagle umrze, zapisawszy mi w spadku miliony. Co, biorąc pod uwagę pochodzenie mojej rodziny, jest dość mało prawdopodobne.

– A jeśli wyjdiesz za męża? – mruży oczy Barb.

– Barb! – upominam ją hałaśliwie i chichoczę. – Już nigdy nie wyjdę za męża. A gdybym nawet zmieniła zdanie, nadal bym tu pracowała.

– A widzisz? – Patty zerka na Barb i kręci głową. – Słyszałaś ją? A jednak się hajta.

Nie wyjdę już za męża. Lata temu sądziłam, że małżeństwo to taka wisienka na torcie – że



poślubienie odpowiedniego mężczyzny, mężczyzny, który umożliwi mi taki styl życia, o jakim zawsze marzyłam, to szczęście samo w sobie.

I proszę, jak na tym wyszłam.

Nie wierzę już w instytucję małżeństwa, chociaż państwo W. są dowodem na to, że może się udać. Wierzę, że może się udać innym, ale nie mnie; to kwestia wyboru. I owszem, wiem, że myślałam tak samo o szczęściu, zanim okazało się, że jestem w błędzie, ale tym razem jest inaczej. To moja decyzja.

Ale to nie znaczy, że nie wierzę w miłość. Och, jak bardzo wierzę w miłość, gdy już się dowiedziałam, czym jest. Jakże wierzę w zaufanie, dobroć i spokój.

Wierzę w pożądanie, w to, że mogę się zmienić w wilgotną, zadyszana mimozę na samo wspomnienie tego, jak obsunął ramiączko mojej nocnej koszuli, odsłonił pierś i przy akompaniamencie mojego jęku wsunął we mnie palce.

Wierzę w rzeczy pewne. Że mój mężczyzna jest tam, gdzie twierdzi, że jest; że nie znika w sprawach służbowych, nie dając mi żadnej możliwości nawiązania kontaktu; że kiedy jest ze mną, jest ze mną. Na sto procent.

W te wszystkie rzeczy wierzę dzięki Cole'owi. Mężczyźnie, o jakim nawet nie śmiałam marzyć, mężczyźnie, który przywrócił mi wiarę w to, co dobre, przyjemne i słuszne.

Mężczyźnie, którego kocham. Z którym związek ubogaca mnie wewnętrznie i nie potrzebuję świstka, który tłumaczyłby światu nasze uczucie.

– Halo!

Obwieszona torbami z zakupami popycham biodrem drzwi i zastaję pusty dom.

– Jest tu kto? – wołam do góry. Cisza.

Rzucam torby na stół i patrzę na zegarek. Jeszcze kilka godzin, zanim wszyscy przyjadą. Nadal mam wątpliwości, czy się pomieścimy, ale Cole zapewnia mnie, że Święto Dziękczynienia będzie fajniejsze, jeśli stłoczmy się w jednym miejscu. A w to, że będzie tłoczno, nie wątpię.

Buck, Grace, Chris i Eve. Razem. Chris i Eve są od roku nierozłączni i pomagają sobie nawzajem stać się tym, kim mają się stać. Sylvie i ja trzymamy kciuki, żeby w tym wytrwali. Jakżeby mogło być inaczej, skoro Chris mężnieje w ciepłe i bezpieczeństwo miłości Eve, a ona? Eve wyrosła na kobietę w każdym calu; kobiecość widać w jej urodzie, wdzięku, karnacji.

Razem są cudowni i dla siebie są cudowni. Wszyscy to czujemy. Nie sposób porównać tej Eve, która prawie umarła, z tą promienną dziewczyną, która rozświetla każde wnętrze, do którego wchodzi.

Do całej mojej rodziny dołączają, rzecz jasna, państwo W. i Cole.

I Sylvie.

Moja najdroższa przyjaciółka.

Myję ręce, przepasuję się fartuchem i włączywszy muzykę – towarzystwa dotrzymuje mi Jason Mraz – przystępuję do pichcenia. Kroję w plasterki cebulę i przekładam ją do metalowej miski, obieram dynię piżmową i kroję ją w kostkę, odważam i prażę przyprawy, a następnie rozdrabniam je w moździerz.

Indyk moczy się w marynacie, a nadzienie jest już prawie gotowe, gdy rozsuwają się drzwi i spada Buck z zaróżowionymi z zimna policzkami.

– Buty! – krzyczę z kuchni, wiedząc, że zapomni. Słyszę, jak galopuje z powrotem do drzwi. – I zanim zaczniesz gadać o regułach, to wiedz, że nie o to chodzi – dodaję, a Buck mruczy coś pod nosem. – Chodzi o to, żeby nie roznosić błota.

Odwracam się do niego.

– Gdzie byłeś?

– Ścinałem drzewa – mówi i oczy mu się świecą. – Ścieliśmy wszystkie wyschnięte drzewa przy bramie. Już nigdy nie będziemy musieli kupować drewna – chichocze. – Jutro je potniemy.

– Ale nie dzisiaj, dobrze? – ostrzegam. – Będę potrzebować twojej pomocy przy nakrywaniu stołu.

Buck przewraca oczami, wychodzi z kuchni i w tej samej chwili słyszę, jak znów rozsuwają się drzwi.

– Buty! – krzyczę znów, a Cole staje jak wryty, skopuje z nóg buciory, a potem podchodzi do kuchenki, zagląda mi przez ramię, obejmuje mnie w talii swoimi wspaniałymi mocnymi ramionami i muska nosem w kark.

– Coś tu pięknie pachnie – mówi, a ja się śmieję i opieram się o niego przez kilka sekund, napawając się jego masywną sylwetką, zapachem drewna, potu i... pracy.

Jest dla mnie najbardziej nieoczekiwaną z niespodzianek. Najczęściej przebywa teraz tutaj, przy mnie, dzieli ze mną łóżko i mój domek, a od czasu do czasu wyjeżdża w swoją podróż. Niekiedy, jeśli uda mi się załatwić wolne w pracy, ruszam razem z nim. Gdy go nie ma, jestem zupełnie szczęśliwa sama ze sobą, i tym razem naprawdę sama ze sobą; nie muszę wypełniać czasu rozmaitymi komitetami i radami rodziców, nie muszę stale uciekać od *siebie samej*.

Jestem teraz zrzeszona w spółdzielni artystów plastyków i uwielbiam to. Czasem odwiedzam dzieci – Buck studiuje w filii Uniwersytetu Stanowego w Purchase, Grace pracuje w New Haven, a Chris i Eve w Nowym Jorku. Pracuję, wieczorami wychodzę z Patty i Barb,

i codziennie rozmawiam z Sylvie.

W dniu, w którym trzymałam ją zapłakaną w ramionach, gdy Eve była w szpitalu, wszystko się zmieniło. Jeśli kiedykolwiek źle o sobie myślałyśmy, jeśli kiedykolwiek ją obwiniałam i czułam gniew i urazę – to w tamtej chwili wszystko odeszło.

W tamtej chwili stała się moją siostrą.

Czy w południe, czy po południu, czy wieczorem – nie ma dnia, żebyśmy nie sprawdziły, co u nas słychać.

Wyjechałyśmy razem na wakacje i zaśmiewałyśmy się z powodu nadmiaru truskawkowych daiquiri i niechcianych umizgów okropnych facetów. Dzielimy się ze sobą naszymi obawami, wątpliwościami i najszybszymi, najmroczniejszymi tajemnicami.

A także opowieściami o naszych małżeństwach z jednym i tym samym mężczyzną.

Nie mam wątpliwości, że Sylvie była dla Marka miłością jego życia albo przynajmniej kobietą, którą naprawdę kochał. Ja byłam... odpowiednia, taka jak należy – byłam kobietą, która wpisała się w jego wyobrażenia, tak jak on wpisał się w moje.

Sylvie i ja mamy wiele podobnych doświadczeń małżeńskich – zniknięcia, kłamstwa – ale wszystkie jej przeżycia pokazują wyraźnie, że Mark ją kochał. Naprawdę ją kochał. Mniej więcej tak, jak Cole kocha mnie.

Przed moją pierwszą „randką” z Cole’em – kilka miesięcy po tym, jak zaczęliśmy ze sobą sypiać – pomyślałam, że może wypadaloby się wystroić, postarać, sprawić, żebym mu się bardziej spodobała. Wyjęłam pozostałości strojów z New Salem, wypacykowałam się, pokręciłam włosy.

Kiedy zobaczył, jak schodzę po schodach, sprawiał wrażenie, jakby mnie nie poznawał. Sądziłam, że to z zachwytu, ale później, znacznie później, przyznał, że przeraził się na mój widok.

– Najpiękniej wyglądasz, kiedy jesteś całkiem naturalna – powiedział, i teraz mu wierzę.

Dzieci go ubóstwiają. Wszyscy go ubóstwiają. Dla Bucka zaczął uosabiać ideał ojca, co jego własnemu ojcu nigdy się nie udało.

Biedny Mark. Tak wiele stracił. Już do mnie nie pisuje. Podobno zwolnili go warunkowo za dobre sprawowanie. A jakżeby inaczej. Któż by się sprawował lepiej, któż by był bardziej czarujący niż Mark.

Rok temu napisałam do niego. Z podziękowaniami: gdyby nie on, gdyby nie to, co zrobił, być może nadal żyłabym w zakłamaniu, udawała kogoś, kim nie jestem, pogrążona w rozpacz i nieświadoma, że można żyć całkiem inaczej.

Uważnie dobieierałam słowa. Nie zamieściłam nagłówka i nie używałam serdecznych, a jedynie uprzejmych zwrotów. Poprosiłam, żeby nie odpisywał, dodałam, że to niepotrzebne, że chodzi mi o zamknięcie pewnego etapu, ale mimo to odpisał.

I nie zrozumiałam jego reakcji. Prosił o wybaczenie, sądził najwyraźniej, że mój gest miał być czymś w rodzaju zachęty, aluzji, że można cofnąć czas. Swój list – długi na wiele stron – wypełnił wspomnieniami spędzonych ze mną chwil i dopisał, że przyszłość może należeć do nas.

Przeczytałam to Sylvie i obie nie mogłyśmy uwierzyć w to, co nawypisywał. Nigdy nie podzieliłabym się tym z Sylvie, gdybym sądziła, że sprawię jej tym ból, ale wiedziałam, że tak się nie stanie – wiedziałam, że odnajdzie w liście to, co odnalazłam i ja – smutek i desperację.

Wiedziałam, że lektura listu będzie dla niej trudna, bo Sylvie ma wielką potrzebę pomagania. Tydzień później odebrała taki sam list; Mark nieznacznie zmodyfikował wspomnienia, żeby odnosiły się do jej małżeństwa, ale poza tym listy były identyczne.

Po tym już nie czuła potrzeby, aby mu pomagać.

Obie mamy nadzieję, że odnajdzie spokój. Ja mam nadzieję, że odnajdzie zadowolenie z życia. Wierzę, że odnajdzie swoje miejsce w świecie, takie, które oprze na prawdzie, takie, które da mu to samo poczucie radości, które stało się udziałem moim i Sylvie.

Ale jeśli tak się nie stanie, żadnej z nas to absolutnie , absolutnie nie przeszkodzi.

# Epilog

Sylvie opiera podbródek na dłoni i uśmiecha się na widok swojej córki wtulonej ciasno w Chrisa. Kiedy myśli o tym, przez co przeszła Eve, wciąż nie może uwierzyć, że to ta sama radosna osoba, która przed nią siedzi.

Stała się na powrót dzieckiem, które Sylvie znała: dowcipnym, pewnym siebie, miłym. Dziewczyną, która czuje się całkiem dobrze we własnej skórze.

Chociaż Eve samotnie ruszyła w swoją drogę ku wyzdrowieniu, nie ma wątpliwości, że największy wpływ miał na nią Chris. Początkowo Sylvie mimo woli stresowała się ich randkami. Jego fizyczne podobieństwo do Marka było tak niepokojące, że Sylvie przypuszczała, że stoi ono u podstaw fascynacji Eve jego osobą, ale ich związek jest zbudowany na znacznie solidniejszym podłożu. A jeśli chodzi o rozsądek i niezawodność, Chris jest zupełnym przeciwieństwem ojca.

Sylvie sięga po kieliszek z winem, bierze łyk i przechwytuje spojrzenie Maggie siedzącej przy drugim końcu stołu. Unosi kieliszek w milczącym toaście, a potem niemal niedostrzegalnym ruchem głowy wskazuje kuchnię, odsuwa krzesło i wstaje.

Wszyscy spoglądają pytająco, gdy obie kobiety kierują się do kuchni, ale one mówią, żeby zostali przy stole, a one tylko doglądają deseru.

Sylvie z uśmiechem podchodzi do Maggie, która właśnie wyjmuje z piekarnika jabłka pod kruszonką.

– Mówiłam ci już, jak bardzo lubię twoją teściową? Zdziwiała mnie jej wiedza o roślinach. Mogłabym z nią gadać godzinami.

– Ona nie jest moją teściową. – Maggie się uśmiecha.

– Jeszcze nie – droczy się Sylvie.

– Nie wyjdę już za mąż.

– A skąd ta pewność? Nikt z nas nie wie, co przyniesie przyszłość.

Maggie zastyga i unosi brew.

– A ty wzięłabyś znów ślub?

– Aha. Widzę, do czego zmierzasz. – Sylvie od razu pojmuje w czym rzecz, i kiwa głową.

– Mimo wszystko to cudowny człowiek. I wydaje się uczciwy.

Maggie wybucha donośnym śmiechem.

– Akurat my dwie chyba nie najlepiej znamy się na ludziach, co? Tyle lat małżeństwa

i żadna się nie zorientowała. – Kręci głową na samo wspomnienie.

Sylvie wzrusza ramionami.

– A jednak, jak sama przyznałaś w liście do niego, obie tak wiele mu zawdzięczamy. Nie sposób rozpoznać w nas teraz kobiet, którymi byłyśmy. Spójrz, jakie jesteśmy szczęśliwe, jak ty rozkwitłaś. A ja, gdyby nie Mark, nie odnalazłabym w sobie pokładów inwencji twórczej, nie stworzyłabym firmy...

– Chyba imperium – poprawia ją z uśmiechem Maggie.

– Niech ci będzie, że imperium. – Sylvie odwzajemnia uśmiech. – Chodzi o to, że czuję się tak szczęśliwa i spełniona jak nigdy wcześniej. A co najważniejsze, odnalazłyśmy siebie nawzajem.

Uśmiecha się raz jeszcze, podchodzi do Maggie i kładzie jej dłoń na ramieniu, a ta wyciąga rękę i przytula przyjaciółkę.

– Wiesz co, zabrakłoby nam słów, żeby mu podziękować – mówi Maggie i cmoka Sylvie w czubek głowy.

– Prawda? – śmieje się Sylvie. – Kto by pomyślał?

– Bogu dzięki! – krzyczy teatralnie Chris, gdy obie kobiety wchodzi z powrotem do pokoju. – Już myśleliśmy, że doszło do morderstwa i samobójstwa. Co wyście tam robiły? Sadziły jabłunki?

– Nie było was całe wieki – mówi Grace. – Już się zaczynaliśmy martwić.

– A wy co? Nasze matki? – prycha Maggie, a dzieci wzruszają zakłopotane ramionami.

– Nie chcecie, to nie wierzcie, ale nadrabialiśmy zaległości – wyjaśnia Sylvie.

– Widzicie! – triumfuje Cole. – A co wam mówiłem? Plotkują. Ale teraz najwyższy czas zrobić zdjęcie. Chodźcie, chodźcie wszyscy, do dzieła.

– Nie! – jęczy Grace. – Mam okropną fryzurę.

– Jest śliczna – mówi Maggie. – Zawsze jest śliczna. Kto robi zdjęcie?

– Już wszystko gotowe – odpowiada z uśmiechem Cole. – Samowyzwalacz – dodaje i pokazuje aparat ustawiony chybotliwie na stosie książek na stole. Wszyscy na tę stronę – oznajmia.

Pośród powszechnej gderaniny osoby siedzące po jednej stronie stołu odsuwają krzesła i tłoczą się po drugiej, teraz już przy wtórze śmiechów.

Cole czeka, aż każdy zajmie swoje miejsce, a potem poprawia aparat, wciska przycisk i ku ogólnej radości pędzi z powrotem do stołu.

Dobiega w samą porę i aparat robi zdjęcie. W kadrze widać dzieci z obu rodzin, jak odrzucają ze śmiechem głowy; Eve i Chris jak zawsze w uścisku, przy czym Chris zostaje przyłapany na natrzęsaniu się z Cole'a z powodu jego opieszałości.

Państwo W., nieformalni seniorzy rodu, siedzą po jednej stronie. Pani W. opiera brodę na dłoni, a pan W. delikatnie obejmuje żonę.

Za plecami wszystkich stoi Cole, który w ostatniej chwili zdążył wystawić kciuki do obiektywu, a pośrodku, promieniejące wdzięcznością i miłością, siedzą Maggie i Sylvie: dwie kobiety, które miały nie chcieć mieć ze sobą nic wspólnego, a które na przekór losowi zostały najlepszymi przyjaciółkami – siostrami.

– Toast! – woła Cole, grupa się rozprasza i wszyscy krzątają się wokół stołu, zajmując miejsca. – Za rodzinę! – mówi z powagą i rozgląda się po pokoju wilgotnymi oczami.

– Za rodzinę – powtarzają wszyscy, a Maggie i Sylvie unoszą kolejno do ust kieliszki i każda ociera łzę.

